

NORA ROBERTS
GORĄCY LÓD

Uciekał. Zresztą nie po raz pierwszy w życiu. I może nie po raz ostatni, pomyślał, mijając elegancką wystawę sklepu Tiffany'ego. Była chłodna, kwietniowa noc. Padał deszcz, zmywając kurz z jezdni i chodników. Wiał lekki wiatr, który nawet tu, na Manhattanie, pachniał wiosną. Pot spływał mu po twarzy. Byli tuż za nim.

Piąta Aleja była cicha i jak na tę porę nocy spokojna. Uliczne światła co jakiś czas rozpraszały ciemność; ruch panował niewielki. Tu nie wtopisz się w tłum. Mijając Pięćdziesiątą Trzecią, pomyślał, że mógłby dać nura do tunelu kolejki podziemnej pod budynkiem Tishmana - ale gdyby zobaczyli, że tam znika, miałyby odcięty odwrót.

Kiedy za jego plecami rozległ się pisk opon, skoczył za róg przy sklepie Cartiera. Poczul ostre ukłucie w ramię i usłyszał stłumiony świst kuli, mimo to nie zwolnił kroku. Prawie jednocześnie poczuł zapach krwi. Teraz to już przestawało być zabawne. Miał dziwne przeczucie, że może być jeszcze gorzej.

Na Pięćdziesiątej Drugiej dostrzegł grupki ludzi - jedni stali, drudzy spacerowali. Doszły go podniesione głosy i muzyka. Usiłował uspokoić oddech, by nie zwracać na siebie uwagi. Stał cicho za rudą kobietą, o kilka cali przewyższającą jego sześć stóp i o połowę szerszą. Kołysała się w takt muzyki wydobywającej się z przenośnego odbiornika stereo. To tak, jakby się ukrył za drzewem podczas wichury. Skorzystał ze sposobności, by złapać oddech i obejrzeć ranę. Krwawił jak zarzynane prosię. Bez chwili namysłu wyciągnął

rudej kobiecie z tylnej kieszeni spodni pasiastą chustkę i owinał nią ramię. Niczego nie zauważyła, nadal się kołysała - zawdzięczał to swoim zręcznym palcom.

O wiele trudniej jest strzelić do człowieka, którego otacza tłum, pomyślał. Nie jest to niemożliwe, ale trudniejsze. Posuwał się wolno, chowając się za grupki ludzi i cały czas obserwując podążającego za nim czarnego lincolna.

Przy Lexington zobaczył, że samochód się zatrzymuje i wysiada z niego trzech mężczyzn w eleganckich ciemnych garniturach. Jeszcze go nie dostrzegli, ale wkrótce to nastąpi. Myśląc intensywnie, uważnie obserwował otaczających go ludzi. Ta czarna skóra z mnóstwem zamków błyskawicznych mogłaby się przydać.

- Hej! - Złapał za ramię stojącego obok chłopaka. - Dam ci pięćdziesiąt kawałków za twoją kurtkę.

Chłopak, z jasnymi, sterczącymi jak kolce włosami i z jeszcze bledszą twarzą, wyrwał mu rękę.

- Odpieprz się, to prawdziwa skóra.

- No to stówę - mruknął Doug. Trzej mężczyźni byli coraz bliżej.

Tym razem chłopak okazał więcej zainteresowania. Odwrócił twarz i Doug zobaczył maleńkiego wytatuowanego sępa na policzku.

- Dwie setki i jest twoja.

Doug już sięgał po portfel.

- Za dwie stowy dorzucisz mi jeszcze te ciemne okulary. Chłopak zdjął wąskie okulary o fosforyzujących szklach.

- Są twoje.

- Daj, pomogę ci zdjąć kurtkę.

Szybkim ruchem Doug ściągnął z niego skórę. Wcisnął mu banknoty do ręki i włożył kurtkę, sycząc z bólu z powodu rany w lewym ramieniu. Skóra wydzielala niezbyt przyjemny zapach poprzedniego właściciela. Nie zwracając na to uwagi, zaciągnął zamek błyskawiczny.

- Uważaj, kolego, idzie tu trzech facetów w cmentarnych garniturkach. Węszą tu za forszą ekstra za kasety z Billym Idolem.

- Taaa?

Kiedy chłopak odwracał głowę z miną znudzonego nastolatka, Doug dał nura w najbliższe drzwi.

Tapety w bladych kolorach odbijały przyćmione światło. Przy stolikach w stylu art deco, przykrytych lnianymi obrusami, siedzieli ludzie. Błyszczące mosiężne poręcze prowadziły do zacisznych saloników i do otoczonego lustrami baru. Doug natychmiast rozpoznał zapachy charakterystyczne dla francuskiej kuchni - szaławii, burgunda i tymianku. Przez krótką chwilę rozważał pomysł wybrania ustronnego stolika, lecz doszedł do wniosku, że bar będzie lepszą kryjówką. Zrobił znudzoną minę, wbił ręce w kieszenie i kołysząc biodrami, podszedł do baru. Opierając się o ladę, kombinował, któredy tu wyjść.

- Whisky. - Poprawił okulary na nosie. - Seagrama. Proszę zostawić butelkę.

Pochylił się nad butelką, nieznacznie zwracając twarz w stronę drzwi. Włosy miał ciemne, przy kołnierzu kurtki wijące się, twarz gładko ogoloną, pociągłą. Kiedy sięgał po szklaneczkę, skryte za ciemnymi, fosforyzującymi okularami oczy utkwione były w drzwi. Jednym haustem wypił całą jej zawartość. Tymczasem umysł pracował intensywnie.

Potrafił myśleć w biegu już we wczesnej młodości, gdy tylko nauczył się wykorzystywać nogi do ucieczki, jeśli tak nakazywał rozsądek. Nie miał nic przeciwko walce, ale lubił mieć jeszcze coś w zanadrzu. Działał wprost lub posługiwał się subtelniejszymi chwytami - w zależności od tego, co było korzystniejsze.

To, co ukrył na piersi, być może spełni wreszcie jego marzenia o życiu w luksusie. Natomiast ten pościg za nim mógł w jednej chwili wszystko zniweczyć. Po głębszym zastanowieniu postanowił jednak postawić na worek złota.

Para siedząca obok niego dyskutowała żywo o ostatniej powieści Mailera. Jakieś towarzystwo zastanawiało się, czy mają iść do klubu posłuchać jazzu i napić się czegoś tańszego. Ludzie przy barze to przeważnie samotnicy, ocenił. Przyszli tu, by pokrzepić się po ciężkim dniu pracy i spotkać

innych samotników. Były tu skórzane spódnice, trzyczęściowe garnitury i sportowe tenisówki. Zadowolony z siebie wyciągnął papierosa. Mógł wybrać gorsze miejsce na kryjówkę.

Blondynka w kostiumie koloru ciepłej szarości wspięła się na stołek obok niego i podała mu ogień. Pachniała perfumami Chanel i wódka. Zakładając nogę na nogę, opróżniła do końca swoją szklaneczkę.

- Nigdy cię tu jeszcze nie widziałam.

Doug obrzucił ją szybkim spojrzeniem, wystarczającym, by dostrzec lekko zamglony wzrok i drapieżny uśmiech. W innej sytuacji nie odrzuciłby takiej okazji.

- Nie. - Wychylił następną kolejkę. - Moje biuro jest kilka domów stąd.

Nawet po trzech wódkach zauważyła coś bezczelnego i niebezpiecznego w tym mężczyźnie. Zaciekawiona przysunęła się bliżej.

- Jestem architektem - powiedziała.

Włosy zjeżyły mu się na karku, kiedy kątem oka dostrzegł, że wchodzi. Wyglądali schludnie i dostatnio. Wyciągnął głowę i obserwował nad ramieniem blondynki, jak tych trzech się rozdziela. Jeden z nich został przy drzwiach, zamykając mu drogę odwrotu.

Zaciekawiona brakiem odpowiedzi, położyła rękę na ramieniu Douga.

- A ty czym się zajmujesz?

Zatrzymał przez chwilę whisky w ustach, a potem przełknął; czuł, jak wolno spływa do żołądka.

- Kradnę - odpowiedział, bo ludzie rzadko dają wiarę prawdzie.

Uśmiechnęła się, wyjęła papierosa, a następnie podała mu zapalniczkę, czekając, aż Doug poda jej ogień.

- Fascynujące. - Wypuściła cienką smugę dymu i wyjęła mu zapalniczkę z ręki. - Może postawisz mi drinka i opowiesz coś o tym?

Szkoda, że wcześniej nie spróbował tego sposobu, skoro okazał się taki skuteczny. Żałował, że czas był tak nie sprzy-

jający, bo kostium leżał na niej tak elegancko jak na modelce.

- Nie dzisiaj, złotko.

Koncentrując uwagę na swoim problemie, dolał sobie whisky, starając się pozostać w cieniu. Zaimprovizowane przebranie mogło przynieść efekt. Poczował ucisk lufy pistoletu między zębami. Tym razem nie przydało się na nic.

- Wychodź, Lord. Pan Dimitri jest niezadowolony, że nie dotrzymałeś umowy.

- Naprawdę? - Niedbale zamieszał whisky w szklaneczce. - Chciałem sobie najpierw strzelić drinka, Remo. Musiałem stracić rachubę czasu.

Ucisk lufy na zębra zwiększył się.

- Pan Dimitri lubi, kiedy jego pracownicy są punktualni.

Sączył wolno whisky, obserwując w lustrze przed sobą, jak staje za nim dwóch innych facetów.

Blondynka już się wycofała w poszukiwaniu łatwiejszego celu.

- Czy jestem wylany?

Nalał sobie kolejnego drinka, zastanawiając się, jakie ma szanse. Trzy do jednej - oni byli uzbrojeni, on nie. Ale z nich trzech tylko Remo mógł uchodzić za rozgarniętego.

- Pan Dimitri lubi wylewać swoich pracowników osobiście. - Remo wyszczerzył w uśmiechu rząd równiutkich zębów okolonych cieniutkim wąsikiem. - I chce ci poświęcić trochę uwagi.

- Okay. - Doug wziął do jednej ręki butelkę, a do drugiej szklaneczkę. - Może przedtem drinka?

- Pan Dimitri nie lubi, kiedy się pije w czasie pracy. Poza tym jesteś już spóźniony, Lord, mocno spóźniony.

- Naprawdę? Jednak to wstyd marnować dobry trunek.

Nie przestając mieszać whisky w szklaneczce, chlusał nią w oczy Rema i machnął butelką przed nosem mężczyźnie stojącemu z prawej. Siłą rozpędu wyrzwał głową trzeciego przeciwnika, skutkiem czego przewrócili się w tył na ladę z wystawionymi deserami. Czekoladowy suflet i gęsty francuski krem wzbily się w górę i opadły w postaci

wysokokalorycznego deszczu. Objęci jak kochankowie przetoczyli się na tort cytrynowy.

- Straszne marnotrawstwo - mruknął Doug i każdemu z nich wcisnął w twarz po garści musu truskawkowego. Wiedząc, że element zaskoczenia nie trwa wiecznie, Doug posłużył się najszybszymi ze środków obrony. Wbił kolano między nogi przeciwnika i rzucił się do ucieczki.

- Zapisz to na rachunek Dimitriego! - zawołał, przeciskając się między stolikami i krzesłami. Złapał kelnera i pchnął go razem z pełną tacą w stronę Rema. Pieczony gołąb wystrzelił jak z procy. Doug, opierając rękę na mosiężnej poręczy, przeskoczył przez nią i rzucił się w stronę drzwi. Pozostawiając za sobą chaos, wypadł na ulicę.

Zyskał trochę czasu, ale wkrótce znowu będzie ich miał na karku. Tym razem na pewno nie spudłują. Biegł ulicą, zastanawiając się, czemu, u diabła, nigdy nie ma taksówki, kiedy się jej potrzebuje.

Ruch był niewielki, kiedy Whitney mknęła przez Long Island w kierunku miasta. Samolot, którym przyleciała z Paryża, wylądował na lotnisku Kennedy'ego z godzinnym opóźnieniem. Tylne siedzenie i bagażnik małego mercedesa były załadowane bagażem. Radio grało na pełny regulator, wyrzucając z siebie ostre dźwięki najnowszego przeboju Springsteena, odbijające się od ścian samochodu i wydostające przez okno na zewnątrz. Dwutygodniowa podróż do Francji była prezentem, który sobie sprawiła na pocieszenie po zerwaniu zaręczyn z Tadem Carlyse'em IV.

Nieważne, co o tym sądzili jej rodzice. Nie mogła przecież poślubić człowieka, który skarpetki dobierał do koloru krawata.

Zaczęła nucić razem ze Springsteenem, kiedy samochód trochę zwolnił. Była atrakcyjną dwudziestoośmioletnią kobietą, której kariera rozwijała się ze średnim powodzeniem. W każdej chwili, gdyby sprawy ułożyły się niepomyślnie, mogła skorzystać z pieniędzy rodziny. Przywykła do do-

statku i okazywania jej względów. Nigdy nie musiała o to walczyć, po prostu przyjmowała jako coś naturalnego. Lubiła wpadać późną nocą do jednego z nowojorskich klubów i spotykać się tam ze znajomymi.

Nic nie robiła sobie z tego, że dziennikarze węszący za skandalami nie dają jej spokoju, a brukowe gazety zastanawiają się, w jaką to nową awanturę się wpakuje. Tłumaczyła swemu sfrustrowanemu ojcu, że nie jest grzesznicą rozmyślnie, lecz z natury.

Lubiła szybkie samochody, stare filmy i włoskie buty. Właśnie zastanawiała się, czy ma jechać prosto do domu, czy też wpaść do „Elaine'sa” i posłuchać, co się zdarzyło w ciągu minionych dwóch tygodni. Nie odczuwała zmęczenia z powodu opóźnienia się samolotu, raczej lekkie znudzenie. Nawet więcej niż lekkie, skonstatowała. Prawie ją przytłaczało. Problem w tym, jak temu zaradzić.

Whitney była dziedziczką fortuny - niedawno zrobionych dużych pieniędzy. Wyrosła w świecie, w którym wszystko można łatwo zdobyć, ale nie uważała za dość interesujące, by po to sięgać. Gdzie w tym wszystkim jest wyzwanie, zastanawiała się, gdzie - nienawidziła tego słowa - cel? Miała duży krąg przyjaciół, a dla kogoś z zewnątrz mógł się nawet wydawać urozmaicony. Lecz kiedy człowiek przyjrzał się temu z bliska i przekonał się, co kryją te jedwabne lub bawełniane sukienki, dochodził do wniosku, że ci młodzi, wytworni, bogaci, rozpieszczeni ludzie niczym się od siebie nie różnią. Gdzie jest w tym wszystkim dreszczyk emocji? Tak już lepiej, pomyślała. Dreszczyk był lepszym słowem niż cel. Nie był dreszczykiem lot na Arubę, skoro wystarczyło podnieść słuchawkę, by to zorganizować.

Dwa tygodnie w Paryżu minęły spokojnie, kojąco i... nieciekawie. Może właśnie w tym tkwiło sedno? Pragnęła czegoś więcej ponad to, co można kupić, płacąc czekiem lub kartą kredytową. Chciała działać. Znając siebie, wiedziała, że może być w tym dobra.

Nie miała wcale ochoty wracać do domu, sama, i rozpakowywać bagażu. Nie miała również chęci na pójście do

klubu, w którym spotka same znajome twarze. Chciała czegoś nowego, czegoś zupełnie innego. Mogłaby wstąpić do jednego z tych nowych klubów, gdzie zawsze coś się dzieje. Gdyby zechciała, mogłaby wypić kilka drinków i nawiązać rozmowę. Potem, gdyby klub się jej spodobał, mogłaby szepnąć, gdzie trzeba, parę słów i uczynić z niego najnowszy i najatrakcyjniejszy lokal na Manhattanie. Nie dziwił jej fakt, że mogła tego dokonać, ani też nie cieszył. Po prostu taka była rzeczywistość.

Zahamowała z piskiem hamulców na czerwonym świetle, by mieć czas na podjęcie decyzji. Miała wrażenie, jakby nic się w jej życiu ostatnio nie zdarzyło. Nic jej nie podnieciło, nic nie podekscytowało. Była raczej zdziwiona niż przestraszona, kiedy drzwi z drugiej strony gwałtownie się otworzyły. Rzuciła okiem na czarną kurtkę z zamkami błyskawicznymi i wąskie okulary znamionujące autostopowicza i pokręciła głową

- Nie trzymasz się trendów mody - powiedziała.

Doug zerknął przez ramię. Ulica była czysta, ale to nie potrwa długo. Wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi.

- Ruszaj.

- Nie ma mowy. Nie jeżdżę z facetami, którzy noszą ciuchy z zeszłego roku. Zrób sobie spacer.

Doug wcisnął rękę do kieszeni, wysuwając palec wskazujący tak, aby wyglądało to na lufę pistoletu.

- Ruszaj - powtórzył.

Spojrzała na kieszeń, a potem ponownie na twarz. W radiu prezenter zapowiadał godzinę wspomnień z przeszłości. Koncert rozpoczęli Vintage Stones.

- Jeśli masz broń, chcę ją zobaczyć. W przeciwnym razie spieprzaj.

Akurat musiał wybrać ten samochód... Czemu, u diabła, nie trzęsa się i nie błagała jak każda normalna kobieta?

- Do cholery, wcale nie chcę tego użyć, ale jeśli nie włączysz biegu i nie ruszysz, wpakuję ci kulkę w łeb.

Whitney popatrzyła na własne odbicie w jego okularach.

Mick Jagger domagał się, by ktoś udzielił mu schronienia.

- Bzdura - powiedziała z wykwintną dykcją.

Doug zastanawiał się przez chwilę, czy nie załatwić jej jednym ciosem, wypchnąć z samochodu i odjechać, ale obejrzał się i znów uświadomił sobie, że nie pozostało zbyt wiele czasu.

- Słuchaj, panienko, jeśli nie ruszysz, to trzech facetów w czarnym lincolnie za nami popsuje ci tę śliczną zabawkę.

Popatrzyła we wsteczne lusterko i zobaczyła wielki czarny samochód, który zbliżał się wolno.

- Mój ojciec miał kiedyś takiego - odezwała się. - Nazywałam go samochodem pogrzebowym.

- Mhm... włącz bieg albo będzie to mój pogrzeb.

Zmarszczyła brwi, obserwując lincolna w lusterku, i nagle zapragnęła dowiedzieć się, co teraz nastąpi. Wrzuciła pierwszy bieg i śmignęła przez skrzyżowanie. Lincoln natychmiast ruszył za nimi.

- Oni jadą za nami.

- Jasne, że jadą - burknął Doug. - I jeśli nie dodasz gazu, wejdą na tylne siedzenie i uściskają nam dłonie.

Głównie z ciekawości wcisnęła pedał gazu i skręciła w Pięćdziesiątą Siódmą. Lincoln podążył za nimi.

- Oni rzeczywiście jadą za nami - powtórzyła, tym razem uśmiechając się podekscytowana.

- Czy ta zabawka nie może jechać szybciej?

Przeniosła uśmiech na niego.

- Chyba żartujesz.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zmieniła bieg i samochód ruszył jak strzała. Nie mogła sobie wymarzyć lepszego sposobu na spędzenie wieczoru.

- Myślisz, że mogłabym ich zgubić? - Odwróciła się, wyciągając szyję, by zobaczyć, czy lincoln nadal za nimi jedzie. - Widziałeś *Bullita*? Nie ma oczywiście takich pięknych wzgórz, ale...

- Hej, uważaj!

Whitney spojrzała na drogę przed sobą i gwałtownie skręcając kierownicę, dosłownie o włos uniknęła zderzenia z wolniej jadącym sedanem.

- Słuchaj - Doug zazgrzytał zębami - cały problem w tym, by zostać przy życiu. Patrz przed siebie, a ja będę obserwował lincolna.

- Nie musisz się wściekać. - Whitney pokonała następny zakręt. - Wiem, co robię.

- Patrz, gdzie jedziesz! - Doug szarpnął gwałtownie kierownicę, by samochód nie uderzył błotnikiem w zaparkowany przy krawężniku pojazd. - Cholerna idiotka!

- Jeśli będziesz mnie obrażać, to pożegnaj się z dalszą jazdą. - Zwalniając, podjechała do krawężnika.

- Na litość boską, nie zatrzymuj się!

- Nie będę tolerować zniewag. A teraz...

- Na dół! - Doug pociągnął ją na siedzenie sekundę wcześniej, zanim tylna szyba zamieniła się w szklaną pajęczynę.

- Mój samochód! - Usiłowała się podnieść, lecz zdołała jedynie wykręcić głowę, by obejrzeć wyrządzone szkody. - Niech to diabli, nie miał nawet zadrapania. Mam go dopiero od dwóch miesięcy.

- Będzie miał znacznie więcej niż zadrapanie, jeśli nie dodasz gazu. - W skulonej pozycji Doug skręcił w stronę środka jezdni i wyrzał ostrożnie przez rozbitą szybę. - Teraz!

Rozwścieczona docisnęła pedał gazu, jadąc na ślepo, podczas gdy Doug jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą przyciskał kobietę do siedzenia.

- Nie mogę w ten sposób prowadzić.

- Z kulą w głowie też nie będziesz mogła.

- Z kulą? - W jej głosie nie było strachu, lecz irytacja. - Oni do nas strzelali?

- Na pewno nie rzucali kamieniami. - Skręcił tak, że samochód uderzył w krawężnik, biorąc kolejny zakręt. Zderzony, że sam nie może kontrolować pojazdu, ostrożnie popatrzył w tył. Lincoln nadal jechał za nimi, ale zyskali kilka sekund. - No dobra, siadaj, tylko powoli i, na litość, nie zatrzymuj się.

- Jak mam to wszystko wytłumaczyć agencji ubezpieczeniowej? - Whitney wyprostowała się i usiłowała znaleźć

względnie gładkie miejsce w rozbitej przedniej szybie. - Nigdy nie uwierza, że ktoś do mnie strzelał. Już i tak mam zapaskudzone konto. Wiesz, ile płacę?

- Domyślam się ze sposobu, w jaki prowadzisz.

- No, dość już tego. - Zaciskając zęby, Whitney skrzyła w lewo.

- To jest ulica jednokierunkowa. - Rozejrzał się bezradnie. - Nie widziałaś znaku?

- Widziałam - mruknęła i mocniej nacisnęła na gaz. - Ale to jest najszybsza droga przez miasto.

- O, Chryste!

Doug patrzył, jak omiatają ich światła jadących z przeciwka samochodów. Automatycznie chwycił rączkę przy drzwiach, czekając na zderzenie. Jeżeli miał umrzeć, pomyślał z czarnym humorem, wolałby zginąć od kuli, która ładnie i czysto przeszłyby mu serce, niż zostać rozjechanym na ulicach Manhattanu.

Ignorując dźwięki klaksonów, Whitney szarpała samochodem to w prawo, to w lewo. Głupcy i małe zwierzątka, pomyślał Doug, kiedy śmignęli między dwoma nadjeżdżającymi z przeciwka pojazdami. Bóg opiekuje się głupcami i małymi zwierzątkami. Mógł być tylko wdzięczny, że towarzyszy głupcowi.

- Oni nadal jadą za nami. - Doug obrócił się na siedzeniu, by obserwować postępy lincolna. Było to łatwiejsze do zniesienia niż patrzenie w przód. Rzuciło ich na boki, kiedy manewrowała między samochodami, potem z siłą, która cisnęła go na drzwi, wzięła następny zakręt. Doug zaklął i chwycił się za chore ramię. Ból dał o sobie znać tępy, nasilającym się pulsowaniem. - Przestań próbować nas zabić, dobra? Oni wcale nie potrzebują pomocy.

- Nic, tylko narzekasz - rzuciła w odpowiedzi. - Pozwól, że coś ci powiem. Wcale nie jesteś zabawnym facetem.

- Staję się ponury, kiedy ktoś usiłuje mnie zabić.

- Spróbuj więc trochę się rozchmurzyć - zaproponowała, biorąc następny zakręt i ścinając narożnik - bo zaczynasz mnie denerwować.

Przygniotło go do siedzenia. Dlaczego, pomyślał, mając tyle możliwości, musiał skończyć właśnie w ten sposób - zmiążdżony w mercedesie jakiejś szalonej kobiety. Mógł przecież pójść z Remem i dać się zabić Dimitriemu, nawet z pewnym specyficznym rytuałem. Byłaby w tym jakaś sprawiedliwość.

Znów pędzili Piątą Aleją na południe z prędkością dobrze ponad dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Kiedy przejeżdżali przez kałużę, woda prysnęła na wysokość okna. Mimo to lincoln był zaledwie pół przecznicy za nimi.

- Cholera! Nie dają się zgubić.

- Czyżby? - Whitney zacisnęła zęby i spojrzała w lustro. - No to patrz!

Zanim Doug zdążył złapać oddech, wykonała gwałtowny obrót o 180 stopni i ruszyła wprost na nadjeżdżającego lincolna. Patrzył, czując coś w rodzaju fascynującego strachu.

- O, Chryste!

Remo, siedzący obok kierowcy, miał podobne odczucie, natomiast kierowca stchórzył i zjechał w stronę krawężnika. Siłą rozpędu wpadli na chodnik, a potem z imponującym hukiem wyrznęli w okno wystawowe Godiva Chocolatiers. Nie dotykając nawet hamulca, Whitney wykonała ponowny obrót o 180 stopni i śmignęła w dół Piątej Alei.

Opadając na oparcie fotela, Doug parę razy głęboko odetchnął.

- Kobieto - wydusił z siebie - masz więcej odwagi niż rozumu.

- A ty jesteś mi winien trzy setki za przednią szybę.

Spokojnie już wjechała na podziemny parking z wysokim podjazdem.

- Jasne. - Pomacał w roztargnieniu klatkę piersiową, sprawdzając, czy jest cała. - Wyślę ci czek.

- Gotówkę. - Po zatrzymaniu się na swoim miejscu Whitney wyłączyła stacyjkę i wysiadła. - A teraz możesz zanieść mój bagaż na górę. - Popukała w bagażnik, zanim poszła wolno w kierunku windy. Może kolana jej drżały, ale niech ją diabli, jeśli się do tego przyzna. - Muszę się napić.

Doug spojrział w stronę bramy wjazdowej do garażu i rozważył swoje szanse na ulicy. Może po godzinie lub dwóch u niej przyjdzie mu do głowy jakiś dalszy plan działania. A poza tym był jej dłużnikiem. Zaczął wyjmować bagaż.

- Na tylnym siedzeniu coś jeszcze jest - zauważył.
- Zabiorę to później.

Torbę na długim pasku przewiesił sobie przez ramię, a w ręce wziął dwie walizy. Od Gucciego, pomyślał z uśmiechem. A ona domaga się zwrotu trzech setek.

Wszedł do windy i upuścił bezceremonialnie dwie walizki na podłogę.

- Byłaś gdzieś?

Whitney przycisnęła guzik z numerem czterdzieści dwa.

- Dwa tygodnie w Paryżu.
- Dwa tygodnie. - Doug popatrzył na trzy toboły. A jeszcze jest tego więcej. - Podróż z lekkim bagażem, co?
- Podróżuję, jak mi się podoba - powiedziała dumnie. - Byłaś kiedyś w Europie?

Uśmiechnął się i mimo ciemnych okularów uznała ten uśmiech za pociągający. Miał ładnie wykrojone usta i niezbyt równe zęby.

- Kilka razy.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Po raz pierwszy Doug mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Była wyższa, niż się spodziewał, lecz tak naprawdę nie był pewny, czego się właściwie spodziewał. Włosy miała ukryte pod białym miękkim kapeluszem, ale to, co się spod niego wymykało, było takie jasne jak u tego punka, którego zaczepił na ulicy, lecz w piękniejszym odcieniu. Rondo skrywało jej twarz, lecz dostrzegł gładką cerę koloru kości słoniowej i klasyczne rysy. Oczy miała duże, koloru whisky, co zauważył już wcześniej. Usta były bezbronne, bez uśmiechu. Pachniała jak coś delikatnego i słodkiego, coś, czego się chciało dotknąć w ciemnym pokoju.

Była, jak to zwykł określać, pierwszorzędną babką, choć kryła swe wypukłości pod prostą sobolową kurtką i jedwabnymi spodniami. Zawsze wołał kobiety, które mają wszystko

na swoim miejscu. I dodatkowo gruby portfel. Patrzył na nią z przyjemnością.

Whitney sięgnęła obojętnie do torby ze skóry węża i wyjęła klucze.

- Te okulary są śmieszne.

- Ale zdały egzamin - powiedział, zdejmując je. Zaskoczyły ją jego oczy. Były bardzo jasne, bardzo przejrzyste, koloru zielonego. Jakoś nie pasowały do całej twarzy, póki nie dostrzegło się, jak są wyraziste i jak uważnie patrzają, jak gdyby wszystko i wszystkich mierzyły.

Do tej pory nie odczuwała niepokoju. W okularach wyglądał głupio i nieszkodliwie. Teraz pojawiło się uczucie skrępowania. Kim on, u diabła, jest i dlaczego do niego strzelali?

Kiedy drzwi się rozsunęły, Doug pochylił się, żeby wziąć walizki. Whitney dostrzegła w tym momencie cienki czerwony strumyk spływający wzdłuż nadgarstka.

- Ty krwawisz.

Doug popatrzył obojętnie na rękę.

- Taaa. W którą stronę?

Wahała się tylko sekundę. Potrafi być równie nonszalanka jak on.

- Na prawo i nie zakrwaw mi walizek.

Omijając go, przekręciła klucz w zamku.

Mimo irytacji i bólu Doug zauważył, że się wspaniale porusza: wolno i lekko, elegancko kołysząc biodrami. Pomyślał, że należy do kobiet przyzwyczajonych do tego, że chodzą za nią mężczyźni. Podeszedł do niej wolno. Nie patrząc na niego, pchnęła drzwi. Weszła do środka, zapaliła światło i podażyła prosto do baru. Wyjęła butelkę remy martin i wlała po sporej porcji do dwóch szklaneczek.

Robi wrażenie, pomyślał Doug, kiedy rozejrzał się po mieszkaniu. Dywan był tak gruby i miękki, że wystarczyłyby za wygodne łóżko. Wiedział na ten temat dość, by dostrzec w umeblowaniu styl francuski, ale nie tyle, by zorientować się, jaki to okres. Głęboki szafir i musztardowa żółć obić równoważyły ostrą biel dywanu. Doug zauważył też kilka

antyków, które z łatwością rozpoznał. Jej romantyczny gust był dla niego tak oczywisty jak pejzaż Moneta wiszący na ścianie. Cholernie dobra kopia, ocenił. Gdyby miał czas go zastawić, byłby już w drodze. Jeden rzut oka na te fantazyjne francuskie drobiazgi pozwalał stwierdzić, że dostałby za nie bilet pierwszej klasy na samolot, dzięki któremu znalazłby się daleko stąd. Kłopot w tym, że nie ośmieliłby się wejść do lombardu. Nie teraz, kiedy Dimitri wypuścił swoje macki.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego zainteresowało go umeblowanie, skoro nie mógł z niego zrobić żadnego użytku. W normalnych warunkach uznałby je za zbyt babskie i zbyt konwencjonalne. Może po tym męczącym wieczorze potrzebował komfortu, jedwabnych poduszek i koronek. Whitney przeszła przez pokój ze szklaneczkami w rękę.

- Możesz ją zabrać do łazienki - powiedziała, podając mu jedną. Niedbale rzuciła futro na oparcie kanapy. - Rzucę okiem na to ramię.

Doug patrzył spode łba, jak odchodzi. Kobiety zwykle zadają pytania tuzinami. Może ta nie miała na to dość rozumu.

Niechętnie poszedł za nią i za smugą jej zapachu. Jednak ma klasę, pomyślał. Nie da się temu zaprzeczyć.

- Zdejmij kurtkę i usiądź - rozkazała, mocząc pod wodą myjkę z monogramem.

Doug ściągnął kurtkę, zaciskając zęby z bólu.

Po ostrożnym zgięciu i oparciu ręki na brzegu wanny usiadł na krześle z wysokim oparciem, które ktoś inny postawiłby w salonie. Zobaczył, że rękaw koszuli przykleił się do rany. Klnąc, zdarł go z ręki.

- Sam mogę to zrobić - mruknął i sięgnął po myjkę.

- Siedź spokojnie. - Whitney zaczęła zmywać zaschniętą krew ściereczką zmoczoną w ciepłej wodzie. - Nie zobaczę, jak duża jest rana, dopóki jej nie oczyszczę.

Cofnął się na oparcie krzesła. Woda działała kojąco, a dotykiem kobiety był delikatny. Siedział w milczeniu i przyglądał się jej. Co to za jedna? Prowadzi samochód jak szalenciec pozbawiony nerwów, ubiera się jak z „Harper's Bazaar”

i pije - zauważył, że zdążyła już wypić swój koniak - jak marynarz. Czułby się lepiej, gdyby okazała choć odrobinę hysterii.

- Nie chcesz wiedzieć, skąd to mam?

- Hmmmm. - Whitney przyłożyła czystą ściereczkę do rany, by zahamować krwawienie. Ponieważ to on chciał, by o to zapytała, postanowiła tego nie robić.

- Od kuli - powiedział z satysfakcją Doug.

- Naprawdę? - Zaciekawiona zdjęła ściereczkę, by się lepiej przyjrzeć. - Nigdy jeszcze nie widziałam rany postrzałowej.

- To świetnie. - Pociągnął spory łyk koniaku. - Jak ci się podoba?

Wzruszyła ramionami i odsunęła oszklone drzwiczki szafki z lekarstwami.

- Nie robi wielkiego wrażenia.

Popatrzył na ranę ze zmarszczonymi brwiami. Rzeczywiście, kula go tylko drasnęła, ale to nie zmieniało faktu, że strzelano do niego. Nie co dzień strzelają do człowieka.

- To boli.

- Zabandażujemy ją. Draśnięcia zwykle mniej boją, kiedy się na nie nie patrzy.

Przyglądał się, jak grzebie wśród słoików z kremami do twarzy i olejków do kąpieli.

- Sprytnie powiedziane, panienko.

- Whitney - poprawiła. - Whitney MacAllister.

Odwracając się, wyciągnęła do niego rękę.

- Lord, Doug Lord. - Uśmiechnął się.

- Miło mi. Teraz, kiedy doprowadziłam to do porządku, musimy porozmawiać o szkodach w moim samochodzie i o pieniądzach. - Odwróciła się do szafki. - Trzysta dolarów.

Pociągnął następny łyk koniaku.

- Skąd wiesz, że to będzie kosztowało trzysta dolarów?

- Podałam ci najniższą cenę. W mercedesie nie zamontujesz świecy za mniej niż trzy setki.

- Będę ci winny. Wydałem ostatnio dwie setki na kurtkę.

- Na tę kurtkę? - Zdziwiona odwróciła głowę i popatrzyła na niego. - Wyglądasz na sprytniejszego.

- Potrzebowałem jej - odparował Doug. - Poza tym to skóra.

Tym razem wybuchnęła śmiechem.

- Skoro tak nazywasz mistrzowską imitację.

- Co znaczy imitację?

- Ta tandeta z suwakami nawet nie leżała koło skóry.

Aha, tu jest. Wiedziałam, że gdzieś mam trochę.

Z usatysfakcjonowaną miną wyjęła z szafki butelkę.

- To mały sukinsyn - mruknął Doug. Nie miał czasu dokładniej przyjrzeć się kurtce. Teraz, w jasnym świetle łazienki, zobaczył, że to nic więcej tylko tani winyl. Za dwieście dolarów! Nagły palący ból w ramieniu obudził go z zamyślenia. - Do diabła! Co ty robisz?

- Jodynuję ranę - odpowiedziała Whitney, smarując delikatnie chore miejsce.

Zmarszczył brwi.

- To piecze.

- Nie bądź dzieckiem. - Sprawnie owinęła gazą ramię. Odcięła kawałek plastra i zabezpieczyła nim bandaż. - Zrobione - powiedziała, zadowolona ze swego dzieła. - Będzie jak nowe. - Nadal pochylona podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Ich twarze znalazły się blisko siebie, jej cała radosna, jego - skrzywiona z bólu. - A teraz wróćmy do sprawy samochodu...

- A może jestem mordercą, gwałcicielem, psychopatą - powiedział wolno, niebezpiecznie zniżając głos.

Poczuła drżenie wzdłuż kręgosłupa i wyprostowała się.

- Nie sądzę. - Ale chwyciła pustą szklaneczkę i wróciła do salonu. - Jeszcze drinka?

Cholera, odważna dziewczyna. Doug złapał kurtkę i poszedł za nią.

- Nie chcesz wiedzieć, dlaczego mnie śledzili?

- Ci źli faceci?

- Ci... źli faceci - powtórzył ze śmiechem.

- Dobrzy faceci nie strzelają do niewinnych ludzi. -

Nalała sobie kolejnego drinka i usiadła na kanapie. - Tak więc w drodze eliminacji doszłam do wniosku, że jesteś dobrym facetem.

Ponownie się roześmiał i usiadł obok niej.

- Niektórzy byliby przeciwnego zdania - powiedział.

Whitney popatrzyła na niego znad szklanki. Nie, przymiotnik „dobry” jest zbyt jednoznacznym określeniem. Wyglądał na bardziej skomplikowanego.

- No więc czemu nie powiesz mi, dlaczego tych trzech mężczyzn chciało cię zabić?

- Po prostu wykonują swoją robotę. - Doug pociągnął łyk ze szklaneczki. - Pracują dla człowieka nazwiskiem Dimi tri. On chce czegoś, co ja mam.

- To znaczy?

- Wskazówek, jak znaleźć worek złota - powiedział mgliście.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Niecałe dwadzieścia dolarów i nieważna karta kredytowa. Nikt nie kupi za to wyjazdu z kraju. To, *co* miał ukryte w kopercie, warte było fortunę, ale najpierw musi kupić bilet. Mógłby pokazać portfel na lotnisku. A jeszcze lepiej, gdyby spróbował popędzić do samolotu, machając fałszywą legitymacją wywiadowczą, i zagrać rolę twardego, niecierpliwego agenta FBI. W Miami to poskutkowało. Lecz tym razem czuł, że mu się nie uda. Nauczył się polegać na swoim instynkcie.

- Potrzebuję forsy - mruknął. - Kilka setek... może tysiąc.

Odwrócił się w zamyśleniu i popatrzył na Whitney.

- Nie ma mowy - padła prosta odpowiedź. - Już jesteś mi winien trzysta dolarów.

- Dostaniesz je - warknął. - Do diabła, za pół roku kupię ci cały samochód. Spójrz na to jak na inwestycję.

- Mój makler się tym zajmuje.

Pociągnęła łyk i uśmiechnęła się. Był bardzo atrakcyjny, kiedy tak się denerwował i niecierpliwił. Obnażone ramię było umięśnione, a jednocześnie delikatne i szczupłe. Oczy płonęły zapałem.

- Posłuchaj, Whitney. - Wrócił i usiadł na brzegu kanapy. - Tysiąc. To nic po tym, cośmy razem przeszli.

- To siedemset dolarów więcej niż to, co już mi jesteś winien - poprawiła.

- Za sześć miesięcy dostaniesz dwa razy tyle. Muszę kupić bilet na samolot, parę rzeczy... - Popatrzył na siebie, a potem uśmiechnął się do niej chytrze. - Na przykład nową koszulę.

Spryciarz, pomyślała zaintrygowana. Co on rozumiał przez ten worek złota?

- Muszę wiedzieć coś więcej, zanim wyłożę pieniądze.

Potrafił czarować kobiety. Ufnie więc wziął jej rękę i gładził kciukiem wewnątrz dłoni. Głos miał łagodny, zniewalaający.

- Skarb, o którym mogłaś czytać jedynie w bajkach. Obysypię ci włosy brylantami. Wielkimi, migoczącymi brylantami. Będziesz wyglądać jak księżniczka. - Podniósł rękę i dotknął palcem jej policzka. Był delikatny, chłodny. Na moment, tylko na moment, stracił wątek swej opowieści. - Jak królewna z bajki.

Wolno zdjął jej kapelusz z głowy i patrzył w zachwycie, jak włosy opadają na ramiona i plecy. Błade jak zimowe słońce, delikatne jak jedwab.

- Brylanty - powtórzył, przeplatając je między palcami. - Takie włosy powinny stroić brylanty.

Czuła, że jego urok zaczyna na nią działać. Jakaś jej część uwierzyłaby we wszystko, co mówił, zrobiłaby wszystko, o co poprosi, dopóki dotykał jej w taki sposób. Ale istniała jeszcze druga część, mocno stojąca na ziemi, która zwyciężyła.

- Lubię brylanty. Ale znam wielu ludzi, którzy za nie zapłacili, a potem okazało się, że są to tylko piękne szkiełka. Gwarancje, Douglas. - Żeby się opanować, pociągnęła łyk koniaku. - Zawsze żądam gwarancji, jakiegoś zabezpieczenia.

Wstał rozczarowany. Wyglądała na kogoś, kogo można łatwo pokonać, ale była równie twarda jak oni.

- Nic nie powstrzyma mnie od zdobycia forsy. - Porwał

z kanapy jej torebkę i wyciągnął w jej stronę. - Albo za chwilę wyjdę, albo zawrzemy umowę.

Wyszarpnęła mu torebkę z ręki.

- Nie zawrę żadnej umowy, dopóki nie poznam wszystkich warunków. Masz cholernie dużo tupetu, by mi grozić po tym, jak ocalałam ci życie.

- Ocalałeś mi życie? - wybuchnął Doug. - Omal mnie nie zabiłaś ze sto tysięcy razy!

Podniosła wysoko głowę. Jej głos nabrał królewskich i wyniosłych tonów.

- Gdybym nie przechytryła tych mężczyzn, uszkodzając przy tym samochód, pływałbyś w tej chwili w East River.

Obraz był zbyt bliski prawdy.

- Oglądasz zbyt dużo filmów gangsterskich - mruknął.

- Chcę wiedzieć, co masz i dokąd się wybierasz.

- Mam układankę, kawałki układanki, i wybieram się na Madagaskar.

- Madagaskar? - Zaintrygowana pomyślała chwilę. Upał, gorące noce, egzotyczne ptaki, przygoda. - Co za układanka? Jaki skarb?

- To moja sprawa. - Uważając na ramię, wsunął ponownie kurtkę.

- Chcę go zobaczyć.

- Nie możesz go zobaczyć, bo jest na Madagaskarze.

- Wyciągnął papierosa, myśląc intensywnie. Mógłby powiedzieć jej tyle, by ją zainteresować, lecz nie tyle, by zwalić sobie na głowę kłopoty. Wydmuchując dym, rozejrzał się po pokoju.

- Wygląda, że znasz się trochę na Francji.

Jej oczy zwięzły się.

- Dość, by zamówić ślimaki i dom perignon.

- Zapewne. - Wziął do ręki pokrytą masą perłową tabakierkę, stojącą na stylowej szafce. - Powiedzmy, że to, czego szukam, ma francuski akcent, starofrancuski akcent.

Zagryzła dolną wargę. Był to jakiś znak. Mała tabakierka, którą przerzucał z ręki do ręki, miała dwieście lat i była częścią ogromnej kolekcji.

- Jak stary?

- Kilka wieków. Słuchaj, złotko, mogłabyś mnie wesprzeć. - Odstawił na miejsce pudełeczko i wrócił do niej. - Potraktuj to jako kulturalną inwestycję. Dasz mi gotówkę, a ja ci przywiozę parę świecidełek.

Dwieście lat oznacza rewolucję francuską. Maria Antonina i Ludwik. Bogactwo, upadek i intryga. Uśmiech rozjaśnił jej twarz. Historia zawsze ją fascynowała, a szczególnie historia Francji z jej władcami, dworskimi politykami, filozofami i artystami. Jeśli naprawdę coś miał - a wyraz jego oczu wskazywał na to, że ma - dlaczego nie mogłaby mieć w tym swojego udziału? Poszukiwanie skarbu na pewno było zabawniejsze od popołudnia u Sotheby'ego.

- Powiedzmy, że jestem tym zainteresowana - odezwała się po rozważeniu wszystkich za i przeciw. - Jakiego rodzaju wkład będzie konieczny?

Pokazał zęby w uśmiechu. Nie sądził, że połknie haczyk tak szybko.

- Kilka tysięcy.

- Nie miałam na myśli pieniędzy. - Whitney zbyła ten temat w sposób, w jaki mógł to uczynić tylko człowiek bogaty. - Chodzi mi o to, jak się do tego zabierzemy.

- My? - Już się nie uśmiechał. - Nie istnieje słowo „my”. Przyjrzała się z uwagą swoim paznokciom.

- Nie ma słowa „my”, nie ma pieniędzy. - Cofnęła się na oparcie kanapy, rozkładając ramiona. - Nigdy nie byłam na Madagaskarze.

- Więc zadzwoń do biura podróży, złotko. Pracuję w pojedynkę.

- To źle. - Odrzuciła włosy i uśmiechnęła się. - No cóż, było mi przyjemnie. A więc musisz mi zapłacić za szkody...

- Nie ma czasu na... - Przerwał, bo ucho wyłowiło cichy dźwięk za plecami. Obracając się, zobaczył, że gałka u drzwi przesunęła się wolno w prawo, a następnie w lewo. Uniósł w górę rękę, sygnalizując ciszę. - Schowaj się za kanapę - szepnął, jednocześnie omiatając wzrokiem pokój w poszukiwaniu czegoś ciężkiego. - Siedź tam i ani mru-mru.

Whitney już miała zaprotestować, kiedy usłyszała cichy zgrzyt gałki. Zobaczyła, że Doug podnosi ciężką porcelanową wazę.

- Na dół! - syknął, gasząc światło.

Postanowiła go posłuchać. Przykucnęła za kanapą i czekała.

Doug stanął przy drzwiach, obserwując, jak wolno i cicho się otwierają. Trzymał wazę oburącz, myśląc, że chciałby wiedzieć, z iloma przeciwnikami przyjdzie mu się zmierzyć. Zaczekał, aż pierwszy cień znajdzie się w środku, i z całej siły wyrzucił wazę w głowę osobnika. Rozległ się trzask, potem kwik, a następnie łoskot padającego ciała. Whitney usłyszała jeszcze te trzy dźwięki, po czym rozpętała się burza.

Rozległo się szuranie stóp, kolejny brzęk szkła - miśnięski serwis do herbaty, jeśli sądzić z kierunku - potem ktoś zaklął. Kolejny brzęk szkła i stłumiony strzał. Broń z tłumikiem, pomyślała. Słyszała ten dźwięk w wielu filmach kryminalnych. I szyba - odwracając głowę, zobaczyła dziurę w dużym oknie z tyłu za nią.

Gospodarz nie będzie z tego zadowolony, pomyślała. I tak była już na czarnej liście od czasu ostatniego przyjęcia, które wymknęło się jej spod kontroli. Cholera, Douglas Lord sprowadza na nią mnóstwo kłopotów. Ten skarb - ściągnęła brwi - lepiej, żeby był tego wart.

Nagle wszystko ucichło. W tej ciszy usłyszała czyjś oddech.

Doug przywarł do ciemnego rogu, trzymając w ręku czterdziestkępiątkę. Pozostał jeszcze jeden, ale przynajmniej miał teraz broń. Nienawidził broni. Ten, kto jej używa, zwykle marnie kończy, znalazłszy się po niewłaściwej stronie lufy.

Stał na tyle blisko drzwi, by móc się przez nie prześlizgnąć i wymknąć nie zauważony. Gdyby nie ta kobieta za kanapą i świadomość, że on ją w to wpakował, zapewne tak by postąpił. Fakt, że nie może, spowodował, że był na nią wściekły. Mógłby zabić człowieka, żeby się wydostać. Już

mu się to zdarzyło i wiedział, że zrobiłby to jeszcze raz, gdyby musiał. Ale o tym epizodzie w jego życiu zawsze myślał z poczuciem winy.

Dotknął bandaża na ramieniu i poczuł, że jest wilgotny. Do diabła, nie będzie tak stał i czekał, aż się wykrwawi na śmierć. Poruszając się bezszelestnie, zaczął iść wzdłuż ściany.

Whitney zakryła dla pewności usta ręką, kiedy zobaczyła, że jakiś cień przykucnął przy brzegu kanapy. To nie był Doug - spostrzegła, że ma dłuższą szyję i krótsze włosy. Po chwili uchwyciła ruch po lewej. Cień zwrócił się w tym kierunku. Zanim miała czas pomyśleć, co robi, ściągnęła but. Trzymając dobrą włoską skórę w ręce, wycelowała trzycałowym obcasem w głowę cienia i z siłą, jaką była w stanie z siebie wykrzesać, uderzyła.

Rozległ się kwik, a potem głuchy łomot. Zaskoczona swoim czynem, podniosła w triumfie but.

- Trafiłam go!

- Słodki Jezu - mruknął Doug, śmigając przez pokój, łapiąc ją za rękę i ciągnąc za sobą

- Załatwiłam go na cacy - powiedziała, kiedy pędzili w kierunku schodów. - Tym. - Pomachała zniszczonym butem tkwiącym między jego i jej ręką. - Jak oni nas znaleźli?

- To Dimitri. Wytropił twoje mieszkanie - wyjaśnił, wściekły na siebie, że tego nie przewidział. Pędząc w dół po schodach, zaczął opracowywać nowy plan.

- Tak szybko? - Zaśmiała się krótko. Adrenalina zaczęła działać. - Czy ten Dimitri to człowiek, czy czarodziej?

- To człowiek, który ma w garści innych ludzi. Może podnieść słuchawkę telefonu i mieć numer twojej karty kredytowej i numer buta w ciągu pół godziny.

To mógł również jej ojciec. To był biznes, a ona rozumiała biznes.

- Słuchaj, nie mogę biec jak kuternoga, daj mi kilka sekund. - Wyszarpnęła dłoń z jego ręki i włożyła but. - Co teraz zrobimy?

- Musimy się dostać do garażu.

- Przez czterdzieści dwa piętra?
- Windy nie mają tylnych drzwi - powiedział, po czym ponownie złapał ją za rękę i zaczął pędzić w dół po schodach. - Nie chcę wychodzić wprost na twój samochód. Prawdopodobnie zostawili kogoś przy nim, na wypadek gdybyśmy doszli aż tam.

- Więc dlaczego idziemy do garażu?
- Bo potrzebny jest nam jakiś samochód. Muszę się dostać na lotnisko.

Whitney przerzuciła przez głowę pasek torebki, by móc trzymać się poręczy podczas biegu.

- Masz zamiar go ukraść?
- Właśnie. Podrzucę cię do hotelu, zarejestruję pod jakimś nazwiskiem, a potem...

- O nie. - Przerwała, stwierdzając z ulgą, że minęli dwudzieste piętro. - Nie porzucisz mnie w żadnym hotelu. Przednia szyba w samochodzie: trzysta. Szyba w oknie: tysiąc dwieście. Drezdeńska waza z 1865 roku: dwa dwieście siedemdziesiąt pięć. - Złapała torebkę i wygrzebała z niej notatnik, nie zwalniając biegu. Kiedy złapała oddech, zaczęła liczyć. - Mam zamiar wszystko odzyskać.

- Odzyskasz - powiedział ponuro. - A teraz oszczędzaj oddech.

Poszła za jego radą i zaczęła opracowywać własny plan.

Tymczasem dotarli do garażu. Miała jedynie tyle siły, by oprzeć się bez tchu o ścianę, gdy tymczasem on zajrzał do środka przez szparę w drzwiach.

- W porządku, najbliższej stoi porsche. Wyjdę pierwszy. Kiedy będę już w samochodzie, ty wyjdiesz. I nie wystawiaj głowy.

Wyciągnął ponownie pistolet z kieszeni. Pochwyciła jego spojrzenie. Czyżby w jego oczach dostrzegła wstręt? Dlaczego miałby patrzeć na broń jak na coś paskudnego? Pomyślała, że powinna ona pasować do niego jak do kogoś, kto jest bywalcem podejrzanych barów i zadymionych pokoi hotelowych. Ale wcale tak nie było. Nie wyglądał z nią dobrze. W tym momencie Doug podszedł do samochodu.

Kim naprawdę był Doug Lord? Zbirem, oszustem, ofiarą? Ponieważ wyczuła instynktownie, że był wszystkim naraz, zafascynowało ją to i postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej.

Nisko pochylony, wyjął coś, co wyglądało jak scyzoryk. Obserwowała, jak manipuluje przez chwilę przy zamku, a potem cicho otwiera drzwi od strony pasażera. Kimkolwiek jest, pomyślała, jest dobry w rozwalaniu i dostawaniu się do środka. Zostawiając ten problem na później, podkrađła się do samochodu. Siedział już na miejscu kierowcy i majstrował przy przewodach.

- Cholerne zagraniczne wozy - mruknał. - Gdyby to był chvrolet.

Whitney usłyszała z zachwytem, jak silnik budzi się do życia.

- Mógłbyś mnie tego nauczyć? - zapytała.

Doug zerknał na nią z ukosa.

- Tylko się trzymaj. Tym razem ja prowadzę. - Cofając samochód ruszył z miejsca. Kiedy znaleźli się przy wyjeździe z garażu, licznik wskazywał sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. - Masz jakiś ulubiony hotel?

- Nie pojedę do hotelu. Nie pozwolę ci zniknąć mi z oczu, dopóki wszystkiego nie uregulujesz. Tam, gdzie ty pojedziesz, pojedę i ja.

- Słuchaj, nie wiem, ile mam czasu - powiedział spoglądając we wsteczne lustro.

- To, czego naprawdę nie masz, to pieniędzy - przypomniała mu. Trzymała na kolanach notes i zaczęła zapisywać wszystkie wydatki. - Teraz jesteś mi winien za przednią szybę, za antyczną wazę z porcelany, za miśnieński serwis do herbaty... tysiąc sto pięćdziesiąt... i szyba w oknie... pewnie więcej.

- Więc kolejny tysiąc nie zrobi różnicy.

- Kolejny tysiąc zawsze robi różnicę. Twój kredyt obowiązuje tylko wtedy, kiedy mam cię na oku. Jeśli chcesz bilet na samolot, musisz przyjąć współnika.

- Wspólnika? - Popatrzył na nią, zastanawiając się,

dłaczego po prostu nie zabierze jej torebki i nie wypchnie z samochodu. - Nigdy nie biorę współników.

- Tym razem będziesz musiał. Fifty-fifty.

- Mam klucz do zagadki. - Tak naprawdę to miał same znaki zapytania, ale nie będzie się przecież przejmował szczegółami.

- Ale nie masz gotówki.

Skręcił we Franklin Delano Roosevelt Drive. Nie, do cholery, nie miał gotówki i bardzo jej potrzebował. Tak więc ta kobieta też była mu niezbędna. Kiedy będą już kilka tysięcy mil od Nowego Jorku, omówi z nią warunki.

- Okay. Ile masz przy sobie forsy?

- Kilka setek.

- Setek? Cholera! - Utrzymał teraz stałą prędkość pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Nie mógł pozwolić sobie na żadne przystanki. - Z tym nie dolecimy dalej jak do New Jersey.

- Nie lubię nosić przy sobie dużo pieniędzy.

- Wspaniale. Mam papiery warte miliony, a ty chcesz się wkupić dwoma setkami.

- Dwie setki plus pięć tysięcy, które jesteś mi winien. I... - sięgnęła do torebki - mam jeszcze to. - Szczerząc zęby w uśmiechu, pokazała złotą kartę American Express. - Nigdy się z nią nie rozstaję.

Doug patrzył na nią przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem. Może jednak była warta wszystkich kłopotów, jakich mu przysparzała.

Ręka, która sięgnęła po słuchawkę, była pulchna i bardzo biała. Paznokcie wypolerowane i schludnie obcięte. Białe mankiety koszuli spinały kwadratowe szafiry. Słuchawka dorównywała ręce bielą, czystością i chłodem. W miejscu małego palca, który się wokół niej zacisnął, widniał mały, zabliźniony kikut.

- Dimitri.

Głos miał poetyckie brzmienie. Słyszając go, Remo zaczął

się pocić ze strachu. Wyciągnął papierosa i powiedział szybko, zanim go zapalił:

- Wymknęli nam się.

Martwa cisza. Dimitri wiedział, że była groźniejsza od tysiąca gróźb. Przeczekał pięć sekund, dziesięć.

- Trzech mężczyzn przeciw jednemu i kobiecie? Cóż za niedołęstwo.

Remo rozluźnił krawat, by móc oddychać.

- Ukradli porsche. Jedziemy teraz za nimi na lotnisko. Nie uciekną daleko, panie Dimitri.

- Nie, nie uciekną daleko. Mam do wykonania kilka telefonów, kilka... guzików do naciśnięcia. Spotkamy się za parę dni.

Remo otarł ręką usta, czując wielką ulgę.

- Gdzie?

Rozległ się cichy, daleki śmiech. Uczucie ulgi ulotniło się.

- Znajdź Lorda, Remo, a ja znajdę ciebie.

2

Ramię było sztywne. Kiedy przewrócił się na drugi bok, jęknął z bólu i bezwiednie złapał za bandaż. Twarz miał wciśniętą w miękką poduszkę w lnianej powłoczce, która nie wydzielala żadnego zapachu. Leżał na ciepłym i gładkim prześcieradle. Ostrożnie zginając lewe ramię, przekręcił się na plecy.

Pokój tonął w ciemności, sądził więc, że jest jeszcze noc, dopóki nie spojrział na zegarek. Dziewiąta piętnaście. Cholera! Przetarł ręką twarz i usiadł na łóżku.

Powinien już być w samolocie, w połowie drogi nad Ocean Indyjski, zamiast wylegiwać się w hotelu w Waszyngtonie. Nudny, dziwaczny pokój hotelowy, pamiętał, że tak sobie pomyślał o schludnym, pokrytym czerwonym dywanem pomieszczeniu. Przyjechali o pierwszej dziesiątej i nie mógł nawet dostać drinka. Może politykom podoba się w Waszyngtonie, on woli Nowy Jork.

Pierwszym problemem było to, że Whitney pilnowała kasy, nie pozostawiając mu żadnego wyboru. Następny problem to to, że miała rację. On myślał jedynie o wydostaniu się z Nowego Jorku, a ona myślała o takich szczegółach jak paszporty.

Ma więc znajomości w Waszyngtonie, pomyślał. Jeżeli znajomości mogły załatwić papierkową robotę, to jak najbardziej był za. Rozejrzał się po pokoju, który był tylko trochę większy od schowka na szczotki. Zapewne policzy mu i za ten pokój, pomyślał, patrząc na drzwi do drugiego pomieszczenia. Whitney MacAllister miała umysł dyplomowanej księgowej i twarz...

Z półuśmiechem na ustach pokręcił głową i położył się z powrotem na łóżku. Lepiej trzymać myśli z dala od jej twarzy i innych powabów. Na razie potrzebował tylko pieniędzy tej kobiety. Inne sprawy muszą poczekać. Gdy dostanie to, o co mu chodzi, będzie mógł mieć dziewczyny na pęczki.

Obraz był tak miły, że wywołał uśmiech na jego twarzy. Blondynki, brunetki, rude, pulchne, szczupłe, niskie i wysokie. Nie było sensu żadnych dyskryminować. Postanowił, że będzie bardzo hojny. Ale najpierw musi dostać ten cholerny paszport i wizę. Skrzywił się. Przekłęte biurokratyczne bzdury. Miał dostęp do skarbu, który na niego czekał, zawodowego mordercę deptającego mu po piętach i szaloną babę w pokoju obok, która nie kupiłaby mu nawet jednego papierosa bez zanotowania tego w małym notesiku, który trzymała w torebce ze skóry węża za dwieście dolarów.

Myśl ta pobudziła go do sięgnięcia po paczkę papierosów leżącą na nocnym stoliku. Nie mógł zrozumieć takiego postępowania. Kiedy miał pieniądze, hojnie nimi szafował. Może zbyt hojnie, pomyślał z uśmiechem na ustach. Pieniądze nigdy się go długo nie trzymały.

Hojność była częścią jego charakteru. Miał słabość do kobiet, zwłaszcza do tych małych o wydatnych wargach i wielkich oczach. Nieważne, jak długo był z którąś z nich, kiedy pojawiała się następna - natychmiast tracił dla niej głowę. Sześć miesięcy temu mała kelnereczka imieniem Cindy podarowała mu dwie niezapomniane noce i wyciskającą z oczu historię o chorej matce w Columbus. W końcu rozstał się z nią i... pięcioma kawałkami. Zawsze dawał się nabierać na wielkie oczy.

Ale teraz będzie inaczej, postanowił. Kiedy już raz położy łapę na tym worku złota, będzie się go trzymać. Tym razem kupi sobie wielką, okazałą willę na Martynice i zacznie żyć tak, jak zawsze marzył. I będzie szczodry dla służących. Dość się nasprzątał u bogatych, by wiedzieć, jak nieczuli i niedbali potrafią być w stosunku do służby. Oczywiście

sprzątał po nich, dopóki ich nie oskubał, lecz to niczego nie zmieniało.

Jednak to nie praca dla bogatych wywołała u niego zamiłowanie do drogich rzeczy. On się z tym po prostu urodził. Natomiast nie urodził się z pieniędzmi. A potem pomyślał, że lepiej, że się urodził z inteligencją. Dzięki inteligencji i pewnym talentom można mieć, co się chce - lub potrzebuje - od ludzi, którzy nie dostrzegają oszustwa. Ta praca sprawia, że adrenalina krąży po organizmie. Jej wynikiem są pieniądze, które pozwalają się zrelaksować aż do następnego razu.

Wiedział, jak wszystko zaplanować, jak spiskować, jak intrygować. Wiedział również, jaką wartość mają przygotowania. Spędził pół nocy na studiowaniu każdego skrawka informacji, który mógł odcyfrować z materiałów zawartych w kopercie. To była układanka, ale miał już wszystkie kawałki. Teraz potrzebny mu był czas, by złożyć je do kupy.

Staranne tłumaczenie, które przeczytał, mogło być dla jednych ładną opowieścią, a dla innych lekcją historii o arystokratkach, starających się przemycić swoje klejnoty i swoje cenne osoby poza obszar rozdarłej rewolucją Francji. Czytał słowa przepełnione strachem, zmieszaniem i rozpaczą. Ze świetnie zabezpieczonych rękopisów emanowała rozpacz, którą czuł, mimo że nie rozumiał słów. Ale również były tam słowa opisujące intrygi, królewską władzę i bogactwo. Maria Antonina. Robespierre. Naszyjniki o egzotycznych nazwach, ukryte wśród cegieł lub w wozach załadowanych kartonami. Gilotyna, desperackie ucieczki przez kanał do Anglii. Piękne opowieści wtopione w historię i zabarwione krwią. Ale brylanty, szmaragdy i rubiny wielkości kurzych jaj były również prawdziwe. Niektóre z nich nigdy nie ujrzęły światła dziennego. Niektórych użyto, by kupić za nie życie, jedzenie lub milczenie. Inne przepłynęły oceany. Doug wyrywał supełki z bandaży i uśmiechał się. Ocean Indyjski - handlowy szlak kupców i piratów. A na wybrzeżu Madagaskaru, ukryty przez wieki, strzeżony dla królowej, leżał cel jego marzeń. Znajdzie go z pomocą pamiętnika młodej dziew-

czyny i rozpaczy ojca. Kiedy tego dokona, nie obejrzy się wstecz.

Biedne dziecko, pomyślał, wyobrażając sobie młodą Francuzkę, która przelewała na papier swoje uczucia dwieście lat temu. Czy tłumaczenie, które czytał, oddawało w pełni to, o czym pisała? Gdyby tylko znał francuski... Wzruszył ramionami i przypomniał sobie, że ona już dawno nie żyje, więc nie ma się czym martwić. Ale była przecież dzieckiem, przerażonym i zdesperowanym.

Dlaczego oni nas nienawidzą? - pisała. - Dlaczego patrzą na nas z taką nienawiścią? Tatuś mówi, że musimy opuścić Paryż, a ja wiem, że nigdy już nie zobaczę mojego domu.

I nigdy go nie zobaczyła, pomyślał Doug, bo wojna i polityka widzą tylko wielkie cele, a małego człowieka niszczą. Francja w czasie rewolucji czy wilgotne piekło dżungli w Wietnamie. To się nigdy nie zmienia. Dobrze wiedział, co znaczy czuć się bezradnym. Nie chciał przeżyć tego ponownie.

Przeciągnął się i pomyślał o Whitney.

Na dobre czy złe, zawarł z nią układ. Nigdy nie wchodził w interes, jeśli nie był pewny, że sobie z nim poradzi. Jednak to drażni, kiedy się zależy od jej pieniędzy.

Dimitri wynajął go, by ukraść papiery, ponieważ jest w tym dobry, pomyślał nie bez dumy, zaciągając się papierosem. W przeciwieństwie do tej zgrai Dimitriego, nigdy nie uważał, że broń może zastąpić rozum. Zawsze wolał polegać na tym drugim. Wiedział, iż to jego reputacja cichego i zwinnego fachowca sprawiła, że Dimitri zlecił mu wydostanie z sejfu, znajdującego się w ekskluzywnym domu towarowym przy Park Avenue, grubej koperty.

Robota to robota, jeśli taki facet jak Dimitri chce zapłacić pięć tysięcy za paczkę papierów, z których większość jest spółowiała i w obcym języku, to on nie będzie się sprzeczał. Poza tym miał kilka długów do uregulowania.

Musiał pokonać dwa wymyślne systemy alarmowe i ominąć czterech strażników, zanim rozbił mały klejnocik ściennego sejfu, gdzie schowana była koperta. Umiał się

obchodzić z zamkami i alarmami. To jest dar. Człowiek nie powinien marnować talentów otrzymanych od Boga.

Chciał to rozegrać uczciwie. Nie wziął nic prócz papierów, chociaż była tam również bardzo interesująco wyglądająca czarna teczka. Nigdy nie przypuszczał, że przeczytanie ich będzie czymś więcej niż tylko ochroną własnych interesów. Nigdy się nie spodziewał, że zafascynuje go przekład listów, dziennika czy dokumentów sprzed dwustu lat. Może to zamiłowanie do dobrej opowieści, szacunek dla słowa pisanego poruszyły jego wyobraźnię, kiedy przeglądał papiery. Lecz zafascynowanie zafascynowaniem, a interes interesem - papiery powinny zostać przekazane.

Wszedł do sklepu i kupił przyklepiec. Przyklejenie koperty do piersi było jedynie środkiem ostrożności. W Nowym Jorku, jak w każdym mieście, roi się od nieuczciwych ludzi. Oczywiście zjawił się w parku we Wschodniej Dzielnicy godzinę wcześniej i ukrył się. Człowiek żyje dłużej, jeśli pilnuje swojego tyłka.

Kiedy tak siedział w krzakach, w deszczu, zaczął rozmyślać o tym, co przeczytał - o korespondencji, dokumentach i o sporej liście drogich kamieni i klejnotów. Ten, kto zebrał te informacje i przetłumaczył je tak szczegółowo, zrobił to z poświęceniem godnym zawodowego bibliotekarza. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby miał czas i okazję po temu, mógłby resztę roboty wykonać sam. Ale umowa to umowa.

Czekał na spotkanie z zamiarem przekazania papierów i odebrania swojego honorarium, dopóki nie dowiedział się, że nie dostanie tych pięciu tysięcy, na które umówił się z Dimitrim. Zamiast tego otrzyma dwudolarową kulkę w plecy i pochówek w East River.

Remo przybył w czarnym lincolnie z dwoma odpowiednio ubranymi facetami. Spokojnie zaczęli debatować nad najlepszym sposobem unieszkodliwienia go. Kulka w mózgu pogodziła wszystkich trzech, ale pozostawał problem, kiedy i gdzie. Remo nie chciał pobrudzić krwią tapicerki w lincolnie.

Z początku Doug był wściekły. Nieważne, ile razy go już

wykiwano - przestał liczyć - ale za każdym razem to go wściekało. Nie ma uczciwych na tym świecie, pomyślał, kiedy przylepiec pociągnął go za skórę. Właśnie wtedy, kiedy zastanawiał się, jak wyjść cało z opresji, zaczął rozważać swoje możliwości.

Dimitri miał reputację ekscentryka. Ale był też znany jako facet, który zdobywa wszystko, co najlepsze, od senatora, by go opłacać, po najlepsze wino, by składować je w piwnicy. Jeśli chciał mieć te papiery i jednocześnie pozbyć się kogoś takiego jak Doug Lord, to musiały one być coś warte. Wobec tego Doug postanowił, że papiery należą do niego, i tak się dopełnił los. Jedyne, co musiał teraz zrobić, to przeżyć.

Odruchowo dotknął ramienia. Jeszcze sztywne, ale już się goi. Musiał przyznać, że ta szalona Whitney MacAllister wykonała niezłą robotę. Wydmuchnął dym przez zęby i zgasił papierosa. Pewnie za to też mu policzy.

Była mu potrzebna, przynajmniej dopóki nie wyjadą z kraju. Kiedy znajdzie się na Madagaskarze, zostawi ją. Uśmiechnął się leniwie. Miał pewne doświadczenie w przechytrzaniu kobiet. Czasami mu się udawało. Jedyne, czego będzie żałował, to to, że nie zobaczy, jak ona tupie i przeklina, kiedy zda sobie sprawę, że jej zwiął. Wyobrażając sobie tę rozlewającą się bladość, włosy koloru słońca, pomyślał, że źle się stało, iż będzie musiał ją oszukać. Nie mógł zaprzeczyć, że jest jej dłużnikiem. Właśnie kiedy westchnął i zaczął myśleć o niej życzliwie, drzwi łączące oba pokoje otwarły się z impetem.

- Jeszcze w łóżku? - Whitney podeszła do okna i rozsunała zasłony. Zamachała kapryśnie ręką przed twarzą, usiłując rozpędzić dym papierosowy. Przed chwilą się obudził, pomyślała. Palił i spiskował. No cóż, ona również dokonała pewnych przemyśleń.

Doug zaklął i zmrużył oczy.

- Wyglądasz okropnie - rzuciła.

Był wystarczająco próżny, by zrobić kwaśną minę. Policzki miał szorstkie od nocnego zarostu, włosy potargane

i marzył o szczoteczce do zębów. Ona zaś wyglądała, jakby właśnie wyszła z salonu Elisabeth Arden. Leżąc nago w łóżku, z prześcieradłem do pasa, czuł się skrępowany. Niepotrzebne mu były takie uczucia.

- Nigdy nie pukasz?

- Nie wtedy, kiedy płacę za pokój - powiedziała lekko. Przeskoczyła zmiętoszone spodnie leżące na podłodze. - Zaraz będzie śniadanie.

- Wspaniale.

Nie zwracając uwagi na sarkazm w jego głosie, rozlokowała się swobodnie na brzegu łóżka, wyciągając nogi.

- Rozgość się - powiedział ze złością.

Uśmiechnęła się i odrzuciła w tył włosy.

- Skontaktowałam się z wujkiem Maxem.

- Z kim?

- Z wujkiem Maxem - powtórzyła, oglądając krytycznie swoje paznokcie. Musi zrobić manicure, zanim wyjadą z miasta. - Tak naprawdę to nie jest moim wujem, po prostu tak go nazywam.

- Ach, więc to taki wujek. - Doug uśmiechnął się szyderczo.

Whitney rzuciła mu łagodne spojrzenie.

- Nie bądź taki nieokrzesany, Douglas. On jest przyjacielem rodziny. Może o nim słyszałeś? Maximillian Teebury.

- Senator Teebury?

Rozcapierzyła palce, by się im przyjrzeć.

- Widzę, że jesteś na bieżąco w informacjach.

- Słuchaj, mądralo. - Doug chwycił ją za ramię tak, że upadła na jego kolana. Popatrzyła na niego z uśmiechem, wiedząc, że trzyma w ręku wszystkie atuty. - Cóż takiego ma senator Teebury?

- Znajomości. - Przejechała mu palcem po policzku, cmokając z dezaprobatą na jego zarost. Lecz ta szorstkość, skonstatowała, miała swój prymitywny urok. - Mój ojciec zawsze mówi, że od biedy możesz obejść się bez seksu, ale bez znajomości nigdy.

- Taaa? - Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie tak,

że ich twarze prawie się dotykały, a włosy Whitney rozsypały się po prześcieradle. - Każdy ma swoją skalę ważności.

- Może i tak.

Miała wielką ochotę go pocałować. Wyglądał niechlujnie, nieporządnie, jak ktoś, kto spędził noc na dzikim seksie. Jakiego typu kochankiem byłby Douglas Lord? Bezlitosnym. Poczula, że serce uderza jej mocniej na tę myśl. Śmierdział papierosami i potem. Wyglądał jak człowiek, który żyje na krawędzi i to go bawi. Chciałaby poczuć te kształtne, interesujące usta, ale jeszcze nie teraz. Gdyby go pocałowała, mogłaby zapomnieć, że musi być o krok przed nim.

- Chodzi o to - mruknęła, zanurzając ręce w jego włosach, kiedy ich wargi prawie się dotykały - że wujek Max może załatwić ci paszport i dwie trzydziestodniowe wizy na Madagaskar w ciągu dwudziestu czterech godzin.

-Jak?

Whitney spostrzegła ze zdziwieniem, jak szybko jego uwodzicielski głos zmienił się w twardy.

- Znajomości, Douglas - powiedziała wesoło. - Od czego są wspólnicy?

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Do diabła, gdyby tylko nie była potrzebna. Jeśli nie będzie ostrożny, może stać się niezastąpiona. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował sprytny mężczyzna, to niezastąpiona kobieta z oczami koloru whisky i skórą delikatną jak płatki kwiatów. Nagle przypomniał sobie, że będą jeszcze razem do jutra rana. Obrócił się i przykrył ją swoim ciałem. Jej włosy rozsypały się po poduszce. Oczy na wpół ostrożne, na wpół rozbawione spotkały jego wzrok.

- Przekonajmy się, od czego, wspólniczko- zaproponował.

Poczula na sobie jego ciężar, obezwładniający wzrok i rękę, która dotknęła jej twarzy. To było bardzo kuszące. Musiała jednak rozważyć wszystkie za i przeciw. Zanim Whitney zdecydowała, co zrobi, rozległo się pukanie do drzwi.

- Śniadanie - powiedziała wesoło, wydostając się spod niego.

Jeśli nawet serce biło jej trochę zbyt szybko, nie będzie się teraz nad tym zastanawiać. Tyle jeszcze mieli do zrobienia.

Doug założył ręce pod głowę i oparł się o ramę łóżka. Może to pożądanie wyżerało mu dziurę w brzuchu, a może był to tylko głód. Albo i jedno, i drugie.

- Zjedzmy je w łóżku.

Whitney zignorowała jego propozycję.

- Dzień dobry - powiedziała pogodnie do kelnera, który wjechał z barkiem.

- Dzień dobry, panno MacAllister.

Młody krępy Portorykańczyk nawet nie spojrział na Douga. Jego oczy widziały tylko Whitney. Z wielkim wdziękiem wręczył jej różę.

- Och, dziękuję, Juan, jest śliczna.

- Pomyślałem, że się pani spodoba. - Błysnął uśmiechem, ukazując rząd mocnych zębów. - Mam nadzieję, że śniadanie będzie smakowało. Przyniosłem przybory toaletowe i papier, o który pani prosiła.

- To wspaniale, Juan.

Uśmiecha się do tego czarnego ogiera z większą słodyczą niż do mnie, pomyślał Doug.

- Mam nadzieję, że nie było z tym wielkiego kłopotu - ciągnęła Whitney.

- Och nie, dla pani nigdy, panno MacAllister.

Za plecami kelnera Doug przedrzeźniał jego słowa i pełną oddania postawę. Whitney tylko uniosła brew i podpisała zamasyście czek.

- Dziękuję, Juan. - Sięgnęła do torebki i wyjęła dwudziestkę. - Bardzo mi pomogłeś.

- To przyjemność, panno MacAllister. Proszę tylko zadzwonić, gdyby pani jeszcze czegoś potrzebowała. - Dwudziestka zniknęła w kieszeni z prędkością i dyskrecją wskazującą na długą praktykę. - Życzę smacznego. - Z uśmiechem na ustach zamknął za sobą drzwi.

- Uwielbiasz, kiedy się czołgają, co?

Whitney odwróciła filiżankę i nalała sobie kawy. Nie dbale zaczęła machać kwiatkiem.

- Załóż jakieś spodnie i chodź na śniadanie.

- Cholernie szczerze się obeszłaś z tą niewielką ilością gotówki, którą mamy.

Nic nie odpowiedziała, ale zauważył, że wyciąga swój mały notes.

- Chwileczkę, przecież to ty przepłacałaś temu kelnerowi, nie ja.

- Przyniósł ci maszynkę do golenia i szczoteczkę do zębów - powiedziała spokojnie. - Podzielimy się napiwkami, bo twój wygląd jest w tym momencie przedmiotem mojej troski.

- To niezwykle uprzejmie z twojej strony - mruknął. Potem, chcąc sprawdzić, jak daleko może się posunąć, wstał powoli z łóżka.

Nie wstrzymała oddechu, nie cofnęła się, nie zaczerwieniła. Po prostu omiotła go długim, taksującym spojrzeniem. Biały bandaż na ramieniu zdecydowanie odbijał się od ciemnej karnacji. Na Boga, ależ on jest wspaniale zbudowany, pomyślała, a serce zaczęło walić jak młotem. Szczupłe, gładkie, subtelnie umięśnione ciało. Nagi, nie ogolony, z półuśmiechem na ustach, wyglądał bardziej niebezpiecznie i bardziej pociągająco niż większość mężczyzn, z którymi miała do czynienia. Nie pozwoli, żeby się o tym dowiedział.

Nie odwracając wzroku, podniosła filiżankę do ust.

- Przestań się popisywać, Douglas - powiedziała spokojnie - i włóż spodnie. Jajka ci ostygną.

Niech to diabli, ależ zimna, pomyślał, podnosząc dzinsy z podłogi. Choć raz chciałbym zobaczyć, jak się poci. Klapnął na krzesło naprzeciw niej i zaczął pałaszować gorące jajka na chrupiącym bekonie. Był zbyt głodny, by obliczyć, ile ten luksus będzie go kosztować. Kiedy znajdzie skarb, stać go będzie na kupienie całego cholernego hotelu.

- Kim pani właściwie jest, panno MacAllister? - zapytał z pełnymi ustami.

Posypała pieprzem jajka.

- W jakim sensie?

Uśmiechnął się zadowolony, że nie otrzymał prostej odpowiedzi.

- Skąd pochodzisz?

- Z Richmond w Wirginii - powiedziała, przechodząc tak szybko na rozwlekły wirgiński akcent, że każdy by przysiągł, iż posługuje się nim cały czas. - Moja rodzina nadal tam mieszka.

- Dlaczego przeniosłaś się do Nowego Jorku?

- Bo tu się szybciej żyje.

Sięgnął po grzanekę, badając wzrokiem koszyk z dżemami owocowymi.

- Co robisz w Nowym Jorku?

- To, co chcę.

Spojrzał w jej namiętne oczy koloru whisky i pomyślał, że chyba tak jest naprawdę.

- Pracujesz gdzieś?

- Nie, mam wolny zawód. - Wzięła w palce kawałek bekonu i zaczęła się nim bawić. - Jestem dekoratorem wnętrz.

Przypomniał sobie jej mieszkanie, wrażenie elegancji, zestawienie kolorów, niepowtarzalność.

- Dekorator - mruknął. - Musisz być niezła.

- Z pewnością. A ty? - Dołała kawy do obu filiżanek. - Co ty robisz?

- Dużo rzeczy. - Sięgnął po śmietankę i spojrzał na Whitney - Przeważnie jestem złodziejem.

Przypomniała sobie, z jaką łatwością uruchomił porsche.

- Musisz być niezły.

Roześmiał się i powtórzył za nią:

- Z pewnością.

- Ta układanka, o której wspominałeś, te papiery. - Rozłamała grzanekę na dwie części. - Czy masz mi zamiar je pokazać?

- Nie.

Zmrużyła oczy.

- Skąd mam wiedzieć, że je masz? A jeśli je masz, to skąd mam wiedzieć, że są warte mojego czasu, nie mówiąc już o pieniądzach?

Wydawało się, jakby się nad tym zastanawiał, ale po chwili podał jej koszyczek z dżemami.

- Trzeba mieć zaufanie.

Wybrała truskawkowy i rozsmarowała go na grzance.

- Bądź poważny. Skąd je masz?

- Zdobyłem je.

Gryząc grzanekę, popatrzyła na niego.

- Czyli ukradłeś?

- Tak.

- Ludziom, którzy cię ścigali?

- Dla kogoś, dla kogo oni pracują - poprawił ją. - Dla Dimitriego. Niestety, chciał mnie oszukać, więc umowa przestała obowiązywać. Prawo jest przy aktualnym właścicielu.

- Zapewne. - Zastanawiała się przez chwilę nad faktem, że je śniadanie ze złodziejem, który jest w posiadaniu tajemniczej zagadki. Doszła do wniosku, że zrobiła najbardziej niezwykłą rzecz w swoim życiu. - Dobrze. Spróbujmy z innej strony. Jaką formę ma ta układanka?

Doug już miał dać jakąś wymijającą odpowiedź, kiedy wstrzymał go wyraz jej oczu. Była w nich zimna, zdecydowana determinacja. Lepiej jej coś powiedzieć, dopóki nie dostanie paszportu i biletu.

- Mam dokumenty i listy. Jest tam dość informacji, by zaprowadziły mnie prosto do worka złota, o którym nikt nawet nie wie, że istnieje.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Znasz francuski? - zapytał, marszcząc brwi.

- Oczywiście - powiedziała i uśmiechnęła się. - Więc część tej układanki jest po francusku? - Kiedy nie odpowiedział, badała dalej: - Dlaczego nikt nie wie o tym twoim worku złota?

- Ci, którzy wiedzieli, nie żyją.

Nie spodobał jej się sposób, w jaki to powiedział, ale nie chciała się nad tym zatrzymywać.

- Skąd wiesz, że on istnieje?

Jego oczy nabrały blasku, jakiego najmniej się można było spodziewać.

.. - Czuję to.

- A kim jest ten człowiek, który cię ściga?

- Dimitri? Jest pierwszej klasy biznesmenem od ciemnych interesów. Jest sprytny i nikczemny, typ faceta, który lubi wszystko wiedzieć o swojej ofercie. Skoro zależało mu na tych papierach, to muszą one być cholernie dużo warte. Cholernie dużo.

- Sądzę, że dowiemy się tego na Madagaskarze.

Wzięła do ręki „New York Timesa”, którego przyniósł Juan. Nie podobało jej się to, co usłyszała o tym Dimitrim. Najlepszym sposobem na to, by o tym nie myśleć, to zająć się czymś innym. Rozkładając gazetę, wstrzymała oddech, a potem wypuściła powietrze.

- O, cholera!

Zajęty smażonymi jajkami Doug odpowiedział niewyraźnym „Hmmm?”

- No to teraz siedzę w tym po uszy - stwierdziła, ciskając gazetę wprost na jego talerz.

- Hej, jeszcze nie skończyłem!

Zanim odsunął ją na bok, zobaczył Whitney uśmiechającą się do niego ze zdjęcia. Nad fotografią widniał wielki nagłówek:

ZNIKNIĘCIE LODOWEJ DZIEDZICZKI

- Lodowa dziedziczka - mruknął Doug, przebiegając tekst oczami. - Lodowa... - Zamarł z otwartymi ustami, wypuszczając z ręki gazetę. - Lody MacAllistera to ty?

- Otóż to. - Whitney przemierzała pokój, jakby usiłowała opracować najlepszy plan. - To mój ojciec.

- Lody MacAllistera - powtórzył Doug. - Sukinsyn. Robi najlepsze lody w kraju.

- Oczywiście.

Uderzyła go myśl, że ta kobieta nie jest takim sobie zwykłym dekoratorem, ale córką jednego z najbogatszych ludzi w kraju.

Była warta miliony. Miliony. I jeśli go z nią złapią, oskarżą o porwanie, zanim zdąży poprosić o adwokata. Dwadzieś-

cia lat z okładem, pomyślał, przejeżdżając ręką po włosach. Doug Lord miał inne plany na ten okres.

- Słuchaj, złotko, to wszystko zmienia.

- Rzeczywiście, zmienia - mruknęła. - Muszę zadzwonić do taty. I do wujka Maxa.

- Jasne. - Nabrał na widelec ostatnią porcję jajek, dochodząc do wniosku, że lepiej zjeść, kiedy jest po temu okazja. - Czemu nie podliczysz mojego rachunku i...

- Tata pewnie myśli, że zostałam zatrzymana dla okupu czy czegoś takiego.

- Pewnie tak. - Złapał ostatni kawałek grzanki. Skoro ma zamiar dopisać śniadanie do jego rachunku, dlaczego nie miałyby z niego skorzystać? - A ja nie mam ochoty skończyć z kulką w głowie.

- Nie bądź śmieszny. - Zbyła go machnięciem ręki, zastanawiając się nad sposobem załatwienia sprawy. - Poradzę sobie z tatą - mruknęła. - Robiłam to od lat. Powinnam namówić go, by przesłał mi trochę pieniędzy, skoro w tym siedzę.

- Gotówkę?

Obrzuciła go długim, taksującym spojrzeniem.

- Czyżby to cię zainteresowało?

Odłożył grzankę na bok.

- Słuchaj, ślicznotko, skoro wiesz, jak podejść twojego staruszka, to nie ma się o co sprzeczać. I skoro twoja plastikowa karteczka jest w porządku i gotówka, którą możesz na nią dostać, też jest w porządku, to zielone ekstra pozwolą mi łatwiej zasnąć.

- Zajmę się tym. - Podeszła do drzwi łączących oba pokoje i zatrzymała się. - Powinieneś wziąć prysznic i ogolić się, zanim pójdziemy na zakupy.

Ręka, która drapała brodę, zawisła w powietrzu.

- Na zakupy?

- Nie mam zamiaru jechać na Madagaskar w jednej bluzce i jednej parze spodni. I oczywiście nie pojedę z kimś, kto nosi koszulę z jednym rękawem. Trzeba coś zrobić z twoją garderobą.

- Sam potrafię wybrać sobie koszule.
- Po kurtce, którą miałeś na sobie, kiedy się spotkaliśmy, mocno w to wątpię. - Z tymi słowami zamknęła za sobą drzwi.

- To było przebranie! - wrzasnął za nią i ruszył w kierunku łazienki. Cholerne baby, zawsze muszą mieć ostatnie słowo.

Musiał jednak przyznać, że ma gust. Po dwugodzinnym szaleństwie zakupowym niósł więcej paczek, niżby chciał, ale krój koszuli pozwalał ukryć nieznaczną wypukłość koperaty, która znów tkwiła przymocowana na piersi. Podobał mu się dotyk lekkiego płótna na skórze i kołysanie bioder Whitney pod cienką, białą sukienką. Lecz wcale nie miał zamiaru jej tego mówić.

- Cóż, u diabła, mam robić z garniturem w dżungli na Madagaskarze?

Podniosła wzrok i poprawiła mu kołnierzyk. Upierał się, że nie chce jasnoniebieskiego, ale Whitney stwierdziła, że ten kolor wspaniale do niego pasuje. Wyglądał w nim dość dziewczęinnie, jakby od urodzenia nosił krojone na miarę ubrania.

- Kiedy się podróżuje, powinno się być przygotowanym na wszystko.

- Nie wiem, ile będziemy musieli przejść pieszo, złotko, ale uprzedzam cię: sama niesiesz swój bagaż.

Zsunęła z oczu nowe okulary słoneczne.

- Dżentelmen do końca.

- Oczywiście. - Zatrzymał się przy drogerii, poprawiając paczki pod pachą. - Potrzebuję stąd paru rzeczy. Daj mi dwudziestkę. - Kiedy w odpowiedzi uniosła tylko brew, zaklął w duchu. - Daj spokój, przecież i tak wpiszesz to do tego cholernego kajecika. Czuję się goły bez gotówki.

Uśmiechnęła się słodko i sięgnęła do torebki.

- Nie przeszkadzała ci ta nagość dziś rano?

Ten brak zainteresowania jego ciałem był irytujący. Wy-rwał jej banknot z ręki.

- No tak, trzeba będzie coś z tym zrobić. Spotkamy się na górze za dziesięć minut.

Zadowolona z siebie Whitney poszła do hotelu. Miała mnóstwo zabawy z dokuczaniem Dougowi Lordowi. Od miesięcy się tak nie bawiła. Przełożyła zgrabną skórzaną torbę, którą właśnie kupiła, do drugiej ręki i wcisnęła guzik windy.

Wszystko układa się pomyślnie. Ojciec odetchnął z ulgą, że nic się jej nie stało, i nie miał nic przeciwko jej ponownemu wyjazdowi za granicę. Uśmiechnęła się i oparła o ścianę. Zapewne dała mu się kilka razy we znaki w ciągu minionych dwudziestu ośmiu lat, i teraz było podobnie. W każdym razie wymyśliła wspaniałą historię, by ojciec był zadowolony. Tysiąc dolarów, które przesłał wujkowi Maxowi dziś po południu, to niezłe zabezpieczenie na taką podróż.

Sama nazwa Madagaskar miała w sobie przyciągającą moc. Madagaskar, myślała, idąc korytarzem do swojego pokoju. Egzotyczny, nowy, niepowtarzalny. Orchidee i bujna zieleń. Chciała to wszystko zobaczyć i przeżyć tak samo, jak chciała uwierzyć w tę układankę, która według Douga miała doprowadzić do worka złota. Lecz to nie złoto było magnesem. Zbyt przywykła do bogactwa, by mogło ono wywołać w niej silniejsze bicie serca. To chęć zobaczenia, chęć poszukiwań ciągnęły ją tam. Zdziwiałe, ale lepiej od Douga wiedziała, że on odczuwa to samo.

Musi dowiedzieć się o nim czegoś więcej, postanowiła. Sądząc ze sposobu, w jaki rozmawiał o kroju i materiale z ekspedientem, znał się na ładnych rzeczach. Mógłby uchodzić za bogacza w klasycznej lnianej koszuli, dopóki nie spojrzano się w jego oczy. Nie były to zwykłe oczy, pomyślała. Były niespokojne, ostrożne i głodne. Skoro mieli zostać współnikami, musi dowiedzieć się, dlaczego.

Kiedy otwierała drzwi, przyszło jej na myśl, że przez kilka minut będzie sama, a Doug może ukrył papiery w swoim pokoju. To ona dostarcza pieniądze, przekonywała się w duchu, ma więc absolutne prawo zobaczyć, co firmuje. Cicho przeszła przez swój pokój i otworzyła drugie drzwi. Wstrzymała oddech, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Juan, śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

Weszła do środka, spoglądając w kierunku nadal nie uprzątniętego stołu, przy którym usiadł młody kelner.

- Przyszedłeś posprzątać talerze?

Nie musi odkładać poszukiwań z jego powodu, pomyślała i zaczęła przeszukiwać szufladę komody.

- Czy o tej porze roku macie wielu gości? - zapytała, chcąc podtrzymać konwersację. - To czas kwitnienia wiśni, prawda? To zawsze przyciąga turystów.

Niezadowolona, że nic nie znalazła w komodzie, rozejrzała się po pokoju. Może w toalecie?

- O której zwykle przychodzi pokojówka, Juan? Potrzebne mi są dodatkowe ręczniki. - Kiedy nadal patrzył na nią bez słowa, zmarszczyła brwi.

- Nie wyglądasz dobrze - powiedziała. - Zbyt ciężko każą ci pracować. Może powinienes... - Dotknęła jego ramienia, a on wolno i miękko osunął się na podłogę, pozostawiając plamę krwi na oparciu krzesła.

Nie krzyknęła, bo mózg i struny głosowe miała sparaliżowane. Z oczami szeroko otwartymi i drżącymi ustami powoli zaczęła się cofać. Po raz pierwszy spotkała się ze śmiercią. Zanim zdołała się ruszyć, jakaś ręka opadła ciężko na jej ramię.

- Bardzo ładnie.

Mężczyzna, którego twarz znalazła się zaledwie cal od twarzy Whitney, przystawił jej broń do brody. Na jednym policzku miał poszarpaną bliznę, jakby ktoś zadał mu cios rozbitą butelką lub ostrzem.

Oczy i włosy były koloru piaskowego. Lufa pistoletu parzyła go. Uśmiechając się, przesunął broń wzdłuż gardła.

- Gdzie Lord?

Spojrzała na skurczone ciało leżące zaledwie o krok od jej stóp. Na plecach białej marynarki powoli rosła czerwona plama. Juan już jej nie pomoże i nigdy nie wyda dwudziestodolarowego napiwku, który mu dała kilka godzin temu. Jeśli nie będzie ostrożna, bardzo ostrożna, to sama skończy podobnie.

- Pytałem o Lorda. - Lufa pistoletu uniosła jej brodę w górę.

- Zgubiłam go - powiedziała, myśląc intensywnie. - Chciałam tu wrócić i odnaleźć papiery.

- Kłamiesz. - Bawił się końcami włosów Whitney, wywołując sensację w jej żołądku. - Niezła z ciebie spryciara. - Palce zacisnęły się na włosach i szarpnęły w tył głowy. - Kiedy wróci?

- Nie wiem. - Drżała z bólu, próbując zachować jasny umysł. - Za piętnaście minut, może pół godziny.

W każdej chwili, pomyślała desperacko. Może wejść w każdej chwili i wówczas oboje będą martwi. Wystarczyło kolejne spojrzenie na ciało rozciągnięte u jej stóp, i do oczu napłynęły łzy. Przełknęła z trudem ślinę, wiedząc, że nie może sobie pozwolić na łzy.

- Dlaczego zabiłeś Juana?

- Znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. - Tak jak ty, piękna pani.

- Posłuchaj. - Bez wysiłku zniżyła głos. Gdyby spróbowała mówić szeptem, zęby zaczęłyby jej szcząkać. - Nie muszę oglądać się na Lorda. Gdybyśmy ty i ja znaleźli papiery, to... - Słowa zawisły w powietrzu; zwilżyła wargi językiem.

Obserwował jej twarz, a potem przesunął wzrokiem po reszcie ciała.

- Słabiutko, laluniu - odezwał się drwiąco, potem zrobił krok w tył, kiwając w jej kierunku pistoletem. - Może powinienem zobaczyć najpierw *coś* więcej?

Zaczęła bawić się górnym guzikiem od bluzki. Odciągnęła jego myśli od zabicia jej, ale daleko było jeszcze do zawarcia umowy. Cofając się wolno i przesuając rękę do następnego guzika, poczuła, że biodra opierają się o stół. Udając, że chce utrzymać równowagę, oparła się o niego ręką, nie spuszczać wzroku z piaskowych oczu mężczyzny. Poczwała chłód stali w palcach.

- Może powinieneś mi pomóc - szepnęła, zmuszając się do uśmiechu.

Kiwnął głową, kładąc broń na komodzie.

- Może i tak. - Dotknął bioder Whitney, po czym przesunął ręce wolno wzdłuż jej ciała. W tym momencie chwyciła widelec i wbiła mu go w szyję. Buchnęła krew, a on, kwicząc jak świnia, odskoczył w tył. Kiedy usiłował wyciągnąć widelec, chwyciła skórzaną torbę i zamachnęła się nią z całych sił. Nie sprawdzając, jaki to odniosło skutek, rzuciła się do ucieczki.

W doskonałym humorze, wywołanym rozmową z recepcjonistką, Doug przeszedł przez hall. W tym momencie wpadła na niego Whitney, pędząc, ile sił w nogach. Usiłował utrzymać spadające paczki.

- Co, u diabła...

- Uciekaj! - krzyknęła i nie oglądając się za siebie, wypadła z hotelu.

Klnąc i zbierając paczki, pobiegł za nią.

- Dlaczego? - zapytał, stojąc obok niej.

- Znaleźli nas!

Doug zerknął przez ramię i zobaczył Rema i dwóch innych wybiegających z hotelu.

- Cholera! - mruknął; chwycił Whitney za rękę, ciągnąc w kierunku najbliższych drzwi. Przywitały ich ciche dźwięki harfy i wyprężony szef sali hotelowej restauracji.

- Czy mają państwo rezerwację?

- Szukamy naszych przyjaciół - odpowiedział Doug, trącając łokciem Whitney.

- Tak, mam nadzieję, że nie przyszliśmy za wcześnie. - Mrugnęła na szefa sali, zanim przebiegła wzrokiem po wnętrzu. - Nienawidzę przychodzić za wcześnie. A, jest Marjorie. Ależ ona utyła!

Przechodząc obok szefa sali, nachyliła się konspiracyjnie w stronę Douga.

- Nie zapomnij powiedzieć jej komplementu na temat tego potwornego balastu, Rodney.

Idąc dalej, skierowali się prosto do kuchni.

- Rodney? - zaprotestował półgłosem.

- To w pierwszej chwili przyszło mi do głowy.

- Tędy. - Myśląc intensywnie, powkładał pudełka i paczki do wielkiej torby Whitney i cały ten bagaż zarzucił sobie na ramię. - Teraz ja będę mówił.

W kuchni przeszli wzdłuż rzędu stołów i kucharzy. Idąc tak szybko, jak uznał to za rozsądne, Doug zmierzał w kierunku bocznych drzwi. Nagle stanął przed nimi potężnych rozmiarów olbrzym w białym fartuchu.

- Gościom nie wolno wchodzić do kuchni.

Doug spojrział w górę na czapkę szefa kuchni, co najmniej o stopę wyższego niż on. To przypomniało mu, jak bardzo nienawidzi fizycznych pojedynków. Nie otrzymujesz tylu razów, kiedy posługujesz się umysłem.

- Chwileczkę, chwileczkę - powiedział nerwowo, odwracając się w stronę bulgoczącego na kuchni garnka. - Sheila, to pachnie bosko, cudownie, zmysłowo. Cztery gwiazdki za zapach.

Podchwytnjąc pomysł, wyciągnęła notes z torby.

- Cztery gwiazdki - powtórzyła, zapisując. Doug podniósł chochlę do nosa, zamknął oczy i spróbował.

- Ach! - wydał tak dramatyczne westchnienie, że Whitney z trudnością zdusiła w sobie chichot. - *Poisson Yeronique*. Wspaniałe, absolutnie wspaniałe. Zdecydowanie jeden z czołowych zawodników we współzawodnictwie. Pańskie nazwisko? - zwrócił się do szefa.

- Henri - odpowiedział rozpromieniony olbrzym.

- Henri - powtórzył Doug, machając ręką w stronę Whitney. - Zostanie pan zawiadomiony w ciągu dziesięciu dni. Chodź, Sheila, nie trać czasu, mamy jeszcze trzy miejsca do odwiedzenia.

- Stawiam na pana - zwróciła się Whitney do olbrzyma, wychodząc tylnymi drzwiami.

- Dobra. - Doug chwycił ją mocno za rękę, kiedy znaleźli się w zaułku. - Remo jest tylko w połowie głupcem, więc musimy prędko stąd zniknąć. Którędy do wujka Maxa?

- On mieszka w Roslyn, w Wirginii.

- W porządku, potrzebna nam będzie taksówka. Zrobił krok w przód i nagle pchnął Whitney na ścianę tak gwałtownie,

że straciła oddech. - Cholera, już są. - Odczekał chwilę, wiedząc, że zaułek tylko przez krótki czas będzie bezpiecznym miejscem. - Będziemy musieli pójść inną drogą, co oznacza pokonanie paru murów. Musisz się trzymać.

Nadal miała obraz Juana przed oczami.

- Będę się trzymać.

Wystartowali ramię przy ramieniu. W pewnym momencie skręcili w prawo. Whitney musiała wgramolić się na pudła, by pokonać pierwsze ogrodzenie, a mięśnie nóg zaprotestowały przy lądowaniu. Biegła dalej. Jeśli Doug miał jakąś trasę, to nie potrafiła jej rozpoznać. Pokonywał zyg-zakiem ulice, zaułki, ogrodzenia, aż w końcu klatka piersiowa zaczęła falować jej z wysiłku, kiedy starała się dotrzymać mu kroku. Luźna sukienka zaczęła się o coś ostrego i rozdarła się na dole. Ludzie zatrzymywali się i gapili na nich ze zdziwieniem, *co* nigdy nie zdarzyłoby się w Nowym Jorku.

Cały czas rzucał spojrzenia przez ramię. Nie wiedziała, że przeżył w ten sposób większość życia i często zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mógł to zmienić. Gdy pociągnął ją po schodach do stacji metra, musiała przytrzymywać się poręczy, żeby nie polecieć głową w dół.

- Niebieskie linie, czerwone linie - mruknął. - Dlaczego zawsze muszą motać z tymi kolorami?

- Nie wiem. - Oparła się bez tchu o tablicę informacyjną. - Nigdy dotąd nie jeździłam metrem.

- No cóż, skończyły nam się limuzyny. Czerwona linia zdecydował i chwycił ją za rękę. Jeszcze ich nie zgubił. Pościg trwał nadal. Pięć minut, pomyślał. Potrzebował jedynie pięciu minut. Wówczas znajdują się w jednym z tych szybkich wagoników i zyskają więcej czasu.

Tłum był gęsty i szmerzący w kilku językach. Im więcej ludzi, tym lepiej, pomyślał, posuwając się cal po calu wzdłuż peronu. Jego wzrok napotkał Rema. Zobaczył opatrunek na opalonym policzku. Pamiątka po Whitney MacAllister, pomyślał i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Tak, winien jej za to wdzięczność. Jeśli nie za coś innego, to za to na pewno.

Teraz wszystko jest kwestią czasu, myślał, ciągnąc Whitney do pociągu. Czasu i szczęścia. Albo im dopisze, albo nie. Ściśnięty między Whitney a odzianą w sari Hinduską, obserwował, jak Remo toruje sobie drogę poprzez tłum. Kiedy drzwi się zamknęły, uśmiechnął się i pomachał mu ręką.

- Chodźmy znaleźć jakieś miejsce - powiedział do Whitney. - Nie ma to jak publiczny środek transportu.

Nie odezwała się słowem, kiedy przepychali się do przodu, a także i wtedy, gdy znaleźli dwa miejsca siedzące. Nie dostrzegł tego, bo zbyt był zajęty na przemian to przeklinaniem, to błogosławieniem szczęścia. W końcu uśmiechnął się do własnego odbicia w szybie.

- Ten sukinsyn mógł nas dopaść. Teraz będzie się musiał zdrowo tłumaczyć przed Dimitrim.

Zadowolony, wyciągnął rękę na oparciu jasnopomarańczowego siedzenia.

- A właściwie to jak ich spostrzegłaś? - zapytał z roztargnieniem, zajęty planowaniem kolejnego ruchu. Pieniądze, paszport i lotnisko, w takiej kolejności, chociaż musi jeszcze znaleźć czas na krótki wypad do biblioteki. Jeśli Dimitri i jego psy gończe pojawią się na Madagaskarze, po prostu jeszcze raz ich zgubią. Jego szczęśliwa passa trwała. - Miałaś niezłe oko, złotko - zwrócił się do Whitney. - Mielibyśmy się z pyszna, gdybyśmy zastali po powrocie do hotelu komitet powitalny.

Adrenalina utrzymywała ją na nogach, kiedy gnali przez ulice. Pragnienie przeżycia uczyniło ją twardą i dało nogom rozpęd, dopóki nie usiadła. Teraz, wykończona, odwróciła głowę i popatrzyła na jego profil. V.

- Zabili Juana.

- Co? - Wyrwany ze swych myśli, spojrzął na nią. Po raz pierwszy dostrzegł jej bladość i szklisty wzrok. - Juana? - Przyciągnął ją do siebie i zniżył głos do szeptu. - Tego kelnera? O czym ty mówisz?

- Zastałam go w twoim pokoju nieżywego, kiedy wróciłam. Czekał też jakiś facet.

- Jaki facet? - dopytywał się. - Jak wyglądał?

- Miał oczy koloru piasku i bliznę na policzku, długą, poszarpaną bliznę.

- Butrain - mruknął Doug. Jedna z kreatur Dimitriego, cholernie okrutnych w czasie roboty. Mocniej przycisnął Whitney do siebie. - Zrobił ci jakąś krzywdę?

Ciemne jak stara whisky oczy napotkały jego wzrok.

- Chyba go zabiłam.

- Co takiego? - Gapił się na wytworną twarz o pięknych rysach. - Zabiłaś Butraina? Jak?

- Widelcem.

- Wi... - Urwał, cofnął się na oparcie i spróbował pozbierać myśli. Gdyby nie patrzyła na niego tymi wielkimi, pustymi oczami, gdyby jej ręka nie była zimna jak lód, wybuchnąłby głośnym śmiechem. - Chcesz powiedzieć, że załatwiłaś jednego z goryli Dimitriego widelcem?

- Nie badałam jego pulsu.

Kolejka zatrzymała się na przystanku, a Whitney, niezdolna usiedzieć na miejscu, wstała i wybiegła z wagonu. Klnąc i przepychając się przez tłum, Doug dogonił ją na peronie.

- Okay, okay, lepiej opowiedz mi wszystko.

- Wszystko?! - Z wściekłością zwróciła się do niego. - Chcesz usłyszeć wszystko?! Wszystko?! Wróciłam do pokoju, a tam był nieżywy ten biedny, bezbronny chłopiec, krew splamiła jego białą wykrochmaloną marynarkę, a jakaś nędzna kreatura z twarzą jak mapa drogowa przystawiła mi broń do gardła!

Jej podniesiony głos zwrócił uwagę; przechodnie zaczęli się na nich gapić.

- Uspokój się - mruknął Doug i pociągnął ją do następnego pociągu, który właśnie nadjechał. Przejadą się, nieważne dokąd, dopóki się nie uspokoi, a on nie opracuje jakiegoś sensownego planu.

- To ty się uspokój - odparowała. - Ty mnie w to wszystko wciągnąłeś.

- Słuchaj, złotko, możesz odejść w każdej chwili.

- Jasne, i skończyć z gardłem podciętym przez któregoś z tych ludzi, którzy gonią ciebie i te przekłete papiery.

Prawdziwość tych słów nie pozostawiła wiele miejsca do obrony. Popychając ją w stronę narożnego siedzenia, wcisnął się obok niej.

- W porządku, jesteś ze mną związana - powiedział szep-tem. - Też mi nowina. Twoje jęczenie działa mi na nerwy.

- Wcale nie jęczę. - Obróciła się ku niemu z oczami pełnymi łez i rezygnacji. - Ten chłopiec nie żyje.

Gniew się ulotnił, a jego miejsce zajęło poczucie winy. Nie bardzo wiedząc, co mógłby zrobić, otoczył ją ramieniem. Nie był przyzwyczajony do pocieszania kobiet.

- Nie możesz tego tak brać do siebie. Nie jesteś za to odpowiedzialna.

Zmęczona, oparła głowę na jego ramieniu.

- To tak właśnie idziesz przez życie, Doug, za nic nie odpowiadając?

Bawiąc się jej włosami, obserwował ich zamazane sylwetki w szybie.

- Jasne.

Oboje zamilkli, zastanawiając się, czy mówił prawdę.

3

Ona musi się z tego otrząsnąć. Doug rozsiadł się wygodnie w fotelu pierwszej klasy i zastanawiał się, jak by tu rozprosić jej przygnębienie. Sądził, że wie wszystko o bogatych kobietach. Pracował dla takich jak ona i wykorzystywał je. Lecz tak naprawdę to one go wykorzystywały. Szkopuł w tym, że za każdym razem zakochiwał się w tej, z którą spędził więcej niż dwie godziny. One były takie, no... kobiece. Któż mógłby być bardziej szczerzy od kobiety o delikatnej skórze i subtelnym zapachu? Ale doświadczenie nauczyło go, że panie z wielkim kontem w banku zwykle mają serca z plastiku. W momencie gdy byłeś gotowy zapomnieć o brylantowych kolczykach na rzecz bliższej przyjaźni, mieszały cię z błotem.

Gruboskórność. To najgorsza wada bogatych, pomyślał. Gruboskórność, która sprawia, że poniewierają ludźmi z nonszalancją dziecka depczącego chrabąszcza. Dla przyjemności wybierał kelnerki z beztróskim śmiechem. Lecz kiedy chodziło o interes, szedł prosto do konta bankowego. Kobieta z grubą sakiewką była doskonałą przykrywką. Z bogatą damą u boku można było przejść przez wiele zamkniętych drzwi. Oczywiście różniły się między sobą, ale generalnie można im było przykleić kilka wspólnych etykietek. Znużone, zepsute, zimne i głupie. Whitney nie pasowała do żadnej z nich. Ile osób zapamiętałoby imię kelnera, a ile by go opłakiwało?

Lecieli do Paryża samolotem, który wystartował z międzynarodowego lotniska w Dulles. Miał nadzieję, że wystar-

czająco zbczyli z drogi, by zgubić Dimitriego. Gdyby dzięki temu zarobił jeden dzień, może kilka godzin, potrafiłby je wykorzystać. Doskonale wiedział, co Dimitri robi z tymi, którzy wchodzą mu w drogę. Jako tradycjonalista, Dimitri preferował metody tradycyjne. Tacy ludzie jak Neron potrafiliby docenić jego zamiłowanie do stosowania powolnych, wyszukanych tortur. Chodziły słuchy o pewnym pomieszczeniu w piwnicy, na terenie jego posiadłości w Connecticut. Podobno pełno tam było starych urządzeń z czasów hiszpańskiej inkwizycji. Plotka głosiła, że było tam też świetnie wyposażone studio. Światła, kamera, akcja. Podobno Dimitri zabawiał się oglądaniem filmów o tej makabrycznej robocie. Doug nie miał zamiaru znaleźć się w świetle reflektorów, jako uczestnik jednego z takich przedstawień, ani też nie wierzył w to, że Dimitri jest wszechmocny. Jest przecież tylko człowiekiem.

Z krwi i kości. Mimo to, nawet na wysokości trzydziestu tysięcy stóp, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest mucha, którą zabawia się pajak.

Zamawiając kolejnego drinka, odegnał tę myśl od siebie. Będzie posuwał się powoli, krok po kroku, i ocali życie.

Gdyby miał czas, zabrałby Whitney na parę dni do hotelu de Crillon. W czasie swoich pobytów w Paryżu zawsze tu się zatrzymywał. W niektórych miastach zadowalał się prymitywnym motelem, a w innych nawet nie zatrzymywał się na noc. Ale nie w Paryżu. W Paryżu nigdy nie odstępowało go szczęście.

Zawsze starał się dwa razy do roku być w Paryżu; czasami jedynym powodem tych podróży było jedzenie. Nikt, jego zdaniem, nie gotuje tak dobrze jak Francuzi lub ci, którzy kształcili się we Francji. Dlatego wkręcił się na kilka kursów gastronomicznych. W Cordon Bleu nauczył się, jak właściwie przyrządzać omlet po francusku. Oczywiście starał się utrzymywać odpowiedni poziom tych swoich zainteresowań. Gdyby rozeszła się pogłoska, że nosił fartuch i ubijał jajka, straciłby dobre imię w swoim zawodzie. Poza tym to mogłoby być kłępujące. Dlatego zawsze tłumaczył swoje podróże

do Paryża w celach kulinarnych interesami. Parę lat temu spędził w stolicy Francji tydzień, grając rolę bogatego playboya i buszując po pokojach zamożnych gości. Sprzedał wtedy bardzo piękny naszyjnik z szafirami, dzięki czemu mógł zapłacić rachunek w hotelu. Nigdy nie wiadomo, może znów przyjdzie mu ochota tu wrócić.

Lecz tym razem nie było czasu na szybki kurs przyrządzania sufletu czy na niewielką kradzież. Nie będzie żadnego dłuższego przystanku, dopóki toczy się gra. Właściwie to wolał ten typ rozgrywki - pościg, polowanie. Sama gra jest bardziej podniecająca niż jej wynik. Przekonał się o tym po pierwszej większej robocie. Fascynowało go napięcie przy opracowywaniu planu, przepływający falami dreszczyk emocji i strach w czasie realizacji planu i wreszcie ogarniające człowieka podniecenie, kiedy wszystko się udaje. Potem była to już tylko kolejna skończona robota. Wówczas oglądałeś się za następną. I jeszcze następną.

Gdyby swojego czasu posłuchał rad psychologa, prawdopodobnie byłby teraz wziętym adwokatem. Miał tęgą głowę i łatwość wysławiania się. Pociągnął łyk szkockiej i pomyślał, że dobrze się stało, iż nie posłuchał.

Wyobraźmy sobie, szacowny pan Douglas Lord, z biurkiem zasypanym papierami, spotkania w czasie lunchu trzy razy w tygodniu. Czy to jest sposób na życie?

Przewrócił kolejną stronę książki, którą ukradł z waszyngtońskiej biblioteki przed wyjazdem. Nie, zawód, który trzyma cię w biurze, uzależnia. Lepiej więc swój współczynnik inteligencji, przewyższający ciężar ciała, wykorzystać do czegoś bardziej satysfakcjonującego.

Teraz było to gromadzenie wiadomości o Madagaskarze, jego historii, topografii i kulturze. Kiedy skończył tę książkę, wiedział wszystko, co powinien wiedzieć. Miał jeszcze dwie inne pozycje, które zachował na później. Jedna zawierała informacje o zaginionych klejnotach, a druga opisywała szczegółowo historię rewolucji francuskiej. Zanim znajdzie skarb, musi umieć go rozpoznać i zrozumieć. Jeśli te papiery mówią prawdę, to powinien być wdzięczny pięknej Marii

Antoninie za zamiłowanie do bogactwa i wczesne zejście ze sceny. Brylanty: Zwierciadło Portugalii, Błękitny, Sancy - po pięćdziesiąt cztery karaty każdy. Tak, francuscy władcy mieli gust. Dobra, stara Maria poszła za ich przykładem. Doug był jej za to wdzięczny. I arystokratom, którzy uciekli z kraju i bronili królewskich klejnotów z narażeniem życia, ukrywając je, dopóki królewska rodzina nie powróci na tron Francji...

Brylantu Sancy nie znajdzie na Madagaskarze. Siedział w tym biznesie i wiedział, że klejnot jest teraz w rękach rodziny Astorów. Ale możliwości było wiele. Zwierciadło Portugalii i Błękitny wieki temu zniknęły z oczu. Podobnie inne klejnoty. O aferze z naszyjnikiem z brylantami krążyły teorie, mity i domysły. Czy to, co się z nim stało, ostatecznie przekonało Marię, żeby go nie nosić?

Doug wierzył w los, przeznaczenie i po prostu w łut szczęścia. Zanim minie jego dobra passa, ma zamiar zanurzyć się po kolana w klejnotach - w królewskich klejnotach. I wyprowadzić w pole Dimitriego.

Tymczasem dowie się wszystkiego, co tylko możliwe, o Madagaskarze. Wyszedł daleko poza swoje terytorium, ale Dimitri również. Jeśli mógłby przewyższyć swego przeciwnika w czymkolwiek, to z całym przekonaniem było to wszechstronne rozpoznanie terenu. Poruszał się już po tej wyspie na Oceanie Indyjskim z równą łatwością, jak przechodził na Manhattanie ze Wschodniej Dzielnicy do Zachodniej.

Zadowolony z siebie odłożył książkę na bok. Lecieli już od dwóch godzin. Wystarczająco długo, by przerwać milczenie Whitney.

- No dobra, skończ z tym wreszcie.

Odwrociła głowę i obrzuciła go długim, obojętnym spojrzeniem.

- Słucham?

Doskonale wie, o co chodzi, pomyślał Doug. Ach, ta wyniosłość cechująca kobiety z pieniędzmi lub ikrą. Zdążył się już przekonać, że Whitney ma i jedno, i drugie.

- Powiedziałem: skończ z tym wreszcie. Nie znoszę obraźliwych.

- Obrażliwych?

Zobaczył, że ma szpareczki zamiast oczu i każde słowo wychodzi z jej ust z sykiem. Jeśli doprowadził ją do wściekłości, to znaczy, że szybciej dojdzie do siebie.

- Tak, przepadam za kobietami, które wypowiadają jedno słowo na godzinę, ale powinniśmy pójść na jakiś kompromis.

- Czyżby? To wspaniale, że masz takie zdecydowane wymagania.

Wyjęła papierosa z paczki, którą położył na poręczy fotela między nimi, i zapaliła. Nigdy nie przypuszczał, że ten gest może być tak wyniosły. Rozbawiło go to.

- Pozwól, że zrobię ci wykład, zanim pójdziemy dalej, skarbie.

Wolno, z jakimś cichym jadem, Whitney wydmuchnęła mu dym prosto w twarz.

- Proszę bardzo.

Ponieważ dostrzegł ból w jej twarzy, dał jej minutę na uspokojenie się. Głos zabrzmiał beznamiętnie i stanowczo.

- To jest gra.

Wyjął jej z ręki papierosa i zaciągnął się nim.

- To zawsze jest gra, ale wchodzisz w nią, wiedząc, że trzeba również płacić haracz.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Czy tak właśnie traktujesz Juana? Jako haracz?

- Zjawił się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie - powiedział, nieświadomie powtarzając słowa But-raina. Usłyszała jakąś inną nutę w jego głosie. Żal? Wyrzuty sumienia? Nie miała pewności, ale to już było coś. Uchwyciła się tego. - Nie możemy wrócić i cofnąć tego, co się stało, Whitney. Więc idźmy dalej.

Wzięła do ręki szklaneczkę, o której już prawie zapomniała.

- Czy to właśnie robisz najlepiej? Idziesz dalej?

- Inaczej przegrasz. Jeśli chcesz wygrać, nie możesz zbyt często oglądać się za siebie. Rozpaczanie nad tym, co się

stało, niczego nie zmieni. Jesteśmy o krok przed Dimitrim, może dwa. Nie możemy zejść z tej drogi, bo to jest gra, bo grasz, żeby wygrać. Jeśli nie będziemy w czołówce, zginie-
my. - To mówiąc, położył rękę na jej dłoni, nie dla wygody,
lecz by sprawdzić, czy nie drży. - Jeśli nie jesteś w stanie
tego znieść, lepiej pomyśl o wycofaniu się, bo czeka nas
cholernie długa droga.

Nie cofnie się. Duma może być problemem albo błogo-
sławieństwem. Nigdy nie będzie zdolna do wycofania się.
Lecz co z nim? Co napędza Douglasa Lorda?

- Dlaczego to robisz?

Lubił ciekawość, lubił tę iskierkę zainteresowania. Oparł
się wygodnie i pomyślał z satysfakcją, że pokonała pierwszą
przeszkodę.

- Wiesz co, Whitney, jest o wiele przyjemniej wygrać
pulę w pokerze parą dwójek niż kolorem. - Wydmuchnął
dym i uśmiechnął się. - O wiele przyjemniej.

Pomyślała, że rozumie, co ma na myśli, i zaczęła studio-
wać jego profil.

- Lubisz, gdy piętrzą się przed tobą trudności?

- Trudne przedsięwzięcia są bardziej opłacalne.

Odchyliła się na oparcie, zamknęła oczy i siedziała bez
słowa tak długo, iż pomyślał, że zasnęła. Ona zaś cofnęła się
myślami wstecz, do momentu, kiedy to wszystko się zaczęło,
przypominając sobie scenę po scenie.

W pewnej chwili zapytała:

- W restauracji, jak wpadłeś na ten pomysł?

- W jakiej restauracji? - Studiował właśnie informacje
na temat plemion zamieszkujących Madagaskar i nawet nie
podniósł głowy.

- W Waszyngtonie, kiedy uciekaliśmy przez kuchnię
i ten olbrzym w białym fartuchu zastąpił nam drogę.

- Po prostu wykorzystujesz pierwszą myśl, która przy-
chodzi ci do głowy - odpowiedział lekko. - To najlepszy
sposób.

- To nie jest ścisła odpowiedź. - Niezadowolona, uniosła
się na siedzeniu. - Raz jesteś szalonym facetem, przemyka-

jącym się ulicami, a za chwilę snobistycznym specjalistą kulinarnym, mówiącym same właściwe rzeczy.

- Dziecko, kiedy twoje życie wisi na włosku, możesz być kimkolwiek. - Podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Jeśli chcesz popełnić coś złego, możesz być wszystkim. Z zasady wolę robotę wewnątrz. Wtedy musisz tylko zdecydować, czy wchodzisz frontowymi drzwiami, czy wejściem dla służby

Zaciekawiona zamówiła jeszcze po jednym drinku dla obojga.

- Mógłbyś mówić jaśniej?

- Dobra, przypuśćmy, że jesteśmy w Beverly Hills, w Kalifornii.

- Nie, dziękuję.

Ignorując to, Doug zaczął opowiadać:

- Najpierw musisz zdecydować, którą z tych snobistycznych rezydencji chcesz obrobić. Parę dyskretnych pytań, krótki spacer i już ostrzysz sobie pazurki na jedną z nich. Teraz główne wejście czy boczne? To może zależeć od twojego kaprysu. Wejście od frontu jest zwykle łatwiejsze.

- Dlaczego?

- Bo referencji żąda się od służby, nie od gości. Potrzebna ci gotówka, kilka tysięcy. Zamelduj się w Wilshire Royal i wypożycz mercedesa, rzuć kilkoma nazwiskami ludzi, o których wiesz, że wyjechali z miasta. Kiedy dostaniesz się już na pierwsze przyjęcie, jesteś ustawiona. - Z westchnieniem pociągnął łyk ze szklaneczki. - Dziewczyno, oni tam lubią nosić swoje konta bankowe na szyjach.

- A ty po prostu wchodzisz i oskubujesz je!

- Mniej więcej. Najtrudniejsze to nie być zachłannym i wiedzieć, kto ma na sobie kamienie, a kto szkiełka. Mnóstwo kręactwa jest w Kalifornii. Właściwie to musisz być jedynie dobrym aktorem. Bogaci ludzie to stwory kierujące się raczej przyzwyczajeniem niż wyobraźnią.

- Piękne dzięki.

- Dobrze się ubierzesz, upewnisz się, że widziano cię we właściwych miejscach, z właściwymi ludźmi, a nikt nie

zakwestionuje twojego rodowodu. Ostatnim razem, kiedy się posłużyłem tym sposobem, pojawiłem się w Wilshire z trzema tysiącami dolarów, a wymeldowałem się z trzydziestoma tysiącami. Lubię Kalifornię.

- Wygląda na to, że w najbliższym czasie tam nie wrócisz.

- Wróciłem. Ufarbowałem włosy, wyhodowałem niewielki zarost i włożyłem dżinsy. Obcinałem róże u Cassie Lawrence.

- U Cassie Lawrence? Tej zawodowej piranii, która pozuje na mecenasa sztuki?

Doskonała charakterystyka.

- Znasz ją?

- Niestety. Ile od niej wyłudziłeś?

Z jej tonu Doug wywnioskował, że Whitney nie byłaby nieszczęśliwa, gdyby się dowiedziała, że nieźle się obłowił. Postanowił, że nie powie jej o kłótni między nimi z powodu zamięłowania Cassie do przyglądania się mu, jak piele bez koszuli jej azalie. W łóżku praktycznie zjadała go żywcem. Zwinął jej za to ozdobny rubinowy naszyjnik i parę kolczyków z brylantami jak piłki pingpongowe.

- Sporo - odpowiedział wreszcie. - Chyba nie bardzo ją lubisz?

- Nie ma klasy. - Powiedziała to prosto, jak kobieta, która ją ma. - Spałeś z nią?

Zakrztusił się drinkiem, a potem ostrożnie powrócił do poprzedniej pozycji.

- Nie sędzę...

- Więc spałeś. - Przyjrzała mu się trochę rozczarowana. - Jestem zdziwiona, że nie dostrzegam blizn. - Patrzyła na niego w zamyśleniu. - Czy nie uważasz, że tego typu praktyki są poniżające?

Mógłby ją udusić bez skrupułów. Rzeczywiście, zdarzało się, że spał ze swoją ofiarą i był z tego zadowolony, ofierze również się to podobało. Zapłata za zapłatę. Ale zasadniczo uważał posługiwanie się seksem za równie złe, jak pragnienie zdobycia tego, czego chciał.

- Robota jest robotą - rzekł krótko. - Nie mów mi, że nie spałeś z klientem.

Uniosła brew rozbawiona.

- Sypiam z tymi, których sama wybiorę - powiedziała tonem świadczącym ó tym, że wybiera dobrze.

- Niektórzy nie mają wyboru.

Otworzył książkę, wsadzając w nią nos, i zamilkł.

Nie zmusi go do tego, aby poczuł się winny. Winy wystrzeżał się bardziej niż policji i rozwścieczonych ofiar. W chwili kiedy pozwolił, by owładnęła tobą wina, jesteś skończony.

Śmieszne, ale wcale jej nie przeszkadzało, że zarabiał na życie, kradnąc. Nie przeszkadzało jej, że okradał głównie ludzi z jej sfery. Nawet nie mrugnęła na to okiem. Było bardziej niż prawdopodobne, że uwolnił kilku jej przyjaciół z nadmiaru bogactwa. Wcale się tym nie przejęła.

Jaka ona właściwie jest? Sądził, że rozumie jej zamiłowanie do przygody, silnych przeżyć i ryzyka. On żył podobnie. Lecz to nie pasowało do tych zimnych, wyrachowanych oczu, charakterystycznych dla jej sfery.

Nie, nie przewróciła się, kiedy powiedział jej, że jest złodziejem, ale patrzyła na niego z szyderstwem i... tak, do licha, z litością, kiedy dowiedziała się, że spał z tą piranią z Zachodniego Wybrzeża dla garści świecidełek.

Kiedy go te błyskotki dopadły? Przypomniał sobie, że upłynął klejnoty u pasera w Chicago w ciągu dwudziestu czterech godzin. Po dobieciu targu kaprys rzucił go do Puerto Rico. W ciągu trzech dni Doug przepuścił w kasynach prawie dwa tysiące. Co dały mu te błyskotki? Pomyślał chwilę i uśmiechnął się. Jeden cholerny weekend.

Pieniądze się go po prostu nie trzymały. Zawsze znalazła się jakaś kolejna gra, jakiś interes lub kobieta o wielkich oczach, ze smutną opowieścią i schrypniętym głosem. Jednak Doug nigdy nie uważał siebie za frajera. Był optymistą. Taki się już urodził i taki pozostał nawet po piętnastu latach pracy w tym fachu. Zresztą niepowodzenie mogłoby go wyrzucić z interesu, a wówczas musiałby zostać adwokatem.

Przez jego ręce przeszły setki tysięcy dolarów. Rozwiąło się mnóstwo praktycznych planów. Tym razem będzie inaczej. Nieważne, że powtarzał to już wiele razy. Tym razem na pewno będzie inaczej. Jeżeli skarb okaże się choć w połowie tak duży, jak mówiły papiery, jest ustawiony do końca życia. Nie będzie już musiał pracować - z wyjątkiem jakiejś sezonowej roboty, by utrzymać się w formie.

Kupi sobie jacht i będzie pływał od portu do portu. Popłynie na południe Francji, będzie się wylegiwał w słońcu i obserwował kobiety. Do końca życia pozostanie o jeden krok przed Dimitrim. Bo Dimitri, dopóki będzie żył, nigdy nie przestanie działać. To także należało do gry.

Lecz najlepszą jej częścią było działanie, planowanie i manewrowanie. Zawsze uważał, że bardziej podniecające jest oczekiwanie na kieliszek szampana niż osuszanie butelki. Od Madagaskaru dzieliły go zaledwie godziny. Kiedy się tam znajdzie, będzie mógł wykorzystać wszystko to, o czym przeczytał, posługując się swoimi umiejętnościami i doświadczeniem.

Zastosuje takie tempo, by stale mieć przewagę nad Dimitrim, lecz niezbyt szybkie, bo mógłby na niego wpaść z drugiej strony. Jedyne szkopuł tkwił w tym, że nie bardzo wiedział, na ile jego dawny pracodawca orientuje się w wartości koperty. Wie zbyt dużo, pomyślał, bezwiednie przykładając rękę do piersi, gdzie ukrył papiery. Dimitri na pewno wiedział dużo; tak było zawsze. Nikt nigdy nie stanął mu na drodze bez obawy o życie. Doug wiedział, że jeśli zbyt długo pozostanie bez ruchu, poczuje na szyi czyjś gorący oddech.

Po prostu będzie musiał wyostrzyć słuch. Kiedy już tam się znajda... Spojrzał na Whitney. Siedziała wciśnięta w fotel z zamkniętymi oczami. Wydawała mu się zimna, spokojna i niedostępna. Poczul, jak rośnie w nim pożądanie. Zawsze pociągało go niedostępne. Tym razem musiał je zwalczyć.

Łączy ich tylko interes, pomyślał. Wyciągnie od niej trochę żywej gotówki, a potem łagodnie usunie na bok.

Może byłaby bardziej pomocna, niż sądził, ale należała

do tego typu kobiet, które zdążył już poznać: bogatych i niesfornych. Wkrótce znudzi jej się cały ten układ. Musi dostać gotówkę, zanim to nastąpi.

Pewny, że tego dokona, nacisnął przycisk zwalniający oparcie i zamknął książkę. Wszystko, czego się z niej dowiedział, pozostanie mu w pamięci. Ten dar zapamiętywania pozwoliłby mu na bezproblemowe przejście przez studia prawnicze lub ułatwiłby każdą inną pracę. Bardzo się przydał w zawodzie, który wybrał. Nigdy nie musiał robić żadnych notatek, kiedy przygotowywał się do jakiegoś skoku, bo wszystko zapamiętywał. Nigdy nie uderzał dwa razy w to samo miejsce, bo nigdy nie zapominał nazwisk i twarzy.

Pieniądze mogły mu przepływać przez palce, ale szczęgły nigdy. Podchodził do tego filozoficznie. Zawsze przecież można zdobyć więcej forsy. Życie byłoby cholernie nudne, gdyby zamienić je na papiery wartościowe i obligacje, zamiast na samochody czy konie. Był zadowolony, nawet więcej niż zadowolony, czekały go bowiem ciężkie i długie dni. Bardziej podniecało go szukanie brylantów w kupie śmieci niż w paradnym gabinecie. Już cieszył się na samą myśl o kopaniu.

Whitney spała. Obudziła się, kiedy samolot powoli schodził do lądowania. Dzięki Bogu, pomyślała. Nie cierpiała samolotów. Gdyby podróżowała sama, poleciałaby concor-dem. Jednak w tych okolicznościach nie miała ochoty ponosić dodatkowych wydatków na rzecz Douga. Jego rachunek stale rósł i zamierzała ściągnąć z niego cały dług co do grosza, wiedząc jednocześnie, że on liczy na to, iż tego nie zrobi.

Patrząc na niego, można by pomyśleć, że jest szczerzy jak świeżo upieczony skaut. Obserwowała go, jak śpi, z włosami w nieładzie, z rękami opartymi na książce leżącej na kolanach. Wyglądał jak dość zamożny mężczyzna lecący na wakacje do Europy. To należy do jego zawodu, pomyślała, upodobnić się do ludzi, których sobie wybierze.

Do jakiej właściwie kategorii ludzi należał? Do nędznych, twardych facetów ze świata przestępczego działających w ciem-

nych zaułkach? Przypomniała sobie wyraz jego oczu, kiedy zapytał o Butraina. Tak, z pewnością wiedział o jego udziale w ciemnych machinacjach. Ale czy do nich należał? Nie, zupełnie tam nie pasował.

Nawet po tak krótkim okresie znajomości nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Był typem indywidualisty, może nie zawsze mądrym, ale niespokojnym. Miało to swój urok. Był złodziejem, ale według jej oceny z pewnym poczuciem humoru. Sąd mógłby tego nie zauważyć, ale ona tak. I szanowała to. Nie był twardzielem. Powiedziały to jego oczy, kiedy mówił o Juanie. Był marzycielem. I to powiedziały jego oczy, kiedy mówił o skarbie. I był realistą. Zdradził to jego głos, kiedy mówił o Dimitrim. Jako realista wiedział dość, by się go bać. Był zbyt skomplikowany, by należeć do tych ludzi. A poza tym... był kochankiem Cassie Lawrence. Whitney wiedziała, że ten brylancik z Zachodniego Wybrzeża zjada mężczyzn na śniadanie. Uważnie dobierała sobie facetów do łóżka. Co takiego zobaczyła w nim Cassie? Młodego, dobrze zbudowanego mężczyznę? Może to wystarczało, ale według Whitney - nie. Sama widziała dziś rano w Waszyngtonie, jak atrakcyjny jest Doug Lord, od głowy aż po stopy. Zrobił na niej wrażenie. Ale nie tylko wygląd był tym magnesem przyciągającym - również jego styl. Doug Lord miał swój własny styl i właśnie to, jak przypuszczała, pomagało mu przekraczać progi domów w Beverly Hills czy Bel Air.

Sądziła, że go rozgryzła, dopóki nie okazał zakłopotania na jej uwagę o Cassie. Zakłopotanie i złość, zamiast spodziewanego wzruszenia ramion i bezceremonialnej odpowiedzi. Więc ma jednak jakieś uczucia i kryteria wartości. To czyniło go bardziej interesującym i sympatycznym.

Sympatyczny czy nie, ale musi dowiedzieć się czegoś więcej o tym skarbie, i to jak najszybciej. Zbyt wiele zainwestowała pieniędzy, by posuwać się dalej na ślepo. Poszła z nim pod wpływem impulsu, a została przez konieczność. Czuła instynktownie, że bez niego narażona jest na większe niebezpieczeństwo. Pomijając jednak to

wszystko, była kobietą interesu i nigdy by nie zainwestowała pieniędzy w coś mglistego. Dopóki nie będzie za późno, musi rzucić okiem na to, co ten facet ukrywa. Mogła go lubić, nawet do pewnego stopnia rozumieć, ale mu nie ufała. Ani najotę.

Kiedy Doug się obudził, doszedł do tego samego wniosku co Whitney. Musi trzymać kopertę blisko siebie, dopóki nie będzie miał skarbu w garści.

Kiedy samolot schodził do lądowania, oboje podnieśli w górę oparcia foteli, uśmiechnęli się do siebie i pomyśleli o tym samym.

W czasie załatwiania formalności paszportowych i bagażowych Whitney myślała tylko o jednym, żeby wyciągnąć się na łóżku.

- Hotel de Crillon - rzucił Doug taksówkarzowi, a Whitney westchnęła.

- Wybacz, że kiedykolwiek wątpiałam w twój dobry smak.

- Złotko, moje problemy zawsze miały dwudziestoczerokaratowy smak. - Musnął końce jej włosów, bardziej odruchowo niż rozmyślnie. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie należały do spokojnych. Nie, żebym się skarżyła - dodała. - Ale będzie wspaniale rozprostować nogi tej nocy.

Chrząknął i zaczął obserwować przez szybę mijany krajobraz. Dimitri jest pewno gdzieś niedaleko. Jego wywiad był równie rozległy jak Interpolu. Doug mógł mieć tylko nadzieję, że te kilka pułapek, które zastawił, wystarczy, by opóźnić pościg.

Whitney nawiązała rozmowę z kierowcą. Ponieważ była prowadzona po francusku, Doug nie rozumiał jej, ale odbierał tonację. Lekka, przyjacielska, kokieteryjna. Dziwne, pomyślał. Większość kobiet, które znał, a które urodziły się z grubymi portfelami, nawet nie dostrzegały obsługujących je ludzi. Dzięki temu między innymi mógł tak łatwo je okradać. Bogaci to ludzie ograniczeni i bez względu na to, co o nich mówią biedniejsi, wcale nie są nieszczęśliwi. Wystarczająco często wciskał się do nich podstępem, by wie-

dzieć, że za pieniądze można kupić szczęście. Tyle tylko, że z każdym rokiem trzeba za nie więcej płacić.

- Cóż za oryginalny człowieczek. - Whitney stanęła na chodniku, wciągając w płuca zapach Paryża. - Powiedział, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaka siedziała w jego taksówce w ciągu pięciu lat.

Doug obserwował, jak banknoty przechodzą z jej rąk do rąk portiera, kiedy wchodzili do hotelu.

- Założę się, że dostał gruby napiwek- mruknął. Jej rozrzutność doprowadzi do tego, że będą spłukani, jeszcze zanim wylądują na Madagaskarze.

- Nie bądź takim sknerą, Douglas.

Zignorował tę uwagę i przytrzymał ją za rękę.

- Czytasz po francusku równie dobrze, jak mówisz?

- Potrzebujesz pomocy przy studiowaniu menu? - zaczęła i urwała. - *Tu ne parles pas français, mon cher?* - Kiedy patrzył na nią w milczeniu, uśmiechnęła się. - Fascynujące. Powinam wcześniej zrozumieć, że nie wszystko zostało przetłumaczone.

- Ach, mademoiselle MacAllister!

- Georges. - Posłała recepcjoniście uśmiech. - Nie mogłam się powstrzymać.

- To przyjemność gościć panią znowu. - Oczy mu się rozjaśniły, kiedy dostrzegł Douglasa za jej plecami. - Monsieur Lord, cóż za niespodzianka.

- Georges. - Przez moment widział zdziwione spojrzenie Whitney. - Mademoiselle MacAllister i ja podróżujemy razem. Mam nadzieję, że znajdzie się jakiś wygodny apartament.

Romans rozkwitł w głowie Georges'a. Gdyby nie miał apartamentu, to natychmiast zwolniłby któryś.

- Ależ oczywiście. A jak się czuje papa, mademoiselle?

- Doskonale, dziękuję, Georges.

- Charles zabierze państwa bagaże. Życzę miłego pobytu.

Whitney włożyła klucz do kieszeni, nawet na niego nie patrząc. Wiedziała, że łóżka w hotelu de Crillon są miękkie i rozkoszne, a woda w kranie gorąca. Woda, trochę kawioru

i łóżko. Rano czeka ją kilka godzin w salonie piękności przed ostatnim etapem podróży.

- Widzę, że już tu byłeś. - Wślizgnęła się do windy i oparła o ścianę.

- Parę razy.

- Korzystne miejsce, prawda?

Doug uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Obsługa jest tu doskonała.

- Hmmm. - Tak, mogła go sobie tu wyobrazić, sączącego szampana i skubiącego pasztet. Tak jak mogła go sobie wyobrazić biegnącego zaułkami Waszyngtonu. - Cóż za szczęście dla mnie, że nie spotkaliśmy się tu wcześniej.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, wyszła pierwsza. Doug przytrzymał ją za ramię i poprowadził w lewo.

- Przypuszczam, że atmosfera odgrywa w twojej pracy ważną rolę - dodała.

Musnął kciukiem zagłębienie jej łokcia.

- Lubię drogie rzeczy.

Odpowiedziała mu lekkim uśmiechem, który mówił, że nie tknie jej, dopóki nie będzie gotowa. Apartament odpowiadał jej oczekiwaniom. Pozwoliła portierowi poszaleć chwilę po pokoju, potem odprawiła go napiwkami.

- A więc... - klapnęła na sofę i zrzuciła buty - o której jutro wyjeżdżamy?

Zamiast odpowiedzi wyjął z walizki koszulę, zgniótł ją i rzucił na krzesło. Whitney obserwowała, jak wyjmuje różne części garderoby i rozrzuca je tu i tam po całym pokoju.

- Pokoje hotelowe wydają się takie bezosobowe, dopóki nie rozłożysz w nich swoich rzeczy, prawda? - zapytała.

Zamruczał coś w odpowiedzi i rzucił skarpetki na dywan. Zaprotestowała dopiero wtedy, gdy zabrał się do jej walizek.

- Chwileczkę.

- Połowa gry to stwarzanie pozorów - powiedział i rzucił w kąt jej włoskie pantofelki. - Chcę, żeby myśleli, że tu zostajemy.

Wyrwała mu z ręki jedwabną bluzkę.

- Przecież my tu zostajemy.

- Błąd. Powieś w szafie parę rzeczy, a ja tymczasem zrobię bałagan w łazience.

Trzymała przez chwilę bluzkę w ręce, potem rzuciła ją na sofę i poszła za nim.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy goryle Dimitriego się tu dostaną, chcę, by myśleli, że nadal tu jesteśmy. Zarobimy dzięki temu tylko kilka godzin, lecz i to wystarczy. - Obszedł wielką elegancką łazienkę, rozpakowując mydło i rozrzucając ręczniki. Przynieś kilka swoich malowideł do twarzy. Zostawimy parę butelek.

- O nie, nie zostawimy. Cóż, u diabła, bez nich zrobię?

- Nie wybieramy się przecież na bal, złotko. - Wszedł do okazałej sypialni i rozrzucił kołdrę. - Jedno łóżko wystarczy - mruknął. - Nie uwierzyliby, że spaliśmy osobno.

- Dowartościowujesz swoje ja czy też obrażasz moje?

Wyciągnął papierosa, zapalił go i wydmuchnął dym, nie spuszczając z niej oczu. Przez moment, tylko przez moment, pomyślała, jaki on może być w łóżku. I czyby się jej to spodobało. Bez słowa ruszył do drugiego pokoju i zaczął grzebać w jej walizkach.

- Do diabła, Doug, to są moje rzeczy!

- Przecież dostaniesz je z powrotem, na litość boską!

Wybrał na chybił trafił garść kosmetyków i ruszył do łazienki.

- Ten tonik kosztuje sześćdziesiąt pięć dolarów.

- Ta butelka? - Obejrzał ją z zainteresowaniem. - Sądziłem, że jesteś praktyczna.

- Nie ruszę się bez tego.

- Dobra. - Zwrócił jej butelkę, a resztę rozrzucił na toaletce. - To wystarczy. - Przechodząc ponownie przez pokój, zgasił w popielniczce do połowy wypalonego papierosa i zapalił następnego. - No to chyba już wszystko - zdecydował, kucając i zamykając walizkę Whitney. Jego wzrok przykuł kawałek koronki. Podniósł cienkie majteczki. - Ty w to wchodzisz?

Z pewnością tak, pomyślał. Był zbyt mądry na to, by

puścić wodze fantazji, ale potrafił wyobrazić ją sobie w tych majteczkach i w niczym więcej.

Oparła się pierwszemu impulsowi, by wyrwać mu je z rąk. To nie było trudne. Trudniejszy do opanowania był ucisk, jaki poczuła w żołądku, kiedy przesuwał palcami po materiale.

- Kiedy skończysz bawić się moją bielizną, może mi powiesz, o co właściwie chodzi?

- Zameldujemy się. - Po krótkiej chwili wrzucił z powrotem ten skrawek koronki do walizki. - Potem weźmiemy nasze bagaże, zjedziemy windą dla służby i wrócimy na lotnisko. Nasz samolot odlatuje za godzinę.

- Czemu mi tego wcześniej nie powiedziałeś?

Zatrzasnął walizkę.

- Nie było okazji.

- Ach tak. - Whitney przeszła się po apartamencie, żeby opanować narastające w niej wzburzenie. - Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Nie wiem, jak dotychczas pracowałeś, i zupełnie mnie to nie interesuje. Jednak tym razem - odwróciła się w jego stronę - masz współnika. Cokolwiek układasz w swojej głowie, w połowie należy do mnie.

- Jeśli nie podoba ci się styl mojej pracy, w każdej chwili możesz się wycofać.

- Jesteś mi coś winien. - Widząc, że ma zamiar protestować, podeszła bliżej i wyciągnęła notes z torebki. - Czy mam ci odczytać listę?

- Pieprzę tę twoją listę. Mam goryli na karku. Nie mogę zwracać sobie głowy rachunkami.

- Lepiej, żebyś zwracała. - Spokojnie wrzuciła notes do torby. - Beze mnie wyruszysz na poszukiwanie skarbu z pustymi kieszeniami.

- Złotko, parę godzin w tym hotelu, a będę miał dość pieniędzy, by pojechać tam, gdzie zechcę.

Nie miała co do tego żadnych wątpliwości, ale nie ustąpiła.

- Nie masz czasu bawić się we włamywacza, oboje o tym wiemy. Albo jesteśmy współnikami, albo lecisz na Madagaskar z jedenastoma dolarami w kieszeni.

Niech ją diabli, wiedziała prawie co do centa, ile ma. Zduślił papierosa i wziął swoją torbę.

- Musimy złapać samolot... współpracownik.

Na jej twarz z wolna wypłynął uśmiech takiej satysfakcji, że musiał się roześmiać. Wsunęła pantofle na nogi i wzięła torbę na ramię.

- Weź tę walizkę, dobrze? - Zanim zdążył zakląć, ruszyła w stronę drzwi. - Żałuję tylko, że nie miałam czasu na kąpiel.

Bez trudności wydostali się z hotelu dzięki służbowej windzie. Domyśliła się, że już kiedyś wykorzystywał tę drogę ucieczki. Postanowiła, że wyśle list do Georges'a i poprosi go, by przechował jej rzeczy, dopóki ich nie odbierze. Nie miała jeszcze okazji włożyć tamtej bluzki. Jej kolor był rewelacyjny.

Wszystko razem wydawało jej się stratą czasu, ale nie chciała Dougowi psuć humoru. Poza tym, ze względu na jego nastrój, lepiej było siedzieć w samolocie niż dzielić z nim apartament. Potrzebowała również trochę czasu na przemyślenie wszystkiego. Jeśli te papiery, które miał, lub część z nich, były w języku francuskim, to nie mógł ich przeczytać. Ona zaś tak. Uśmiech zakwitł na jej wargach. Chciał ją wyeliminować, głupi by się tego domyślił, ale okazało się, że jest mu potrzebna. Teraz musiała jedynie przekonać go, by pozwolił jej przetłumaczyć te papiery.

Jednak nie czuła się najlepiej, kiedy wysiedli przed lotniskiem. Myśl o ponownym przejściu przez kontrolę paszportową i o wejściu na pokład samolotu wystarczyła, by popsuć jej humor.

- Przecież mogliśmy zatrzymać się w drugorzędnym hotelu i spędzić tam parę godzin. - Odrzucając do tyłu włosy, pomyślała o kąpeli, gorącej, parującej, pachnącej. - Zaczynam podejrzewać, że masz obsesję na punkcie tego Dimitriego. Traktujesz go, jakby był wszechmocny.

- Mówią, że jest.

Whitney zatrzymała się i obejrzała za siebie. Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że skóra jej ścierpła.

- Nie bądź śmieszny.
- Jestem jedynie ostrożny. - Rozglądał się uważnie po terminalu. - Lepiej obejść drabinę niż się pod nią znaleźć.
- Mówisz o nim tak, jakby nie był człowiekiem.
- Jest z krwi i kości - mruknął - ale to nie czyni go człowiekiem.

Ponownie dreszcz przebiegł jej po plecach. Obracając się w jego stronę, potrąciła kogoś i upuściła torbę. Z niecierpliwym mruknięciem pochyliła się, by ją podnieść.

- Słuchaj, Doug, nikt nie mógłby nas w tej chwili dogonić.
- Cholera!

Chwycił ją za ramię i wciągnął do sklepu z pamiątkami. Przy następnym szarpnięciu znalazła się z nosem w podkoszulkach.

- Jeśli chciałeś kupić prezent...
- Spójrz tylko, złotko. Przepraszać będziesz później.

Trzymając ją z tyłu za szyję, obrócił jej głowę w lewo. Po krótkiej chwili Whitney spostrzegła wysokiego, ciemnego mężczyznę, który gonił ich w Waszyngtonie. Wąsy i mały opatrunek na policzku. Nie musiała zgadywać, żeby wiedzieć, iż dwaj towarzyszący mu mężczyźni są ludźmi Dimitriego. A gdzie był sam Dimitri? Poczowała, że pochyła się niżej i przełyka ślinę.

- Czy to...
- Remo - mruknął Doug. - Są szybsi, niż myślałem.

Otarł ręką usta i zaklął. Niemiłe było wrażenie, że to Dimitri dyktuje czas. Gdyby on i Whitney przeszli jeszcze dziesięć jardów, wpadliby w ramiona Rema. Szczęście to najważniejsza część gry, pomyślał. To właśnie najbardziej lubił.

- Trochę czasu zajmie im podróż do hotelu. Potem usiądą i będą czekać. - Uśmiechnął się lekko i pokiwał głową. - Tak, będą na nas czekać.

- W jaki sposób? - zapytała Whitney. - Na litość boską, w jaki sposób tak szybko się tu znaleźli?

- Kiedy masz do czynienia z Dimitrim, nie pytaj: jak. Po prostu oglądaj się przez ramię.

- Musiał mieć kryształową kulę.

- To polityka - powiedział Doug. - Pamiętasz, co twój stary mówił o kontaktach? Jeśli masz kogoś w CIA, bierzesz do ręki słuchawkę, wykręcasz numer i wiesz wszystko, nie opuszczając wygodnego fotela. Telefon do agencji, do ambasady, do urzędu imigracyjnego i Dimitri kładzie łapę na naszych paszportach i wizach, jeszcze zanim wyschnie at-
rament.

Zwilżyła wargi i starała się nie dopuścić, by zaschło jej w gardle.

- Wobec tego wie również, dokąd jedziemy.

- Jak dwa razy dwa. Jedyne, co musimy zrobić, to trzymać się o krok przed nim. Mały kroczek.

Whitney odetchnęła z ulgą, kiedy poczuła, że serce zaczyna jej mocniej bić. Powracał dreszczyk emocji. Jeśli da mu trochę czasu, zastąpi strach.

- Wygląda na to, że jednak wiesz, co robisz. - Kiedy odwrócił się w jej stronę, by rzucić gniewne spojrzenie, cmoknęła go po przyjacielsku w policzek. - Jesteś sprytniejszy, niż na to wyglądasz, Lord. Lecimy na Madagaskar.

Zanim się podniosła, chwycił ją za podbródek.

- Tam wszystko załatwimy. - Jego palce zwiększyły ucisk. - Do końca.

Wytrzymała jego wzrok. Zbyt daleko zaszli, by teraz się cofnąć.

- Być może - powiedziała. - Lecz najpierw musimy się tam dostać. Lecimy tym samolotem czy nie?

Remo chwycił kawałek jedwabnej szmatki, którą Whitney nazwałaby nocną koszulą. Zmiał ją w dłoni. Dostanie Lorda i tę kobietę, zanim wejdzie słońce. Tym razem nie wyslizgną mu się z rąk i nie zrobią z niego głupca. Kiedy Doug Lord stanie w drzwiach, wsadzi mu kulkę między oczy. Co do tej kobiety... też się nią zajmie. Ale tym razem... Wolno rozerwał materiał na pół. Jedwab pękł prawie bezszelestnie. Kiedy zadzwonił telefon, podniósł głowę, dając

znak jednemu z ludzi, by stanął przy drzwiach. Delikatnie chwycił słuchawkę w dwa palce. Na dźwięk tego głosu gruczoły potowe zaczęły swoją pracę.

- Znowu ich zgubiłeś, Remo.

- Panie Dimitri. - Zobaczyłem, że jeden z mężczyzn patrzy na niego, więc się odwróciłem. Niezbyt mądrze jest okazywać strach. - Znaleźliśmy ich. Jak tylko wrócą..

- Nie wrócą. - Z długim westchnieniem Dimitri wydmuchnął dym. - Widziano ich na lotnisku, Remo, tuż pod twoim nosem. Punkt docelowy to Antananarywa. Bilety czekają na ciebie. Pospiesz się.

4

Whitney pchnęła drewniane żaluzje i stanęła w otwartym oknie, kontemplując rozciągający się przed oczami widok. Nie przypominał jej, jak tego oczekiwała, Afryki. Kiedyś spędziła dwa tygodnie w Kenii, z których pozostał jej w pamięci poranny mocny zapach pieczonego na ruszcie mięsa, potworny upał i kosmopolityczny blichtr. Z tego miejsca Afryka była jedynie widocznym w oddali, wąskim skrawkiem lądu. Whitney nie dostrzegła niczego, co przypominałoby jej poprzedni pobyt.

Nie ujrzała też nic z egzotyki tropikalnej wyspy. Nie wyczuwała tej leniwej wesołości, którą zawsze kojarzyła z wyspami i ich mieszkańcami. Wyczuwała jednak, choć nie była jeszcze pewna dlaczego, coś niepowtarzalnego i wyjątkowego.

Antananarywa. Stolica Madagaskaru, serce kraju, miasto z targami na otwartym powietrzu i ręcznie ciągniętymi wozami, egzystującymi w całkowitej harmonii i totalnym chaosie z wysokimi biurami i lśniącymi nowoczesnymi samochodami. To było miasto, oczekiwała więc charakterystycznego zgiełku panującego w miastach. A to, co zobaczyła, tchnęło spokojem: życie toczyło się wolno, ale nie leniwie. Być może z powodu wczesnej pory, ale prawdopodobnie tak było zawsze.

Zadrzała z zimna, jednak nie odeszła od okna. W powietrzu nie czuło się zapachu Paryża czy Europy, pachniało czymś ostrym. Przyprawami zmieszany z pierwszymi muśnięciami upału zagrażającego porannemu chładowi.

Zwierzętami. Niektóre miasta pachniały nawet stadem zwierząt. Hongkong pachniał portem, a Londyn spalinami. Antananarywa pachniała czymś starszym, czymś, co jeszcze nie zdążyło zniknąć pod betonem i stałą.

Nad ziemią unosiła się lekka mgiełka. Stojąc w oknie, czuła, jak temperatura rośnie, niemal stopień po stopniu. Za godzinę, pomyślała, zacznie spływać potem i powietrze wypełni jeszcze i ten zapach.

Miała wrażenie, że domy stoją na dachach innych domów, a te na jeszcze innych, wszystkie różowe i purpurowe w blasku poranka. Widok był jak z bajki: słodki i groźny zarazem.

Miasto rozłożyło się na wzgórzach tak stromych i spadzistych, że wszędzie pobudowano schody, zarówno w skałach, jak i w ziemi, by ułatwić chodzenie. Nawet z daleka widać było, że są zniszczone i stare, i nachylone pod niebezpiecznym kątem. Zobaczyła trójkę dzieci i psa niefrasobliwie pędzących w dół i pomyślała, że od samego patrzenia na nich można dostać zadyszki. Widziała ze swego miejsca święte jezioro Anosy, stalowobłękitne w kolorycie i królewsko spokojne, otoczone drzewami dżakaranda, nadającymi mu ten egzotyczny koloryt, o którym tak marzyła. Ze względu na odległość mogła sobie jedynie wyobrazić, że ich zapach jest słodki i ekscytujący. Tak jak w wielu innych miastach i w tym było wiele nowoczesnych budynków, hoteli, szpitali, lecz wśród nich przeświecały kryte strzechą dachy. Tuż obok ciągnęły się pola ryżowe i małe farmy. W popołudniowym słońcu pola te będą błyszcząły wilgocią. Kierując wzrok w górę, ku najwyższemu wzniesieniu, dostrzegła pałace, przepiękne w świetle poranka, bogate, wyniosłe, anachroniczne. Dobiegł ją warkot samochodu z szerokiej alei poniżej.

A więc są na miejscu, pomyślała, przeciągając się i wdychając chłodne powietrze. Podróż samolotem była długa i nudna, ale dała jej czas na przemyślenie minionych zdarzeń i na podjęcie decyzji. Chcąc być w zgodzie z samą sobą, musiała przyznać, że podjęła ją już wtedy, kiedy nacisnęła na gaz i rozpoczęła szalony wyścig. To prawda, że kierował

nią impuls, ale pozostała przy nim. Ten krótki pobyt w Paryżu przekonał ją, że Doug jest sprytny, a ona jest tu od rachunków. Znajdowała się teraz tysiące mil od Nowego Jorku i czekała na nią wielka przygoda.

Nie mogła zmienić losu Juana, ale mogła zemścić się na Dimitrim, sprzątając mu skarb sprzed nosa. Do tego potrzebowała Douga Lorda i papierów, których jeszcze nie widziała. Prędzej czy później je zobaczy. Musi tylko znaleźć sposób na podejście Douga.

Doug Lord, dumająca, odchodząc od okna, by się ubrać, kim on właściwie jest? Skąd pochodzi i dokąd zmierza?

Jest złodziejem. Tak, i jako złodziej potrafił z kradzieży uczynić profesję. Ale nie jest Robin Hoodem. Kradnie bogactwom, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że oddaje biednym. Wszystko, co... zdobył, zatrzymywał dla siebie. Mogła go za to potępiać. Jednak jest w nim coś, jakiś błysk, który zauważyła już na samym początku. Cechuje go zupełny brak okrucieństwa i domieszka czegoś, czemu nie może się oprzeć, a także odwaga.

Poza tym zawsze uważała, że jeśli się w coś celuje, powinno się to kultywować. A czuła, że on jest bardzo dobry w tym, co robi.

Kobieciarz? Możliwe, ale miała już do czynienia z kobieciarzami, którzy mówili trzema językami i zamawiali najlepszego szampana, lecz byli mniej godni podziwu od Douga Lorda, który robił to z poczuciem humoru. Tym się nie przejmowała. Był atrakcyjny, nawet pociągający, kiedy się z nią sprzeczał. Z tą fizyczną stroną na pewno potrafi sobie dać radę...

Przypomniała sobie, co czuła, kiedy leżała pod nim, mając jego wargi zaledwie o cal od swoich. Jakie to byłoby przyjemne i ekscytujące posunąć się jeszcze dalej. Pamiętała, jak pomyślała wtedy, że cudownie byłoby poczuć na ustach te interesujące, beczelne wargi.

Dopóki są współnikami - nie, postanowiła, strzepując spódnice. To tylko interes i musi pamiętać jedynie o tym, co jest jej winien. Będzie go trzymać na bezpieczną odległość,

dopóki nie dostanie swojej działki. Jeśli później coś się zdarzy, niech będzie. Uśmiechnęła się i pomyślała, że mogłaby być z tego niezła zabawa.

- Kelner! - Doug wparował do pokoju z tacą w rękach. Zamarł na moment w bezruchu, omiatając krótkim, tak-sującym spojrzeniem Whitney stojącą przy łóżku w przezroczystej, cielistej bieliźnie. Na taki widok leci ślinka. Klasa, pomyślał. Lepiej, żeby uważał na to, co robi, kiedy zaczyna mieć takie myśli. - Ładna sukienka - rzucił lekko.

Nie reagując na jego zaczepkę, Whitney wciągnęła spódnice.

- Czy to śniadanie?

Musi zburzyć tę lodową ścianę, postanowił. Ale nie teraz. Przyjdzie jeszcze na to czas.

- Kawa i rogaliki. Mamy parę spraw do załatwienia.

Włożyła bluzkę koloru rozgniecionych malin.

- Mianowicie?

- Sprawdziłem rozkład jazdy. - Klapnął na krzesło i wbił zęby w rogalik. - Pociąg odjeżdża piętnaście po dwunastej. Do tego czasu musimy zrobić drobne zakupy.

Zabrała kawę na toaletkę.

- Mianowicie?

- Trzeba kupić plecaki - powiedział, obserwując wschód słońca za miastem. - Nie będę targał tego skózanego wora przez las.

Whitney wypita łyk kawy, zanim wzięła szczotkę do ręki. Kawa niczym nie przypominała amerykańskiej lury, była mocna i bardzo gęsta.

- Takie jak do pieszych wędrówek?

- Dokładnie, złotko. Będzie nam potrzebny namiot, jeden z tych nowych, lekkich, który po zwinięciu nie zajmuje dużo miejsca.

Przeciagnęła wolno szczotką po włosach.

- Czy jest coś złego w hotelach?

Odrzucił głowę ze złośliwym uśmiechem na twarzy i zamarł bez słowa. Jej włosy wyglądały w świetle poranka jak złoty pył. Baśniowy pył. Poczł, że ma trudności z przełykaniem. Wstał i podszedł do okna, by na nią nie patrzeć.

- Będziemy korzystać z publicznych środków transportu, bo są według mnie bezpieczniejsze, i wychodzić bocznymi drzwiami. Nie chcę się afiszować z naszą małą ekspedycją - mruknął. - Dimitri nie ma zamiaru się poddać.

Przypomniał jej się Paryż.

- Przekonałeś mnie.

- Im rzadziej będziemy korzystać z dróg publicznych i miast, tym większa szansa, że nie podejmie naszego tropu.

- To brzmi sensownie. - Splotła włosy w warkocz i przewiązała go na końcu kawałkiem wstążki. - Czy powiesz mi wreszcie, dokąd jedziemy?

- Pociągiem do Tamatave. - Odwrócił się z uśmiechem na twarzy. W słońcu padającym mu na plecy wyglądał bardziej na rycerza niż na złodzieja. Włosy opadały mu na kołnierzyk koszuli, ciemne, trochę niesforne. W oczach miał błysk przygody. - Potem pójdziemy na północ.

- A kiedy zobaczę to coś, co kieruje nas na północ?

- Nie ma potrzeby, wystarczy, że ja to widziałem.

Jednocześnie zastanawiał się, jak by tu dać jej do przetłumaczenia dokumenty bez pokazywania całości.

Wolno stuknęła szczotką o dłoń. Była ciekawa, kiedy jej się uda przetłumaczyć te papiery i zatrzymać uzyskane informacje dla siebie.

- Doug, czy kupiłbyś kota w worku?

- Gdybym miał ochotę na odmianę.

Pokręciła głową z lekkim uśmiechem.

- Nic dziwnego, że jesteś bez grosza. Musisz nauczyć się, jak zatrzymywać swoje pieniądze.

- Jestem pewny, że mogłabyś mi dać parę lekcji.

- Papiery, Douglas.

Znowu miał je przyklejone do piersi. Przede wszystkim musi kupić sobie plecak i tam je ukryć. Skórę miał już czerwoną od tego przyklejania. Na pewno Whitney znalazłaby jakąś maść, która złagodziłaby ból, i na pewno wpisałaby jej cenę do swojego małego notesika.

- Później. Mam kilka książek, które mogą ci się spodobać.

Czeka nas długa podróż i mnóstwo czasu. Jeszcze o tym pogadamy. Zaufaj mi, dobrze?

Patrzyła na niego przez chwilę. Zaufać? Nie była taka głupia, żeby się na to nabrać. Lecz tak długo, dopóki trzymała bank, nic jej się nie stanie. Zadowolona, przewiesiła torebkę przez ramię gotowa do wyjścia. Skoro zdecydowała się na tę eskapadę, musi trzymać się blisko tego rycerza, który ma skazy na pancerzu.

- W porządku, chodźmy na te zakupy.

Zeszli po schodach. Trzeba korzystać z jej dobrego humoru, pomyślał. Objął ją po przyjacielsku.

- Jak się spało?

- Dobrze.

Kiedy przechodzili przez hall, wyjął mały purpurowy kwiat z wazonu i wsunął jej we włosy za uchem. Kwiat miał ostry, słodki, typowo tropikalny zapach. Ten gest zrobił na niej wrażenie, choć nie ufała temu mężczyźnie.

- Szkoda, że nie mamy czasu zabawić się w turystów - powiedział, by zagaić rozmowę. - Pałac królowej wydaje się godzien obejrzenia.

- Czyżbyś czuł pociąg do bogactwa?

- Jasne. Zawsze myślałem, jak by to było miło żyć w skromnym blasku.

Wybuchnęła śmiechem, kręcąc głową.

- Ja wolę raczej puchowe łóżko niż ze złota.

- Mówili, że wiedza ma w sobie moc. Kiedyś tak sądziłem, ale teraz wiem, że im chodziło o pieniądze.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego z uwagą. Cóż to za złodziej, który cytuje Byrona?

- Ciągłe mnie zadziwiasz.

- Czytając, zawsze się czegoś uczysz. - Wzruszył ramionami, postanawiając skończyć z tym filozofowaniem i wrócić do rzeczywistości. - Słuchaj, umówiliśmy się, że podzielimy się skarbem pół na pół.

- Ale najpierw zwrócisz mi to, co jesteś winien.

Zazgrzytał zębami.

- Skoro jesteśmy współnikami, powinniśmy podzielić całą gotówkę, którą mamy, pół na pół.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

- Tak to sobie wyobrażasz?

- Tak jest praktyczniej - powiedział wylewnie. - Przy-
puśćmy, że się rozdzielimy...

- Nie ma mowy. - Z ciągle słodkim uśmiechem ścisnęła
mocniej pasek torebki. - Dopóki się to wszystko nie skończy,
jestem z tobą związana nierozzerwalnym węzłem. Niech lu-
dzie sobie myślą, że jesteście parą kochanków.

Nie gubiąc rytmu, zmienił taktykę.

- To również kwestia zaufania.

- Czyjego?

- Twojego, złotko. Skoro jesteśmy współnikami, musimy
sobie wzajemnie ufać.

- Ależ ja tobie ufam. - Objęła go w talii. Mgła się roz-
wiała i zaczęło wschodzić słońce. - Przynajmniej dopóki
trzymam bank... złotko.

Zmrużył oczy. Nie tylko ma klasę, pomyślał ponuro.

- W porządku, a co byś powiedziała na zaliczkę?

- Zapomnij o tym.

Ponieważ chęć uduszenia jej stała się zbyt nęcąca, wyrwał
się jej z objęcia.

- Podaj mi choć jeden powód, dla którego powinnaś
trzymać całą forszę.

- Chcesz ją za papiery?

Wściekły, odwrócił głowę w drugą stronę i wbił wzrok
w biało pomalowany dom. Na zakurzonej podwórku sple-
tały się ze sobą z dziką namiętnością kwiaty i winorośl.
Poczuł zapach gotowanego śniadania i dojrzałych owoców.

Nie było sposobu, żeby jej się wymknąć, dopóki miał
puste kieszenie. Nie było też powodu, dla którego mógłby
buchnąć jej torebkę, a ją zostawić na lodzie. Jedyne wyjście
to pozostać tam, gdzie jest - przywiązany do niej. Najgorsze
jest to, że prawdopodobnie będzie jej potrzebował. Prędzej
czy później da jej do przetłumaczenia te listy pisane po
francusku, choćby po to, by zaspokoić własną ciekawość.
Ale jeszcze nie teraz. Musi najpierw stanąć na bardziej twar-
dym gruncie.

- Posłuchaj, do cholery, mam w kieszeni zaledwie dwieście dolarów!

Gdyby miał więcej, pomyślała, zostawiłby ją bez chwili wahania.

- Reszta z tej dwudziestki, którą ci dałam w Waszyngtonie.

Wściekły począł schodzić w dół stromymi schodami.

- Masz umysł księgowej.

- Dzięki. - Chwyliła się kurczowo nierównej drewnianej poręczy i pomyślała, że wolałaby pójść inną drogą. Osłoniła oczy i rozejrzała się. - O, spójrz, co tam jest, bazar? - Przyspieszając kroku, pociągnęła Douga za rękę.

- Piątkowy targ - mruknął. - Zoma. Mówiłem ci, że powinnaś przeczytać przewodnik.

- Wolę być zaskakiwana. Chodźmy rzucić okiem.

Przystał na to, bo łatwiej było i pewnie taniej kupić parę rzeczy na targu niż w sklepie. Jest jeszcze trochę czasu do odejścia pociągu, pomyślał, rzucając okiem na zegarek. Mogą go przyjemnie wykorzystać.

Na dużym placu stały drewniane stragany przykryte strzechą lub zwieńczone szerokimi białymi parasolami. Na poważnych kupców i na oglądających czekały ubrania, materiały i drogie kamienie. Jako ten pierwszy Whitney dostrzegła ciekawą mieszankę rzeczy wartościowych i rupieci. Ale to nie był jarmark, to był biznes. Targ był pełen ludzi, gwaru i zapachów. Wozy ciągnięte przez woły, z woźnicami owiniętymi w białe lamba, wypełnione były warzywami i kurczakami. Zewsząd dochodziło gdakanie, ryczenie i parskanie w różnych tonacjach. Kilka psów buszowało po targu, węsząc; przeganiano je lub ignorowano.

Czuła zapach piór, przypraw i zwierzęcego potu. A przecież tuż obok widziała wybrukowane drogi, słyszała odgłosy ruchu ulicznego, a niedaleko stąd błyszczały we wschodzącym słońcu okna hotelu pierwszej kategorii. Jakaś koza, wystraszona nagłym hałasem, naciągnęła postronek. Jakieś dziecko, z brodą umazaną sokiem z mango, ciągnęło matkę za spódnicę i paplało coś w języku, którego Whitney nigdy

nie słyszała. Jej wzrok przyciągnął mężczyzna w luźnych spodniach i czapce z daszkiem, który pokazywał coś i odliczał monety. Kurczak, chwycony za dwie chude nogi, zaskrzeczał i starał się wyrwać. W powietrzu unosiły się pióra. Rozłożone na szorstkim kocu ametysty i granaty połyskiwały nikło w porannym słońcu. Wyciągnęła rękę, by ich dotknąć, kiedy Doug pociągnął ją do straganu z mokasynami z mocnej skóry.

- Będzie jeszcze mnóstwo czasu na błahostki - powiedział i pokazał na buty. - Potrzebujesz czegoś bardziej praktycznego od tych skórzanych paseczków, które masz na nogach.

Wzruszając ramionami, zaczęła oglądać wystawione buty. Znajdowali się setki mil od kosmopolitycznych miast, do których przywykła, setki mil od ośrodków rozrywkowych, które preferują bogaci.

Kupiła buty, potem wybrała ręcznie wykonany koszyk, targując się o cenę doskonałą francuszczyzną.

Patrzył na nią z podziwem, była urodzonym negocjatorem. Co więcej, podobało mu się, że znajdowała przyjemność w kłóceniu się o cenę jakiejś błyskotki. Czuł, że byłaby rozczarowana, gdyby dobijanie targu odbyło się zbyt szybko lub gdyby cena spadła zbyt dramatycznie. Skoro los go z nią związał, Doug postanowił podejść do tego filozoficznie i zrobić jak najlepszy użytek z tej współpracy. Do czasu.

- No dobra - powiedział - tylko kto będzie niósł ten koszyk?

- Zostawimy go w przechowalni razem z walizkami. Będziemy potrzebowali jeszcze czegoś do jedzenia, prawda? Chyba zamierzasz jeść w czasie tej wyprawy?

Z uśmiechem w oczach wzięła do ręki owoc mango i podsunęła mu pod nos.

Uśmiechnął się i wybrał drugi, a potem wrzucił oba do koszyka.

- Tylko nie przesadz.

Chodziła między straganami, targując się i uważnie odliczając franki. Przesunęła palcami po naszyjniku z muszelek,

obchodząc się z nim tak ostrożnie, jakby to była biżuteria od Cartiera. W pewnym momencie przyłapała się na tym, że usiłuje zrozumieć ten dziwny małgaski i że słucha, odpowiada, a nawet myśli po francusku. Ci kupcy handlowali, nieprzerwanie dając i biorąc. Wydawało się, że są zbyt dumni, by okazywać gorliwość, lecz dostrzegła u wielu oznaki ubóstwa.

Jak daleką drogę musieli pokonać na swych wozach? Nie wyglądają na zmęczonych, pomyślała, patrząc na ludzi i ich towary. Są silni i zadowoleni, choć wielu nie ma na nogach butów. Ubrania mogły być zakurzone, niektóre zniszczone, ale wszystkie bardzo kolorowe. Kobiety spletały, spinały i skręcały włosy na różne skomplikowane sposoby. Zoma to nie tylko interes, lecz również społeczne wyrażenie, pomyślała.

- Musimy się pospieszyć, dziecinko. - Poczł narastające nieznośne swędzenie między łopatkami. Kiedy przyłapał się na tym, że po raz trzeci ogląda się przez ramię, wiedział, że najwyższy czas ruszać. - Mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Wrzuciła do koszyka jeszcze jakiś owoc i torebkę ryżu. Mogła wędrować i spać pod namiotem, ale nie będzie tego robić z pustym żołądkiem.

Zastanawiał się, czy ona zdaje sobie sprawę, jak się wyróżnia wśród tych ciemnych kupców i kobiet o poważnych twarzach tą swoją skórą koloru kości słoniowej i jasnymi włosami. Widać było, że ma klasę, nawet kiedy się targowała o suszoną paprykę czy figi. Nie w moim typie, pomyślał Doug. Wolał zawsze takie z cekinami i piórami. Lecz nie należała do kobiet, które się łatwo zapomina.

Pod wpływem impulsu wziął miękki bawełniany zwój materiału i zarzucił jej na głowę. Kiedy odwróciła się z uśmiechem na ustach, wyglądała tak pięknie, że zaparło mu dech w piersiach. Zamiast tego powinien być biały jedwab, pomyślał. Biały, zimny i gładki jedwab. Kupiłby jej setki metrów takiego jedwabiu, owinał ją nim, a potem wolno, bardzo wolno odwijał, aż pozostałoby tylko jej ciało równie gładkie i białe. Mógłby patrzeć, jak ciemnieją jej

oczy, i czuć ciepło jej ciała. Trzymając jej twarz, zapomniał, że nie jest w jego typie.

Zobaczyła zmianę w jego oczach i poczuła, jak palce Douga zaciskają się na jej twarzy. Serce zaczęło walić jej jak młotem. Czyż nie zastanawiała się, jakim byłby kochankiem? Czyż nie myślała o tym teraz, kiedy czuła wzrastające w nim pożądanie? Złodziej, filozof, oportunistą, bohater? Kimkolwiek był, jej życie splotło się z jego losami i nie było od tego odwrotu. Kiedy przyjdzie na to czas, spotkają się jak dwie błyskawice, bez pięknych słówek, bez sztucznego światła, bez tej całej otoczki romantyczności. Nie będzie jej potrzebować, bo jego ciało będzie silne, jego usta spragnione, a ręce będą wiedziały, gdzie dotknąć. Stojąc w samym środku targu, pełnym egzotycznych zapachów i dźwięków, zupełnie nie pamiętała, że miała go sobie owinać wokół palca.

Niebezpieczna kobieta, pomyślał, starając się ze wszystkich sił rozluźnić palce. Ze skarbem prawie w zasięgu ręki i Dimitrim jak mała uczepionym jego pleców nie mógł sobie pozwolić na myślenie o niej jako o kobiecie. Kobiety, a szczególnie te o wielkich oczach, zawsze były jego nie-szczęściem.

Są przecież współnikami. On ma papiery, a ona forszę. To wszystko tak się pogmatwało jak ten skarb, który mieli odnaleźć.

- Lepiej skończ już te zakupy - powiedział stosunkowo spokojnie. - Musimy się rozejrzeć za sprzętem kempingowym.

Westchnęła i przypomniała sobie, że jest jej już winien siedem tysięcy dolarów. Nie należy o tym zapominać.

- Dobrze.

Mimo to kupiła lamba, tłumacząc sobie, że to tylko pamiątka z podróży.

W południe czekali na pociąg, zaopatrzeni w plecaki wypełnione jedzeniem i sprzętem turystycznym. Czuł niepokój i zdenerwowanie przed czekającą ich podróżą. Ryzykował życie i swoją przyszłość dla kilku dokumentów przyklejonych do piersi. Dotychczas zawsze zbierał lewy, lecz

tym razem trzymał bank. Tego lata będzie się pławił w forsie, leżąc na jakiejś zagranicznej plaży, popijając rum, a jakaś ciemnowłosa i ciemnooka dziewczyna będzie mu smarować plecy olejkim. Tych pieniędzy wystarczy i na to, by zabezpieczyć się przed Dimitrim, a jeśli zechce się spieszyć, to tylko dla przyjemności, a nie, by ratować życie.

- O, już jest. - Czując rosnące podniecenie, odwrócił się w stronę Whitney.

Z szalem okrywającym ramiona pisała coś zawzięcie w notesie. Wyglądała na spokojną i opanowaną, podczas gdy jemu koszula zaczęła się lepić do pleców.

- Przystaniesz wreszcie bazgrać w tym kajeciku? - burknął, chwytając ją za ramię. - Jesteś gorsza od urzędu skarbowego.

- Dopisuję tylko cenę twojego biletu kolejowego, wspólniku.

- Chryste, kiedy dostaniemy to, czego szukamy, będziesz się nurzać w złocie, a martwisz się o kilka franków.

- Zabawne, jak ich przybywa, nie uważasz? - Wrzuciła z uśmiechem notesik z powrotem do torebki. - Następny przystanek, Tamatave.

W momencie kiedy Doug wsiadał do pociągu za Whitney, jakiś samochód zajechał na stację.

- Tam są.

Zaciskając zęby, Remo dotknął zatkniętego za pasek pistoletu i przejechał po opatrunku na twarzy. Miał teraz okazję, by wyrównać z Lordem osobiste porachunki. Zapowiadała się niezła zabawa. Niewielka dłoń z kikutem zamiast małego palca zacisnęła się ze stalową siłą na jego ramieniu. Mankiet był biały, tym razem zakończony złotą owalną spinką. Ta delikatna ręka, elegancka mimo deformacji, wprawiła ramię Rema w drżenie.

- Już parę razy dałeś mu się podejść.

Głos był cichy i bardzo łagodny.

- Tym razem już jest nieżywy.

Rozległ się figlarny chichot, a powietrze wypełniło się

zapachem drogiego francuskiego tytoniu. Remo nie odprężył się ani też nie próbował się usprawiedliwić. Nastroje Dimitriego zawsze wprowadzały człowieka w błąd. Remo miał już okazję słyszeć ten śmiech. Brzmiał równie łagodnie i miło, kiedy Dimitri przypalał stopę ofiary niebieskim płomieniem z zapalniczki z monogramem. Nie poruszył ramieniem ani nie odezwał się słowem.

- Lord nie żyje od chwili, kiedy skradł moją własność.

Jakaś okrutna nuta zabrzmiała w głosie Dimitriego. To nie był gniew, tylko siła, zimna i bezwzględna. Waż nie zawsze tryska jadem, kiedy jest wściekły.

- Odzyskaj moją własność, a potem zabij go, jak ci się będzie podobało. Przynieś mi tylko jego uszy.

Remo kiwnął głową i wysiadł z samochodu, wyciągając bilety.

- A co z tą kobietą?

Dimitri puścił strumień dymu, myśląc intensywnie. Lata doświadczenia nauczyły go, że pochopne decyzje pozostawiają po sobie wyszczerbiony ślad. On preferował gładką i czystą robotę.

- Śliczna kobieta i sprytne, skoro rozerwała szyję Butrainowi. Uważajcie, żeby jej nie uszkodzić, i sprowadźcie do mnie. Chciałbym z nią porozmawiać.

Zadowolony oparł się o siedzenie, obserwując pociąg przez zadymione okno samochodu. Bawiła go i satysfakcjonowała silna woń strachu, jaką wydzielali jego podwładni. Ostatecznie strach jest najelegantszą z broni. Skinął okaleczoną ręką.

- Nudny interes - rzekł, kiedy Remo zamknął drzwi samochodu. Westchnął, przytykając pachnącą jedwabną chusteczkę do nosa. Zapach kurzu i zwierząt raził jego nozdrza. - Wracamy do hotelu - rzucił milczącemu kierowcy. - Potrzebuję sauny i masażu.

Whitney usadowiła się przy oknie, by obserwować przesuwający się krajobraz. Doug natomiast jak zwykle wsadził nos w przewodnik.

- Na Madagaskarze występuje co najmniej trzydzieści dziewięć gatunków lemura i ponad dziewięćset gatunków motyli.

- Fascynujące. Nie miałam pojęcia, że interesuje cię fauna - powiedziała ironicznie.

Podniósł wzrok znad książki.

- Nie ma jadowitych węży - dodał. - Takie informacje są ważne, kiedy śpi się w namiocie. Lubię coś wiedzieć o otoczeniu. Na przykład, że tutejsze rzeki są pełne skorup.

- Zatem należy wykluczyć kąpienie się w nich.

- Będziemy zmuszeni złożyć wizytę niektórym tubylcom. Te tereny zamieszkuje kilkanaście różnych plemion i wszystkie są usposobione przyjacielsko.

- To dobre wiadomości. Czy orientujesz się, jak długo potrwa, zanim dotrzemy do miejsca oznaczonego krzyżykiem?

- Tydzień, może dwa. - Odchylił się na oparcie i zapalił papierosa. - Jak jest brylant po francusku?

- *Diamant*. - Przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek. - Czy ten Dimitri miał coś wspólnego z kradzieżą brylantów we Francji i szmuglowaniem ich tutaj?

Doug uśmiechnął się. Była blisko, lecz nie dość.

- Nie. Dimitri jest dobry, ale nie miał nic wspólnego z tą kradzieżą.

- A więc te brylanty zostały skradzione.

Doug pomyślał o papierach.

- Zależy, jak na to spojrzysz.

- Słuchaj - zaczęła Whitney, biorąc od niego papierosa - czy myślałeś o tym, co zrobisz, jeśli tam nic nie będzie?

- To tam jest. - Wydmuchnął dym i popatrzył na nią jasnymi zielonymi oczami. - Na pewno.

Jak zwykle poczuła, że mu wierzy.

- Co masz zamiar zrobić ze swoją częścią?

Wyciągnął nogi na siedzeniu na wprost nich i uśmiechnął się.

- Pławić się w niej.

Sięgnęła do torby, wyciągnęła owoc mango i rzuciła mu.

- A co z Dimitrim?
- Jak będę miał w garści skarb, może się smażyć w piekle.
- Jesteś zarozumiałym sukinsynem.

Wzięła mango z jego rąk i ugryzła kawałek. Było słodkie i pyszne.

- Czy bycie bogatym jest takie ważne?
- Cholernie.
- Dlaczego?

Spojrzał na nią.

- Mówisz z pozycji osoby posiadającej kilka bilionów litrów masy lodowej.

Wzruszyła ramionami.

- Powiedzmy, że ciekawi mnie twój stosunek do bogactwa.

- Kiedy jesteś bogata i grasz na wyścigach i przegrywasz, zostajesz obsztorcowana za to, że przegrałaś, a nie za to, że przepuściłaś pieniądze na mieszkanie.

- I co z tego wynika?

- Czy martwiłaś się kiedyś o to, gdzie będziesz spała, złotko?

Ugryzła następny kawałek, zanim oddała mu owoc. Jakaś nuta w jego głosie sprawiła, że poczuła się głupio.

- **Nie.**

Zamilkła, wsłuchując się w dudnienie pociągu. Zatrzymał się na stacjach, a ludzie wsiadali i wysiadali. Zrobiło się gorąco i duszno. Powietrze wypełnił zapach potu, owoców, kurzu i brudu. Mężczyzna w białej panamie kilka rzędów dalej wycierał twarz dużą barwną chustką. Pomyślała, że chyba widziała go na targu, i uśmiechnęła się do niego. W odpowiedzi schował chustkę do kieszeni i wrócił do czytania gazety. Zarejestrowała leniwie, że to angielska gazeta, i odwróciła twarz w stronę okna, by kontemplować przesuający się krajobraz.

Przed oczami umykały zielone faliste wzgórza prawie pozbawione drzew. Dostrzegła też małe wioski i osady z chatami krytymi strzechą i rozłożystymi stodołami nad rzeką. Co to była za rzeka? Doug na pewno by wiedział.

Z pewnością mógłby wygłosić piętnastominutowy wykład na ten temat. Wolała jednak nie pytać.

Nie zauważyła nigdzie drutów telefonicznych ani słupów energetycznych. Ludzie żyjący wśród tych bezkresnych jałowych przestrzeni musieli być twardzi, niezależni i samowystarczalni. Potrafiła to docenić i podziwiać bez stawiania siebie na ich miejscu.

Choć należała do kobiet, które tęsknią do miasta z jego tłumem i hałasem, doceniała również spokój i bezmiar wsi. Potrafiła dostrzec piękno zarówno w dziko rosnącym kwiecie, jak i w futrze z szynszyli. Jedno i drugie miało swój urok.

W pociągu panował gwar. Maszyna dudniła, jęczała i kołysała się, natomiast wewnątrz słyhać było jednostajną paplaninę. Dzięki świeżemu powietrzu, wpadającemu przez okna, zapach potu nie wydawał się tak nieprzyjemny. Przypomniała sobie, że ostatnia jej podróż pociągiem była wynikiem chwilowej zachcianki. Miała wtedy dla siebie klimatyzowany przedział, który pachniał pudrem i kwiatami. Nie była to jednak zbyt interesująca podróż.

Na wprost nich usiadła kobieta z dzieckiem ssącym palec. Wpatrywało się w Whitney szeroko otwartymi oczami i nagle wyciągnęło pulchną rączkę i chwyciło ją za warkocz. Zakłopotana matka natychmiast je odciągnęła, mówiąc coś szybko po malgasku.

- Nie, nie, wszystko w porządku. - Whitney ze śmiechem pogładziła dziecko po policzku.

Małe paluszki zacisnęły się mocno wokół jej palców. Ubawiona pokazała matce, aby ta go jej podała. Po krótkim wahaniu i przekonywaniu Whitney posadziła sobie dziecko na kolanach.

- Witaj, mały człowieku.

- Nie jestem pewny, czy ci tubylcy słyszeli coś o pam-persach - odezwał się cicho Doug.

Lekko zmarszczyła nos.

- Nie lubisz dzieci?

- Jasne, podobają mi się bardziej jako włamywacze.

Zachichotała, kierując uwagę na dziecko.

- Zobaczmy, co my tu mamy - powiedziała, sięgnęła do torebki i wyjęła z niej puderniczkę. - Co na to powiesz? Chcesz zobaczyć dzidziusia? - Przytrzymała lusterko, ubawiona jego gruchaniem. - Śliczny dzidzius - zaśpiewała, ciesząc się, że dziecko sprawia jej tyle przyjemności.

Równie zadowolone jak ona, dziecko przysunęło lusterko do jej twarzy.

- Śliczna pani - skomentował Doug, otrzymując w zamian uśmiech.

- Masz, teraz ty spróbuj. - Zanim zdążył zaprotestować, posadziła mu dziecko na kolanach. - Dzieci pasują do ciebie.

Jeśli oczekiwała, że to go zirytuje lub zawstydzi, to się myliła. Jak gdyby to robił przez całe życie, postawił sobie dziecko na kolanach i zaczął je zabawiać.

Ciekawe, pomyślała. Ten złodziej odznacza się również łagodnością. Przechylając się w tył na oparcie, obserwowała, jak Doug huśta dziecko na kolanie i wydaje z siebie dziwne odgłosy.

- Czy nigdy nie myślałeś, żeby otworzyć przedszkole?
Uniósł brew i wziął z jej ręki lusterko.

- Popatrz tutaj - zwrócił się do dziecka, ustawiając lusterko tak, by odbijało promienie słoneczne. Piszcząc, schwytiło lusterko i popchnęło je w stronę twarzy Douga.

- Chce, żebyś zrobił małpę - powiedziała Whitney, słodko się uśmiechając.

- Dowcipnisia.

- To ty powiedziałeś.

Żeby zabawić dziecko, zaczął robić miny do lusterka. Zachwycone tym, uderzyło rączką w lusterko, zmieniając kąt nachylenia, tak że Doug zobaczył w nim tył pociągu. Znieruchomiał i spojrzał jeszcze raz w lusterko.

- Jasna cholera!

- Co takiego?

Nadal bawiąc się z dzieckiem, popatrzył na nią. Poczował, że pot spływa mu po plecach.

- Uśmiechaj się i nie odwracaj. Mamy gości parę rzędów za nami.

Choć ręce zacisnęły się jej na oparciu, zdołała powstrzymać się przed odwróceniem głowy.

- Świat jest mały.
- Nie przypuszczałem, że aż tak.
- Masz jakiś pomysł?
- Właśnie myślę.

Zmierzył odległość dzielącą ich od drzwi. Gdyby wysiedli na następnej stacji, Remo dopadłby ich, zanim zdążyliby przejść przez peron. Jeśli Remo jest tutaj, to Dimitri również. Trzymał swoich ludzi na bardzo krótkiej smyczy. Zostawił sobie minutę na opanowanie paniki. To, czego im było trzeba, to odwrócenie uwagi i nie zaplanowana wysiadka.

- Rób to, co ja - powiedział półgłosem. - Kiedy powiem „już”, chwycisz swój plecak i pobiegiesz do drzwi.

Whitney rozejrzała się po pociągu. Przeważały kobiety z dziećmi i starsi ludzie ściśnięci na ławkach. Nie ma miejsca na grę w otwarte karty.

- Czy mam jakiś wybór?
- Nie.
- Wobec tego pobiegnę.

Pociąg zwalniał przed następną stacją; zapiszczały hamulce, buchnęła para. Doug odczekał, aż tłum wsiadających i wysiadających zgęstnieje.

- Przepraszam, stary - mruknął do dziecka i mocno uszczypnął je w pośladek.

Rozległ się donośny ryk, na który poderwała się z siedzenia zaniepokojona matka. Doug również wstał i zrobił zamieszanie, na ile to było możliwe, w zatłoczonym przejściu.

Chwyając w lot jego zamiary, Whitney wstała i popchnęła mężczyznę stojącego z prawej strony na tyle mocno, by wytrącić mu z rąk pakunki; rozsypały się po podłodze. Grejfrut pacnął na ziemię i rozpląszczył się.

Kiedy pociąg ruszył, od Rema dzieliło ich sześć osób tłoczących się w przejściu i kłócących się między sobą po małgasku. Doug podniósł ręce w przeproszającym geście i chwycił torbę z warzywami. Dziecko zanosilo się nieprze-

rwanym płaczem. Uznając, że jest to najlepszy moment, chwycił Whitney za rękę.

- Teraz.

Rzucili się w stronę drzwi. Kątem oka dostrzegł, jak Remo zrywa się ze swego miejsca i zaczyna przepychać się przez zażarcie dyskutującą grupę, blokującą przejście. Pochwycił spojrzenie jakiegoś mężczyzny w panamie, który odrzucił gazetę i zerwał się na równe nogi, zanim i jego otoczył tłum. Przemknęło mu przez myśl, że gdzieś już widział tę twarz.

- Co teraz? - zapytała Whitney, patrząc, jak ziemia zaczyna pędzić pod nimi.

- Wsiadamy.

Bez chwili wahania wyskoczył z pociągu, pociągając ją za sobą. Otoczył ją ramionami, chroniąc przed uderzeniem, kiedy zetknęli się z podłożem i skłębieni toczyli po ziemi. Kiedy się zatrzymali, pociąg był już daleko i nabierał szybkości.

- Niech to diabli! - wybuchnęła Whitney, leżąc na nim. - Przecież mogliśmy skrócić kark!

- Taaa. - Leżał, nie mogąc złapać tchu. Jego ręce bezwiednie powędrowały wzdłuż jej ud. - Ale nie skręciliśmy.

Niezadowolona z odpowiedzi popatrzyła na niego groźnie.

- Nie ma się z czego cieszyć. Co teraz zrobimy? - zapytała, odgarniając włosy z oczu. - Jesteśmy nie wiadomo gdzie, daleko od miejsca, w którym mieliśmy się znaleźć, i bez środka transportu, by tam się dostać.

- Masz przecież nogi - odparował Doug.

- Oni też - syknęła przez zęby. - Wsiadą na następnej stacji i zawrócą po nas. W dodatku mają broń, a my tylko mango i namiot.

- Im szybciej przestaniemy się kłócić i ruszymy, tym lepiej. - Bezceremonialnie zepchnął ją z siebie i wstał. - Nigdy ci nie obiecywałem, że to będzie piknik.

- Również nigdy mi nie obiecywałeś, że będziesz mnie wypychał z pędzącego pociągu.

- Rusz tyłek, kochanie.

Podniosła się, rozcierając stłuczone biodro.

- Jesteś niedelikatny, arogancki i wstrętny.
- Och, przepraszam. - Złożył jej drwiący ukłon. - Czy zechciałabyś pójść tędy, byśmy mogli uniknąć kulki w głowę, księżniczko?

Uspokoiła się i włożyła plecak, który wypadł jej z rąk przy upadku.

- Którędy?
- Na północ - powiedział, mocując się ze swoim plecakiem.

5

Zawsze lubiła góry. Z przyjemnością wspominała dwa tygodnie spędzone na nartach w szwajcarskich Alpach. Rankami, wjeżdżając na szczyt kolejką linową, podziwiała roztaczający się widok. Świszczący w uszach pęd podczas jazdy w dół upajał ją. Wiele można by opowiadać o rozkosznych popołudniowych godzinach pełnych pochlebstw, gorącego rumu i trzaskającego ognia.

Pewnego razu spędziła leniwy weekend w willi w Grecji, wysoko na skalistym wzniesieniu z widokiem na Morze Egejskie. Zachwycała ją wysokość, roztaczający się widok, piękno przyrody i starożytność, podziwiane z terakotowego balkonu.

Jednak nie była zbyt mocna we wspinaniu się po górach - w zraszanej potem, nękaniej skurczami nóg wspinaczkę. Przyroda przestaje bawić, kiedy ogląda się ją z pozycji obolałych stóp.

Powiedział: na północ. Szła za nim, z ponurą miną pnąc się w górę i w dół po twardych, skalistych wzniesieniach. Postanowiła, że się nie podda i dotrzyma mu kroku, mimo spływającego jej po plecach potu. Miał przecież tę kopertę. Lecz choć musiała wspólnie z nim wędrować, pocić się i dyszeć, nie było absolutnie żadnego powodu, dla którego musiałaby z nim rozmawiać.

Nikt dotąd, absolutnie nikt, nie powiedział jej, żeby ruszyła swój tyłek.

Może za kilka dni, nawet tygodni, ale na pewno zapłaci jej za to. Istniała pewna zasada w interesach, której nauczył ją ojciec: zemsta, gdy nieco stężeje, jest znacznie słodsza.

Na północ. Doug popatrzył na poszarpane urwiste zbocza, które ich otaczały. Jak okiem sięgnąć, porastała je wysoka trawa, która falowała na wietrze. Gdzieś widać było czerwone rozpadliny o ostrych brzegach, powstałe na skutek erozji. I wszędzie nie kończące się skały, aż do znużenia. Trochę wyżej rosło kilka rzadkich wrzecionowatych drzew, lecz w tej chwili niepotrzebny był mu cień. Wokół nie dostrzegł żadnych oznak życia, żadnych chat, żadnych domów, żadnych pól, nikogo. Właśnie o to mu teraz chodziło.

Poprzedniej nocy, kiedy Whitney spała, przestudiował mapę Madagaskaru, którą wyrwał z ukradzonej z biblioteki książki. Nie znosił niszczenia książek, dawały bowiem ujście dziecięcej wyobraźni i dotrzymywały mu towarzystwa podczas samotnych nocy, kiedy stawał się mężczyzną. Ale w tym wypadku było to konieczne. Oderwany kawałek papieru mieścił się w kieszeni, a książka leżała w plecaku, tak na wszelki wypadek. W myślach podzielił teren na trzy strefy. Zachodnie niziny się nie liczyły. Wspinając się po skalistej wyboistej ścieżce, miał nadzieję zboczyć z trasy na wschód tyle, ile będzie to konieczne. Lepiej trzymać się gór, unikać brzegów rzek i otwartych przestrzeni tak długo, jak to będzie możliwe. Dimitri był bliżej, niż przewidywał. Nie miał ochoty pomylić się po raz drugi.

Upał stał się nieznośny, lecz zapas wody powinien chyba wystarczyć do rana. Martwił się, co zrobi, kiedy trzeba będzie go uzupełnić. Chciałby wiedzieć, jak długo powinni iść na północ, by potem odważyć się skręcić na wschód, w stronę wybrzeża i łatwiejszych terenów.

Dimitri może na nich czekać w Tamatave, popijając wino, pławiąc się w słońcu i racząc świeżymi miejscowymi rybami. Zgodnie z logiką tam powinien być ich pierwszy postój, więc również zgodnie z logiką będą musieli go ominąć.

Doug nie miał nic przeciwko zagadkom: im trudniej, tym ciekawiej i tym słodsza będzie wygrana, jak kiedyś powiedział Whitney. Lecz z Dimitrim... z Dimitrim to była zupełnie inna historia.

Umocował plecak tak, aby wygodniej mu było go nieść.

Musiał teraz myśleć nie tylko o sobie. Jednym z powodów, dla których unikał dotąd współpracy z kimkolwiek, była konieczność troszczenia się o tego drugiego. Popatrzył na Whitney, która zachowywała wrogie milczenie, odkąd zostawili tory kolejowe i ruszyli w górę.

Cholerna baba. Jeśli myśli, że okazywanie wrogości wstrząśnie nim, to się grubo myli. Może podziałałoby to na kóregoś z jej wygalantowanych frajerów i zmusiło do błagania o przebaczenie, lecz jeśli o niego chodzi, to była o niebo atrakcyjniejsza, kiedy nic nie mówiła.

Stroi fochy, a przecież wyciągnął ją z pociągu w jednym kawałku. Może zarobiła kilka siniaków, ale przynajmniej jest cała i zdrowa. Problem w tym, że ona chce mieć wszystko miłe i piękne, jak ten jej wysokiej klasy apartament... albo ten cienki kawałek jedwabiu, który ma pod spódnicą.

Doug odegnał w pośpiechu tę myśl i skoncentrował się na śledzeniu drogi wśród skał. Dobrze byłoby trzymać się tych wzgórz przez jakiś czas - przez dwa, może trzy dni. Było tu mnóstwo kryjówek i trudny teren. Wystarczająco trudny, by opóźnić pościg. Remo i te psy gończe Dimitriego przywykli raczej do węszenia po zaułkach i nędznych pokojach hotelowych niż po skałach i górach. Tropieni aklimatyzują się łatwiej.

Kiedy stanął na szczycie, wyciągnął lornetkę i długo lustrował teren. W dole, nieco na zachód, dostrzegł małą osadę. Grupka mikroskopijnych czerwonych chat i szerokich stodół w otoczeniu siatki pól. Pola ryżowe, doszedł do wniosku, patrząc na ich wilgotny szmaragdowozielony odcień. Nie dostrzegł nigdzie linii wysokiego napięcia, za co był wdzięczny. Im dalej od cywilizacji, tym lepiej. To osada plemienia Merina, jeśli dobrze zapamiętał informacje z przewodnika. Tuż za nią wiła się wąska rzeka Betsiboka.

Mrużąc oczy, lustrował teren i myślał intensywnie. To prawda, że rzeka płynęła w kierunku północno-zachodnim, lecz podróż łodzią miała swoje dobre strony. Krokodyle czy nie, ale na pewno byłoby szybciej niż pieszo, nawet na krótkim dystansie. Trzeba się będzie później nad tym

zastanović, pomysłał, i poświęćć wieczór lub dwa na zebranie informacji, które rzeki najlepiej się do tego nadają i jak Malgaze po nich podróżują. Pamiętał, że czytał o czymś, co nasunęło mu na myśl płaskodenne canoe, jakim posługiwali się kajunowie. Sam nawet płynął czymś takim, kiedy o mało co nie sfuszerował roboty w okazałym starym domu pod Lafayette.

Ile dostał za te stare inkrustowane masą perłową pistolety do pojedynku? Nie pamiętał. Ale pościg przez bagno, przez które musiał płynąć, torując sobie drogę wśród drzew cytrusowych i trzęsawisk - to było coś. Nie, nie będzie miał nic przeciwko podróżowaniu rzeką.

W każdym razie należy się trzymać z dala od większych osiedli. Prędzej czy później skończy im się zapas żywności i trzeba będzie się o nią postarać. Przypomniał sobie, że ma obok siebie tę kobietę, i doszedł do wniosku, że Whitney może się wtedy przydać.

Oburzona i obolała Whitney usiadła na ziemi. Nie zrobi ani jednego kroku, dopóki nie odpocznie i nie posili się. Miała takie uczucie, jakby przebiegła potwornie ciężką trasę. Nie obdarzając Douga nawet jednym spojrzeniem, zanurzyła rękę w plecaku. Pierwsza rzecz, którą miała zamiar zrobić, to zmienić buty.

Doug schował lornetkę i odwrócił się do niej. Słońce stało tuż nad ich głowami. Mogli przejść jeszcze sporo mil, nim zapadnie zmrok.

- Chodźmy.

Lodowato chłodna Whitney wyciągnęła banana i zaczęła wolno odzierać go ze skóry. Niech tylko spróbuje powiedzieć jej, żeby ruszyła tyłek. Z oczami utkwionymi w Douga odgryzła kawałek i zaczęła przeżuwać.

Spódnica zsunęła się z jej kolana, kiedy usiadła na ziemi krzyżując nogi. Mokra od potu bluzka przykleiła się do ciała. Schludny warkocz, który widział tego ranka, rozluźnił się i białe, jedwabiste włosy wysunęły się, drażniąc skórę na policzkach. Twarz miała chłodną i elegancką jak marmur.

- Idziemy.

Pożądanie uczyniło go nerwowym. Nie dopuści, by wzięła

nad nim górę, postanowił. Nie ma mowy. Za każdym razem, kiedy pozwalał, by kobieta nim owładnęła, kończyło się to fatalnie. Może, ale tylko może, dobiere się do niej, zanim się to wszystko skończy, ale nie pozwoli, by ta szczupła królowna o chłodnym spojrzeniu podważyła jego autorytet. Pieniądze, oto co jest najważniejsze w życiu.

Przyszło mu na myśl, jak by to było wspaniale mieć ją pod sobą, nagą, rozpaloną i całkowicie bezbronną.

Whitney oparła się o skałę i odgryzła następny kawałek banana. Lekki wiaterek poruszył gorące powietrze. Leniwie podrapała się pod kolanem.

- Sam sobie idź, Lord - zaproponowała słodko.

Boże, chciałby się z nią kochać tak długo, aż zmięknie, złagodnieje i podda się. Miał ochotę ją zamordować.

- Posłuchaj, złotko, mamy dziś do przejścia kawał drogi. Od kiedy jesteśmy na nogach...

- To twoja robota - przypomniała mu.

Kucnął, patrząc jej prosto w oczy.

- To dzięki mnie masz jeszcze tę pustą łepetynę na swojej ponętnej szyi. - Pełen wściekłości, zawodu i niechcianych pragnień przytrzymał ją za brodę. - Dimitri będzie zachwycony, kiedy wpadnie w jego pulchne łapska taka elegancka babka jak ty. Możesz mi wierzyć, on ma wyjątkową wyobraźnię.

Przeszedł ją nagły dreszcz, lecz nie spuściła oczu.

- Dimitri to twój straszak, nie mój.

- On nie będzie robił wyjątków.

- Nie dam się zastraszyć.

- Zabije cię - odparował. - Jeśli nie zrobisz tego, co ci mówię.

Energicznie odepchnęła jego rękę i wstała z wdziękiem. Choć spódnicę pokrył czerwony pył i była rozdarta na biodrze, Whitney nie straciła nic ze swej elegancji. Grube malgaskie buty mogły być atłasowymi pantofelkami. Zastanawiał się, jak ona to robi. Nie miał wątpliwości, że się z tym urodziła. Nikt by jej tego nie nauczył. Gdyby była wieśniaczką, wyglądałaby tak jak w tym momencie, ale nadal poruszałyby się jak księżniczka.

Uniosła jedną brew, wciskając mu skórkę od banana w rękę.

- Nigdy nie robię tego, co mi się mówi. Tak naprawdę to usilnie staram się tego nie robić. Postaraj się wbić to sobie w głowę na przyszłość.

- Postępuj tak dalej, a nie będziesz miała żadnej przyszłości.

 Nie spiesząc się, strzepnęła kurz ze spódnicy.

- Idziemy?

Rzucił skórkę od banana do parowu, usiłując wmówić sobie, że woli kobiety, które jęczą i dygoczą ze strachu.

- Jeśli uważasz, że jesteś gotowa.

- Uważam.

Wyjął kompas, by sprawdzić kierunek. Północ. Jeszcze przez pewien czas pójda w tym kierunku. Słońce będzie prażyło bezlitośnie, nie będzie cienia, by się skryć, a teren będzie trudny do przejścia, ale skały i wzniesienia dadzą im pewne zabezpieczenie. Czy to było przeczucie, czy przywidzenie, ale czuł w karku mrowienie. Nie zatrzyma się już ani na chwilę aż do zachodu słońca.

- Wiesz, księżniczko, w innych okolicznościach podziwiałbym twoją klasę. - Ruszył miarowym, równym krokiem. - W tej chwili masz okazję stania się wrzodem na tyłku.

Długie nogi i determinacja pozwoliły na dotrzymanie mu kroku.

- Dobrze wychowanie - zauważyła - jest godne podziwu w każdych okolicznościach. - Popatrzyła na niego kpiąco. - I godne zazdrości.

- Ty się trzymaj swojego wychowania, a ja będę się trzymał swojego.

 Ze śmiechem wsunęła mu rękę pod ramię.

- Zapewniam cię, że będę.

Popatrzył na jej wykwintną, wymanikiowaną dłoń. Nie sądził, żeby znalazła się jakaś druga kobieta na świecie, która tak jak ona wywoływałaby w nim uczucie, że eskortuje ją na bal, w momencie gdy zmagają się ze skalistym zboczem w pełnym słońcu.

- _ Postanowiłaś znowu być przyjacielska?
- Zdecydowałam się nie dąsać i mieć oczy otwarte na pierwszą sposobność odpłacenia ci za siniaki. A tymczasem lepiej powiedz, jak długo będziemy iść.
 - Podróż pociągiem zajęłaby około dwunastu godzin, a my mamy do pokonania trudniejszą drogę. Oblicz więc sobie.
 - Nie ma potrzeby się irytować - powiedziała łagodnie. - Czy nie możemy poszukać jakiejś wioski i wynająć samochodu?
 - Daj mi znać, kiedy zobaczysz znak Rent-a-car. To będzie prawdziwa rozkosz.
 - Powinieneś coś zjeść, Douglas. Pusty żołądek zawsze wprawia mnie w zły humor. - Odwróciła się od niego, żeby mógł sięgnąć do jej plecaka. - Śmiało, weź sobie coś.
- Walcząc ze śmiechem, rozluźnił zapięcie i wsadził rękę do środka. To fakt, że przydałoby mu się coś ciepłego i słodkiego. Jego palce przeczesały zawartość plecaka, aż natrafiły na owoce, dotykając jednocześnie czegoś miękkiego i jedwabistego. Zaciekawiony wyciągnął to na zewnątrz i zobaczył, że trzyma malutkie, ozdobione koronką majteczki. Więc ich jeszcze nie włożyła.
- Wspaniale wyglądają te owoce mango.
- Whitney obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak Doug przesuwa materiał między palcami.
- Zostaw w spokoju moje majtki.
- Uśmiechnął się tylko i podniósł je; jedwab błysnął w słońcu.
- Interesujące stwierdzenie. Po co ty w ogóle nosisz coś takiego?
 - Przez skromność - powiedziała, ucinając dyskusję. Śmiejąc się, wepchnął bieliznę z powrotem do plecaka.
 - Oczywiście.
- Wyjął mango i odgryzł zachłannie spory kawał; spływający sok ukoił zaschnięte gardło.
- Jedwab i koronki zawsze kojarzą mi się ze skromnymi małymi pielęgniarkami z krajów Trzeciego Świata.

- Masz przedziwną wyobraźnię - zauważyła, zwalniając przy schodzeniu ze wzniesienia. - Mnie kojarzą się zawsze z seksem.

Z tymi słowy wydłużyła krok do marszowego i rażno zagwizdała.

Wędrówka ciągnęła się w nieskończoność. Czuli działanie palących promieni słońca na każdym skrawku odkrytej skóry i pogodzili się z faktem, że spala się na brąz. Muchy brzęczały i gryzły, przyciągane zapachem olejku i potu, ale nauczyli się je ignorować. Owady były ich jedynymi towarzyszami podróży. Z nadejściem wieczoru Whitney znudziły się pofałdowane, skaliste wzniesienia i doliny. Straciły też na atrakcyjności zapachy pylistej ziemi i spalonej słońcem trawy. Obserwowała lot ptaka szybującego z wiatrem i nie dostrzegła długiego węża, który przesunął się tuż przed jej stopami i zniknął za skałą.

Nie było nic egzotycznego w spływającym pocie i ślizganiu się po kamieniach. Madagaskar byłby na pewno atrakcyjniejszy oglądany z chłodnego tarasu pokoju hotelowego. Tylko słabiutko się już tłące poczucie dumy powstrzymywało ją od zażądania, by się zatrzymali. Tak długo jak on będzie mógł iść, będzie mogła i ona.

Od czasu do czasu mijali małą wioskę czy osadę, zawsze przycupniętą nad brzegiem rzeki z przylegającymi do niej polami uprawnymi. Widać było unoszący się dym, a gdy wiatr wiał w ich stronę, słyszeli szczekanie psów i ryczenie bydła. Głosy ludzkie do nich nie dochodziły. Odległość i zmęczenie potęgowały wrażenie nierealności. Może chaty i pola to jedynie wytwór jej wyobraźni?

Patrząc przez polową lornetkę Douga, obserwowała grupkę ludzi pochylającą się nad bagnistym poletkiem. Były to w większości kobiety z dziećmi umocowanymi w płachtach na plecach. Widziała, jak wilgotna gleba drży i poddaje się ludzkim stopom.

W czasie swoich wędrówek po Europie Whitney nigdy nie widziała czegoś podobnego. Ale za to Paryż, Londyn i Madryt oferowały jej blask i kosmopolityczne wrażenia, do

jakich była przyzwyczajona. Nigdy dotąd nie niosła plecaka ani nie wędrowała po okolicy. Gdy po raz któryś z rzędu poprawiała ciężar na plecach, pocieszała się, że zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz - i ostatni. Mogła zachwycać się kolorytem, krajobrazem i przestrzenią, ale przeszkadzały jej w tym obolałe stopy.

Jeśli chciała oczyścić płuca, to mogła to zrobić w saunie. Jeśli chciała się zmęczyć, to rozgrywała z kimś partię tenisa.

Sapiąc i klejąc się od potu, stawiała mechanicznie jedną stopę przed drugą. Nie pozwoli się zepchnąć na drugie miejsce ani Dougowi Lordowi, ani nikomu innemu.

Doug popatrzył na słońce i doszedł do wniosku, że będą musieli poszukać jakiegoś schroniska. Cienie się wydłużały. Na zachodzie niebo pokryło się czerwonymi smugami. Normalnie starałby się iść nocą, ale góry Madagaskaru nie były dobrym miejscem na wędrowkę po ciemku.

Kiedyś szedł nocą przez Góry Skaliste i o mały włos nie złamał nogi. Doskonale pamiętał, jak zjeżdżał ze skały. Nie zaplanowany zjazd w dół po stromej ścianie doskonale maskował jego ślady, ale za to musiał kuśtykać do Boulder. Kiedy zajdzie słońce, zatrzymają się i zaczekają do świtu.

Nadal czekał, aż Whitney zacznie narzekać, jęczeć i protestować - słowem robić to, co każda kobieta w takiej sytuacji. I znowu Whitney nie zachowała się tak, jak tego oczekiwał. Było tak od pierwszej chwili, kiedy ich oczy się spotkały. Tak naprawdę to chciał, żeby narzekała. Łatwiej by wytłumaczył sobie porzucenie jej przy pierwszej sposobności. Przedtem zgarnąłby jej forszę. Gdyby się poskarżyła, mógłby zrobić i jedno, i drugie bez wyrzutów sumienia. Tymczasem ona nie zwalniała tempa i niosła swoją część bagażu. To dopiero pierwszy dzień, pomyślał. Poczekaj cierpliwie. Ciepłarniane kwiaty szybko usychają, kiedy się je wystawi na świeże powietrze.

- Zajrzyjmy do tej jaskini.

Oślaniając oczy, poszła za jego wzrokiem.

- Jaskini? - Zobaczyła niewielki otwór i bardzo ciemną dziurę. - Masz na myśli tę dziurę?

- Taaa. Jeśli nie jest zajęta przez któregoś z naszych czworo-
nożnych przyjaciół, będzie z niej doskonały hotel na noc.

Mam wejść do środka? - pomyślała ze strachem.

- Beverly Wilshire jest doskonałym hotelem. - Nawet
nie raczył na nią spojrzeć.

- Najpierw przekonajmy się, czy jest tam wolne miejsce.

Przełykając ślinę, obserwowała, jak zdejmuje plecak i wpeł-
za do środka. Przez chwilę miała ochotę go zawołać. Każdy
ma prawo do fobii, pomyślała, podchodząc bliżej. Jej fobią
był strach przed małymi, zamkniętymi przestrzeniami. Mimo
zmęczenia przeszlaby raczej następne dziesięć mil, niż wpełzła
do tego małego, ciemnego otworu.

- To nie jest Wilshire - powiedział Doug, wyłaząc. -
Ale może być. Przyjęli naszą rezerwację.

Whitney usiadła na kamieniu i rozejrzała się. Wokół nie
było nic prócz skał, kilku karłowatych sosen i wszędobyl-
skiego kurzu.

- O ile dobrze pamiętam, to zapłaciłam wygórowaną
cenę za namiot, który składa się jak chusteczka. Nalegałeś,
żeby go kupić - przypomniała mu. - Czy nigdy nie słyszałeś
o przyjemności spania pod gwiazdami?

- Kiedy ktoś depcze mi po piętach, a oni podeszli już
dostatecznie blisko, to lubię mieć zabezpieczone tyły. - Nie
wstając z klęczek, podniósł swój plecak. - Dimitri pewnie
nas szuka gdzieś na zachodzie, ale nie mam zamiaru ryzy-
kować. W górach robi się zimno w nocy - dodał. - W tej
jaskini możemy spróbować rozpalić małe ognisko.

- Polowe ognisko. - Whitney przyjrzała się swoim paz-
nokciom. Jeśli nie zrobi manikiuru, będą marnie wyglądały. -
Jakie to romantyczne. W tak małym pomieszczeniu podusi-
my się od dymu w ciągu kilku minut.

Doug wyciągnął z plecaka mały toporek i rozpiął skórzany
futurał.

- Pięć stóp dalej jaskinia staje się większa. Można tam
nawet stanąć. - Podchodząc do chudej sosny, począł odrąby-
wać gałąź. - Czy zajmowałaś się kiedyś speleologią?

- Czym?

- Czy chodziłaś po jaskiniach- wyjaśnił, uśmiechając
- Znałem kiedyś wspaniałego speleologa. - Jej tatuś był właścicielem banku. Przypomniawszy sobie, że nie dał rady wyłudzić od niej niczego więcej oprócz paru niezapomnianych nocy w jaskini.

- Zawsze uważałam, że na świecie jest wiele ciekawszych rzeczy od dziur w ziemi.

- Wobec tego wiele straciłaś, złotko. Może to nie jest wielka atrakcja turystyczna, ale są tam wspaniałe okazy stalaktytów i stalagmitów.

- Ekscytujące - powiedziała oschle.

Kiedy spojrzała w głąb jaskini, zobaczyła jedynie bardzo mały, bardzo ciemny otwór. Już sam jego widok sprawił, że kropelki zimnego potu wystąpiły jej na czoło.

Zirytowany, począł przygotowywać zapas drewna na ognisko.

- No tak. Kobieta taka jak ty nigdy nie uzna formacji skalnych za ekscytujące. Chyba że mogłabyś je włożyć.

One są wszystkie takie same, kobiety, które noszą francuskie sukienki i włoskie buty. Dlatego wołał tancerki lub prostytutki. U nich można znaleźć poczciwość i trochę ognia.

Whitney oderwała wzrok od otworu i zmrużyła oczy.

- Co masz na myśli, mówiąc „kobieta taka jak ja”?

- Zepsuta- powiedział, rzucając toporek na ziemię. I przyziemna.

- Przyziemna. - Podniosła się z kamienia. Zepsuta mogła zaakceptować. - Przyziemna - powtórzyła. - Masz piekielnie dużo odwagi, nazywając mnie przyziemną, Douglas. Ja nie ułatwiam sobie życia, kradnąc!

- Bo nie musisz. - Podniósł głowę i ich oczy spotkały się. Jego były zimne, jej płonące. - To właśnie nas dzieli, księżniczko. Urodziłaś się ze srebrną łyżeczką w ustach. Ja zaś urodziłem się, by ją wyjąć i sprzedać. - Zgarnął drewno na ognisko pod pachę i podszedł do otworu. - Jeśli chcesz jeść, to zberz swój elegancki tyłeczek do środka. Tu służba hotelowa nie obsługuje. - Zwinnie i szybko chwycił plecak, wpełzł do środka i zniknął we wnętrzu.

Jak on śmie! Z rękami na biodrach wpatrywała się w otwór. Jak on śmie mówić tak do niej, po tym jak przeszła tyle mil! Od chwili kiedy go spotkała, strzelano do niej, grożono, ścigano i wypychano z pociągu. A w dodatku kosztowało ją to tysiące dolarów. Jak on śmie mówić do niej tak, jakby była wdzięczną się debiutantką, która ma pusto w głowie! Nie ujdzie mu to na sucho.

Przez chwilę miała ochotę pójść sobie i zostawić go w tej jaskini jak jakiegoś zrzędlivego niedźwiedzia. Niedoczekanie. Wzięła długi, głęboki oddech, wpatrując się w wejście do grotty. Nie, przecież o to mu właśnie chodziło. Pozbyłby się jej i zagarnął cały skarb dla siebie. Nie da mu tej satysfakcji. Nawet gdyby miała umrzeć, jest z nim związana, dopóki nie odzyska ostatniego centa. I jeszcze więcej.

O wiele, wiele więcej, pomyślała, zaciskając zęby. Opierając się na kolanach i rękach, ruszyła w głąb jaskini.

Czysty gniew prowadził ją przez pierwsze parę metrów. Potem zimny pot i strach przykuły ją do miejsca. Zaczęła tracić oddech, nie była w stanie ani iść do przodu, ani się wycofać. Znajdowała się w skrzyni, ciemnej, bez powietrza. Wieko już się zamknęło, by ją udusić. Czuła, że wilgotne ściany i ciemność zbliżają się, wyciskając z niej całe powietrze. Oparła głowę na twardej ziemi, walcząc z ogarniającą histerią.

Nie, nie podda się. Nie może. On był niedaleko, tuż-tuż. Gdyby krzyknęła, usłyszałby. Lecz duma była równie silna jak strach. Nie da mu okazji do satysfakcji. Chwyając powietrze, zaczęła się posuwać wolno do przodu. Mówił, że jaskinia otwiera się. Będzie mogła oddychać, jeśli podpełźnie parę stóp dalej.

Boże, jakże pragnęła zobaczyć światło! Poczuć przestrzeń i powietrze. Zwijając dłonie w pięści, walczyła z przemożną chęcią krzyczenia. Nie, nie zrobi z siebie idiotki przed nim. Nie zrobi z siebie przedstawienia.

Leżąc twarzą do ziemi i tocząc wewnętrzną walkę, dostrzegła błysk światła. Skoncentrowała się na odgłosie łamania drewna i delikatnym zapachu sosnowego dymu. Roz-

pałał ogień. Nie będzie ciemno. Musi przesunąć się jeszcze parę stóp i nie będzie już ciemno.

Zebrała całą siłę i odwagę, o jaką nawet siebie nie posądzała. Cał po cał posuwała się do przodu, aż światło omiotło jej twarz i ściany się rozstały. Wykończona leżała przez chwilę bez ruchu, chwytając spazmatycznie powietrze.

- Zdecydowałaś się więc przyłączyć do mnie?

Odwrócony do niej plecami wyjmował jeden z fikuśnie składanych pojemników na gorącą wodę. Myśl o gorącej, mocnej kawie trzymała go przy życiu przez ostatnie pięć mil.

- Holenderski obiad, złotko. Owoce, ryż i kawa. Ja zajmę się kawą. Przekonajmy się, co ty potrafisz zrobić z ryżem.

Drżąc na całym ciele, uniosła się do pozycji siedzącej.

To minie, przekonywała siebie. Za kilka chwil nudności i zawroty miną. Potem pomyśli, jak on jej za to zapłaci.

- Źle, że nie zabraliśmy białego wina, ale...

Odwrócił się i urwał w połowie zdania. Czy to złudzenie, czy też jej twarz rzeczywiście była szara? Zmarszczył brwi, ustawił garnek na ogniu i podszedł do niej. To nie było złudzenie. Wyglądała, jakby się miała za chwilę całkiem rozpaść. Niepewny swoich odczuć, kucnął przy niej.

- Co się stało?

Popatrzyła na niego pałającym wzrokiem.

- Nic.

- Whitney. - Dotknął jej ręki. - Chryste, jesteś zimna jak lód. Podejdź do ognia.

- Nic mi nie jest. - Z wściekłością wyrwała mu rękę. - Zostaw mnie w spokoju.

- Zaczekaj. - Zanim miała czas się odsunąć, chwycił ją w ramiona. Czuł, jak drży. Nie powinna wyglądać tak młodo, tak bezbronne. Kobiety z mocnymi akcjami i błyszczącymi brylantami nie muszą się niczego obawiać. - Przyniosę ci trochę wody - mruknął. Bez słowa sięgnął po menażkę i otworzył ją. - Jest trochę za gorąca, pij powoli.

Popijała małymi łydkami. Rzeczywiście była gorąca i miała smak żelaza. Wypiła jeszcze parę łyków.

- Nic mi nie jest - powiedziała napiętym, zirytowanym głosem. Nie powinien być taki troskliwy.

- Odpocznij chwilę. Jeśli jesteś chora...

- Nie jestem chora. - Oddała mu manierkę. - Mam tylko mały problem z zamkniętymi przestrzeniami. Jestem już w środku i za chwilę dojdę do siebie.

Nie taki znów mały, pomyślał i wziął ją ponownie za rękę. Była wilgotna, zimna i drżąca. Poczł wyrzuty sumienia i znieawidził się za to. Nie pozwolił jej na odpoczynek, odkąd wyruszyli. Nie chciał. Bał się, że kiedy stanie się łagodny i opiekuńczy, straci grunt pod nogami. Już mu się to zdarzało. Ale ona drżała.

- Whitney, powinnaś była mi powiedzieć.

Przekrzywiła głowę tak, że mógł ją tylko podziwiać.

- I zrobiłabym z siebie idiotkę.

- Dlaczego? Nigdy się tym nie przejmowałem.

Uśmiechnął się i odsunął jej włosy ze skroni. Nie ma zamiaru się rozpłakać. Dzięki Bogu.

- Ludzie, którzy się urodzili głupcami, rzadko się przejmują. - Jej głos utracił ostrość. - W każdym razie jestem już w środku. Może być potrzebny dźwig, by mnie stąd wyciągnąć. - Wolno oddychając, rozejrzała się po obszernej jaskini ze skalnymi słupami, o których mówił. W świetle ogniska kamienie połyskiwały, sprawiając wrażenie rucho-myh. Z dreszczem zauważyła zwiniętą skórę węża pod ścianą. - Nawet jeśli ta jaskinia jest udekorowana w stylu wczesnoneandertalskim.

- Mamy linę. - Musnął wierzchem dłoni jej policzek. Twarz nabierała kolorów. - Jeśli nie będzie innego wyjścia, po prostu wyciągnę cię stąd, kiedy przyjdzie czas. - Odwrócił się i zobaczył, że woda zaczyna się gotować. - Napijmy się kawy.

Kiedy był odwrócony do niej plecami, Whitney przyłożyła rękę do policzka w miejscu, gdzie go dotknął. Nie sądziła, że może być tak zaskakująco miły.

A może był? Zdjęła z westchnieniem plecak. Przecież ona ma forsę.

- Nie mam pojęcia o gotowaniu ryżu.

Otworzyła plecak i wyjęła siatkę z owocami. Niektóre z nich popękały i wydzielały mocny zapach. Żaden siedmiodaniowy obiad nie wyglądał tak smakowicie.

- Wystarczy jedynie gotować i mieszać. Ryż, woda, ogień... - Obejrzał się przez ramię. - Powinnaś dać sobie z tym radę.

- Kto umyje naczynia? - zapytała, wlewając wodę do drugiego garnka.

- Skoro wspólnie gotujemy, to i zmywamy wspólnie. - Uśmiechnął się ciepło. - W końcu jesteśmy współnikami.

- Naprawdę? - Uśmiechając się słodko, postawiła garnek na ogniu i poczuła zapach kawy. Jaskinia pełna odchodów i wilgoci stała się nagle przytulna. - Wobec tego, współniku, kiedy pozwolisz mi obejrzeć papiery?

Doug podał jej metalowy kubek z kawą.

- A kiedy dasz mi połowę forsy?

Jej oczy uśmiechnęły się do niego znad kubka.

- Kawa jest wspaniała, Douglas. Jeszcze jeden z twoich rozlicznych talentów.

- Taaa. Natura mi ich nie poskapiła. - Wypił połowę swojej porcji, rozkoszując się ciepłym rozchodzącym się po całym organizmie. - Zostawię cię w kuchni i zajmę się naszymi posłaniami.

Whitney wyciągnęła torbę z ryżem.

- Mam nadzieję, że te śpiwory okażą się puchowymi łózkami, tyle za nie zapłaciłam.

- Masz obsesję na punkcie pieniędzy, złotko.

- Mam pieniądze.

Zamruczał coś cicho, szykując spanie. Nie rozróżniła słów, ale pojęła ich sens. Uśmiechając się do siebie, zaczerpnęła ryżu z torebki, jedną garść, potem drugą. Skoro ryż ma być ich głównym daniem, pomyślała, to trzeba się przynajmniej najeść do syta. Ponownie sięgnęła do torebki.

Dobrą chwilę zajęło jej rozszyfrowanie mechanizmu łyżki, która sama się rozkładała. Zanim ją otworzyła, woda zaczęła się gotować. Raczej zadowolona z siebie zamieszała łyżką w garnku.

- Rób to widelcem - odezwał się Doug, rozkładając śpiwory. - Łyżka rozbija ziarna.

- Ale maruda - mruknęła, lecz posłusznie wzięła widelec. - Skąd ty tyle wiesz o gotowaniu?

- Wiem dużo o jedzeniu - powiedział swobodnie. - Nieczęsto jestem w sytuacji, kiedy mogę rozkoszować się potrawami, na które mam ochotę. - Rozłożył drugi śpiwór obok pierwszego. Po krótkim wahaniu odsunął go o stopę. Lepiej będzie zachować odległość. - Więc nauczyłem się gotować. To daje satysfakcję.

- Wtedy, kiedy ktoś inny to robi.

Wzruszył ramionami.

- Lubię gotować. Trochę pomysłu, kilka przypraw i możesz jeść jak królowa, nawet w obskurnym pokoju hotelowym. A kiedy mnie przyciśnie, pójdę pracować do restauracji na jakiś czas.

- Praca? Jestem rozczarowana.

Pozwolił sobie na nutkę sarkazmu:

- To jedyna, którą byłbym w stanie znieść. Poza tym możesz dobrze się najeść i sprawdzić klientelę.

- Dla przyszłych celów?

- Nie powinno się przepuszczać żadnej okazji. - Wyciągnął się na śpiworze, opierając plecami o ścianę, i wyjął papierosa.

- Czy to ma być motto skautowskie?

- Jeśli nawet nie jest, to powinno być.

- Założę się, że zdobyłbyś wszystkie sprawności, Douglas.

Uśmiechnął się, rozkoszując ciszą, papierosem i kawą. Już dawno nauczył się cieszyć z tego, co ma, i planować więcej.

- Jakoś zawsze bym sobie poradził - odpowiedział. - Jak tam obiad?

Zamieszała ponownie ryż.

- Dochodzi - uznała, jeśli w ogóle mogła to ocenić.

Leniwie przyglądał się słupom skalnym, które uformowała kapiąca z góry przez wieki woda, tworząc długie włócznie. Zawsze fascynowała go starożytność, spuścizna, może

dlatego, że sam tego nie miał. Wiedział, że to był jeden z powodów, które pchają go na północ, do klejnotów i związanych z nimi opowieści.

- Ryż jest lepszy, kiedy się go podsmaży na maśle, z grzybami i pokrojonymi w paseczki migdałami.

Poczuła, jak burczy jej w brzuchu.

- Zjedz banana - zaproponowała i rzuciła mu jednego. - Czy masz jakiś pomysł na to, jak uzupełnimy zapasy wody?

- Możemy zejść rano do wioski. - Wypuścił chmurę dymu. Jedyna rzecz, jakiej mu brakowało, to gorąca kąpiel, no i może... ładna, pachnąca blondynka, która wyszorowałaby mu plecy. To będzie pierwsze, co zrobi, kiedy będzie już miał skarb w garści.

Whitney skrzyżowała nogi i wzięła do ręki owoc.

- Sądysz, że to bezpieczne?

Wzruszył ramionami i dopił kawę. Była to raczej sprawa konieczności niż bezpieczeństwa.

- Potrzebujemy wody i moglibyśmy wytargować kawałek mięsa.

- Zaciekawiasz mnie.

- Według mnie Dimitri wiedział, że pociąg jedzie do Tamatave, i tam właśnie będzie nas szukał. Mam nadzieję, że kiedy się tam znajdziemy, on będzie nas szukał gdzie indziej.

Wbiła zęby w owoc.

- Więc on nie ma pojęcia, dokąd ty zmierzasz?

- Nie większe niż ty, złotko.

Miał taką nadzieję. Ale stale czuł mrowienie w plecach. Zaciągnął się po raz ostatni papierosem i wrzucił niedopałek w ogień.

- O ile wiem, nigdy nie widział tych dokumentów, a przynajmniej nie wszystkie.

- Skoro ich nigdy nie widział, to jak się dowiedział o skarbie?

- Uwierzył, złotko, tak samo jak ty.

Uniosła w zdziwieniu brew, patrząc na jego nieszczerzy uśmiech.

- Ten Dimitri nie wygląda mi na człowieka, który kieruje się wiarą.

- No to instynkt mu podpowiedział. Pewien człowiek nazwiskiem Whitaker wykombinował, że sprzeda te papiery temu, kto da najwięcej, by wyciągnąć z tego korzyści bez konieczności wykopywania skarbu. Pomysł ze skarbem, w dodatku udokumentowanym, podzielał na Dimitriego. Mówiłem ci, że ma specyficzną wyobraźnię.

- Rzeczywiście. Whitaker... - Szukając nazwiska w pamięci, zapomniała pomieszać ryż. - George Allan Whitaker?

- Ten sam. Znasz go?

- Słabo. Spotykałam się z jednym z jego kuzynów. Mówi się, że zrobił pieniądze między innymi na przemyśle alkoholowym.

- Na szmuglu, szczególnie przez ostatnie dziesięć lat czy coś koło tego. Pamiętasz te szafiry Geraldiego, które zostały skradzione chyba w siedemdziesiątym szóstym?

Zmarszczyła czoło.

- Nie.

- Powinnaś śledzić bieżące wydarzenia, złotko. Przeczytaj książkę, którą buchnąłem z biblioteki w Waszyngtonie.

- *Zaginione klejnoty*? - Whitney wzruszyła ramionami. - Wolę fikcję.

- Powinnaś poszerzyć krąg zainteresowań. Z książek możesz nauczyć się wszystkiego, co jest do nauczenia.

- Naprawdę? - Popatrzyła na niego z zainteresowaniem. - Lubisz więc czytać?

- Po seksie to moja ulubiona rozrywka. Wracając do szafirów Geraldiego, to najpiękniejszy po królewskim garnitur klejnotów.

Zaintrygowana uniosła brew.

- To ty je ukradłeś?

- Nie. - Oparł się plecami o ścianę. - W siedemdziesiątym szóstym byłem w dołku. Nie miałem nawet na samolot do Rzymu. Ale mam znajomości. Podobnie Whitaker.

- Czy to on je ukradł? - Jej oczy rozszerzyły się, kiedy pomyślała o szczupłym starszym panu.

- Zorganizował - poprawił Doug. - Od kiedy stuknęło mu sześćdziesiąt lat, nie lubi brudzić sobie rąk. Lubi ucho-
dzić za eksperta od archeologii. Nie widziałaś któregoś z jego
programów w telewizji?

Więc ogląda również telewizję. Wszechstronny złodziej.

- Nie, ale słyszałam, że chce zostać drugim Jacques'iem
Cousteau.

- Nie ta klasa. Jednak miał całkiem niezłe notowania
w ciągu ostatnich paru lat. Naciągnął mnóstwo grubych ryb
z wielkimi kontami bankowymi na różne prace poszukiwaw-
cze. Rozkręcił całkiem niezły interes.

- Mój ojciec twierdzi, że jest gównem wart - powiedziała
Whitney leniwie.

- Twój ojciec ma więcej rozumu w głowie niż lodów.
W każdym razie Whitaker zgrywał pośrednika w handlu
kamieniami i dziełami sztuki, które kursowały z jednej stro-
ny Atlantyku na drugą. Jakiś rok temu wyłudził od pewnej
angielskiej damy paczkę starych dokumentów i listów.

Jej zainteresowanie wzrosło.

- Naszych dokumentów?

Zbył wzruszeniem ramion formę „naszych”.

- Ta dama uważała, że mają one wartość dzieła sztuki
lub historyczną. Napisała na ten temat mnóstwo książek.
Był w to wmieszany pewien generał, który prawie dobił
z nią targu, ale Whitaker miał wprawę w schlebieniu ma-
tronom i kierował się prostym celem: chciwością. Kłopot
w tym, że był spłukany i musiał trochę sprawę rozreklamo-
wać, by zdobyć fundusze na wyprawę.

- I w tym momencie pojawił się Dimitri.

- Otóż to. Jak już mówiłem, Whitaker przeprowadził ot-
wartą licytację. Miał to być wielki interes. Ze współnikami -
dodał z leniwym uśmiechem. - Dimitri nie lubi współzawodni-
ctwa, dlatego przedstawił kontrpropozycję. - Skrzyżował nogi
i obrał banana. - Whitaker pozwolił mu zabrać papiery, a Dimi-
tri pozwolił Whitakerowi zachować wszystkie palce u rąk i nóg.

Whitney odgryzła następny kęs owocu, ale miała trud-
ności z przełknięciem go.

- Niezły z niego biznesmen.

- Tak, Dimitri lubi kierować i działać. Kłopot w tym, że zastosował wobec Whitakera zbyt silną perswazję. Staruszek najwidoczniej miał kłopoty z sercem. Przekreślił się, zanim Dimitri dostał papiery lub wykonał groźbę. Nie jestem pewny, co go bardziej rozwścieczyło. Dimitri przedstawił mi to jako nieszczęśliwy wypadek czy coś w tym rodzaju, kiedy wynajął mnie, żebym je ukradł. - Ugryzł banana ze smakiem. - Opisał mi obrazowo, jak zamierzał zmienić decyzję Whitakera, by napędzić mi stracha i powstrzymać przed kombinowaniem na własną rękę. - Przypomniał sobie małe srebrne szczypce, którymi Dimitri bawił się w czasie rozmowy. - Podziałało.

- Ale w końcu je zabrałeś.

- Dopiero wtedy, gdy próbował mnie wykiwać - odpowiedział z ustami pełnymi banana. - Gdyby zagrał fair, dostałby te papiery. Odebrałbym swoją dolę i spędził krótki urlop w Cancun.

- Ale dzięki temu je masz. A żadnej okazji nie powinno się zmarnować.

- Właśnie, siostrze. Jezu Chryste!

Doug zerwał się na równe nogi i rzucił w stronę ognia. Whitney odruchowo podkuliła nogi, spodziewając się czegoś w rodzaju obleśnego węża lub ohydneho pajaka.

- Cholerna babo, ile ryżu wsypałaś?

- Ja... - Urwała i gapiła się, jak łapie za garnek. Ryż wpływał jak lawa. - Ze dwie garście - powiedziała i zakryła usta, by nie parsknąć śmiechem.

- Akurat.

- No więc cztery. - Przycisnęła dłoń do ust, szukając talerza. - Albo pięć.

- Cztery albo pięć - mruzczał, zbierając ryż na talerze. - Jak ja mogłem wylądować w jaskini na Madagaskarze z taką niedołągą?

- Mówiłam, że nie umiem gotować - przypomniała, patrząc na brązową kleistą papkę na talerzu. - Po prostu to udowodniłam.

- W nadmiarze.

Słyszając jej stłumiony chichot, obejrzał się. Siedziała na sposób indiański, jej spódnica i bluzka były brudne, tasiemka na końcu warkocza rozwiązała się. Przypomniał sobie, jak wyglądała, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy: chłodna i elegancka, w białym kapeluszu i puszystym futrze. Dlaczego i teraz była tak pociągająca?

- Śmieję się - burknął, podsuwając jej talerz. - Będziesz musiała zjeść swoją część.

- Na pewno jest dobry.

Widelcem, którym uprzednio mieszała w garnku, dziobnęła odważnie ryż. Miał dziwny smak, lecz dawał się zjeść. Wzruszając ramionami, zabrała się do jedzenia. Choć nigdy nie była w sytuacji żebrzącego, słyszała, że nie należy wybrzydać.

- Nie bądź dzieckiem, Douglas - powiedziała. - Jeśli zdobędziemy grzyby i migdały, następnym razem ugotujemy według twojego przepisu.

Wcinała papkę ryżową z zapałem dziecka pochylonego nad porcją lodów. Nie do końca zdając sobie z tego sprawę, po raz pierwszy doświadczyła prawdziwego głodu.

Doug przyglądał się jej, jedząc wolniej i z mniejszym entuzjazmem. Bywał już głodny i pomyślał, że będzie znowu. Ale ona... Jadła ryż na blaszanym talerzu, w spódnicy ozdobionej smugami brudu, ale mimo to potrafiła pozostać damą. Uznał to za fascynujące i na tyle intrygujące, by zadać sobie pytanie, czy zawsze tak będzie. Ta współpraca, pomyślał, może okazać się bardziej interesująca, niż się tego spodziewał. Dotąd, dokąd będzie trwać.

- Douglas, a co z tą kobietą, która dała mapę Whitakerowi?

- A co ma być?

- No, co się z nią stało?

Z trudem przełknął dużą porcję ryżu.

- Butrain.

Kiedy podniosła oczy, ujrzał pojawiający się w nich strach i pomyślał, że to dobrze. Lepiej dla nich obojga, żeby pojęła,

iż gra idzie o wielką stawkę. Ale kiedy sięgała po kawę, ręce jej się nie trzęsły.

- Rozumiem. Tak więc jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który widział te papiery.

- Zgadza się, złotko.

- On będzie chciał cię zabić i mnie także.

- To również się zgadza.

- Ale ja ich nie widziałam.

Niedbale dziobał ryż.

- Jeśli dostanie cię w swoje ręce, nie wolno ci nic powiedzieć.

Przyglądała mu się chwilę.

- Jesteś drań pierwszej klasy, Doug.

Tym razem się uśmiechnął, bo usłyszał w jej głosie lekki odcień podziwu.

- Lubię pierwszą klasę, Whitney, i mam zamiar w niej żyć przez resztę moich dni.

Dwie godziny później znowu ją przeklinał, tym razem w duchu. Ognisko się dopalało, oświetlając jaskinię nikłym czerwonym światłem. Gdzieś z głębi dochodziło rytmiczne i dźwięczne kapanie wody. Przypomniał mu się drogi, wymyślny burdel w Nowym Orleanie.

Oboje byli wyczerpani po trudach długiego, ciężkiego dnia. Doug zdjął buty, myśląc jedynie o pogrążeniu się w nieświadomości. Nie wątpił, że będzie spał jak zabity.

- Wiesz, jak się z tym obchodzić? - zapytał leniwie, rozsuwając swój śpiwór.

- Myślę, że poradzę sobie z zapieciem, dzięki. - Wtedy zrobił błąd: obejrzał się i nie mógł już oderwać wzroku.

Bez cienia wstydu Whitney zdjęła bluzkę. Przypomniał sobie jej cieniutką haleczkę, którą widział w świetle poranka. Kiedy ściągnęła spódnicę, ślina napłynęła mu do ust.

Nie, nie była bezwstydną, była tylko śmiertelnie zmęczona. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy grać roli skromnisi. Nawet gdyby o tym pomyślała, uznałaby, że halka jest wystarczającym okryciem. Przecież wybierając się na publiczną plażę, ubierałaby się o wiele bardziej skapo. Jej jedyną myślą

było znaleźć się w pozycji horyzontalnej, zamknąć oczy i zapnąć w sen.

Gdyby nie była tak zmęczona, zapewne ucieszyłby ją stan, w jaki wprawiła okolice łądzwi Douga. Dałoby jej to pewną satysfakcję, gdyby wiedziała, że jego mięśnie napężyły się, kiedy obserwował delikatne błyski światła, igrające na jej skórze, gdy pochylała się, by zapiąć śpiwór. Sprawiłoby jej przyjemność, gdyby spostrzegła, jak traci oddech, kiedy cieniutki materiał odsłania górna partię bioder i uwydatnia jej wypukłości.

Nieświadoma niczego wsunęła się do wnętrza śpiwora i zaciągnęła suwak. Obraz znikł, pozostała jedynie chmura jasnych włosów z rozplecionego warkocza. Z westchnieniem podłożyła ręce pod głowę.

- Dobranoc, Douglas.

- Mhm.

Ściągnął koszulę, potem chwycił za końce plastra i wstrzymał oddech. Szarpnął bezlitośnie i ogień przeszedł mu przez pierś. Whitney nawet nie drgnęła, kiedy jego przekleństwo odbiło się od ścian jaskini. Mocno spała. Przeklinając ją, przeklinając swój ból, wrzucił kopertę do plecaka i wlaźł do śpiwora. We śnie oddychała wolno i spokojnie.

Doug gapił się na sufit i cierpiał nie tylko z powodu rany na piersi.

6

Coś połaskotało ją w rękę. Opędzając się przed tym czymś, co przeszkadzało jej spać, poruszyła leniwie nadgarstkiem i wrzasnęła.

Zawsze trzymała się ściśle ustalonych godzin. Jeśli chciała spać do południa, spała do południa. Jeśli chciała wstać o świcie, to wstawała. Jeśli miała akurat taki nastrój, mogła pracować po osiemnaście godzin na dobę. Z równym zapalem mogła również tyle spać.

W tej chwili interesował ją tylko niewyraźny, raczej piękny sen, który śniła. Kiedy poczuła miękkie dotknięcie na ręce, westchnęła lekko zirytowana i otworzyła oczy.

Ponad wszelkie prawdopodobieństwo był to największy i najgrubszy pająk, jakiego kiedykolwiek widziała. Wielki, czarny i owłosiony, badał teren swoimi kabłąkowatymi nogami. Whitney ujrzała go w pełnej krasie, w momencie kiedy leniwie pokonywał dłoń, kierując się w stronę jej nosa. Przez moment, jeszcze niezupełnie przytomna, gapiła się na niego w bladym świetle.

To jej dłoń! To jej nos!

Świadomość objawiła się w sposób głośny i wyraźny. Tłumiąc wrzask, strzepnęła pająka, wyrzucając go kilka stóp w górę. Wylądował z mocnym pacnięciem na podłodze jaskini, a potem, idąc zygzakami, zniknął jej z oczu.

Nie przestraszyła się tego pająka. Nawet nie przyszło jej do głowy, że może być niebezpieczny. Był po prostu ohydny, a Whitney nienawidziła brzydoty.

Usiadła, otrząsając się ze wstrętem, i wsunęła palce

w rozczochrane włosy. No cóż, kiedy się śpi w jaskini, można się spodziewać wizyty ohydnych sąsiadów. Lecz dlaczego nie spotkało to Douga? Dochodząc do wniosku, że nie ma powodu, żeby on ciągle spał, kiedy ona została tak brutalnie wyrwana ze snu, Whitney odwróciła się z mocnym postanowieniem dania mu porządnego kuksańca.

Miejsce obok niej było puste, śpiwór też zniknął.

Zaniepokojona, lecz jeszcze nie przerażona, rozejrzała się. Jaskinia była pusta, pozostały tylko skalne formacje, przypominające opuszczony, zniszczony pałac. Palenisko zamieniło się w kupę dogasającego żaru. Powietrze pachniało wilgocią. Część owoców zaczęła już gnić. Plecak Douga, podobnie jak śpiwór, zniknął.

Drań. Podły drań. Wyniósł się razem z papierami i zostawił ją w tej przeklętej jaskini z paroma owocami, torbą ryżu i pajakiem wielkim jak talerz.

Zbyt wściekła, by się dłużej zastanawiać, rzuciła się do wyjścia i zaczęła czołgać wzdłuż tunelu. Kiedy poczuła, że znów się dusi, przyspieszyła tempo. Do diabła z fobiami, pomyślała. Nie pozwoli, by ją ktoś oszukał i uszło mu to na sucho. Żeby go dopaść, musi się stąd wydostać. A gdy go dopadnie...

Zobaczyła wyjście i skoncentrowała uwagę na nim i na zemście. Dysząc i drżąc na ciele, wysunęła się na słońce. Gramoląc się na nogi, nabrała w płuca powietrza i krzyknęła:

- Lord! Lord, ty sukinsynu!

Krzyk wzniósł się w powietrze i odbił echem od skały o połowę cichszy, lecz podwójnie wściekły. Rozejrzała się bezsilnie po czerwonych górach i skałach. W jaki sposób dowie się, którądy poszedł?

Na północ. Niech to diabli, on ma kompas! I mapę. Zazgrzytała zębami i krzyknęła znowu:

- Lord, ty draniu, nie ujdzie ci to na sucho!

- Co?

Obróciła się na pięcie i nieomal na niego wpadła.

- Gdzieś ty był, u diabła? - rzuciła wściekle. Z ulgą

i złością chwyciła go za koszulę i szarpnęła. - Gdzieś ty, u diabła, polazł?

- Spokojnie, złotko. - Poklepał ją przyjacielsko po pośladkach. - Gdybym wiedział, że chcesz położyć na mnie ręce, zostałbym dłużej.

- Zacisnąć je na twoim gardle. - Zwolniła uchwyt i gwałtownie się odsunęła.

- Od czegoś trzeba zacząć. - Położył swój plecak przy wejściu do jaskini. - Myślisz, że zostawiłbym cię na lodzie?

- Przy pierwszej okazji.

Musiał przyznać, że jest sprytna. Przyszło mu to do głowy, lecz po szybkiej lustracji terenu nie znalazł argumentu na to, by ją zostawić w tej jaskini, w samym środku tego pustkowia. Jednak taka myśl przemknęła mu przez głowę.

Teraz postanowił użyć swego uroku osobistego.

- Whitney, przecież jesteśmy współnikami i... - Podniósł rękę i przesunął palcem wzdłuż jej policzka. - Jesteś kobietą. Jakiz mężczyzna mógłby cię zostawić samą w takim miejscu?

Na jego ujmujący uśmiech odpowiedziała podobnym.

- Taki, który sprzedałby skórę własnego psa, gdyby cena była odpowiednia. Więc gdzie byłeś?

Nie sprzedałby skóry, ale mógłby sprzedać całego psa, gdyby to było konieczne.

- Twarda z siebie sztuka. Spałaś tak słodko. - Ona tak, a on spędził większą część nocy, przewracając się z boku na bok i fantazjując. Tak łatwo jej tego nie wybaczy. Ale przyjdzie jeszcze czas na zapłatę. - Chciałem się tylko trochę rozejrzeć, więc nie było sensu cię budzić.

Odetchnęła głęboko. Brzmiało to rozsądnie, a poza tym przecież wrócił.

- Następnym razem obudź mnie, kiedy zechcesz bawić się w Daniela Boone'a.

- Jak sobie życzysz.

Spostrzegła ptaka szybującego nad głową. Obserwowała go przez chwilę, dopóki się nie uspokoiła. Niebo było czyste, powietrze rześkie, słońce jeszcze nie prażyło. Upał zacznie

się za kilka godzin. I była jakaś cisza, którą słyszała jedynie parę razy w ciągu swojego życia. Działała kojąco.

- Skoro zrobiłeś lustrację terenu, to może zdasz raport.

- W wiosce jest cicho. - Wyciągnął papierosa, którego natychmiast mu zabrała. Wyjął wobec tego drugiego i zapalił oba. - Nie podszedłem na tyle blisko, by móc przedstawić dokładne dane, ale wygląda zwyczajnie. Według mnie to najlepszy moment na złożenie wizyty, kiedy wokół panuje cisza i spokój.

Whitney popatrzyła na swoją poplamioną bieliznę.

- W tym?

- Już ci mówiłem, że *to* ładna sukienka. - Z jednym ramiączkiem zsuniętym wyglądała pociągająco. - Nawiasem mówiąc, *to* nie zauważyłem tu żadnego salonu piękności ani butiku.

- Musiałeś źle patrzeć. - Whitney obrzuciła siebie krytycznym spojrzeniem. - A swoją drogą to mam zamiar najpierw się umyć i przebrać.

- Proszę bardzo. Chyba zostało jeszcze dość wody, by zmyć brud z twojej twarzy.

Kiedy sięgnęła automatycznie do policzka, uśmiechnął się.

- Gdzie twój plecak?

Popatrzyła na wejście do jaskini.

- W środku.

Głos miała twardy, a wzrok zimny, kiedy ponownie spojrzała na niego.

- Nie wrócę tam.

- Dobra, przyniosę twój bagaż, ale nie strój się cały ranek. Nie chcę tracić czasu.

Uniosła lekko brew, kiedy zaczął wchodzić do jaskini.

- Ja się nigdy nie stroję - powiedziała spokojnie. - To nie jest konieczne.

Z dziwnym chrząknięciem zniknął we wnętrzu jaskini. Zagryzając wargę, spojrzała na wejście, a potem na plecak pozostawiony obok. Drugi raz mogła nie mieć takiej szansy. Bez wahania kucnęła przy nim i zaczęła szukać.

Do przejrzania były naczynia i jego ubrania. Natrafiła na dość elegancką męską szczotkę i zatrzymała się przy niej na chwilę. Kiedy on to zdobył? Przecież знаła każdą część jego garderoby łącznie ze slipami. Lepkie palce, pomyślała i wrzuciła szczotkę z powrotem.

Kiedy znalazła kopertę, wyjęła ją ostrożnie. To musiało być to. Popatrzyła na wejście do jaskini. Szybko wyciągnęła cienką żółtą paczkę zawiniętą w plastik i pobieżnie przejrzała jej zawartość. Dokumenty pisane były po francusku, schludnym kobiecym pismem. List, pomyślała. Nie, fragment dziennika. I data, mój Boże! Otworzyła szeroko oczy, przyglądając się starannym, wyblakłym literom. 15 września 1793. Stała w jaskrawym słońcu, przy poszarpanej przez wiatr i pogodę skale, trzymając w ręku kawał historii.

Wróciła do dokumentu, wyławiając zdania pełne przerażenia, niepokoju i nadziei. Pisała je młoda dziewczyna, była tego prawie pewna ze względu na słowa *maman* i *papa*. Młoda arystokratka, zdenerwowana i przerażona tym, co się przytrafiło jej i jej rodzinie - pomyślała. Czy Doug w ogóle zdaje sobie sprawę, co ma w swoim plecaku?

Teraz nie zdąży tego przejrzeć. Może później... Ostrożnie zapięła plecak i odstawiła na miejsce. Myślała intensywnie, uderzając kopertą o dłoń. To wielka satysfakcja pokonać męczyznę jego własną bronią, pomyślała i usłyszała, że wraca.

Trzymając kopertę w dłoni, spojrzała na siebie. Przesunęła ręką wzdłuż ciała. Gdzież, do diabła, ma to ukryć? Mata Hari miałyby przynajmniej przepaskę. W zdenerwowaniu zaczęła wsuwać kopertę za stanik, a po chwili zdała sobie sprawę z absurdalności tego pomysłu. Równie dobrze mogła ją sobie przykleić do czoła. Nie tracąc czasu, wsunęła ją z tyłu za koszulkę, licząc na łut szczęścia.

- Pani bagaż, panno MacAllister.
- Napiwek dostaniesz później.
- Wszyscy tak mówią.
- Dobra usługa to jedyna nagroda. - Uśmiechnęła się pewnie do niego. Odpowiedział jej tym samym. Wzięła ple-

czak z jego rąk i nagle przyszło jej coś do głowy. Skoro ona mogła z taką łatwością wyjąć kopertę, to on... Otworzyła plecak i zaczęła szukać portfela.

- Lepiej się pospiesz, złotko. Jesteśmy już spóźnieni na poranny apel.

Już miał chwycić ją za ramię, kiedy wbiła mu plecak w brzuch. Ku jej wielkiej satysfakcji wyrwało mu się z ust syknięcie.

- Mój portfel, Douglas.

Otworzyła go i zobaczyła, że Doug był bardzo hojny, bo zostawił jej dwadzieścia dolarów.

- Wygląda na to, że dotykałeś go swoimi lepkiemi paluchami.

- Kto znalazł, to jego, współniczko. - Choć nie przypuszczał, że odkryje to tak szybko, wzruszył tylko ramionami. - Nie martw się, dostaniesz swoją dolę.

- Czyżby?

- Powiedzmy, że jestem tradycjonalistą. - Zadowolony z przebiegu wypadków, zaczął wkładać plecak. - Uważam, że to męczyzna powinien trzymać pieniądze.

- Powiedzmy, że jesteś idiotą.

- Mów, co chcesz, lecz od tej chwili ja będę trzymał pieniądze.

- W porządku. - Uśmiechnęła się słodko do niego, co natychmiast wzbudziło w nim niepokój. - A ja zatrzymam kopertę.

- Nie ma mowy. - Podał jej plecak. - A teraz idź się ubrać jak grzeczna dziewczynka.

Wściekłość błysnęła w jej oczach. Obrażliwe słowa cisnęły się na usta. Jest czas na gniew i jest czas na opanowanie, upomniała siebie w duchu. Jeszcze jedna z zasad ojca, którymi należy się kierować w interesach.

- Powiedziałam, że ja będę trzymać kopertę.

- A ja powiedziałem...

Obserwował wyraz jej twarzy. Kobieta, która została właśnie do czysta oskubana, nie powinna mieć takiej zadowolonej miny. Doug popatrzył na swój plecak. Ona nie

mogła. Po chwili ponownie spojrzął na nią. Mogła jak diabli. Rzucił plecak na ziemię i zajął do środka. Wystarczyła chwila.

- No dobra, gdzie ona jest?

Stojąc w pełnym słońcu, uniosła ręce. Krótki komplet bielizny przylegał do niej jak powietrze.

- Nie sądzę, aby trzeba było mnie przeszukiwać.

Zmrużył oczy. Nie był w stanie oderwać od niej wzroku.

- Oddaj ją, Whitney, albo za chwilę będziesz brykać nago.

- A ty będziesz miał złamany nos.

Mierzili się wzrokiem, każde zdecydowane wziąć nad drugim górę. Mieli do wyboru jedynie pogodzić się z równowagą sił.

- Papiery - powiedział, ukazując męską siłę i przewagę w spojrzeniu.

- Pieniądze - rzuciła w odpowiedzi, przeciwstawiając mu śmiałość i babską przebiegłość.

Klnąc, sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął plik banknotów. Kiedy sięgnęła po nie, cofnął rękę.

- Papiery - powtórzył.

Popatrzyła na niego. Ma bardzo szczere spojrzenie, pomyślała. Bardzo czyste, bardzo otwarte. Jeśli chodzi o kłamstwo, to mógłby iść w zawody z każdym. Jednak w pewnych sytuacjach można mu było zaufać.

- Daj słowo - zażądała. - Nie można ci ufać, ale niech będzie.

Jego słowo znaczyło tyle, na ile sam je oceniał. Przy niej i tak będzie warte zbyt dużo.

- Masz je.

Skinęła głową i sięgnęła za siebie, lecz koperta zsunęła się zbyt nisko, by można ją było wyciągnąć.

- Jest wiele powodów, dla których nie lubię odwracać się do ciebie plecami. Ale... - Wzruszyła ramionami i odwróciła się. - Będziesz musiał ją sam wyciągnąć.

Przebiegł wzrokiem po gładkiej linii jej pleców i subtelnej wypukłości bioder. Nie ma tego wiele, lecz to, co jest, jest

wspaniałe, pomyślał. Wsunął rękę pod materiał i poprowadził ją w dół.

- Tylko wyjmij kopertę, Douglas, żadnych wycieczek.

Splotła ręce pod biustem i patrzyła prosto przed siebie.

Dotyk jego palców pobudzał każdy nerw. Nie była przyzwyczajona, by dotykano jej tak delikatnie.

- Chyba zsunęła się całkiem nisko - mruknął. - Może mi to zająć trochę czasu.

Przyszło mu do głowy, że wystarczyłaby chwila, by zdjąć z niej koszulkę. Co by wtedy zrobiła? Mógłby ją mieć pod sobą na ziemi, zanim zdążyłaby wziąć oddech, by go skłąć. Dostałby wówczas to, o czym śnił całą noc. Lecz wtedy miałaby nad nim przewagę, której by nie odzyskał, pomyślał. Jego palce znalazły brzeg koperty. Najpierw interes, upominał siebie w duchu, kiedy palce dotknęły jednocześnie szorstkiego papieru i delikatnej skóry. Interes zawsze na pierwszym miejscu.

Zebrała wszystkie swoje siły, by stać nieruchomo.

- Douglas, masz dwie sekundy na wyjęcie koperty albo stracisz prawą rękę.

- Coś ty taka nerwowa?

Miał nareszcie tę satysfakcję, widząc, że ona również zмага się ze sobą. Nie uszła jego uwagi nagła zmiana w jej głosie, a nawet lekkie drżenie. Chwycił kopertę w dwa palce i wyjął ją.

Natychmiast odwróciła się z wyciągniętą ręką. Miał teraz wszystko, mapę, pieniądze. Był całkowicie ubrany, ona - prawie naga. Na pewno dałaby sobie radę: poszłaby do wioski i wyłagała jakiś środek transportu, który by ją zawiózł z powrotem do stolicy. Jeśli miał ją zostawić, to był to najlepszy moment.

Jej oczy patrzyły na niego spokojnie i pewnie. Czuł, że potrafią odczytać każdą jego myśl. Choć jeszcze się wahał, doszedł do wniosku, że w tym przypadku słowo jest słowem. Wcisnął jej w dłoń plik banknotów.

- Honor złodziei...

- Jest jednym z powszechnie panujących mitów - dokończyła.

Była taka chwila, ale tylko chwila, kiedy nie miała pewności, czy on wyjdzie z tego z honorem. Podnosząc z ziemi plecak i menażkę, podeszła do sosny. Drzewo mogło uchodzić za pewnego rodzaju parawan. Chociaż w tej chwili wolałaby stalową ścianę z ciężkim rygłem.

- Mógłbyś pomyśleć o goleniu, Douglas! - krzyknęła. - Nie cierpię, gdy moja eskorta jest zarośnięta.

Przejechał ręką po policzku i postanowił, że nie będzie się golił przez dłuższy czas.

Whitney doszła do wniosku, że łatwiej jest iść, gdy cel jest w zasięgu wzroku. Któregoś lata, kiedy była jeszcze podlotkiem, spędzała wakacje w posiadłości rodziców na Long Island. Ojca opanowała wtedy męcząca obsesja ćwiczeń gimnastycznych. Codziennie, jeśli nie była dość szybka, by od tego uciec, zmuszał ją do wspólnego biegania. Pamiętała swoją determinację, by dotrzymać kroku dwadzieścia pięć lat starszemu mężczyźnie, i pomysł, który wówczas przyszedł jej do głowy. Postanowiła wypatrywać szczytowych okien domu. Kiedy miała już je w zasięgu wzroku, biegła jak na skrzydłach, bo wiedziała, że meta jest blisko.

W tym wypadku celem było skupisko chat, sąsiadujących z zielonymi polami, i brunatna, płynąca na zachód rzeka. Po dniu wędrówki i nocy spędzonej w jaskini wydała się jej tak czysta jak źródłana woda.

W oddali dostrzegli pracujących mężczyzn i kobiety. Lasy zostały zamienione na pola. Malgasje, praktyczni ludzie, swoją sumienną pracą starali się usprawiedliwić tę zamianę. Byli wyspiarzami, przypomniawszy sobie, lecz pozbawionymi tego jowialnego lenistwa, cechującego zwykle mieszkańców wysp. Ilu z nich w ogóle widziało morze, pomyślała zaciekawiona.

Krowy, ze znudzonym wzrokiem i ogonami w ciągłym ruchu, dreptały w zagrodach. Dostrzegła poobijanego jeepa bez kół, podpartego kamieniem. Słychać było monotony dźwięk metalu uderzającego o metal.

Kobiety rozwieszały ubrania na sznurze, jasne, kwieciste szaty, które kontrastowały z ich zwykłym, codziennym odzieniem. Mężczyźni w luźnych spodniach gracowali motyką długi wąski ogród. Kilku z nich podśpiewywało.

Wraz z pojawieniem się obcych praca ustała, a głowy zwróciły się w ich stronę. Nikt nie ruszył się ze swego miejsca, z wyjątkiem chudego czarnego psa, który biegał wokół nich, robiąc dużo hałasu. Whitney dostrzegła w oczach przyglądających się im ludzi ciekawość i podejrzliwość. Szkoda, że nie ma na sobie nic weselszego prócz koszuli i spodni, pomyślała. Popatrzyła na Douga. Nie ogolony, z rozczochranymi włosami, wyglądał jak ktoś, kto właśnie wrócił z przyjęcia - jednego z dłuższych. Kiedy podeszli bliżej, przyjrzała się dzieciom. Te mniejsze trzymali mężczyźni i kobiety na plecach i biodrach. W powietrzu unosił się zapach zwierzęcego gnoju i gotowania. Przejechała ręką po brzuchu, schodząc w dół po zboczach za Dougiem, który wetknął nos w przewodnik.

- Czy musisz teraz czytać? - zapytała. Kiedy usłyszała jedynie mruknięcie, wzniosła oczy do nieba. - Dziwię się, że nie wzięłaś podręcznej lampki, by móc czytać w łóżku.

- Postaramy się o nią. Plemię Merina należy do rasy azjatyckiej, stanowią elitę tej wyspy. Mogłabyś być z nimi spokrewniona.

- Bardzo możliwe.

Ignorując śmiech w jej głosie, czytał dalej:

- Mają system kastowy, który oddziela wysoko urodzonych od klasy średniej.

- Bardzo rozsądnie.

Kiedy rzucił jej spojrzenie znad książki, tylko się uśmiechnęła.

- Na szczęście ten system kast został zniesiony przez prawo, lecz to niczego nie zmieniło.

- Gdy wchodzi w grę obyczaj, prawo zawsze przegrywa.

Nie dał się wciągnąć w dyskusję; spojrział przed siebie, mrużąc oczy. Mieszkańcy już się zgromadzili, lecz nie wyglądali jak komitet powitalny. Zgodnie z tym, co przeczytał,

około dwudziestu lub coś koło tego plemion czy grup Malgaszów odstawiło łuki i strzały do lamusa wiele lat temu. Jednak... popatrzył na setki par oczu utkwione w niego. On i Whitney powinni iść kroczek po krocisku.

- Jak sądzisz, czy przyjmą nieproszonych gości?

Bardziej zdenerwowana, niż chciała się do tego przyznać, wsunęła mu rękę pod ramię. Tyle razy przecież wchodził już bez zaproszenia.

- Będziemy czarujący.

To zawsze skutkowało.

- Myślisz, że ci się uda? - zapytała i zeszła razem z nim na równinę rozpościerającą się u stóp góry.

Choć czuła się niepewnie, szła nadal śmiało naprzód. Tłum zaszemrał, potem rozstał się, robiąc miejsce wysokiemu mężczyźnie o szczupłej twarzy, w obszernej czarnej szacie nałożonej na grubą białą koszulę. Mógł być przywódcą, kapłanem, generałem, lecz od razu rzucało się w oczy, że musi być kimś ważnym i że jest niezadowolony z ich wtargnięcia. Porzuciła dumę i cofnęła się, robiąc miejsce swojemu towarzyszowi.

- Czaruj go - szepnęła.

Doug popatrzył z uwagą na wysokiego czarnego mężczyznę, za którym stał tłum ludzi. Odchrząknął.

- Proszę bardzo. - Przywołał na twarz najbardziej czarujący z uśmiechów. - Dzień dobry. Jak leci?

Wysoki mężczyzna skłonił głowę w królewskim, pełnym rezerwy i dezaprobaty geście. Niskim, dudniącym głosem wyrzucił z siebie potok słów po malgasku.

- Słabo znamy ten język, panie... - Nadal się uśmiechając, Doug wyciągnął rękę. Dokładnie ją obejrzano, a następnie zignorowano. Z uśmiechem przyklejonym do twarzy wziął Whitney za łokieć i wypchnął przed siebie. - Spróbuj po francusku.

- Przecież twój urok daje wspaniałe rezultaty.

- To nie najlepszy czas na dowcipy, złotko.

- Mówiłeś, że są przyjacielscy.

- Może on nie czytał tego przewodnika.

Whitney przyglądała się surowej twarzy spoglądającej na nią ze sporej wysokości. Może Doug ma rację? Uśmiechnęła się, zatrzepotała rękami i wypowiedziała formułkę powitania. Mężczyzna w czarnej szacie patrzył na nią przez dziesięć denerwujących sekund, a potem odpowiedział na jej słowa. O mało nie zachichotała z ulgi.

- W porządku. Teraz przepróż - polecił Doug.

- Za co?

- Za wtargnięcie - powiedział przez zaciśnięte zęby, ściskając jej łokieć. - Powiedz im, że idziemy do Tamatave, lecz zgubiliśmy drogę i nasze zapasy się kończą. I uśmiechaj się.

- Nic prostszego, kiedy ty szczerzysz zęby jak mój brat idiota.

Zaklął cicho, z wargami rozciągniętymi w uśmiechu.

- Rób wrażenie bezradnej, jakby ci siadło koło samochodu.

Popatrzyła na niego ze wzniesionymi brwiami i chłodnym wzrokiem.

- Co takiego?

- Rób, co mówię, na litość boską!

- Dobrze, powiem mu - rzekła z królewskim prychnięciem - ale nie będę robiła z siebie sieroty. - Kiedy zwróciła się do mężczyzny, na twarz wrócił jej miły uśmiech. - Bardzo przepraszamy, że wdarliśmy się do waszej wioski - zaczęła po francusku — ale idziemy do Tamatave i mój towarzysz - pokazała gestem na Douga i wzruszyła ramionami - zgubił drogę. I kończy nam się woda i jedzenie.

- Do Tamatave długa droga. Idźcie pieszo?

- Niestety.

Mężczyzna przyglądał się przez chwilę Dougowi i Whitney chłodno i z rezerwą. Gościnność była częścią malgaskiego dziedzictwa. Jednak w stosunku do obcych zachowywano ostrożność. Dostrzegł w oczach przybyszów zdenerwowanie, lecz pozbawione złej woli. Po namyśle skinął głową.

- Miło nam powitać gości. Podzielimy się z wami naszymi zapasami i wodą. Nazywam się Louis Rabemananjara.

- Bardzo mi miło. - Wyciągnęła rękę i tym razem

odpowiedział na jej gest. - Jestem Whitney MacAllister, a to jest Douglas Lord.

Louis odwrócił się do tłumu i oświadczył, że będą mieli gości w wiosce.

- Moja córka Marie.

Na te słowa niska dziewczyna o czekoladowej skórze i czarnych oczach wystąpiła naprzód. Whitney zauważyła, że ma bardzo misternie splecione włosy, i przyszło jej do głowy, czy jej fryzjer mógłby to powtórzyć.

- Zaopiekuje się wami. Kiedy odpoczniecie, zapraszamy was na posiłek.

Z tymi słowami Louis wycofał się.

Marie zlustrowała szybkim spojrzeniem obcisłą bluzkę i wąskie spodnie Whitney i spuściła oczy. Jej ojciec nigdy by nie pozwolił na noszenie tak wyzywających strojów.

- Proszę bardzo. Chodźcie za mną, pokażę wam, gdzie się możecie umyć.

- Dziękujemy, Marie.

Poszli w ślad za nią przez tłum. Jakieś dziecko pokazało palcem na włosy Whitney i rozpaplało się podniecone, dopóki matka go nie uciszyła. Słowo rzucone przez Louisa sprawiło, że wszyscy natychmiast wrócili do przerwanej pracy. Marie zaprowadziła ich do małej drewnianej chaty o spadzistym dachu, krytym strzechą. W oknach błyszczały szyby. Przed drzwiami leżała kwadratowa tkana mata, ufarbowana na biało. Marie otworzyła drzwi i cofnęła się, by wpuścić gości do środka. Całe wnętrze tchnęło czystością. Meble były surowe i proste, lecz na każdym krześle leżały jasne poduszki. Żółte, podobne do stokrotek kwiaty stały w glinianym dzbanku na oknie z drewnianymi żaluzjami, chroniącymi wnętrze przed światłem i upałem.

- Tu jest woda i mydło.

Poprowadziła ich w głąb domu, gdzie wydawało się, jakby temperatura była niższa o dziesięć stopni. Z małej alkowy Marie przyniosła drewniane misy, dzban z wodą i kawałki brązowego mydła.

- Wkrótce będzie południowy posiłek, w którym będzie-

cie uczestniczyć jako nasi goście. Jedzenia wystarczy dla wszystkich. - W tym momencie po raz pierwszy się uśmiechnęła. - Przygotowujemy się do *fadamihana*.

Zanim Whitney zdążyła podziękować Marie, Doug chwycił ją za rękę. Nie zrozumiał, o czym dziewczyna mówi, ale to ostatnie zdanie zwróciło jego uwagę.

- Powiedz jej, że my też czcimy ich przodków.

- Co?

- Powiedz jej to.

Ustępując, spełniła jego polecenie i została nagrodzona promiennym uśmiechem.

- Wszystko, co mamy, jest do waszej dyspozycji - powiedziała Marie i wyszła z chaty.

- O co tu chodziło?

- Ona powiedziała coś o *fadamihana*.

- Tak, oni się do tego przygotowują, cokolwiek to jest.

- Święto zmarłych.

Przestała oglądać miskę i popatrzyła na niego.

- Co, proszę?

- To stary zwyczaj. Częścią religii Malgaszów jest wiara w przodków. Kiedy ktoś umiera, chowa się go w specjalnym grobie. Co kilka lat odkopuje się zmarłych i urządza na ich cześć przyjęcie.

- Odkopuje się? - Nagle żołądek podszedł jej do gardła. - To obrzydliwe.

- Takie są ich wierzenia, to oznaka szacunku. '

- Mam nadzieję, że mnie nikt nie będzie w ten sposób okazywał szacunku - powiedziała, lecz ciekawość nie dała jej spokoju. - Po co to robią? - zapytała, kiedy Doug wlewał wodę do miski.

- Kiedy ciała są już wykopane, oddaje się im cześć podczas specjalnej uroczystości. Daje się im świeże płótna, wino palmowe i przekazuje najświeższe plotki. - Zanurzył obie ręce w wodzie i ochlapał sobie twarz. - Sądzę, że jest to forma uhonorowania przeszłości. Okazują szacunek tym, od których się wywodzą. Wiara w przodków jest podstawą wierzeń Malgaszów. Uroczystości towarzyszy muzyka i tańce. Wszyscy dobrze się bawią, i żywi, i umarli.

Tak więc umarłych się nie opłakuje, pomyślała. Zabawia się ich. Rodzaj celebrowania śmierci czy może raczej więzi między życiem a śmiercią.

Nagle zdała sobie sprawę, że pojęła sens tej uroczystości, i jej odczucia się zmieniły. Wzięła mydło z rąk Douga i uśmiechnęła się do niego.

- To piękne, prawda?

Wziął mały szorstki ręcznik i wytarł nim twarz.

- Piękne?

- Oni nie zapominają o tobie po śmierci. Sprowadzają cię z powrotem, umieszczają na honorowym miejscu podczas uroczystości; opowiadają wszystkie miejscowe nowiny i piją na twoją cześć. Jedną z najgorszych spraw przy umieraniu jest brak jakiegokolwiek radości.

- Najgorszą rzeczą przy umieraniu jest samo umieranie - odparował.

- Jesteś zbyt przyziemny. Myślę, że byłoby łatwiej stawić czoło śmierci, wiedząc, że czeka cię coś takiego jak tu.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, co mogłoby mu ułatwić spotkanie ze śmiercią. Śmierć to coś, co się przytrafia, jeśli nie potrafisz kierować swoim życiem. Pokręcił głową, odkładając ręcznik.

- Jesteś interesującą kobietą, Whitney.

- Oczywiście. - Roześmiała się, wzięła do ręki mydło i powąchała. Pachniało rozgniecionymi kwiatami. - I umieram z głodu. Chodźmy zobaczyć, co jest w karcie.

Wróciła Marie, ubrana w długą kolorową spódnicę. Tymczasem na zewnątrz mieszkańcy wioski zastawiali długi stół potrawami i napojami. Whitney, która spodziewała się kilku garści ryżu i bufetu na świeżym powietrzu, jeszcze raz zwróciła się do Marie z podziękowaniem.

- Jesteście naszymi gośćmi. - Uroczysta i oficjalna Marie spuściła oczy. - Przybyliście do naszej wioski. Ofiarowujemy wam gościnność naszych przodków i uczymy wasze przybycie. Mój ojciec powiedział, że będziemy dziś świętować na waszą cześć.

- Wiem tylko jedno, że jestem głodna. - Whitney dotknęła jej ręki. - I bardzo wdzięczna.

Nareszcie mogła najeść się do syta. Choć potrafiła rozpoznać tylko owoce i ryż, nie przejmowała się tym. W powietrzu unosiły się zapachy, egzotyczne i zupełnie inne od tych, do których była przyzwyczajona. Mięso przygotowane bez użycia elektryczności, na ogniu i w kamiennych piecach. Przypominało dziczyznę i wspaniale smakowało. Wino, po kilku kulkach, okazało się mocne.

Zabrzmiała muzyka, wykonywana na bębnach, drewnianych instrumentach dętych i strunowych. Powietrze wypełniły piskliwe, starodawne dźwięki. Widocznie pola mogły jeden dzień zaczekać. Goście byli tu rzadkością, a skoro zostali przyjęci do społeczności, należało ich uhonorować.

Lekko odurzona Whitney zaczęła wirować w tańcu razem z grupą mężczyzn i kobiet. Przyjęli ją do swego grona, uśmiechając się i kiwając z aprobatą głowami, kiedy zaczęła naśladować ich kroki. Zauważyła, że niektórzy mężczyźni podrygują i obracają się, kiedy muzyka przyspiesza tempo. Roześmiała się, odchylając w tył głowę. Przyszły jej na myśl zadymione i zatłoczone kluby, których była częstym gościem. Elektryczna muzyka, elektryczne światła. Tam każdy próbował zaćmić drugiego. Pomyślała o tych wymuskanych, wpatrzonych w siebie mężczyznach, którzy jej towarzyszyli. Żaden z nich nie dorównywał członkom plemienia Merina. Kręciła się aż do zawrotu głowy, a potem zwróciła do Douga.

- Zatańcz ze mną - poprosiła.

Twarz jej płonęła, oczy błyszczały. Poczul, że jest rozpalona i zadziwiająco krucha. Ze śmiechem potrząsnął głową.

- Robisz to za nas oboje.

- Nie bądź takim sztywniakiem. - Stuknęła palcem w jego pierś. - Merina pomyślała, że jesteś niedojdą. - Zarzuciła mu ręce na ramiona i zakołysała nim. - Wystarczy jedynie, byś poruszał nogami.

Jego ręce bezwiednie zsunęły się na jej biodra, by wyczuć ich ruch.

- Tak po prostu?

Pochyliła głowę i rzuciła mu zabójcze spojrzenie spod rzęs.

- Jeśli potrafisz... Au! - krzyknęła zaskoczona, kiedy obrócił ją wokół siebie.

- Próbuje jedynie dotrzymać mi kroku, złotko. - Jedną ręką błyskawicznie otoczył jej kibić, a drugą zacisnął na jej ręce i wyciągnął w bok. Na moment zastygł w dramatycznej pozie jak do tanga, a potem płynnie ruszył do przodu. Po chwili odsunęli się od siebie, obrócili i ponownie połączyli.

- Do licha, Douglas, mógłby być z ciebie niezły facet.

Tańczyli dalej, robiąc parę kroków w miejscu, potem wykonując głęboki skłon i następnie sunąc majestatycznie do przodu, co zyskało aprobatę miejscowych. W pewnym momencie ich twarze znalazły się blisko siebie, ciało przylutone do ciała, ręka przy ręce.

Serce zaczęło jej mocno bić. Czuła, że zachowuje się nierozsądnie, a jednocześnie czerpała przyjemność z bliskości jego ciała. Jego oddech był gorący. Oczy, niezwykle i jasne, wpatrzone były w jej twarz. Nie myślała nigdy o nim jako o silnym mężczyźnie, lecz teraz, mając go tak blisko siebie, czuła pulsowanie jego mięśni na plecach i ramionach. Odchyliła wyzywająco głowę w tył. Szła z nim równo, krok w krok. Obrócił ją tak szybko, że obraz przed oczami stał się zamglony. Potem poczuła, że leci nagle w tył. Jej ciało wygięło się tak, że prawie dotknęła głową ziemi. Równie szybko przyciągnął ją do siebie. Jego usta znalazły się tuż przy jej wargach. Wystarczyło nieznacznie się pochylić, a ich wargi by się zetknęły. Oboje oddychali szybko, z wysiłku i podniecenia. Czuła lekki zapach potu, delikatny wina i mocny mięsa. Pachniał wszystkim naraz.

Wystarczyłaby chwilka - nieznaczny ruch. I co potem?

- Co, u diabła? - mruknął Doug.

Mimo że ręka zaciskała się wokół talii Whitney, a jej rzęsy trzepotały zalotnie, usłyszał ryk silnika. Odwrócił głowę. Sprężył się jak kot do skoku tak nagle, że Whitney aż zamrugała oczami, zaskoczona.

- Cholera!

Chwycił ją za rękę i zaczął biec jak szalony, szukając kryjówki. Musiał natychmiast coś wymyślić. Pchnął ją na boczną ścianę domu i przycisnął do siebie.

- Co ty, u diabła, wyrabiasz? Jedno tango i już zaczynasz szaleć?

- Nie ruszaj się.

- Ja nie... - W tym momencie usłyszała głośny i wyraźny warkot nad nimi. - Co to jest?

- Helikopter.

Modlił się, by krawędź skośnego dachu i cień, który dach rzucał na ziemię, ukryły ich przed przybyszami.

Whitney usiłowała zajrzeć mu przez ramię. Słyszała warkot, lecz nie mogła zobaczyć maszyny

- Równie dobrze może być to ktoś inny.

- Może, ale nie mam zamiaru ryzykować życia dla tego „może”. Dimitri nie lubi tracić czasu.

Do diabła, pomyślał, gorączkowo rozglądając się w poszukiwaniu kryjówki i drogi ucieczki. Jak on mógł ich znaleźć w takim miejscu? Ostrożnie rozejrzał się. Nie było gdzie uciekać.

- Ta wiecha blond włosów sterczy jak znak drogowy.

- Nawet w obliczu niebezpieczeństwa jesteś pełen uroku, Douglas.

- Miejmy nadzieję, że nie zdecyduje się lądować, by dokładniej zlustrować teren.

Słowa ledwo do niej dochodziły z powodu narastającego huku. Nawet tu, na tyłach domu, czuli wiatr wzbudzany przez śmigła. Tumany kurzu wzniosły się w górę.

- Musiałeś poddać mu pomysł.

- Zamknij się na chwilę.

Obejrzał się za siebie, rozważając możliwość ucieczki. Ale dokąd? - pomyślał z rozgoryczeniem. Dokąd, u diabła? Tak gładko zostali zapędzeni w kozi róg.

Jakiś dźwięk zwrócił jego uwagę; znieruchomiał, zaciskając pięści. Stanęła przy nich Marie, przytykając palec do ust w geście nakazującym milczenie. Pokazała, żeby szli za

nią. Z plecami przyklejonymi do ściany zaczęła się przesuwać w stronę drzwi. Chociaż oznaczało to oddanie losu w ręce kobiety po raz drugi, Doug poszedł za nią, nie puszczać ręki Whitney. Kiedy znaleźli się w środku, dał znak obu, aby się nie ruszały i nie odzywały, i podszedł do okna. Przywierając do ściany, wyrzął na zewnątrz.

Helikopter stał już na ziemi, a Remo zbliżał się właśnie do grupy tubylców.

- Sukinsyn - mruknął Doug. Wcześniej czy później trzeba będzie się z nim zmierzyć. Najpierw musi sprawdzić, czy dom jest dostatecznym zabezpieczeniem. Jedyne, co miał w tej chwili przy sobie, to scyzoryk. Nagle przypomniał sobie, że zostawili swoje plecaki na zewnątrz, tam gdzie odbywała się uczta.

- Czy to...

- Zostań na miejscu - nakazał Whitney, kiedy podsunęła się w jego stronę. - Tam jest Remo i jeszcze dwóch żołnierzyków Dimitriego. - Wcześniej czy później trzeba będzie się zmierzyć również z Dimitrim, pomyślał, gładząc w zamyśleniu usta palcami. Będzie wówczas potrzebował czegoś więcej niż szczęścia. Rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu jakiejś broni. - Powiedz jej, że ci ludzie nas szukają, i zapytaj, co jej ojciec ma zamiar zrobić.

Whitney poszukała wzrokiem Marie, która stała cicho przy drzwiach. Krótko przekazała jej polecenia Douga. Marie złożyła ręce.

- Jesteście naszymi gośćmi - powiedziała z prostotą - a oni nie.

Whitney uśmiechnęła się i przekazała jej słowa Dougowi.

- Dostaliśmy azyl bez żadnych gwarancji.

- To dobrze, lecz przypomnij sobie, co się stało z Quasimodem.

Obserwował, jak Remo mierzy bezczelnym wzrokiem Louisa. Wioskowy przywódca stał nieporuszony, mierząc Rema ostrzem stalowego spojrzenia i rzucając od czasu do czasu krótkie zdania w języku małgaskim. Dźwięki wypo-

władanych słów dochodziły do nich przez otwarte okno. Remo wyciągnął coś z kieszeni.

- Fotografie - szepnęła Whitney. - Pokazuje mu nasze fotografie.

Jemu i innym mieszkańcom wioski, pomyślał Doug. Jeśli wydostaną się cało z tej wioski, nie będą już mogli zahaczyć o drugą. Był głupcem, wierząc, że znajdzie się czas na oddech, kiedy Dimitri depcze mu po piętach.

Razem ze zdjęciami Remo wyjął plik banknotów i uśmiechnął się. I jedno, i drugie spotkało się z murem wrogiego milczenia. Podczas gdy Remo próbował dobić targu, jeden z członków załogi helikoptera podszedł do zastawionego stołu i zaczął próbować wystawionych na nim smakołyków. Doug patrzył bezsilnie, jak podchodzi coraz bliżej do ich plecaków.

- Zapytaj ją, czy ma broń.

- Broń? - Whitney z trudem przełknęła ślinę. Jakaś nowa nuta zabrzmiała w jego głosie. - Ale Louis...

- Zapytaj ją. - Kumpel Rema nalewał sobie właśnie wina palmowego. Wystarczyło, żeby spojrzeć w dół. Nie będzie miało żadnego znaczenia, po której stronie staną mieszkańcy wioski, kiedy zauważą plecaki. Byli przecież nie uzbrojeni. Doug wiedział, co tkwi w skórzanym futerale pod marynarką Rema. Czuł już to coś wciśnięte w jego żebra kilka dni temu. - Do diabła, Whitney, zapytaj ją!

W odpowiedzi Marie skinęła twierdząco głową.

Zniknęła w sąsiednim pokoju i po chwili wróciła, niosąc długi, przerażająco wyglądający karabin. Kiedy Doug go chwycił, Whitney złapała go za ramię.

- Doug, oni też mają broń. Tu są dzieci.

Bez słowa załadował karabin. Musi być tylko szybki i dokładny. Cholernie szybki.

- Dopóki nie będę musiał, nie zrobię niczego.

Kucnął przy oknie, opierając lufę na parapecie. Rękę miał spoconą, kiedy kładł palec na spuście. Nienawidził broni. Zawsze tak było. Nieważne, po której stronie się znajdował. Kiedyś zabijał. Było to w Wietnamie, ponieważ

spryt i zwinne ręce nie powstrzymały go przed poborem do wojska i cuchnącą dżunglą. Poznawał tam sytuacje, których nie chciał poznać, i przedmioty, którymi mimo niechęci musiał się posługiwać. A sprawą numer jeden było wtedy przeżycie.

Zabijał i później. Zdarzyła się taka wstrętna noc w Chicago, kiedy stał przyparty do muru, a nóż znajdował się zaledwie o milimetr od jego gardła. Znał to uczucie, kiedy patrzy się na kogoś, z kogo ucieka życie. Trzeba być przygotowanym na to, że następnym razem możesz to być ty.

Nienawidził broni. Ale spokojnie trzymał w ręku karabin.

Jeden z partnerów Whitney w tańcu wybuchnął nagle piskliwym śmiechem. Trzymając dzban z winem nad głową, pchnął mężczyznę stojącego o cal od ich plecaków. Kiedy Merina kręcił się w kółko, podskakując z winem w ręku, czyjeś ręce przesunęły plecaki głębiej w tłum.

- Przestań zachowywać się jak idiota! - krzyknął Remo, gdy jego towarzysz podniósł kubek z prośbą o dolewkę. Obrócił się ponownie w stronę Louisa i jeszcze raz pokazał fotografie. Odpowiedzią był jedynie potok słów po malgasku i zimne spojrzenie.

Doug obserwował, jak Remo chowa pieniądze i fotografie do kieszeni i wraca do czekającego helikoptera. Po chwili z rykiem i świstem maszyna wystartowała. Kiedy znajdowała się już dziesięć stóp nad ziemią, poczuł, że rozluźnia mięśnie ramion. Nie lubił, jak broń styka się z ręką. Kiedy ucichł szum helikoptera, rozładował karabin.

- Mogłeś tym kogoś zranić - mruknęła Whitney, oddając go Marie.

- Taaa.

Gdy się odwrócił, zobaczyła w jego oczach bezwzględność, której do tej pory nie dostrzegała. Było to coś, co nie miało nic wspólnego ze strachem, lecz za to bardzo dużo z przebiegłością. Złodziej... tak, to rozumiała i akceptowała. Lecz teraz przekonała się, że na swój sposób jest równie twardy i bezwzględny jak ci, którzy ich szukali. Nie była pewna, czy potrafi się z tym pogodzić.

Wyraz ten zniknął z jego oczu, kiedy Marie wróciła do pokoju. Wziął jej rękę i podniósł do ust elegancko i z dystynkcją.

- Powiedz, że zawdzięczamy jej życie. I nigdy tego nie zapomnimy.

Mimo że Whitney już dawno przekazała jego słowa, Marie nadal patrzyła na Douga. Jako kobieta Whitney natychmiast rozpoznała to spojrzenie. Przenosząc wzrok na Douga, dostrzegła, że on też je zrozumiał i podoba mu się z każdą minutą coraz bardziej.

- Pewnie chcielibyście zostać sami - powiedziała oschle i podeszła do drzwi. - Bo na zewnątrz jest tłum.

Zamknęła drzwi z siłą nieco większą, niż było to konieczne.

- Nic? - Chmura pachnącego dymu uniosła się nad wysokim oparciem obitego brokatem fotela. Remo przestąpił z nogi na nogę. Dimitri nie lubił złych raportów.

- Krentz, Weis i ja przeszukaliśmy cały teren, byliśmy w każdej wiosce. Pięciu ludzi szuka ich tu, w mieście. Nie ma po nich nawet śladu.

- Nawet śladu. - Głos Dimitriego brzmiał łagodnie, kryjąc w sobie całe bogactwo tonów. Dykcja była jedną z tych rzeczy, którą uparcie egzekwowała od niego matka. Ręka o trzech palcach, trzymająca papierosa, strzepnęła popiół na alabastrową popielniczkę. - Kiedy ktoś ma oczy do patrzenia, zawsze dostrzeże jakiś znak, mój drogi Remo.

- Znajdziemy ich, panie Dimitri. Zabierze to tylko trochę więcej czasu.

- To mnie martwi. - Wziął ze stołu kryształowy kieliszek, do połowy wypełniony winem w kolorze ciemnego rubinu. Na nie oszpeconej ręce nosił pierścień, gruby, złoty sygnet z wielkim brylantem. - Wymknęli ci się trzy... - Urwał, by pociągnąć łyk wina; zatrzymał go przez chwilę w ustach. Lubił słodkie rzeczy. - Nie, mój kochany, teraz już cztery razy. Twoje niepowodzenia wchodzą ci w bardzo szkodliwy nawyk. - Jego głos brzmiał łagodnie i miękko.

Nagle trzasnęła zapalniczka i pojawił się równy, cienki płomień. Spojrzał znad płomienia na Rema. - Wiesz, co myślę o niepowodzeniach?

Remo przełknął ślinę. Wiedział doskonale i dlatego nie starał się przeproszać. Dimitri ostro reagował na przeprosiny. Poczuł, że kark mu się poci i strużka potu powoli zaczyna płynąć wzdłuż pleców.

- Remo, Remo - powtarzał, wzdychając. - Byłeś dla mnie jak syn. - Zapalniczka znowu strzeliła i znowu pojawił się cienki i jaśniejący płomień. Dimitri nigdy nie mówił szybko. Rozmowa rozciągnięta do granic wytrzymałości była skuteczniejsza od groźby. - Jestem cierpliwym i wielkodusznym człowiekiem. - Czekał na komentarz Rema, ale odpowiedziała mu tylko cisza. - Oczekuję jednak rezultatów. Nie zawieź mnie następnym razem, Remo. Pracodawca jak ojciec musi ćwiczyć dyscyplinę. - Na jego wargach pojawił się uśmiech, lecz oczy nie zmieniły wyrazu. Pozostały nieprzezniknione. - Dyscyplinę.

- Dostanę go, panie Dimitri. Przyniosę go panu na tacy.

- Miło mi to słyszeć. Odzyskaj papiery. - Jego głos stał się lodowaty. - I tę kobietę. Coraz bardziej mnie intryguje.

Remo odruchowo dotknął cienkiej blizny na policzku.

- Dostanę tę kobietę.

7

Do zmierzchu pozostała jeszcze godzina, kiedy z wielką paradą zapakowano im żywność, wodę i wino na dalszą drogę. Merina byli wyraźnie zainteresowani ich wizytą.

Hojnym gestem, który wywołał grymas niezadowolenia na twarzy Douga, Whitney wcisnęła Louisowi banknoty do ręki. Nadzieja, że zostaną odrzucone, szybko się rozwiąła. To dla wioski, powiedziała, a potem tknięta nagłą myślą dodała, że tymi pieniędzmi chcieliby okazać szacunek i wdzięczność ich przodkom. Pieniądze zniknęły w fałdach szaty Louisa.

- Ile mu dałaś? - zapytał Doug, podnosząc wypełniony nowymi zapasami plecak.

- Tylko sto dolarów. - Widząc jego reakcję, poklepała go po policzku. - Nie bądź taki skąpy, Douglas. To nie na miejscu.

Nucąc pod nosem, wyjęła swój notesik.

- O nie, to ty wybuliłaś, nie ja.

Whitney zapisała tę sumę z rozmachem. Rachunek Douga zdecydowanie rósł.

- Kto gra, ten płaci. Aha, mam dla ciebie niespodziankę.

- Co, dziesięcioprocentowy rabat?

- Nie bądź głupi. - Spojrzała w kierunku, skąd dochodził warkot silnika. - Transport. - Wykonała szeroki gest ręką.

Jeep z pewnością miał już swoje lepsze dni za sobą. Mimo że błyszczał po umyciu, to silnik charczał i przerywał,

kiedy tubylec z błyszczącą opaską na głowie ruszył pokrytą koleinami drogą.

Doug pomyślał, że ten wehikuł za chwilę zmieni się w ślepego muła.

- On nie przejedzie nawet dwudziestu mil.

- To przynajmniej przez dwadzieścia mil nie będziemy musieli iść na własnych nogach. Powiedz „dziękuję”, Douglas, i przestań zachowywać się jak gbur. Pierre zawiezie nas do prowincji Tamatave.

Wystarczyło spojrzeć na Pierre'a, by zobaczyć, że nie żałował sobie wina palmowego. Będą mieli szczęście, jeśli nie wylądują w polu ryżowym.

- Wspaniale.

Nastawiony pesymistycznie do całego przedsięwzięcia, pokonując ból głowy spowodowany nadmierną dawką wina palmowego, Doug wypowiedział zdawkowe „do widzenia” Louisowi. Whitney była bardziej wymowna.

Usadowił się na tylnym siedzeniu jeepa i wyciągnął w przód nogi.

- Rusz swój tyłek, kochanie. Za godzinę zrobi się ciemno.

Uśmiechając się do mieszkańców wioski zgromadzonych wokół jeepa, wsiadła do samochodu.

- Zajmij się swoim, Lord. - Umieściła plecak na podłodze u swoich stóp, odchyliła się w tył i wesoło pomachała ręką na pożegnanie. - Avant, Pierre.

Jeep szarpnął i ruszył gwałtownie w przód. Doug poczuł, że ból głowy napływa małymi bezlitosnymi falami. Zamknął oczy i usiłował zasnąć.

Whitney nie przejęła się zbytnio jazdą powodującą szczękanie zębów. Została podjęta wystawną kolacją i wspaniale ugoszczona. To samo można by powiedzieć po kolacji w „21 Club” i po przedstawieniu na Broadwayu. Lecz to tutaj było wyjątkowe. Może nie przypominało kulturalnej przejażdżki dwukółką po parku, lecz tej mógł doświadczyć każdy, kto miał w kieszeni dwadzieścia dolarów. A ona podskakiwała na nierównościach wyboistej drogi na Madagas-

karze, w jeepie prowadzonym przez członka plemienia Merina, w towarzystwie złodzieja pochrapującego cicho na tylnym siedzeniu. To było o wiele bardziej ekscytujące od spokojnej przejażdżki po Central Parku.

Mijany krajobraz był raczej monotony. Czerwone wzgórza, przeważnie bez drzew, szerokie doliny, poprzecinane polami. Ochłodziło się, bo słońce zeszło niżej, lecz prażąc cały dzień, zamieniło drogę w pokłady kurzu. Pył wciskał się pod koła i pokrywał dopiero co umyty samochód. Pojawiły się ostre szczyty, lecz sosny nadal należały do rzadkości. Przeważały skały i ziemia. Choć okolica była jednostajna, uwagę Whitney przyciągnął ogrom przestrzeni. Ciągnęła się daleko, jak okiem sięgnąć. Hen, aż po horyzont nic nie zasłaniało widoku. Czuła, że tutaj zrozumiałaby sens istnienia, co mieszkańcom miasta nigdy nie będzie dane.

Czasami w Nowym Jorku tęskniła do odkrytego nieba. Kiedy ogarniało ją takie uczucie, po prostu wsiadała do samolotu, leciała, dokąd dusza zapagnie, i pozostawała tam, dopóki nastrój się jej nie zmienił. Przyjaciele pogodzili się z jej humorami, bo nie mogli nic na to poradzić. Rodzina również je akceptowała, czekając ciągle, aż Whitney się usatkuje.

Być może z powodu uczucia samotności, a może dlatego, że miała jasny umysł, czuła dziwne wewnętrzne zadowolenie. To wkrótce minie. Zbyt dobrze siebie znała. Nie była przyzwyczajona do długich okresów zadowolenia, raczej do pędzenia w stronę zakrętu, by przekonać się, co ją za nim czeka.

W tej chwili rozkoszowała się panującym wokół spokojem. Cienie przesuwają się, wydłużają, gęstniały. Coś małego i zwinnego przebiegło drogę tuż przed jeepem. Wskoczyło na skały i zniknęło, zanim Whitney zdążyła rozpoznać, co to jest. Świat ogarnęła kryształowa cisza.

Słońce zachodziło efektownie. Odwróciła się i uklękła na siedzeniu, by móc obserwować, jak niebo eksploduje kolorami. Do jej zawodu należało komponowanie odcieni

i barw. Patrzając na niebo, pomyślała o przemalowaniu pokoju w barwy zachodzącego słońca: szkarłaty, złocistości, głębokie błękity i delikatny fiołkowy róż. Ciekawa i intensywna kombinacja. Spuściła wzrok i popatrzyła na śpiącego Douga. Pasowałaby do niego. Błysk świetności, odrobina siły, ukryte napięcie.

Nie należał do ludzi, których można lekko traktować, ani do takich, którym się ufa. Jednak zaczynała dochodzić do wniosku, że jest człowiekiem, który może fascynować. Jak zachód słońca, przesuający się, zmieniający w oczach i nagle znikający. Kiedy wziął ten karabin do ręki, ujrzała w jego oczach bezwzględność. Gdyby uznał to za konieczne, stałby się bezwzględny również w stosunku do niej.

Doszła do wniosku, że potrzebna jej większa przewaga.

Zacisnęła zęby i przeniosła wzrok na plecak. Leżał tuż przy nim, z kopertą w środku. Starając się nie obudzić Douga, pochyliła się w przód. Plecak był za daleko. Jeep szarpnął, kiedy uniosła się na siedzeniu, by go dosięgnąć. Doug nadal cicho chrapał. Jej palce chwyciły szelki plecaka. Ostrożnie zaczęła go unosić.

W tym momencie rozległ się głośny łomot, aż jej dech zaparło w piersiach. Zanim zdążyła się mocniej chwycić, jeep wykonał gwałtowny skręt, rzucając ją na tylne siedzenie.

Doug obudził się, nie mogąc oddychać, z Whitney rozłożoną na jego piersi. Pachniała winem i owocami. Ziewając, przesunął ręką wzdłuż jej biodra.

- Trzymaj łapy przy sobie.

Zdmuchując włosy z oczu, popatrzyła na niego spode łba.

- Obserwowałam zachód słońca.

- Mhm. - Zacisnęła rękę na jej palcach, które ciągle trzymały szelki plecaka. - Lepkie paluszki, co, Whitney? - Cmoknął z dezaprobatą. - Jestem rozczarowany.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - wybuchnęła gniewnie, gramoląc się z trudem na siedzenie i odwracając do Pierre'a.

Choć słowa płynęły po francusku, Doug nie potrzebował tłumacza, by zrozumieć, dlaczego tubylec kopie przednią oponę.

- Kapeć. To było do przewidzenia.

Doug wylazł z jeepa, potem obejrzał się przez ramię i wyjął plecak. Whitney sięgnęła po swój i również wysiadła.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał Doug.

Popatrzyła, jak Pierre wytacza zapasową oponę.

- Stój tu i wyglądaj na zmartwionego.

Klnąc, tubylec przykucnął i zaczął poluzowywać śruby przy kole.

- To zapasowe jest łyse jak tyłek niemowlaka - zauważył Doug. - Powiedz naszemu szoferowi, że dalej pójdziemy pieszo. Będzie miał szczęście, jeśli na tym wróci do wioski.

Piętnaście minut później stali na środku drogi i patrzyli, jak jeep oddala się, podskakując na wybojach. Whitney z uśmiechem wzięła Douga pod rękę. Wraz z pierwszymi gwiazdami na niebie odezwały się owady i ptaki.

- Krótki wieczorny spacer, kochanie?

- Z przykrością muszę ci odmówić. Trzeba znaleźć miejsce na obóz. Za godzinę nie będzie nic widać. Tam - zdecydował, wskazując na skupisko skał. - Ustawimy wśród nich namiot. Nic nie możemy poradzić na to, że będziemy widoczni z góry, ale przynajmniej z drogi nikt nas nie dostrzeże.

- Sądysz więc, że oni wrócą?

- Oczywiście. Jedyne, co możemy zrobić, to być jak najdalej od tego miejsca.

Ciekawa była, czy na Madagaskarze rosną jakieś drzewa, więc ucieszyła się, kiedy weszli do lasu. To złagodziło przykrość, spowodowaną wczesnym wyrwaniem ze snu. Jediną uprzejmością ze strony Douga była filiżanka kawy podsunęta pod nos.

Góry na wschodzie pięły się stromo w górę, zmuszając

do forsownego marszu. Wędrówka stała się więc męczarnią, którą z ochotą zamieniłaby na coś łatwiejszego.

Doug potraktował las jak upragnione schronienie przed ludzkim okiem. Whitney zaś przyjęła go jako upragnioną zmianę.

Pomimo rzeźkiego powietrza po godzinie wspinaczki lepiła się od potu i miała wszystkiego dość. Istniały lepsze sposoby na poszukiwanie skarbu, była o tym przekonana. Należał do nich w pierwszej kolejności samochód z klimatyzacją.

Las nie miał klimatyzacji, za to panował w nim chłód. Whitney zanurzyła się w szumiące wielkie paprocie.

- Przepiękne - stwierdziła, zadzierając głowę do góry.

- Drzewa wędrówców. - Zerwał wielki liść i wylał z niego wodę na dłoń. - Bardzo praktyczne. Przeczytaj w przewodniku.

Wetknęła palec w płyn na jego ręce, a potem włożyła go do ust.

- Po co? Dzięki temu twoje ego ma okazję do popisania się wiedzą.

Jakiś szmer przykuł jej uwagę. Obejrzała się i zobaczyła futrzany biały kształt i długi ogon znikający w krzakach.

- Ojej, pies!

- Mhm. - Doug złapał ją za ramię, zanim zdążyła za nim pobiec. - To sifaka, właśnie zobaczyłaś lemura. Spójrz tam.

Popatrzyła za jego ręką i dostrzegła śnieżnobiałego lemura o czarnej głowie, przemykającego wśród drzew. Roześmiała się i wytrzymała wzrok.

- Są takie ładne. Zaczynałam już myśleć, że nie zobaczymy nic prócz gór, trawy i skał.

Podobał mu się jej śmiech. Może nawet za bardzo. Kobieci, pomyślał. Od tak dawna nie miał już żadnej.

- To nie wycieczka - uciał krótko. - Kiedy będziemy mieli skarb, możesz sobie taką zafundować. A teraz musimy iść.

- Po co ten pośpiech? - Zdjęła plecak i postawiła go na ziemi. - Im głębiej wchodzimy w las, tym Dimitri ma mniej szans na odnalezienie nas.

- Swędzi mnie, kiedy nie wiem, gdzie jest, przed nami czy za nami. - Przypomniał mu się Wietnam i dżungla, która zbyt wiele skrywała. Wolał ciemne ulice i nędzne zaułki w mieście.

Whitney obejrzała się za siebie i skrzywiła. Las zamknął się już za nimi. Chciała odpocząć wśród gęstej zieleni, wilgoci i chłodu, a Doug sprawił, że znowu zobaczyła upiory.

- Przecież nie ma w tym lesie nikogo prócz nas. Jak dotąd za każdym razem byliśmy o jeden krok przed nimi.

- Jak dotąd. Lepiej się tego trzymajmy.

- Dlaczego nie mielibyśmy wykorzystać tego czasu na rozmowę? Mógłbyś mi opowiedzieć o papierach.

Doszedł do wniosku, że nie pozbędzie się jej tak łatwo i będzie musiał przekazać jej trochę informacji dla świętego spokoju.

- Dużo wiesz o rewolucji francuskiej?

Włożyła zniechęcony plecak już w marszu. Lepiej będzie, pomyślała, nie mówić nic o tym, że rzuciła okiem na jedną stronę. Dzięki temu więcej jej powie.

- Dość, by poradzić sobie z historią Francji w college'u.

- A jak stoisz z kamieniami?

- Zdałam szczęśliwie geologię.

- Nie chodzi mi o wapień i kwarc, lecz o prawdziwe kamienie, złotko. Brylanty, szmaragdy i rubiny wielkości twojej pięści. Skojarz je z rządami terroru i ucieczką arystokratów, i masz mnóstwo możliwości. Naszyjniki, kolczyki, nie opracowane kamienie. Piekielnie dużo wtedy ich skradziono.

- Mnóstwo też ukryto i wywieziono.

- Tak. Jeśli się nad tym zastanowić, to wielu z nich nadal nie odnaleziono. My mamy zamiar odnaleźć tylko małą cząstkę. To wszystko, czego mi trzeba.

- Dwustuletni skarb- powiedziała cicho i pomyślała

o dokumencie, który miała w ręku. - To część francuskiej historii.

- Królewskie antyki - mruknął Doug, oczami wyobraźni widząc, jak połyksują mu na dłoni.

- Królewskie? - Podniosła głowę zaciekawiona. Doug patrzył w dal z rozmarzeniem. - Ten skarb należał do króla Francji?

Wystarczająco dużo jej powiedział, zdecydował. Nawet więcej, niż zamierzał.

- Należał do człowieka, który był na tyle sprytny, by dostać go w swe ręce. Teraz będzie należał do mnie. Do nas - poprawił, uprzedzając ją. Lecz ona milczała.

- Kim była ta kobieta, która dała Whitakerowi mapę? - zapytała po chwili.

- Ta angielska lady? Aaa... Smythe-Wright. Tak, lady Smythe-Wright.

Nazwisko poruszyło jej czułą strunę i Whitney zapatrzyła się w dal. Olivia Smythe-Wright należała do nielicznych dobrze urodzonych, którzy w pełni zasługiwali na tytuł. Poświęciła się sztuce i dobroczynności niemal z religijną gorliwością. Twierdziła, że jest spokrewniona z Marią Antoniną - królową, pięknnością, ofiarą - kobietą, którą jedni historycy uważali za samolubną idiotkę, a inni nazywali ofiarą okoliczności. Whitney uczestniczyła w niektórych poczynaniach lady Smythe-Wright i podziwiała ją. Maria Antonina i zaginione klejnoty. Strona z pamiętnika z 1793 roku. To miało jakiś sens. Jeżeli Olivia uwierzyła, że te papiery to historia... Whitney przypomniała sobie, że czytała o jej śmierci w „Timesie”. To było ohydne morderstwo. Krwawe i bez widocznego motywu. Władze nadal prowadziły dochodzenie.

Butrain, pomyślała Whitney. Nie stanął przed sądem, nie miał procesu, na jaki zasługiwał. Teraz nie żył, podobnie jak Whitaker, lady Smythe-Wright i młody kelner imieniem Juan. Motyw był ten sam dla wszystkich i leżał w plecaku Douga. Ilu jeszcze straci życie z powodu królewskiego skarbu? , . . ,

Nie, nie powinna myśleć w ten sposób. Nie w tej chwili. Jeśli się nie opanuje, to zawróci i podda się. Ojciec nauczył ją wielu rzeczy, a pierwszą i najważniejszą było dokończyć raz rozpoczętą sprawę, bez względu na wszystko. Zakrawało to być może na pychę, lecz tak ją wychowano. Zawsze była z tego dumna.

Nie podda się, pomoże Dougowi odnaleźć skarb, a potem zdecyduje, co z tym zrobić.

Doug przyłapał się na tym, że zwraca uwagę na każdy szelest. Według przewodnika te lasy tętniły życiem. Z tej strony jednak nie grozi im niebezpieczeństwo. To nie był teren safari. Powinien raczej obawiać się dwunożnych mięsożernych stworów.

Do tego czasu Dimitri musiał już się porządnie wściec. Doug słyszał malownicze opowieści o tym, co się dzieje, kiedy Dimitri jest wściekły. Nie chciałby przekonać się o tym na własnej skórze.

Las pachniał sosną i porankiem. Wielkie liściaste drzewa chroniły przed ostrym słońcem, które towarzyszyło im przez ostatnie dni. Teraz zmieniło się w białe, połyskujące, cudowne smugi świetlne. Wszędzie pełno było kwiatów - te pod stopami pachniały jak bogate kobiety, te na drzewach, zwiastowały owoce. Passiflora, pomyślał, patrząc na jaskrawofioletowy kwiat. Przypomniał sobie, że taki właśnie dał Whitney w Antananarywie. Od tego czasu wciąż uciekają.

Rozluźnił mięśnie. Do diabła z Dimitrim! Był daleko stąd i kręcił się w kółko. Nie mógł ich przecież tropić po gęstym lesie. Mrowienie w karku to tylko pot. Koperta była bezpieczna, ukryta w plecaku. Tej nocy spał z nią, tak na wszelki wypadek. Skarb, ta nieosiągalna lśniąca tęcza, był bliżej niż kiedykolwiek.

- Miłe miejsce - stwierdził, przyglądając się biegającym wśród gałęzi lemurom o lisich twarzach.

- Miło, że ci się podoba - odpowiedziała Whitney. - Może byśmy się tu zatrzymali i zjedli wreszcie śniadanie, na które z powodu wielkiego pośpiechu nie miałeś czasu.

- Wkrótce. Popracujmy jeszcze na apetyt.

Whitney złapała się za brzuch.

- Chyba żartujesz. - W tym momencie zobaczyła rój wielkich motyli, dwadzieścia, może trzydzieści. Był jak fala wzbierająca, nurkująca i wirująca. Owady miały najpiękniejszy, najbardziej olśniewający odcień niebieskiego, jaki kiedykolwiek widziała. Kiedy przelatywały tuż obok, poczuła delikatny ruch powietrza, który wywołały ich skrzydełka. Intensywność koloru niemal biła w oczy. - Boże, oddałabym życie za sukienkę w tym kolorze.

- Zakupy zrobimy później.

Obserwowała, jak rozpraszają się i przegrupowują. Ten cudowny widok pomógł jej zapomnieć o zmęczeniu.

- Zatrzymałabym się, by skosztować tego dziwnego mięsa i banana.

Choć powinien się już uodpornić na jej uśmiech i trzepot rzęs, poczuł, że łagodnieje.

- Zrobimy sobie piknik.

- Wspaniale!

- Po przejściu jeszcze jednej mili.

Wziął ją za rękę i ruszył dalej w las. Jak ten las delikatnie pachnie, pomyślał, jak kobieta. I tak jak kobieta ma swoje odcienie i chłodne zakrety. Opłacało się iść i mieć oczy szeroko otwarte. Sądząc z poszycia, od dawna nikt tędy nie szedł.

- Nie rozumiem tej twojej obsesji, by pokonywać milę za milą.

- Każda z nich przybliży mnie do worka złota, kotku. Oboje będziemy mieć luksusowe wille, jeżeli nam się uda.

- Douglas. - Pokręciła głową, pochyliła się i zerwała kwiat. Miał kolor blad różowy, delikatny jak młoda dziewczyna, łądygę zaś grubą i twardą. Uśmiechnęła się i wpięła go sobie we włosy. - Sprawy materialne nie powinny odgrywać tak wielkiej roli.

- Faktycznie, jeśli się ma forszę w zasięgu ręki.

Wzruszyła ramionami, zerwała jeszcze jeden kwiat i przytknęła go sobie do nosa.

- Za bardzo troszczysz się o pieniądze.

- Co?! - Zatrzymał się i wbił w nią wzrok. - Ja się troszczyć?! Ja?! A kto wpisuje każdego centa do notesu, kto śpi z portfelem pod poduszką?!

- To jest biznes - powiedziała lekko. Dotknęła kwiatu we włosach. Piękne płatki i twarda łodyga. - Biznes to zupełnie co innego.

- Bzdury! Nigdy nie widziałem kogoś, kto by tak uparcie wyliczał resztę i notował każdego centa! Gdybym krwawił, policzyłabyś mi cholernego dziesiątaka za opaskę uciskową!

- Najwyżej piątaka - poprawiła. - I nie musisz krzyżeć.

- Muszę, żeby przekrzyczeć ten hałas.

Stanęli i zaczęli nasłuchiwać. Dźwięk, na który dopiero teraz zwrócili uwagę, przypominał szum silnika. Nie, doszedł do wniosku Doug gotowy do ucieczki, ten dźwięk był zbyt mocny i głęboki jak na warkot silnika. Grzmot? Nie. Wziął ją ponownie za rękę.

- Chodź, zobaczymy, cóż to może być, u diabła.

Dźwięk nasilał się w miarę zbliżania i tracił podobieństwo do warkotu motoru.

- To woda spływająca po skale - mruknęła Whitney. Kiedy wyszli na polanę, przekonała się, że była bliska prawdy. Wodospad.

Kaskady wody spływały z wysokości dwudziestu stóp do czystego, pieniacego się jeziora. Biała wzburzona woda w swej wędrówce w dół napotykała promienie słoneczne, które zmieniały jej barwę w głęboki, krystaliczny błękit. Huk spadającej wody przypominał ryk maszyny o wielkiej sile i prędkości, mimo to tchnął jakimś spokojem. Tak, ten las jest jak kobieta, ponownie pomyślał Doug. Niezwykle piękna, silna i pełna niespodzianek. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Whitney oparła głowę na ramieniu Douga.

- Jest cudowny - szepnęła. - Absolutnie cudowny. Wygląda, jakby na nas czekał.

Poddał się i otoczył ją ramieniem.

- Ładne miejsce na piknik. Nie cieszysz się, że zaczekałimy trochę?

Musiała odpowiedzieć na jego uśmiech.

- Na piknik i na kąpiel - odparła z roześmianymi oczami.

- Kąpiel?

- Wspaniała, chłodną, mokrą kąpiel. - Widząc jego zdziwienie, cmoknęła go w policzek i pobiegła do jeziora. - Nie przepuszczę takiej okazji, Douglas. - Zrzuciła plecak i zaczęła w nim grzebać. - Myśl o tym, że zanurzę się w wodzie i zmyję brud z ostatnich kilku dni, przyprawia mnie o szaleństwo. - Wyjęła kawałek francuskiego mydła i małą butelkę szamponu.

Doug wziął mydło i przytknął sobie do nosa. Pachniało jak ona - kobieco, świeżo i kosztownie.

- Podzielimy się?

- Dobrze. Tym razem okażę hojność i nic ci za nie nie policzę.

Nachylił się z uśmiechem i oddał jej mydło.

- Chyba nie będziesz się kąpać w ubraniu?

Zobaczyła wyzwanie w jego oczach i odpięła górny guzik.

- Nie mam zamiaru. - Powoli rozpięła wszystkie guziki, patrząc, jak jego wzrok wędruje śladem jej ręki. Lekki wietrzyk poruszył brzegi bluzki, odsłaniając nagą skórę. - Jedyne, co musisz zrobić, to odwrócić się - powiedziała łagodnie. Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. - Albo nie dostaniesz mydła.

- Psujesz całą zabawę - mruknął, lecz odwrócił się.

Rozebrała się w mgnieniu oka i wskoczyła do wody. Burząc gładką powierzchnię, zaczęła brodzić po dnie.

- Twoja kolej. - Rozkoszując się przyjemnym uczuciem, jakie daje kontakt ciała z wodą, zanurzyła głowę. - Nie zapomnij o szamponie.

Przezroczysta powierzchnia wody odsłoniła ponętne kształty jej ciała. Woda łagodnie omywała jej piersi, stopy delikatnie burzyły powierzchnię. Czując, jak wzbiera w nim pożądanie, przeniósł wzrok na jej twarz, lecz i to nie pomogło.

Twarcz dziewczyny jaśniała radością, woda zmyła jasny, wyszukany makijaż, który nakładała codziennie rano. Mokra

włosy, ciasno przylegające do głowy, odsłaniały pięknie ukształtowaną czaszkę, która pozostanie piękna nawet po osiemdziesiątce. Doug wziął małą buteleczkę z szamponem i podrzucił ją. W tych okolicznościach, pomyślał, rozsądniej będzie widzieć zabawną stronę sytuacji. Ma bilet wstępu do milionowej zdobyczy dosłownie w zasięgu ręki, na karku zdecydowanego na wszystko i bardzo sprytnego wroga, dyszącego mu nad gardłem, a on myśli o szczupłej, lodowej księżniczce.

Ściągnął przez głowę koszulę i sięgnął do guzika od spodni.

- A ty nie masz zamiaru się odwrócić?

Do diabła, podobało jej się, gdy się tak uśmiechał. Czarująca zarozumiałość była niezwykle pociągająca. Zaczęła obficie mydlić sobie ramię. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej jego chłodnego dotyku.

- Chcesz się popisywać, Douglas? Nie robi to na mnie wrażenia.

Usiadł, by zdjąć buty.

- Zostaw mi moją część mydła.

- Wobec tego pospiesz się. - Zaczęła mydlić drugie ramię tym samym długim, płynnym ruchem. - Boże, to mydło jest lepsze od kosmetyków Elizabeth Arden. - Z westchnieniem odchyliła się w tył i uniosła nogę. Kiedy stanął i zdjął spodnie, obrzuciła go uważnym, krytycznym spojrzeniem. Choć było ironiczne, nie mogła nie zauważyć szczupłych, umięśnionych ud, płaskiego brzucha i wąskich bioder osłoniętych jedynie obcisłymi slipami. Miał budowę kształtnego, gibkiego biegacza. I chyba nim był.

- Ujdzie - powiedziała po chwili. - Skoro najwidoczniej chcesz pozować, szkoda, że nie zabrałam aparatu.

Nie zrażony jej uwagą ściągnął slipy. Na moment zastygł nagi - musiała przyznać, że wygląda wspaniale na brzegu jeziora. Skoczył ostro do wody i po chwili wypłynął tuż przy niej. To, co zobaczył pod wodą, wzmogło jeszcze jego pożądanie.

- Mydło - powiedział chłodnym tonem, a w zamian podał jej szampon.

- Nie zapomnij o uszach. - Nalała sobie obficie szamponu na dłonie.

- Hej, pamiętaj, że połowa jest moja.

- W porządku. Tak czy owak ja mam więcej włosów od ciebie.

Spieniła szampon na głowie, pracując nogami, by utrzymać się na powierzchni.

Pokazał na mydło, zanim namydlił nim pierś.

- A ja mam więcej ciała.

Z uśmiechem zanurzyła się w wodzie, pozostawiając pienisty szlak mydlin, kiedy włosy rozłożyły się wachlarzowo na powierzchni. Ruch wody ściągał je w dół. Nie mogąc się powstrzymać, zanurkowała. Słyszała wibracje wodospadu i szum, widziała kamienie połyskujące na dnie, czuła słodki, czysty smak wody, pieszczony słończnymi pocałunkami. Spojrzała w górę i zobaczyła silne, szczupłe ciało mężczyzny, który był jej współnikiem.

Myśl o niebezpieczeństwie, o mężczyznach z bronią, o pociągu, wydała się śmieszna. Tu był raj. Whitney nie wierzyła w chytre węże wśród słodkich kwiatów. Śmiejąc się, wypłynęła na powierzchnię.

- Tu jest jak w bajce. Powinniśmy zarezerwować sobie to miejsce na weekend.

Zobaczył, jak promienie słońca błyszczą jej we włosach.

- Następnym razem mogę nawet skoczyć po mydło.

- Czyżby? - Wyglądał atrakcyjnie i niebezpiecznie. Doszła do wniosku, że podoba jej się element niebezpieczeństwa w mężczyźnie. Słowo „nuda”, jedyne słowo, które uważała za wyjątkowo wstrętne, nie pasowało do niego. „Zaskakujący” - to było dobre słowo. Doszła do wniosku, że ma ono zmysłowe brzmienie.

Poddając go próbie, a może i siebie, podpłynęła wolno do Douga. Ich ciała znalazły się niebezpiecznie blisko siebie.

- Wymiana- mruknęła, patrząc mu w oczy i podając butelkę.

Jego palce zacisnęły się na mydle tak, że o mały włos nie wyslizgnęło się z ręki. Do czego ona, u diabła, zmierza? -

pomyślał w duchu. Zbyt dobrze znał to spojrzenie u kobiet. Mówiło ono: „Może. Dlaczego mnie nie zachęcisz?” Problem w tym, że ona nie była podobna do kobiet, które znał. Nie był pewny, jak ma się zachować.

Zamiast tego pomyślał o jej pracy, wysokiej klasie, luksusowym apartamencie, który wymagał starannej oprawy, drobiazgowych podchodów i zawiłego kluczenia, dopóki on tego wszystkiego nie zburzył. Lepiej będzie grać rolę złodzieja. Zna jej reguły, bo sam je stworzył.

- Oczywiście. - Otworzył dłoń tak, by musiała sama wziąć z niej mydło.

W odpowiedzi podrzuciła butelkę i cofnęła się ze śmiechem. Zdażył ją złapać tuż nad wodą.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci zapach jaśminu - rzekła.

Uniosła leniwie nogę i zaczęła mydlić łydkę.

- Jakoś wytrzymam. - Nalał sobie szamponu na głowę, zakręcił butelkę i rzucił ją na brzeg. - Byłaś kiedyś w łaźni publicznej?

- Nie. - Odwróciła głowę zaciekawiona. - A ty?

- Parę lat temu w Tokio. To ciekawe doświadczenie.

- Z zasady wolę ograniczać liczbę osób w mojej wannie do dwóch. - Przesunęła mydło w stronę uda. - Dzięki temu nie ma tłoku i jest przytulnie.

- Na pewno.

Zanurzył się, by spłukać mydło i jednocześnie ochłonać. Miała nogi aż do samej talii.

- Poza tym wygodnie - dodała, kiedy wypłynął. - Zwłaszcza wtedy, gdy chcesz umyć plecy. - Podała mu mydło z uśmiechem. - Czy mógłbyś?

A więc chce się ze mną podroczyć, pomyślał. No cóż, rzadko w takich wypadkach odmawiał, zwłaszcza kiedy dostrzegał korzyści. Wziął od niej mydło i zaczął je przesuwając wzdłuż linii pleców.

- Wspaniale - odezwała się po chwili. Nie było łatwo zapanować nad głosem, kiedy żołądek się zaciskał. - Sądzę, że człowiek o twojej specjalności musi mieć zręczne palce.

- Przydają się.

Jego ręka przesunęła się wolno w dół i równie wolno w górę. Nie przygotowana na dreszcze, który ten ruch w niej wywołał, zadrżała.

- Zimno? - Doug uśmiechnął się.

Co ja wyprawiam, pomyślała.

- W wodzie robi się zimno, kiedy stoisz w miejscu.

Wmawiając sobie, że to nie odwrót, odsunęła się delikatnie. Nie tak prędko, złotko, pomyślał Doug. Rzucił mydło na trawę obok szamponu. Jednym szybkim ruchem chwycił ją za kostkę.

- Masz jakiś problem? - spytała.

Bez wysiłku przyciągnął ją do siebie.

- Skoro chcesz się podroczyć...

- O co ci chodzi? - zaczęła i głęboko wciągnęła powietrze, kiedy ich ciała się zetknęły.

- Niby nie wiesz?

Rozbawiła go ta niepewność, ta irytacja i ten błysk zrozumienia w jej oczach. Miała długie i smukłe ciało. Z premedytacją splątał jej nogi ze swoimi, by musiała chwycić go za ramiona, żeby utrzymać się na powierzchni.

- Uważaj na to, co robisz, Lord - powiedziała ostrzegawczo.

- To przez te zabawy w wodzie. Nigdy nie umiałem się w to bawić.

- Powiem ci, jeśli będę chciała się pobawić.

Jego ręce przesunęły się pod jej piersi.

- A nie mówiłaś?

Sama się o to prosiła. Świadomość tego ani trochę nie poprawiła jej humoru. Tak, chciała z nim pograć, lecz na jej warunkach, w dogodnej dla niej chwili. Zdała sobie sprawę, że znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji i że wcale jej to nie martwi. Jej głos stał się lodowaty, a wzrok równie chłodny.

- Czyżbyś uważał, że należymy do tej samej ligi?

Dawno temu odkryła, że zniewagi przekazywane chłodno dają wspaniałe rezultaty w czasie obrony.

- Nie, ale nigdy nie przywiązywałem wagi do kastowości. Chcesz grać księżniczkę, proszę bardzo. - Przesunął ręce wyżej i dotknął kciukami jej sutków. Usłyszał, jak wciąga powietrze i gwałtownie wypuszcza. - O ile dobrze pamiętam, królowie zawsze lubili brać sobie do łóżka kogoś z ludu.

- Nie mam zamiaru brać ciebie do mojego.
- Masz zamiar.
- Pochlebiasz sobie.
- Kłamiesz.

Wezbrał w niej gniew. Gorąca lawa spłynęła do żołądka, burząc jej spokój.

- Woda robi się zimna, Douglas. Chcę wyjść.
- Chcesz, żebym cię pocałował.
- Prędszej bym pocałowała ropuchę.

Uśmiechnął się. Praktycznie syczała na niego.

- Nie przyprawię ci brodawek.

W mgnieniu oka przywarł do jej ust.

Zesztywniała. Nikt jeszcze nie pocałował jej bez pytania o zgodę i bez skakania przez przeszkody, które sama stawiała. Za kogo on się, u diabła, uważa?

Jej serce zaczęło tłuc się w piersiach. Puls zaczął galopować. W głowie się kręciło.

Przestało ją obchodzić, kim on jest.

Ogarnęła ich fala pożądania. Wtuliła się namiętnie w jego usta. Języki się spotkały. Chwycił delikatnie jej dolną wargę; otaczając ją ramionami, przyciągnął mocniej do siebie. Ale niespodzianka, pomyślał, gubiąc się w motywach jej postępowania.

Był taki chłodny, świeży, inny, tak podniecająco inny. W zapamiętaniu zanurzyli się pod wodę. Obrócili się, wypłynęli znowu ze złączonymi ustami i wodą spływającą z ciał.

Nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego. On nie pytał, tylko brał. Jego ręce przesuwały się po jej ciele z poufałością, którą zawsze oszczędnie wydzielała. To ona wybierała kochanków, czasami pod wpływem impulsu, czasami z rozmysłem, ale to ona decydowała. Tym razem

nie pozostawiono jej żadnego wyboru. Ten moment bezradności był radośniej szy od wszystkich dotychczasowych przeżyć.

Przyprawiłyby ją o szaleństwo w łóżku. Skoro mógł ją tak długo przytrzymać pocałunkiem... Porwałby ją w górę, w przestworza, gdzieś daleko, czy chciałaby tego, czy nie. A w tej chwili, och, kiedy woda zamykała się nad nią, kiedy jego ręce pieściły ją, a usta stawały się coraz gorętsze, bardziej spragnione, czuła, że chce tego bardzo.

A potem powiedziałyby „cześć” z pewnym siebie uśmiechem i rozplątały się w mroku nocy. Zawsze pozostanie złodziejem, bez względu na to, czy będzie chodziło o złoto, czy o kobietę duszę. Może nie dyktowała warunków na początku, lecz potrafi zatrzymać się wystarczająco wcześniej, by sama wybrać zakończenie.

Odrzuciła na bok żale. Ból był czymś, czego należało unikać za wszelką cenę. Nawet jeśli ceną była przyjemność. Rozluźniła całe ciało, jakby się całkowicie poddawała, a potem szybkim ruchem przeniosła ręce na wysokość jego klatki piersiowej i z całych sił pchnęła. Doug poszedł pod wodę, nie mając nawet czasu na złapanie oddechu. Zanim wypłynął na powierzchnię, Whitney wychodziła już z wody.

- Gra skończona. Punkt dla mnie.

Złapała bluzkę i włożyła ją, nie troszcząc się, że jest mokra.

Ogarnęła go wściekłość. Sądził, że zna kobiety. Mylił się jednak, uważając, że wie, które guziki należy przyciskać. Właśnie otrzymał lekcję. Podpłynął do brzegu i wyszedł. Whitney już wciągała spodnie.

- Miłe urozmaicenie - powiedziała, oddychając z ulgą, kiedy była już ubrana. - A teraz lepiej urządzmy sobie ten piknik. Umieram z głodu.

- Złotko... - Patrząc jej w oczy, podniósł z ziemi dzin-sy. - To, o czym myślę, nie ma nic wspólnego z piknikiem.

- Czyżby? - Odzyskawszy pewność siebie, pochyliła się, wyjęła szczotkę z plecaka i zaczęła wolno rozczesywać włosy. Woda kapała z nich na ziemię jak małe perełki. - Wyglądasz,

jakbyś miał za chwilę pożreć kawał surowego mięsa. Czy właśnie takie spojrzenie stosujesz, kiedy masz zamiar pozabawić bezbronne starsze panie ich torebek?

- Jestem złodziejem, a nie bandytą. - Zapiał spodnie i odrzucając z czoła mokre włosy, podszedł do niej. - Ale dla ciebie mogę zrobić wyjątek.

- Nie rób niczego, czego byś potem żałował- powiedziała cicho.

Zacisnął zęby.

- Mam zamiar wykorzystać to do ostatka.

Kiedy chwycił ją w ramiona, popatrzyła na niego zimno.

- Nie jesteś typem brutala - powiedziała. - Chociaż...

Jej pięść trafiła go w żołądek, szybko i mocno. Zgiął się wpół, chwytając gwałtownie powietrze.

- Ja tak - dokończyła. Wrzuciła szczotkę do plecaka, mając nadzieję, że Doug nie zauważy, jak trzęsie się jej ręka.

- A więc to tak. - Trzymając się za brzuch, posłał jej spojrzenie, które nawet Dimitriego zmusiłoby do cofnięcia się i zastanowienia.

- Douglas... - Uniosła rękę, jak gdyby miała do czynienia z niebezpiecznym psem. - Odetchnij parę razy głęboko. Policz do dziesięciu. - Coś tam jeszcze było, pomyślała nerwowo. - Poskacz w miejscu - zaryzykowała. - Nie trać nad sobą kontroli.

":

- Doskonale nad sobą panuję - powiedział przez zęby, podchodząc do niej na sztywnych nogach. - Zaraz ci to udowodnię.

- Może innym razem. Napijmy się wina. Możemy... Urwała, kiedy jego ręka zacisnęła się na jej gardle. - Doug! - Jej głos przeszedł w pisk.

- A teraz... - zaczął i spojrzał w górę. - Sukinsyn!

Nie mylił się, był to szum śmigła helikoptera. Znajdował się tuż nad ich głowami, a oni stali na otwartej przestrzeni. Pieprzona otwarta przestrzeń, pomyślał z wściekłością. Puścił jej zsyję i zaczął zbierać przybory.

- Rusz tyłek! - krzyknął. - Piknik skończony!

- Jeśli jeszcze raz powiesz, żebym ruszyła tyłek...

- Ruszaj się! - Pchnął plecak w jej stronę. - A teraz wpraw w ruch te swoje piękne długie nogi, złotko. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Zamknął w żelaznym uścisku jej rękę i puścił się pędem w stronę drzew. Za nimi powiewały włosy Whitney.

W górze, w małej kabinie helikoptera, Remo odjął od oczu lornetkę. Po raz pierwszy od kilku dni uśmiech rozciągnął jego wargi. Leniwie pogładził bliznę, szpecącą mu policzek.

- Mamy ich. Łącz się z panem Dimitrim.



8

- Myślisz, że nas zauważyli?

Gnąc ile sił w nogach, Doug kierował się na wschód i trzymał najbardziej gęstej części lasu. Korzenie i pnącza czepiały się ich stóp, mimo to biegli stale naprzód. Kierował się instynktem, pędząc przez nieznaną las, porośnięty bambusem i eukaliptusem, tak jak to czynił na Manhattanie. Z drzew spadały liście i smagały ich po twarzach. W innej sytuacji Whitney zaczęłaby narzekać, lecz teraz zbyt była zajęta łapaniem oddechu.

- Tak, myślę, że nas zauważyli.

Nie tracił czasu na wściekłość, na zawód, na panikę, choć odczuwał to wszystko jednocześnie. Za każdym razem, kiedy sądził, że zyskali trochę czasu, pojawiał się Dimitri jak jakiś dobrze utrzymany angielski pies gończy, który poczuł krew. Musi zmienić strategię i w dodatku zrobić to w biegu.

Doświadczenie wykazało, że to najlepszy sposób. Kiedy masz zbyt dużo czasu na myślenie, zbyt wiele wagi przywiązujesz do konsekwencji.

- Nie ma tu miejsca, by helikopter mógł wylądować - powiedział.

To brzmiało sensownie.

- Więc zostaniemy w lesie - zaproponowała Whitney.

- Nie. - Sądził wielkimi susami jak maratończyk, oddychając płynnie i spokojnie. Nienawidziła go za to i jednocześnie podziwiała. Nad głowami lemury rozbiegały się przerażone i podniecone. - W ciągu godziny zaroi się tu od ludzi Dimitriego.

To również brzmiało sensownie.

- Więc wyjdźmy z lasu.

- Nie.

Wyczerpana biegiem zatrzymała się i oparła o pień drzewa, prawie natychmiast zsuwając się na pokrytą mchem ziemię. I ona śmiała twierdzić, że ma kondycję. Mięśnie nóg domagały się odpoczynku.

- Więc co zrobimy? - zapytała. - Znikniemy?

Zmarszczył brwi, lecz nie z jej powodu ani też z powodu nieprzerwanego szumu śmigła i warkotu silnika nad głową. Patrzył przed siebie, skupiając myśli na planie, który właśnie przyszedł mu do głowy.

To było ryzykowne i, prawdę powiedziawszy, szalone. Spojrzał w górę na baldachim z liści, który oddzielał ich od Rema i czterdziestkiptaki. Ale... może poskutkować.

- Znikniemy - mruknął. - To właśnie zrobimy. - Kucnął i otworzył plecak.

- Szukasz czarodziejskiej różdżki?

- Szukam czegoś, co uchroni tę twoją alabastrową skórę, złotko. - Wyciągnął lambę, którą Whitney kupiła w Antanarywie, owinał nią jej głowę tak, by ukryć twarz. - Żegnaj, Whitney MacAllister, witaj, malgaska matrono.

Zdmuchnęła jasne włosy z oczu. Jedną elegancką, pięknie ukształtowaną dłoń złożyła na drugiej.

- Chyba żartujesz.

- Masz lepszy pomysł?

Siedziała przez chwilę bez ruchu; las przestał być oazą ciszy z powodu hałasu, jaki robił helikopter. Cień drzewa i zapach mchu nie stanowiły już ochrony. W milczeniu skrzyżowała lambę pod brodą i zarzuciła sobie końce na plecy. Najbardziej wszawy pomysł był lepszy od żadnego.

- Okay, chodźmy. - Pomógł jej wstać, ciągnąc za rękę. - Musimy coś załatwić.

Dziesięć minut później znalazł to, czego szukał. U stóp skalistego, stromego stoku rozpościerała się polana, na której stała grupka bambusowych chat. Trawa i rośliny na stoku zostały wykarczowane i spalone, następnie obsadzone ryżem.

Poniżej, w opielonych i okopanych ogródkach, wiły się wokół palików pędy fasoli. Dostrzegła też pustą zagrodę i mały wybieg dla kurcząt.

Chaty wybudowano na palach z powodu nierówności terenu. Dachy pokryto strzechą, lecz nawet z daleka widać było, że wymagają naprawy. Rząd nierównych stopni wykopanych w stoku prowadził w dół do wąskiej, pełnej wyboi ścieżki, która wiodła na wschód. Doug kucnął za zasłoną małych karłowatych krzewów i zaczął lustrować uważnie teren, usiłując dostrzec jakąś oznakę życia.

Opierając mu rękę na ramieniu, Whitney spojrzała w dół. Skupisko chat wyglądało przytulnie. Przypomniała sobie plemię Merina i poczuła się pewniej.

- Czy tam się ukryjemy?

- Ukrywanie nie na długo nam się zda.

Wyjął polową lornetkę, położył się na brzuchu i zaczął dokładniej lustrować grupę chat. Żaden dym nie unosił się w powietrzu, nie dostrzegł też żadnego ruchu w którymś z okien. Podjął szybko decyzję i wręczył Whitney lornetkę.

- Czy umiesz gwizdać?

- Co takiego?

- Gwizdać. - Gwizdnął cicho przez zęby.

- Potrafię gwizdać lepiej od ciebie. - Prychnęła pogardliwie.

- Doskonale. Obserwuj przez lornetkę. Jeśli zobaczysz kogoś idącego w stronę chat, zagwizdź.

- Jeśli myślisz, że zejdziesz tam beze mnie...

- Zostawiam tu plecaki. Oba. - Chwycił ją za włosy i przyciągnął jej głowę do siebie. - Sądzę, że chcesz ocalić życie bardziej niż dostać kopertę.

Skinęła zimno głową.

- Ocalenie życia stało się ostatnio sprawą nadrzędną.

W jego przypadku zawsze tak było.

- Więc zostań tu.

- Czemu chcesz tam zejść?

- Jeśli mamy iść dalej razem jako para Malgaszów, musimy zdobyć parę rzeczy.

- Zdobyć? - Uniosła brew. - To znaczy masz zamiar je ukraść?

- Właśnie tak, złotko. A ty staniesz na czatach.

Po krótkim zastanowieniu Whitney zdecydowała się, że nawet podoba jej się rola czujki. Może w innym czasie i miejscu zabrzmiałoby to niedelikatnie, ale zawsze uważała, że wszystkiego należy próbować w oryginalnym kształcie.

- Jeśli zobaczę, że ktoś idzie, zagwiżdżę.

- W porządku. Teraz się ukryj. Może nadlecieć Remo z tą swoją bzyzczącą maszyną.

Dostosowując się do roli, położyła się na brzuchu i przytknęła lornetkę do oczu.

- Rób swoją robotę, Lord, a ja zajmę się swoją.

Krótki rzut oka na niebo i Doug zaczął schodzić w dół po stromym zboczach. Stopnie pozostawiłyby go zbyt długo na otwartej przestrzeni, więc ominął je. Małe kamyczki uderzały go po łydkach i raz kawałek ziemi zarwał się pod nim, przez co zjechał w dół, zanim zdołał znaleźć oparcie dla nóg. Usiłował wymyślić coś na wypadek, gdyby na kogoś wpadł. Nie znał miejscowego języka, a jego francuska tłumaczka stała na czatach. Bóg mu pomoże. Na szczęście miał kilka - tylko kilka, pomyślał ponuro - dolarów w kieszeni. Jeśli stanie się najgorsze, będzie mógł za nie kupić większość tego, czego im potrzeba. Przystając na chwilę, czujny na każdy dźwięk, ruszył biegiem przez odsłonięty teren w stronę pierwszej chaty.

Byłby bardziej usatysfakcjonowany, gdyby zamek stawiał większy opór. Zawsze znajdował pewne zadowolenie, kiedy zdołał pokonać skomplikowany mechanizm czy sprytną kobietę. Obejrzał się i popatrzył w stronę, gdzie pozostała Whitney. Jeszcze z nią nie skończył, co do zamka był zmuszony pogodzić się z sytuacją. W ciągu kilku sekund znalazł się w środku.

Wygodnie ułożona na miękkim poszyciu Whitney obserwowała jego poczynania przez lornetkę. Wspaniale się poruszał. Ponieważ zawsze biegła obok niego, nie miała dotąd okazji zauważyć tej płynności. Robi wrażenie, pomyś-

łała, dotykając językiem górnej wargi. Przypomniała sobie, jak trzymał ją w objęciach w wodzie. To było bardziej niebezpieczne, niż początkowo sądziła.

Kiedy zniknął we wnętrzu chaty, rozpoczęła wolną obserwację terenu. Dwa razy dostrzegła jakiś ruch, lecz były to tylko zwierzęta. Coś, co przypominało jeża, wychynęło, kiwając się na boki, na słońce, a potem znikło w zaroślach. Słyszała bzyczenie much i ostry pisk owadów. Te odgłosy zwróciły jej uwagę, że szum helikoptera ucichł. Wróciła myślami do Douga, popędzając go w duchu.

Choć osada wydawała się mała i obskurna, otaczająca ją przyroda była bujniejsza od dotychczas oglądanej. Tętniła życiem, zielona i wilgotna. Z szelestu liści drzew domyśliła się, że są tam zwierzęta i ptaki. Raz wydało jej się, że dostrzegła przez lornetkę tłustą przepiórkę lecącą nisko nad polaną.

Wchłaniała zapach trawy i delikatną woń kwiatów rosnących w cieniu. Jej łokcie zagłębiały się w sprężystym mchu, który pokrywał ziemię ciemną i bujną warstwą. Kilka jardów dalej wzgórze opadało stromo w dół; erozja wypłukała tu glebę do gołej skały. Leżąc bez ruchu, wsłuchiwała się w ciszę, która ogarnęła las; dudniła w uszach i miała w sobie ten posmak tajemniczości, na który czekała, odkąd Doug wspomniał o Madagaskarze.

Czyżby naprawdę minęło tylko parę dni od chwili, kiedy ten facet, niecierpliwie przemierzając pokój, usiłował wyłudzić od niej pieniądze? Wszystko, co zdarzyło się przed ową pamiętną nocą, wydawało się snem. Nawet nie zdążyła się rozpakować po powrocie z Paryża, choć nic ekscytującego tam nie przeżyła. Nie była w stanie myśleć o tych nudnych dniach, odkąd Doug wskoczył do jej samochodu na Manhatanie.

Teraz jest o wiele ciekawiej, pomyślała. Przeniosła wzrok z powrotem na chaty, lecz one nadal stały równie ciche i milczące jak w chwili, kiedy Doug schodził w dół stoku. Musi być świetny w tym, co robi, pomyślała. Ręce ma zwinne, oko bystre i niezwykle miękki chód.

Choć nie miała zamiaru zmieniać swojego zawodu, doszła do wniosku, że byłby niezły ubaw, gdyby nauczyła ją kilku sztuczek. Była pojętna i miała zwinne ręce. To i pewien chłodny urok pomogły jej osiągnąć sukces w zawodzie bez pomocy wpływowej rodzinki. Czyż nie te same umiejętności potrzebne są w profesji Douga?

A może, naturalnie na próbę, powinna spróbować pracować jako złodziejka. Przecież czarny należał do jej ulubionych kolorów. Ma taki świetny sweter z angory, który doskonale by pasował. I jeśli dobrze pamiętała, powinna mieć parę czarnych dżinsów. Tak, na pewno, wygodne dżinsy z rzędem srebrnych ćwieków wzdłuż jednej nogawki. Pełnego ekwipunku dopełniałyby czarne tenisówki.

Mogłaby zacząć od rodzinnej posiadłości na Long Island. System alarmowy był tam niezwykle skomplikowany. Tak skomplikowany, że ojciec stale go włączał, a potem wrzeszczał na służbę, żeby go wyłączyła. Jeśli ona i Doug daliby sobie z nim radę, to...

Zdobyliby Rubensa, parę koni z epoki Tang, doskonale ohydną tacę z litego złota, którą dziadek podarował matce. Wybrałaby kilka luksusowych eksponatów i przesłała je do biur ojca w Nowym Jorku. To by go doprowadziło do szaleństwa. Ubawiona tym pomysłem, Whitney wróciła do obserwacji. O mały włos nie przegapiła jakiegoś ruchu na wschodzie. Gwałtownie przesunęła lornetkę na prawo i zastygła w bezruchu. Gospodarze wracają, pomyślała, i za chwilę Doug zostanie przyłapany na gorącym uczynku.

Wciągnęła powietrze, by zagwizdać, kiedy nagle usłyszała jakieś głosy.

- Tu ich nakryjemy albo wypłoszymy. - Tuż za nią zaszleściły liście. - Tak czy siak szczęście opuściło Lorda. - Mężczyzna, który to powiedział, przechylał butelkę whisky. Dotknął znacząco nosa, który złamał mu Doug w barze na Manhattanie. - Najpierw chcę go załatwić.

- A ja najpierw chcę załatwić tę kobietę - odezwał się drugi głos, piskliwy i skamlący.

Whitney miała wrażenie, jakby coś lepkiego dotknęło jej ciała.

- Zboczeniec - mruknął ten pierwszy, torując sobie drogę przez las. - Możesz się z nią zabawić, Barns, ale pamiętaj, Dimitri chce ją dostać nie uszkodzoną. Co do Lorda, to nie obchodzi szefa, w ilu kawałkach go dostarczymy.

Whitney leżała bez ruchu z szeroko otwartymi oczami i wyschniętymi wargami. Gdzieś czytała, że prawdziwy strach wytwarza zasłonę kryjącą przed słuchem i wzrokiem. Za chwilę się o tym przekona. Zdała sobie sprawę, że tą kobietą, o której tak obojętnie mówili, jest ona. Wystarczyło, że przeczeszą teren, a znajdą ją, rozpląszczoną na ziemi jak towar na targu.

W panice spojrzała w stronę chat. Cholernie się jej Doug przysłuży, pomyślała ponuro. Mógł się pojawić w każdej chwili. Z tego stanowiska na wzniesieniu ludzie Dimitriego ustrzelą go jak kaczkę. Jeśli zostanie dłużej w chacie, wracający Malgasze podniosą krzyk, kiedy przyłapią go na plądrowaniu ich dobytku.

Lecz najpierw rzecz najważniejsza, pomyślała. Musi znaleźć lepsze schronienie, i to szybko. Uniosła głowę i ostrożnie wyjrzała. Najlepszym rozwiązaniem będzie znalezienie rozłożystego drzewa wśród gęstych zarośli. Nie namyślając się dłużej, chwyciła oba plecaki i zaczęła pełznąć na czworakach. Zdzierając sobie skórę o korę, przekoziołkowała pod drzewo i upadła na ziemię z głuchym plaśnięciem.

- Słyszałeś?

Wstrzymując oddech, Whitney przywarła do pnia. Teraz widziała wyraźnie ścieżkę prowadzącą do chat i do miejsca, gdzie znajdował się Doug. Dostrzegła również całą armię mikroskopijnych rdzawych insektów krzątających się wewnątrz martwego drzewa o milimetr od jej twarzy. Walcząc z obrzydzeniem, siedziała nieruchomo. Doug daje sobie radę w pojedynkę, więc i ona też może.

Tuż nad głową rozległ się szelest, który zabrzmiał jak wystrzał. Ogarnął ją paniczny strach. Jak, u diabła, wytłumaczy ojcu, że została porwana przez parę zbirów w lesie

na Madagaskarze, w czasie wyprawy po skarb w towarzystwie złodzieja? On nie ma wielkiego poczucia humoru.

Ponieważ знаła gniew ojca, natomiast Dimitriego nie, perspektywa tego pierwszego wydała się o wiele gorsza. Prawie wcisnęła się do wnętrza drzewa.

Znowu usłyszała szelest. Dialog mężczyzn umilkł. Skradali się w milczeniu. Próbowwała wyobrazić sobie, jak idą w jej kierunku i stają za jej plecami, lecz umysł miała sparaliżowany strachem. Trwała przerażająca cisza. Pot wystąpił jej na czoło.

Zacisnęła mocno powieki jak dziecko, które wierzy, że jak kogoś nie może zobaczyć, to ten ktoś też go nie widzi. Nietrudno było wstrzymać oddech, kiedy krew zastygła w żyłach z przerażenia. Coś cicho stuknęło w pień tuż nad jej głową. Zrezygnowana otworzyła oczy. Ujrzała gładkowlosego lemura z czarną mordką, wpatrującego się w nią intensywnie.

- Jezu! - szepnęła trzęsącym się głosem.

Lecz nie było czasu na oddech. Usłyszała kroki zbliżających się mężczyzn, teraz już bardzo ostrożne. Czy podobne skradanie się w Central Parku wywołałoby w niej uczucie równie lodowatego strachu? - pomyślała.

- Sio! - syknęła na lemura. - Uciekaj.

Leżała i robiła do niego miny, nie mając odwagi się ruszyć. Bardziej rozbawiony niż przestraszony, zaczął ją nadsładować. Zamknęła oczy zrezygnowana.

- Słodki Jezu!

Lemur wydał z siebie skrzek, co spowodowało, że obaj mężczyźni ruszyli biegiem na szczyt. Usłyszała piskliwy okrzyk i dźwięk odbezpieczonej broni, a potem zobaczyła odpadającą drzazgę, która przeleciała jakieś sześć cali od jej twarzy. W tym samym momencie lemur zniknął w gęstwinie.

- Idiota!

Doszedł ją krótki, głuchy dźwięk wymierzania policzka, a potem zaskakujący chichot. Ten chichot właśnie, bardziej niż strzał, bardziej niż skradanie się, sprawił, że omal nie zemdlała ze strachu.

- Prawie go miałem. Jeszcze centymetr i położyłbym trupem drania.

- Tak, i dzięki temu Lord prawdopodobnie pryska teraz jak królik.

- Lubię strzelać do królików. Te małe skurwiele drętwieją i gapią się na ciebie, kiedy pociągasz za cyngiel.

- Cholera! - Usłyszała odrazę w głosie pierwszego i prawie poczuła do niego sympatię. - Ruszamy. Remo chce, byśmy poszli na północ.

- Prawie miałem tę małą. - Chichot rozległ się ponownie. - Nigdy jeszcze nie sprzątnąłem mały.

- Zboczeniec.

Odpowiedź i towarzyszący jej śmiech odpłynęły gdzieś dalej. Mijała chwila za chwilą. Whitney nadal leżała nieruchomo i cicho jak kamień. Insekty postanowiły spenetrować jej ramię, tak jak wcześniej drzewo, lecz nawet nie drgnęła. Doszła do wniosku, że warto by znaleźć jakieś dogodne miejsce, by spędzić tam następnych kilka dni.

Kiedy jakaś ręka zakryła jej usta, skoczyła jak sprężyna.

- Mała drzemka? - szepnął jej Doug do ucha. Patrząc jej w oczy, obserwował, jak zaskoczenie zmienia się w ulgę, a ulga we wściekłość. Na wszelki wypadek przytrzymał ją trochę dłużej. - Spokojnie, złotko. Jeszcze nie odeszli zbyt daleko.

Natychmiast, jak tylko uwolnił jej usta, zaatakowała:

- O mały włos nie zostałam zastrzelona! - wysyczała. - Przez jakąś rechoczącą małą kreaturę z armatą!

Dostrzegł świeże drzazgi nad jej głową, mimo to wzruszył ramionami.

- Przecież nic ci się nie stało.

- Nie tobie to zawdzięczam. - Otrzeпаła rękaw bluzki, patrząc z obrzydzeniem, jak insekty rozbiegają się po mchu. - Kiedy ty tam na dole bawiłeś się w Robin Hooda, dwa odrażające typy z równie odrażającymi pistoletami przeszły obok. Wymienili twoje nazwisko.

- Sława to ciężkie brzemię - mruknął.

Przeszła tuż obok, pomyślał, patrząc jeszcze raz na ślady

na drzewie. O wiele za blisko. Bez względu na to, jakkolwiek by kluczył, bez względu na to, jak często zmieniałby kierunek i taktykę, Dimitri i tak będzie tuż za nim. Znał to uczucie tropionego zwierzęcia. Poznał, co to znaczy pocić się i skręcać ze strachu, kiedy myśliwy jest blisko. Nie ma zamiaru przegrać. Popatrzył w las i zmusił się do zachowania spokoju. Nie ma zamiaru przegrać, kiedy już prawie wygrał.

- A tak między nami, to jesteś nędznym obserwatorem.

- Musisz wziąć pod uwagę fakt, że byłam zajęta i nie mogłam gwizdnać.

- O mały włos, a byłbym zmuszony do wyjścia w niezwykle trudnej sytuacji. - Wracajmy do sprawy, pomyślał. Skoro Dimitri jest niedaleko, będą musieli zwiększyć tempo. - Mimo to zabrałem parę rzeczy i wyszedłem, zanim zrobiło się tłoczno.

- Na to wygląda. - Nieważne, że odetchnęła z ulgą, gdy go zobaczyła całego i zdrowego, i że cieszy się, mając go znów przy sobie. Nie da tego po sobie poznać. - Był tu lemur i... - Przerwała, ujrawszy, co Doug przyniósł. - Co to jest? - zapytała głosem, w którym brzmiało wyraźne zgorzzenie połączone z zaciekawieniem.

- Prezent. - Doug podał jej słomkowy kapelus. - Nie miałem czasu go zawinąć.

- Jest nieatrakcyjny i nie ma żadnego stylu.

- Za to ma szerokie rondo - odparował i włożył go jej na głowę. - Skoro nie mogę włożyć ci worka na głowę, ten musi wystarczyć.

- Cóż za komplement.

- Przyniosłem ci również parę dodatków.

Rzucił jej grubą, bezkształtną bawełnianą suknię koloru wypłowiałego gnoju.

- Daj spokój. - Wzięła w palce rękaw sukni. Doznała niemal identycznego uczucia jak wtedy, kiedy obudził ją pajak. Obrzydliwe było zawsze obrzydliwe. - Nie mam zamiaru straszyć w tym ludzi.

- O to właśnie chodzi, złotko.

Przypomniała sobie drzazgi rozpryskujące się zaledwie

o parę cali od jej nosa. Może ta suknia nabierze jakiegoś stylu po włożeniu?

- A kiedy ja będę produkowała się w tej nęcącej kreacji, co ty włożysz?

Wziął do ręki drugi kapelusz ze słomy ze spiczastym daszkiem.

- Bardzo szykowne. - Stłumiła śmiech, widząc w jego ręku długą, obszerną koszulę i szerokie bawełniane spodnie.

- Widocznie nasz gospodarz bardzo lubi ryż - stwierdził Doug, demonstrując rozmiar spodni. - Ale poradzimy sobie.

- Nie chcę ci przypominać o wcześniejszych sukcesach twoich przebieranek, ale...

- Więc nie przypominaj. - Zwinął ubrania w węzeł. - Rano ty i ja staniemy się kochającą parą Malgaszów wędrujących na targ.

- Dlaczego nie malgaską kobietą i jej bratem idiotą w drodze na targ?

- Nie prowokuj szczęścia.

Czując się bezpiecznie, Whitney obejrzała swoje spodnie. Rozdarły się o korę na kolanie. Dziura zirytowała ją bardziej niż kula.

- Tylko spójrz na to! Jeśli tak dalej pójdzie, to stracę wszystkie porządne ciuchy. Już zniszczyłam spódnice i cudowną bluzkę, a teraz to. - Włożyła trzy palce do dziury w spodniach. - Te spodnie dopiero co kupiłam w Waszyngtonie.

- Przecież przyniosłem ci nową sukienkę.

Whitney popatrzyła na kupę ubrań.

- Bardzo zabawne.

- Reklamacje zostaw na później. A teraz powiedz mi, czy podsłuchałaś coś, o czym powinienem wiedzieć.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, sięgnęła do plecaka i wyjęła notesik.

- Te spodnie idą na twój rachunek, Douglas.

- Zawsze wszystko na mój rachunek. - Spojrzał na sumę, którą wpisała. - Osiemdziesiąt pięć dolarów? Któż, u diabła, płaci osiemdziesiąt pięć dolarów za bawełniane spodnie?

- Ty - odpowiedziała słodko. - Ciesz się, że nie dopisałam podatku. A teraz... - Usatysfakcjonowana wrzuciła notesik z powrotem do plecaka. - Jeden z tych facetów był nędną kreaturą.

- Tylko jeden?

- Chciałam powiedzieć: kreaturą pierwszej klasy z odrażającym głosem. Bez przerwy chichotał.

Doug natychmiast zapomniał o swym rosnącym długu.

; - Barns?

- Tak, zgadza się, ten drugi mężczyzna mówił do niego Barns. Usiłował zastrzelić jednego z tych małych, sympatycznych lemurów i o mały włos nie odstrzelił mi czubka nosa.

Jakby pod wpływem tych słów zaczęła szukać w plecaku puderniczki, by upewnić się, że wszystko jest na swoim miejscu.

Skoro Dimitri spuścił z łańcucha swego ulubieńca, to znaczy, że czuje się pewny siebie. Barns nie figurował na jego liście płac z uwagi na swój rozum czy spryt. On nie zabijał dla korzyści czy dla treningu. Zabijał dla przyjemności.

- O czym oni mówili? Co usłyszałaś?

Usatysfakcjonowana przypudrowała lekko twarz.

- Wynikało z tego wyraźnie, że ten pierwszy mężczyzna chce cię dostać w swoje ręce. Zabrzmiało to bardzo osobiście. Jeśli chodzi o Barnsa... - Powrócił znowu strach, więc sięgnęła do kieszeni Douga i wyciągnęła papierosa. - On woli mnie. Co, moim zdaniem, jest pewną dyskryminacją.

Poczuł tak nagły przypływ wściekłości, że prawie nie mógł oddychać. Usiłując zdusić ją w sobie, wyjął pudełko zapalek i przypalił papierosa. Musieli się tu zjawić, kiedy on pobiegł do wioski. Bez słowa wziął od Whitney papierosa i zaciągnął się głęboko dymem.

Nie widział Barnsa w akcji, lecz wiele o nim słyszał. A to, co słyszał, nie było sympatyczne, nawet biorąc pod uwagę miejsca, w których te historie się zdarzały, a o których Whitney nigdy nie słyszała.

Barns lubił kobiety i małe delikatne przedmioty. Opo-

wiadano sobie pewną makabryczną historię o tym, co zrobił z pewną pyską małą kurewką z Chicago, i o tym, co z niej zostało. Doug popatrzył na smukłe, eleganckie palce Whitney. Barns nie dostanie jej w swoje brudne łapska. Nawet gdyby on, Doug, musiał je odrąbać.

- Jeszcze coś?

Ten ton w jego głosie słyszała już raz czy dwa - kiedy trzymał w ręku karabin i kiedy zaciskał palce na jej gardle. Zaciągnęła się mocno dymem. Łatwiej było prowadzić tę grę, kiedy Doug był na poły rozbawiony i na poły pokonany. Gdy jego oczy stawały się zimne i bez wyrazu, to już było co innego. Przypomniała sobie pokój hotelowy w Waszyngtonie i młodego kelnera z czerwoną plamą na plecach.

- Doug, czy to jest tego warte?

Niechętnie oderwał oczy od wzniesienia terenu przed nimi.

- Co?

- Ta twoja tęcza, ten worek złota. Ci mężczyźni chcą cię zabić, a ty chcesz, aby ci złoto brzęczało w kieszeni.

- Ja nie tylko chcę, żeby mi brzęczało, ja chcę się w nim zanurzyć.

- Kiedy ty będziesz się w nim nurzał, oni będą do ciebie strzelać.

- Tak, ale za to będę coś miał. - Popatrzył jej w oczy. - Wiele razy już do mnie strzelano i zawsze uciekałem.

Spojrzała mu w oczy z równą siłą.

- Kiedy masz zamiar się zatrzymać?

- Gdy będę coś miał. I tym razem dostanę to.

Wydmuchnęła długą smugę dymu. Jak miał jej wytłumaczyć, co to za uczucie budzić się rano z dwudziestoma dollarami w kieszeni i olejem w głowie? Czy uwierzyłaby, gdyby powiedział, że jest przekonany, iż urodził się do czegoś więcej niż dwudziestopięciocentowa przepychanka? Dano mu mózg, zdobył pewne umiejętności, a teraz potrzebował jedynie forsy.

- Tak, to jest tego warte.

Milczała przez chwilę i w końcu doszła do wniosku, że

nigdy nie zrozumie potrzeby posiadania. Najpierw trzeba było niczego nie mieć. Nie chodziło tu o chciwość, którą mogłaby zrozumieć. To było równie skomplikowane jak ambicja i równie osobiste jak marzenia. Jednak bez względu na to, czy kierował nią impuls, czy coś innego, to nadal była z Dougiem.

- Poszli na północ. Pierwszy z nich powiedział, że tak im polecił Remo. Oni myślą, że wykurzą nas stąd lub przepędzą tam, gdzie będą mogli nas złapać.

- Logiczne. - Jak gdyby to był cenny kolumbijski tytoń, przekazywali sobie nawzajem papierosa. - Wobec tego dziś w nocy zostaniemy na miejscu.

- Tutaj?

- Na tyle blisko chat, na ile będzie to możliwe. - Z żalem zgasił papierosa, który wypalił się do samego filtra. - Wyruszymy jutro o świcie.

Whitney złapała go za rękę.

- Chcę czegoś więcej.

Rzucił jej powłóczyście spojrzenie, które przypomniało jej chwile przy wodospadzie.

- Czego?

- Ścigano mnie i strzelano do mnie. Kilka minut temu leżałam za tym drzewem, zastanawiając się, ile jeszcze pozuję. - Wzięła głęboki oddech, by opanować drżenie głosu, lecz jej spojrzenie było śmiałe. - Mogę stracić tyle samo, co ty, Doug. Chcę zobaczyć te papiery.

Zastanawiał się, kiedy go w końcu zepchnie do narożnika. Miał tylko nadzieję, że będą bliżej celu, zanim to nastąpi. Nagle uświadomił sobie, że przestał szukać okazji, by się jej pozbyć. Wyglądało na to, że jednak znalazł współnika.

Lecz wcale nie musiało to oznaczać pół na pół.

Wyjął z plecaka kopertę i znalazł w niej list, który nie został przetłumaczony. Skoro nie został, to zapewne nie był tak istotny. Z drugiej strony warto by poznać jego treść. Whitney mogłaby w nim znaleźć coś istotnego.

- Proszę. - Podał jej starannie zabezpieczony rękopis i usiadł z powrotem na ziemi.

Popatrzyli na siebie uważnie, nieufnie, zanim Whitney zagłębiła się w lekturze. List był z października 1794 roku.

- Droga Louise - zaczęła. - Modłę się, by ten list dotarł do Ciebie i zastał Cię w zdrowiu. Nawet tutaj, tyle mil z dala od domu, dochodzą do nas wieści o Francji. Osada jest mała, wielu chodzi tu z oczami utkwionymi w ziemię. Zostawiliśmy jedną wojnę po to, by zawisła nad nami groźba drugiej. Wygląda na to, że nie można uciec od intryg politycznych. Codziennie szukamy francuskich grup, wyznawców jakiejś innej królowej, i moje serce ciągle się niepokoi, czy będę ich witać, czy też ukrywać.

Mimo to muszę przyznać, że jest tu pięknie. Morze jest blisko, więc spacerujemy rankami z Danielle i zbieramy muszle. Bardzo wyrosła w ciągu ostatnich miesięcy, widziała więcej i słyszała więcej, niż jakakolwiek matka mogłaby pokazać swej córce. Strach powoli znika z jej oczu. Zbiera kwiaty - nigdy jeszcze takich nie widziałam. Gerald nadal opłakuje królową. Mam przeczucie, że za jakiś czas wszystko się ułoży i będziemy tu szczęśliwi.

Louise, błagam Cię, byś jeszcze raz rozważyła propozycję dołączenia do nas. Nawet w Dijon może być niebezpiecznie. Słyszałam opowieści o palonych i plądrowanych domach, o ludziach wtrącanych do więzienia i zamęczonych na śmierć. Jest tu młody człowiek, który otrzymał wiadomość, że jego rodzice zostali wyciągnięci z domu pod Wersalem i powieszeni. Śniesz mi się w nocy i drżę ze strachu o Twoje życie. Chcę, Louise, żebyś była tu ze mną, bezpieczna. Gerald ma otworzyć sklep, a ja i Danielle uprawiamy ogród. Nasze życie jest proste, ale za to nie ma gilotyny i terroru.

Jest tyle spraw, o których chciałabym z Tobą porozmawiać, Siostrzo. Są rzeczy, o których nie ośmieliłabym się pisać w liście. Mogę Ci tylko powiedzieć, że Gerald dostał wiadomość i zadanie od królowej dostłownie parę miesięcy przed jej śmiercią. To bardzo mu ciąży. W zwykłej drewnianej skrzynce przechowuje cząstkę Francji i Marii, od której się nigdy nie uwolni. Błagam Cię, nie trwaj przy czymś, co obróci się przeciw Tobie. Nie wiąż serca z czymś, co już dawno minęło, jak to musiał zrobić mój mąż. Opuść Francję i pozostaw za sobą przeszłość, Louise. Przyjedź do Diego-Suarez. Twoja kochająca siostra Magdaline.

Whitney wolno oddała mu rękopis.

- Wiesz, co to jest?

- List. - Ponieważ nie zrobił na nim wrażenia, Doug wsunął go z powrotem do koperty. - Ta rodzina uciekła tutaj przed rewolucją. Według innych dokumentów ten Gerald był kimś w rodzaju służącego Marii Antoniny.

- To ważne - mruknęła.

- Zgadza się. Każdy papierek jest ważny, bo każdy dodaje jakiś szczegół do układanki.

Patrzyła, jak spokojnie chowa kopertę do plecaka.

- I to wszystko?

- A co byś jeszcze chciała? - rzucił jej spojrzenie. - Jasne, że mi przykro z powodu tej pani, lecz ona nie żyje, a ja tak. - Położył rękę na plecaku. - Dzięki temu będę żył tak, jak sobie wymarzyłem.

- Ten list ma prawie dwieście lat.

- To prawda, a z tego wszystkiego pozostała jedynie zawartość małego drewnianego pudełka. I ona będzie moja.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem westchnęła i pokręciła głową.

- Życie nie jest proste, prawda?

- Prawda. - By powstrzymać się od patrzenia na nią, uśmiechnął się i powiedział: - Tylko czyja to jest wina?

Zastanowię się nad tym później, pomyślała Whitney. Zażąda później reszty papierów. A teraz pragnęła tylko odpocząć, fizycznie i psychicznie. Podniosła się z ziemi.

- Co teraz?

- Teraz... - Zbadał wzrokiem najbliższą okolicę. - Zorganizujemy spanie.

Rozbili prymitywny obóz wśród drzew na wzgórzu, zjedli mięso przygotowane im przez Merina i popili winem palmowym. Nie rozpalali ogniska. Wyznaczili sobie warty. Po raz pierwszy, odkąd razem wyruszyli w podróż, niewiele mówili do siebie. Stało się między nimi widmo niebezpieczeństwa i wspomnienie szalonej, namiętnej chwili przy wodospadzie.

Świt wyczarował złote, różowe i mglistozielone strumie-

nie światła. Unoszący się w powietrzu zapach przypominał cieplarnię, której drzwi przed chwilą otwarto gwałtownie. Światło było senne, powietrze łagodne, rozbrzmiewające świergotem ptaków cieszących się ze słońca. Rosa okryła ziemię i osiadła na liściach. Promienie światła słonecznego zmieniały mikroskopijne kropelki w miliony tęcz. Były jeszcze na świecie rajskie zakątki.

Zadowolona i senna Whitney przytuliła się mocniej do ciepłego boku. Westchnęła, kiedy jakaś ręka pogładziła jej włosy. Zadowolona z doznawanych wrażeń przepływających przez ciało, ułożyła głowę na miękkim ramieniu i zasnęła.

Mógł bez końca patrzeć, jak śpi. Pozwolił sobie na tę chwilę przyjemności po długiej, napiętej nocy. Dziewczyna była naprawdę wspaniała. Emanowała z niej jakaś miękkość, którą za dnia skrywała pod ciętym językiem. Jej oczy często dominowały w twarzy. Teraz, przykryte powiekami, pozwalały docenić piękno rysów i doskonałą gładkość skóry. W takiej kobiecie jak ona można się zakochać szybko i głęboko. Choć pewnie stapał po ziemi, miał już na swoim koncie jedną czy dwie takie wpadki.

Pragnął się z nią kochać, niespiesznie, w luksusowych warunkach, na miękkim sprężystym łóżku, pełnym poduszek, w jedwabnej pościeli, w pokoju oświetlonym tylko przez świece. Bez trudu wyobraził sobie tę scenę. Pragnął jej tak, jak pragnął wielu rzeczy w swoim życiu. Zawsze kierował się jedną z głównych recept na sukces: oddzielać to, czego pragniesz, od tego, co możesz zdobyć, i to, co możesz zdobyć, od tego, co się będzie opłacało. Pragnął Whitney i miał wielkie szanse na to, by ją mieć, lecz instynkt ostrzegał go, że to mu się nie opłaci.

Taka kobieta jak ona zwykła zarzucać sieci na mężczyznę, a potem pociągać za sznurki, kiedy były już dobrze umocowane. Nie miał zamiaru zostać związanym lub przywiązanym. Bierz pieniądze i pryskaj - brzmiała jego dewiza i podstawowa zasada. Whitney poruszyła się we śnie i westchnęła. Trzeba zachować czujność.

Czas na mały dystans. Wyciągnął rękę i potrząsnął jej ramieniem.

- Już słońce wstało, księżniczko.

- Hmm? - Przywarła do niego, ciepła i mrucząca jak kot.

Wypuścił wolno powietrze.

- Whitney, rusz swój tyłek.

To zdanie rozproszyło opary snu. Zmarszczyła brwi i otworzyła oczy.

- Nie jestem pewna, czy połowa skarbu warta jest tego, by musieć słyszeć twój czarujący głos każdego ranka.

- Nic nas ze sobą nie wiąże. W każdej chwili możesz się wycofać.

W tej chwili zdała sobie sprawę, że leżą przytuleni do siebie jak para kochanków po upojnej nocy pełnej namiętności i czułości. Cienka, wygięta w łuk brew uniosła się w górę.

- Co ty, według ciebie, robisz, Douglas?

- Budzę cię - padła lekko odpowiedź. - To ty na mnie włazisz. Czy wiesz, co straciłaś, opierając się mojemu ciału?

- Nie, ale wiem, co straciłam, odmawiając sobie przyjemności zrobienia w nim kilku dziur. - Odepchnęła go, usiadła i odrzuciła w tył włosy. - O, Boże!

Zareagował natychmiast. Przykrył ją sobą tak szybko, że natychmiast straciła oddech. Choć żadne z nich nie zdało sobie z tego sprawy, wykonał jeden z nielicznych, bezinteresownych gestów w swoim życiu. Zasłonił ją swoim ciałem, nie myśląc wcale o własnym bezpieczeństwie czy korzyści.

- Co się stało? - spytał.

- Rany, czy musisz ciągle mną poniewierać? - Westchnęła zrezygnowana i pokazała palcem w górę.

Ostrożnie podążył wzrokiem ze jej gestem.

Nad ich głowami siedziały tuziny lemurów. Ich szczupłe ciała były wyprostowane, a długie ręce wyciągały się w górę, w stronę nieba. Siedząc sztywno, jeden obok drugiego, przypominały ekstatycznych pogan składających ofiarę.

Doug zaklął pod nosem i rozluźnił mięśnie.

- Często będziesz widzieć tych facetów- powiedział i przewrócił się na drugi bok. - Zrób mi tę łaskę i nie krzycz za każdym razem, kiedy wpadniemy na któregoś z nich.

- Nie krzyczałam. - Zbyt była zachwycona, by się rozgniewać. Podciągnęła w górę kolana i oplótła je ramionami. - Wygląda, jakby się modliły albo wielbiły wschód słońca.

- Tak mówi legenda - przytaknął Doug, zabierając się do zwijania obozu. W każdej chwili mogli się tu pojawić ludzie Dimitriego. Nie miał zamiaru zostawić im jakiejś wskazówki. - W rzeczywistości po prostu się grzeją.

- Wolę tajemniczość.

- Dobra. Znajdziesz mnóstwo tajemniczości w swojej nowej sukience. - Rzucił ją w jej stronę. - Jeszcze jedną rzecz chciałbym zabrać z wioski.

- Dlaczego nie wybrałaś czegoś bardziej atrakcyjnego? Lubię jedwab, surowy lub z domieszką. Coś w kolorze nieba, lekko zbluzowane na biodrach.

- Po prostu włóż to - nakazał i zniknął.

Obrażona i niezadowolona ściągnęła miękkie drogie i zniszczone części garderoby, które zakupiła w Waszyngtonie, i włożyła przez głowę bezkształtną tunikę. Opadła jej do kolan jak worek.

- Może lepiej bym wyglądała z ładnym, szerokim skórzanym paskiem - mruknęła. - Na przykład szkarłatnym, z błyszczącą klamerką - Przejechała ręką po szorstkiej bawełnie i nachmurzyła się.

Dół spódnicy był nierówny, a kolor po prostu beznadziejny. Była absolutnie przeciwna temu, by wyglądać jak potwór, bez względu na to, czy wybiera się na balet, czy ucieka przed kulami. Usiadła na ziemi i wyjęła z plecaka kosmetyczkę. Przynajmniej z twarzą będzie mogła coś zrobić.

Kiedy Doug wrócił, próbowała po raz któryś z rzędu udrapować lambę na ramionach.

- Nic - powiedziała z obrzydzeniem - absolutnie nic nie pasuje do tego worka. Myślę, że lepiej włożę twoją koszulę

i spodnie. Przynajmniej... - Obróciła się i urwała. - Dobry Boże, co to jest?

- Prosię - wyjaśnił, walcząc z kwiczącym pakunkiem.

- To widzę, ale po co?

- Dla pełnego kamuflażu. - Uwiązał sznurek oplatający szyję zwierzęcia do drzewa. Z kilkoma oburzonymi kwikami usiadło na trawie. - Plecaki pójdą do tych koszyków, które przyniosłem. Będzie wyglądało, jakbyśmy nieśli produkty na targ. Świnia to jeszcze jedno zabezpieczenie. Wielu farmerów w tym regionie zabiera inwentarz na targ. - Mówiąc to, ściągnął koszulę. - Po co nałożyłaś tę farbę na twarz? Najważniejsze, aby nikt nie zobaczył więcej, niż to absolutnie konieczne.

- Mogę ostatecznie iść w tym całunie, lecz nie mam zamiaru wyglądać jak czarownica.

- Masz prawdziwy problem z tą swoją próżnością - powiedział, wciągając zdobytą koszulę.

- Nie traktuję próżności jako problemu - odparowała - kiedy jest uzasadniona.

- Schowaj włosy pod kapeluszem. Wszystkie.

Poszła za jego radą, odwracając się nieznacznie, kiedy ściągał dzinsy, by zmienić je na bawełniane spodnie. Ponieważ były za szerokie, związał je w pasie kawałkiem sznurka. Kiedy odwróciła się, popatrzyli na siebie krytycznie.

Spodnie, mocno zebrane w talii, fałdowały mu się na biodrach, opadając prawie do kostek. Lamba, którą okrył ramiona i plecy, skryła jego sylwetkę. Kapelusz zasłaniał twarz i włosy.

Ujdzie, pod warunkiem, że nikt nie podejdzie zbyt blisko, pomyślała Whitney.

Długa, szeroka szata skrywała wszystkie wypukłości i zagłębienia jej ciała. Widoczne pozostały jedynie stopy i kostki. Te kostki są zbyt eleganckie, zdecydował Doug, trzeba je przykryć kurzem i brudem. Lamba udrapowana wokół szyi, ramion i rąk stanowiła drobny dodatek. Najważniejsze, że kryła prawie całe ręce. Bezkształtny, słomkowy kapelusz,

mimo że dokładnie krył jej twarz i włosy, zupełnie nie maskował pełnej uroku i bardzo zachodniej twarzy.

- Nie przejdziesz nawet mili - mruknął.

- O co ci chodzi?

- O twoją twarz. Chryste, czy musisz wyglądać jak ktoś, kto właśnie zszedł z okładki „Vogue'a”?

Uśmiechnęła się lekko.

- Tak.

Niezadowolony ułożył inaczej lambę. Pomyślał chwilę i przesunął ją wyżej na szyję, tak że skryła brodę, a następnie mocniej wcisnął jej kapelusz na głowę, ściągając rondo na twarz.

- Może mi powiesz, jak, u diabła, mam teraz patrzeć? - Dmuchnęła w lambę. - I oddychać?

- Możesz podnosić rondo, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu.

Z rękami na biodrach zrobił krok w tył i obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. Wyglądała teraz bezkształtnie, nieseksownie, przygnieciona owijającym ją szalem... dopóki nie podniosła głowy i nie spojrzała na niego.

W jej wzroku nie ma nic nieseksownego, pomyślał. To mu przypomniało, że ta suknia kryje pod spodem wspaniałą figurę. Włożył plecaki do koszyków i przykrył je owocami i żywnością, która im jeszcze pozostała.

- Kiedy wyjdziemy na drogę, trzymaj głowę w dół i idź za mną jak posłuszna żona.

- Oto dowód na to, co wiesz o żonach.

- Ruszajmy, zanim przyjdzie im do głowy przeczesać jeszcze raz tę część lasu.

Umocował sobie koszyki na ramionach i ruszył stromą ścieżką w dół.

- Nie zapomniawsz czegoś?

- Ty bierzesz prosiaka, kochanie.

Widząc, że nie ma wyboru, odwiązała sznurek i zaczęła ciągnąć za sobą niezbyt chętne do współpracy zwierzę. W końcu doszła do wniosku, że będzie łatwiej nieść je na rękę jak krnąbrne dziecko. Prosię pokręciło się, pokwiczało i uspokoiło.

- Chodź, Douglasku, tatuś zabiera nas na targ.
- Bardzo śmieszne - sarknął Doug, ale uśmiechnął się, wychodząc z lasu.

- Jest nawet lekkie podobieństwo - powiedziała, wyhamowując u stóp wzgórza. - W ryju.

- Pójdziemy drogą na wschód - powiedział, ignorując jej uwagę. - Jeśli szczęście nam dopisze, dotrzemy do wybrzeża z nadejściem nocy.

Zmagając się z prosięciem, Whitney zaczęła schodzić po stromych brudnych schodach.

- Na miłość boską, Whitney, postaw tę cholerną świnię na ziemi! Przecież może iść sama!

- Nie powinieneś przeklinać w obecności dziecka.

Delikatnie postawiła prosiaka na ziemi i pociągnęła za sznurek. Ruszył, kiwając się na boki. Góry i zarośla pozostały za nimi. Z helikoptera, pomyślała, będą wyglądali jak para wieśniaków.

Dopóki nie podejda bliżej...

- Co będzie, jeśli wpadniemy na naszych gospodarzy? - zapytała, rzucając szybkie spojrzenie w stronę chat. - Mogą rozpoznać swoje przedmioty.

- Zaryzykujemy - powiedział, ruszając wąską drogą. Stopy Whitney już wkrótce będą wystarczająco brudne. W razie czego z nimi pójdzie łatwiej niż z gorylami Dimitriego.

Ponieważ droga rozpościerająca się przed nimi wydawała się nie mieć końca, a dzień dopiero się zaczął, postanowiła uwierzyć mu na słowo.

9

Po półgodzinie Whitney doszła do wniosku, że lamba chce ją udusić. Był to jeden z takich dni, kiedy najlepiej nie mieć na sobie nic i wykonywać jak najmniej ruchów. A ona została uwięziona wewnątrz długiego grubego worka, owinięta w kilometry lamby i zmuszona do trzydziestomilowej wędrówki. Ta podróż będzie się wspaniale nadawała na wspomnienia. Zatytułuje je: *Podróże z prosiaczkiem*.

Poza tym zaczynała nawet lubić tego małego faceta. Miał dostojny kaczkowaty chód i cały czas kręcił głową, na wszystkie strony, jak gdyby prowadził procesję. Ciekawe, czy spodobałoby mu się przejrzałe mango.

- Wiesz, że on jest słodki - powiedziała Whitney.

Doug popatrzył na prosiaka i odparł:

- Byłby słodszy upieczony na rożnie.

- To oburzające - rzuciła mu długie, krytyczne spojrzenie. - Nie zrobiłbyś tego.

Nie, nie zrobiłby, lecz tylko dlatego, że jego żołądek nie znosił wieprzowiny. To nie znaczyło, że musiał o tym mówić Whitney. Jeśli miał jeść szynkę, to wolał ją mieć ładnie zakonserwowaną i opakowaną.

- Mam przepis na słodko-kwaśną wieprzowinę wart milionów.

- Zatrzymaj go sobie w swoim rejestrze - powiedziała. - Ten mały prosiaczek jest pod moją opieką

- Pracowałem kiedyś przez trzy tygodnie w chińskiej restauracji w San Francisco. Zanim opuściłem miasto,

zwinąłem z muzeum wspaniały rubinowy naszyjnik, spinkę do krawata z czarną perłą wielkości jaja drozda i notes pełen przepisów. - Z tego wszystkiego zatrzymał sobie te przepisy. Spodobały mu się. - Trzymasz wieprzowinę przez całą noc w marynacie. Robi się taka delikatna, że praktycznie rozpada się na talerzu.

- Wypchaj się.

- No to kiełbasa z ziołami w cienkiej skórce. Pieczona na ruszcie.

- Twoja inteligencja mieści się w żołądku.

W miarę jak oddalali się od wzgórz, droga stawała się mniej wyboista i szersza. Wschodnia równina porośnięta była bujną, zieloną roślinnością. I zbyt otwarta jak dla Douga. Ciągłe wypatrywał helikoptera. Dimitri mógł przecież wydawać rozkazy przez telefon. Ale skąd? Czy był na południu, idąc śladem, który Doug tak desperacko próbował ukryć? A może był tuż za nimi?

Nie ulegało kwestii, że byli śledzeni. Czuł to od momentu, kiedy opuścili Nowy Jork. A teraz... Poprawił kosze na ramieniu. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Dimitri zna miejsce przeznaczenia i tylko czeka, by zarzucić sieć. Ponownie się rozejrzał. Spałby spokojniej, gdyby wiedział, z której strony nadejdą myśliwi.

Choć nie ośmielili się wyjąć lornetki, mogli i bez niej dostrzec rozległe, dobrze utrzymane plantacje z długimi pasmami płaskiego terenu, które świetnie nadawały się na lądowisko dla helikoptera. Wszędzie pełno było kwiatów, prażących się w upale. Przydrożny kurz pokrył ich płatki, lecz nie stały się przez to mniej egzotyczne. Przed oczami roztaczał się wspaniały widok, dzień był jasny i pogodny. Tym łatwiej jednak dostrzec dwoje ludzi i świnie, podróżujących drogą na wschód. Szedł miarowym krokiem, mając nadzieję, że spotkają jakąś grupę wędrowników, do której mogliby się przyłączyć. Jeden rzut oka na Whitney wystarczył, by zdać sobie sprawę, że takie przyłączenie nie będzie prostą sprawą.

- Czy musisz iść tak, jakbyś szła do Bloomingdale'a?

- Słucham? - Nabrała wprawy w prowadzeniu prosiaczka i zastanawiała się, czy nie byłaby to bardziej interesująca maskotka od psa.

- Idziesz jak bogacz. Staraj się być bardziej skromna.

Wydała z siebie długie, ciężkie westchnienie.

- Douglas, można mnie zmusić do włożenia tego okropnego ubrania i do prowadzenia świni na sznurku, ale nigdy nie będę skromna. Dlaczego nie przestaniesz zrędzić i nie zaczniesz cieszyć się wycieczką? Tyle jest wokół nas piękna i zieleni, a powietrze pachnie jak wanilia.

- Bo tam jest plantacja wanilii. Uprawia się ją na tych terenach.

Dostrzegł stojące w pobliżu pojazdy. Ciekawe, czy dałoby się jeden z nich wypożyczyć bez większego ryzyka, pomyślał.

- Naprawdę? - Zmrużyła oczy, patrząc pod słońce. Pola były rozległe, bardzo zielone i roiły się od ludzi. - Ona rośnie w małych ziarenkach, prawda? - zapytała leniwie. - Zawsze lubiłam zapach tych wąskich białych świec.

Rzucił jej ciepłe spojrzenie. Białe świece, biały jedwab. To jej styl. Odsuwając od siebie ten obraz, skupił uwagę na polach, które mijał. Zbyt wiele ludzi tu się kręciło. Nie uda mu się podkraść i uruchomić pojazdu.

- Pogoda robi się tropikalna. - Dotknęła wierzchem dłoni rozpalonego czoła.

- Pasaty niosą ze sobą wilgoć. Będzie upalnie i wilgotno aż do przyszłego miesiąca, za to ominęła nas pora cyklonów.

- Wspaniałe nowiny - mruknęła. Wydawało jej się, że widzi fale gorącego powietrza unoszące się nad drogą. To dziwne, ale przyniosły one ze sobą tęsknotę za Nowym Jorkiem w środku lata, kiedy upał buchał z chodników i można się było udusić od potu i spalin.

Pomyślała o późnej przekąsce w Palm Court: truskawki ze śmietaną i mrożona kawa. Potrząsnęła głową i zmusiła się do myślenia o czymś innym.

- W takim dniu jak ten chciałabym być na Martynice.
- Kto by nie chciał?

Udając, że nie słyszy irytacji w jego głosie, ciągnęła:

- Mam przyjaciela, który ma tam willę.
- Tak?
- Może o nim słyszałeś? Robert Madison. Pisze thrillery szpiegowskie.

- Madison? - Zaskoczony popatrzył na nią uważnie. - Ten od *Znaku Ryb*?

Mile zdziwiona, że wymienił książkę, którą uważała za najlepszą w dorobku Madisona, spojrzała na niego spod ronda kapelusza.

- Tak. Czytałeś to?

- Taaa. - Poprawił brzemień na ramionach. - Potrafię się zdobyć na przeczytanie czegoś więcej oprócz sprośnych kawałków.

Już dawno wystawiła mu własną ocenę.

- Nie bądź taki drażliwy. Tak się składa, że jestem jego zagorzałą wielbicielką. Znamy się od lat. Bob przeniósł się na Martynikę, kiedy urząd skarbowy uczynił jego życie w Stanach nieznośne. Ma uroczą willę z cudownym widokiem na morze. Teraz siedziałabym przy basenie z ogromną, dobrze schłodzoną margaritą, obserwując półnagie postacie bawiące się na plaży.

To w jej stylu, pomyślał z zaskakującą irytacją. Baseny z tarasami, upalne powietrze, mali, na biało ubrani chłopcy serwujący drinki na srebrnych tacach, gdy jakiś frajer o pięknej twarzy i pustej głowie smaruje olejkiem jej plecy. Robił w życiu i jedno, i drugie. Trudno powiedzieć, które zajęcie mu się bardziej podobało. Ważna była jedynie zdobycz.

- Gdybyś nie miał nic do roboty w taki dzień jak ten, co byś robił?

Walczył z obrazem Whitney półnagiej na leżaku, ze skórą błyszczącą od olejku.

- Leżałbym w łóżku - powiedział. - Z milutką rudowłosą o zielonych oczach i dużym...

- Całkiem przeciętne marzenie - przerwała mu.
- Mam raczej zwyczajne popędy.

Udała, że ziewa.

- Tak jak nasz prosiaczek. Spójrz - dodała, zanim zdążył się odciąć. - Coś nadjeżdża.

Zobaczył chmurę kurzu na drodze przed nimi. Mięśnie mu stężały, rzucił wzrokiem na prawo i lewo. Jeśli będzie konieczne, pobiegną przez pola, lecz małe są szanse, żeby odbiegli daleko. Jeśli ich zaimprovizowana przebieranka nie zda egzaminu, w ciągu kilku minut będzie po wszystkim.

- Głowa cały czas spuszczone w dół - przykazał Whitney. - I nic mnie nie obchodzi, jak bardzo będzie to przeciwne twojej naturze, ale masz wyglądać na skromną i cichą.

Przechyliła głowę tak, by móc spojrzeć na niego spod kapelusza.

- Nie mam zielonego pojęcia, jak to się robi.
- Idź spokojnie z głową w dół.

Silnik ciężarówki brzmiał teraz mocno i wyraźnie. Mimo pokrywającego ją kurzu Doug zauważył, że jest nowa. Czytał, że właściciele plantacji należą do zamożnych ludzi, którzy wzbogacili się na wanilii, kawie i goździkach. Kiedy ciężarówka podjechała bliżej, podniósł kosz tak, by ukryć za nim twarz. Mięśnie zadrżały i napięły się. Ciężarówka, mijając ich, zwolniła nieznacznie. W tym momencie mógł jedynie myśleć o tym, jak szybko znaleźliby się na wybrzeżu, gdyby zdobył taki pojazd.

- Udało się. - Whitney uniosła głowę i uśmiechnęła się. - Przejechał obok, nawet nie patrząc w naszą stronę.

- W większości wypadków, kiedy dajesz ludziom to, co chcą zobaczyć, nie zauważą niczego.

- Cóż za głęboka myśl.

- Z dziedziny psychologii - odparował, ciągle żałując, że nie siedzi za kierownicą ciężarówki. - Dostałem się do wielu pokoi hotelowych, mając na sobie czerwony uniform obsługi hotelowej i uśmiech za pięć dolarów.

- Rabowałeś hotele przy pełnym świetle dnia?
- W większości przypadków rzadko kto przebywa w hotelu w ciągu dnia.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem pokręciła głową.

- To nie brzmi zbyt pasjonująco. Za to buszowanie w środku nocy, w czarnym kostiumie, z latarką, kiedy tuż obok śpią ludzie, to dopiero jest podniecające.

- W ten sposób masz jedną szansę na dwie.

- Ryzyko zwiększa podniecenie. Czy kiedykolwiek byłeś w więzieniu?

- Nie. To jedna z tych nielicznych przyjemności, której nigdy nie doświadczyłem.

Kiwnęła głową. To utwierdziło ją w opinii, że jest dobry w tym, co robi.

- Jaki jest twój największy skok?

Choć pot spływał mu po plecach, wybuchnął śmiechem.

- Chryste, skąd wzięłaś tę terminologię, z serialu *Starsky i Hutch*?

- Daj spokój, Douglas, to się nazywa zabijać czas. - Gdyby nie zabijała czasu, padłaby bez sił na środku drogi w stanie najwyższego wyczerpania. Raz już myślała, że nigdy nie będzie tak spocona i tak wykończona jak podczas wycieczki w góry. Myliła się jednak. - Musiałeś mieć jakąś większą zdobycz w swojej błyskotliwej karierze.

Przez chwilę milczał, wpatrując się w rozciągającą się przed nimi prostą, bezkresną drogę. Lecz nie widział kurzu, nierówności, krótkich cieni rzucanych przez ostre, popołudniowe słońce.

- Miałem w ręku brylant wielki jak twoja pięść.

- Brylant? - Tak się składało, że czuła do nich słabość, do tych lodowato połyskujących, kryjących w swoim wnętrzu tysiące barw, wyzywających kamieni.

- Tak, niepodobny do żadnego, wielki, błyszczący dzia-dunio. Najpiękniejszy kawałek lodu, jaki kiedykolwiek widziałem. Brylant Sydneya.

- Sydneya? - Stanęła z rozdziawionymi ustami. - Boże, to czterdzieści osiem i pół karata doskonałości. Pamiętam,

że wystawiono go na wystawie w San Francisco jakieś trzy... nie, cztery lata temu. Został skradziony... Urwała zaskoczona. - To ty?

- Zgadza się, złotko. - Bawiła go jej reakcja. - Miałem tego sukinsyna w ręku. - Popatrzył na swoją pustą dłoń. Była podrapana od wędrówki przez las, lecz on widział na niej brylant rzucający w jego stronę błyski. - Przysięgam, że czułem bijące od niego ciepło i widziałem setki różnych wzorów, gdy się patrzyło na niego pod światło. To tak, jak trzymać w ramionach zimną blondynkę, kiedy krew zaczyna jej się burzyć w żyłach.

Potrafiła to zrozumieć, to uniesienie, ten czysto fizyczny dreszcz. Odkąd dostała pierwszy sznur pereł, często stroiła się w brylanty i inne błyskotki. Lubiła je. Lecz o wiele większą przyjemnością było wyobrażanie sobie, że trzyma w ręku brylant Sydneya i ma tę fascynującą możliwość wydobycia go ze stanu zimnego szkła i obserwowania, jak rodzi się w nim życie i światło.

- Opowiedz mi o tym.

- Moim wspólnikiem był Melvin Feinstein zwany Glistą, taki mały drań.

Whitney odczytała ze skrzywienia ust, że ta historia nie będzie miała szczęśliwego zakończenia.

- I?

- Na jego ksywę złożyło się wiele powodów. Ma cztery stopy i sześć cali wzrostu. Przysięgłbym, że może się przecisnąć przez szczelinę w drzwiach. Miał plany muzeum, ale nie potrafił sobie poradzić z systemem zabezpieczającym. I tym właśnie ja się zająłem.

- Ty zająłeś się alarmem?

- Każdy ma swoją specjalność. - Cofnął się myślami do tego roku w San Francisco, kiedy dni były mgliste, a noce chłodne. - Omawialiśmy tę sprawę tygodniami, rozważając każdy wariant. System alarmowy to było cudencko, najlepszy, z jakim miałem do czynienia. - Przypomniał sobie, co czuł, kiedy udało mu się go rozpracować. Za pomocą komputera i liczb można znaleźć o wiele ciekawsze odpowiedzi niż

saldo książeczki czekowej. Alarmy są jak kobiety - mruknał. - Wabią cię, mrugają do ciebie. Dzięki własnemu urokowi i odpowiedniemu podejściu dowiadujesz się, co wprawia je w ruch. Cierpliwość - mruknał, przytakując jakimś swoim myślom - właściwy dotyk i masz je tam, gdzie chcesz, żeby były.

- Fascynujące porównanie. - Popatrzyła na niego chłodno spod runda kapelusza. - Można jeszcze dodać, że zwykle wybuchają, kiedy się je sprowokuje.

- Tak, ale nie wtedy, kiedy trzymasz je na bezpieczną odległość.

- Lepiej opowiadaj dalej, zanim zapuścisz się głębiej w ten temat, Douglas.

Był znowu w San Francisco, w ową chłodną noc, kiedy mgła długimi palcami otulała ziemię.

- Dostaliśmy się przez kanały przewodowe, łatwiejsze do pokonania dla Glisty niż dla mnie. Musieliśmy wystrzelić linę i wciągać się po niej, bo podłogi były podłączone do systemu alarmowego. Ja go wyjąłem; Glista miał niezdarne ręce i był za krótki, by dosięgnąć gabloty. Musiałem zawisnąć nad gablotą. Przecięcie szkła zajęło mi sześć i pół minuty. I wreszcie go miałem.

Zobaczyła ten obraz oczami wyobraźni: Doug zwisający głową w dół nad gablotą, ubrany na czarno, i brylant mrużący do niego.

- Nigdy nie odnaleziono brylant Sydneya.

- Zgadza się, złotko. W książce, którą mam w plecaku, znalazłem o nim informację.

Nie potrafił opisać jej tego uczucia zadowolenia i zawodu, z jakim czytał notatkę o brylancie.

- Skoro go miałeś, dlaczego nie mieszkasz w willi na Martynice?

- Dobre pytanie. - Z czymś na kształt uśmiechu i szyderstwa pokręcił głową. - Tak, to cholernie dobre pytanie. Miałem go - mruknał, jakby w połowie do siebie. Spuścił kapelusz mocniej na oczy, lecz nadal mrużył je pod wpływem jaskrawych promieni słonecznych. - Przez minutę byłem

bogatym sukinsynem. - Nadal miał ten obraz przed oczami, nadal czuł to seksualne podniecenie na wspomnienie owego momentu, kiedy wisiał nad gablotą i trzymał połyskujący kawałek lodu w ręku.

- Co się stało?

Obraz i uczucie rozwiały się jak brylant rozpryskujący się na kawałki.

- Zaczęliśmy się wycofywać. Jak powiedziałem, Glista prześlizgiwał się między przewodami jak wąż. Zanim się wydostałem, już go nie było. Ten drań wyjął kamień z mojej torby i zniknął. A na dodatek zatelefonował na policję. Roiło ich się mnóstwo w całym hotelu, kiedy wróciłem. Zwiąłem na frachtowiec w jednej koszuli. Właśnie wtedy znalazłem się w Tokio.

- A co z Glistą?

- Słyszałem, że ma wspaniały jacht i prowadzi najwyższej klasy pływające kasyno. Któregoś dnia... - Przez chwilę puścił wodze fantazji, a potem wrzucił ramionami. - W każdym razie wtedy ostatni raz miałem współnika.

- Aż do dziś - przypomniła mu.

Popatrzył na nią, oczy mu się zwięziły. Znowu był na Madagaskarze, zimna mgła się rozwiała. Pozostał pot, bolące mięśnie i Whitney.

- Aż do dziś.

- Gdybyś miał ochotę naśladować twego kolegę, tego Glistę, pamiętaj, że nie ma dla ciebie dość głębokiej dziury, w którą mógłbyś się wślizgnąć.

- Złotko - przytrzymał ją za brodę - zaufaj mi.

- Wezmę to pod uwagę.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Doug przeżywał na nowo tamte dni w San Francisco - napięcie, skupienie, dzięki któremu krew wolniej płynęła w żyłach, a ręce uzyskiwały pewność, i to uczucie, że się trzyma cały świat w rękach. Teraz znowu wszystko wracało, znowu wiele sobie po tej robocie obiecywał.

Tym razem to nie będzie brylant Sydneya, lecz pudełko

z klejnotami, które sprawi, że brylant przy nim będzie wyglądał jak niespodzianka w torcie. Tym razem nikt mu go nie odbierze, żaden krzywonogi karzeł i żadna wystrzałowa blondynka.

Tyle razy trzymał tęczę w rękach i patrzył, jak znika. Nie było tak źle, jeśli sam ją zdmuchnąłeś przez głupotę i ryzyko. Lecz jeśli byłeś na tyle głupi, by komuś zaufać... To był jego największy problem. Kradł, lecz był uczciwy. I uważał, że inni powinni postępować podobnie. Dopóki nie zostawał z pustymi kieszeniami.

Brylant Sydneya, myślała Whitney. Żaden podrzędny złodziej nie odważyłby się na taki wyczyn, i to z sukcesem. Ta historia potwierdzała to, o czym od dawna wiedziała. Doug Lord był klasą sam dla siebie, miał swój własny styl. I jeszcze jedno - stanie się bogaty, kiedy i jeżeli znajda skarb. Musi się nad tym poważnie zastanowić.

Bezwiednie uśmiechnęła się do dwójki dzieci biegnących przez pole. Może ich rodzice pracują na plantacji, może są jej właścicielami? Mimo to ich życie będzie prostsze, pomyślała. To ciekawe, jak pociągająca może być prostota od czasu do czasu. Poczwała, że bawełniana sukienka obciera jej ramię. I znowu było to coś, co przemawiało za luksusem. Takich rzeczy znalazłoby się więcej.

Oboje drgnęli na dźwięk silnika z tyłu za nimi. Kiedy się odwrócili, ciężarówka prawie na nich wjeżdżała. Gdyby musieli rzucić się do ucieczki, nie przebiegliby nawet dziesięciu jardów. Doug zaklął w duchu, a potem jeszcze raz, kiedy kierowca wychylił się i coś zawołał w ich stronę.

To nie był nowy typ, taki jak ten, który ich minął, ani tak rozklekotany jak jeep Merinów. Ciężarówka minęła ich gładko, zatrzymując się na środku drogi. Tył miała załadowany różnymi przedmiotami, od doniczki i koszyków po drewniane krzesła i stoły.

Domokrążny sprzedawca, pomyślała Whitney, już wypatrując, co ma do zaoferowania. Ciekawiło ją, ile by policzył za tę kolorową glinianą doniczkę. Wyglądałaby całkiem ładnie na stole z kolekcją kaktusów.

Kierowca może być Betsimarakiem, pomyślał Doug, sądząc z miejsca, w którym się znajduje, i europejskiego stylu kapelusza. Uśmiechnął się, ukazując rząd zdrowych białych zębów, i pokazał gestem, by podeszli bliżej.

- Co teraz? - zapytała Whitney szeptem.

- Myślę, że złapaliśmy transport, złotko, czy tego chcemy, czy nie. Lepiej dajmy jeszcze jedną szansę twojemu francuskiemu i mojemu urokowi.

- Może po prostu wykorzystajmy mój francuski, co?

Zapominając, że ma zachowywać się pokornie, podeszła do ciężarówki. Spoglądając na kierowcę spod runda kapelusza, obdarzyła go najpiękniejszym ze swych uśmiechów, obmyślając jednocześnie historię, którą miała mu przedstawić.

Ona i jej mąż, z trudnością przeszło jej to przez gardło, podróżują z ich farmy w górach na wybrzeże, gdzie mieszka jej rodzina. Jej matka zachorowała, wymyśliła na poczekaniu. Zauważyła, że ciemne, zaciekawione oczy omiotły jej twarz, bladą, o królewskich rysach, pod prostym słomianym kapeluszem. Nie zmieniając rytmu, Whitney wytrajkotała do końca swoją opowieść. Najwidoczniej usatysfakcjonowany kierowca wskazał na drzwi. Jedzie na wybrzeże i chętnie ich podwiezie.

Pochylając się, wzięła prosiaka na ręce.

- Chodź, Douglas, mamy nowego szofera.

Doug umieścił kosze na tyle i usiadł obok niej. Szczęście chodzi różnymi drogami, wiedział o tym coś niecoś. Tym razem miał nadzieję, że jest po jego stronie.

Whitney ułożyła prosiaczka na kolanach, jakby był małym zmęczonym dzieckiem.

- Co mu powiedziałaś? - zapytał, kiwając głową i uśmiechając się do kierowcy.

Westchnęła z ulgą, że wreszcie ktoś ją wiezie.

- Powiedziałam mu, że idziemy na wybrzeże. Moja matka zachorowała.

- Przykro mi to słyszeć.

- Należy się spodziewać najgorszego, więc nie wyglądaj na zbyt zadowolonego.

- Twoja matka nigdy mnie nie lubiła.
- To nie ma nic do rzeczy. Ona po prostu chciała, żebym wyszła za Teda.

Zawisł z ręką w powietrzu. Miał właśnie zaferować kierowcy jeden z kilku pozostałych im papierosów.

- Jakiego Teda?

Uśmiechnęła się na widok jego nachmurzonej twarzy i wygładziła fałdy sukienki.

- Teda Carlyse'a IV. Nie bądź zazdrosny, kochanie. W końcu wybrałam ciebie.

- Wobec tego jestem szczęściarzem - mruknął. - Jak poradziłaś sobie z faktem, że nie jesteśmy tubylcami?

- Jestem Francuzką. Mój ojciec był kapitanem na statku, potem osiedlił się na wybrzeżu. Ty zaś jesteś nauczycielem, który przyjechał na wakacje. Zapałaliśmy do siebie afektem i pobraliśmy się wbrew życzeniom rodziny, a teraz uprawiamy małą farmę w górach. Nawiasem mówiąc, jesteś Anglikiem.

Doug przemyślał sobie całą historię i doszedł do wniosku, że sam by lepiej nie wymyślił.

- Całkiem nieźle. Jak długo jesteśmy małżeństwem?

- Nie wiem, a co?

- Po prostu zastanawiam się, czy mam być czuły, czy znudzony.

Whitney zmrużyła oczy.

- Pocałuj się w tyłek.

- Nawet gdybyśmy byli świeżo poślubieni, nie sądzę, abym musiał okazywać czułość na oczach wszystkich.

Stłumiwszy śmiech, zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w przytulnej limuzynie. Po chwili jej głowa opadła na ramię Douga. Prosię pochrapywało cicho na kolanach.

Śniło jej się, że ona i Doug są w małym eleganckim pokoju, oświetlonym przez świece, które pachniały wanilią. Ona miała na sobie jedwabną suknię, białą i na tyle cienką, by podkreślała kształty jej ciała. On zaś był ubrany na czarno.

Dostrzegła błysk w jego wzroku, te przejrzyste zielone

oczy nagle pociemniały, kiedy jego zręczne palce przesunęły się wzdłuż jej ciała, a usta dotknęły jej ust. Czuła się lekka, płynęła, nie dotykając stopami ziemi - mimo to czuła każdą płaszczyznę, każdą cząsteczkę jego ciała, kiedy przytulił ją do siebie. Uśmiechnął się, odsunął się od niej i sięgnął po butelkę szampana. Sen był tak wyraźny, że dostrzegła nawet kropelki wody na szkle. Korek od szampana odskoczył z głośnym gwizdem. Kiedy ponownie spojrzała, trzymał jedynie wyszczerbioną butelkę w ręku. W drzwiach dostrzegła cień mężczyzny i błysk słońca.

Czołgali się przez małą ciemną dziurę. Pot spływał jej po ciele. Przeciskali się przez kanały przewodowe, które wyglądały jak tunel prowadzący do jaskini - ciemny, wilgotny i duszący.

- Szybciej.

Słyszała, jak mówi, i widziała coś połyskującego nad głową. Było to światło odbijające się od ścianek olbrzymiego brylantu. Na moment rozjaśnił ciemność dzikim, prawie ekstatycznym światłem. Nagle wszystko zniknęło, a ona stała samotnie na jałowym wzgórzu.

- Lord! Ty sukinsynu!

- Obudź się i otwórz oczy, złotko. Dojechaliśmy na miejsce.

- Ty glisto - mruknęła.

- Tak się nie mówi do własnego męża.

Otwierając oczy, ujrzała nad sobą jego uśmiechniętą twarz.

- Ty sukin...

Zamknął jej usta mocnym długim pocałunkiem. Z ustami tuż przy jej ustach przycisnął ją do siebie.

- Mamy przecież udawać zakochanych, złotko. Po co nasz przyjacielski szofer miałby się uczyć jednego z brzydszych angielskich wyrażeń?

Osołomiona zamknęła oczy i ponownie je otworzyła.

- Coś mi się śniło.

- Tak. Wygląda na to, że nie wypadłem w twoim śnie zbyt dobrze. - Wyskoczył z ciężarówki, by wyładować ko-
szyki.

Whitney potrząsnęła głową, by oprzytomnieć do końca, i spojrzała przez szybę samochodu. Miasto, a właściwie prowincjonalne miasteczko, w którym unosił się ostry zapach ryb. Pełna emocji, jakby obudziła się w Paryżu w kwietniowy poranek, wyskoczyła z ciężarówki.

Miasto oznaczało hotel, a hotel - wannę, gorącą wodę i prawdziwe łóżko.

- Douglas, jesteś wspaniały! - Uściskała go z prosiakiem rozplaszczonym i kwiczącym między nimi.

- Jezu, Whitney, zabierz ze mnie tę świnię.

- Absolutnie wspaniały - powiedziała i obdarzyła go głośnym, wylewnym pocałunkiem.

- No tak. - Poczuł, że otacza ręką jej kibić. - A przed minutą byłem glistą.

- Przed minutą nie wiedziałam, gdzie jesteśmy.

- A teraz wiesz? To czemu nic nie mówisz?

- W mieście. - Przyciskając prosiaczka do siebie, obróciła się wokół własnej osi. - Gorąca i zimna woda, sprężyny i materace. Gdzie ten hotel? - Osłaniając oczy, rozejrzała się po okolicy.

- Wcale nie planowałem postoju w...

- Tam! - powiedziała z triumfem w głosie. Był czysty, bez pretensji do przepychu i bardziej przypominał zajazd niż hotel. Znajdowali się w mieście zamieszkanym przez marynarzy i rybaków, leżącym nad Oceanem Indyjskim. Nad brzegiem wznosiła się wysoka tama chroniąca przed corocznymi powodziąmi. Tu i tam suszyły się sieci. Brzeg porastały palmy i pnące się jak winorośl grube pomarańczowe kwiaty. Na szczycie słupa telefonicznego spała mewa. Równa linia brzegowa uniemożliwiała zbudowanie tu portu, mimo to małe nadmorskie miasteczko zawsze chętnie witało przygodnych turystów.

Whitney już dziękowała kierowcy. Choć zaskoczyło go to, Doug nie miał serca powiedzieć jej, że nie mogą tu zostać. Miał zamiar uzupełnić zapasy i rozejrzeć się za transportem wzdłuż wybrzeża. Patrzył, jak się uśmiecha do kierowcy.

Jedna noc nas nie zbawi, pomyślał. Moglibyśmy wyruszyć

jutro rano. Skoro Dimitri deptał mu po piętach, Doug mógłby choć przez kilka godzin mieć ścianę za plecami. Ścianę za plecami i kilka godzin na zaplanowanie następnego posunięcia. Przewiesił sobie kosze przez ramiona.

- Daj mu tego prosiaka i powiedz do widzenia.

Whitney uśmiechnęła się po raz ostatni do kierowcy i ruszyła przez ulicę. Pod stopami zatrzeszczały rozgniecione muszle zmieszane z kurzem i żwirem.

- Pozostawić naszego pierworodnego syna wędrownemu handlarzowi? Doprawdy, Douglas, prędzej sprzedałabym go Cyganom.

- To miło. Rozumiem, że powstało między wami coś w rodzaju więzi.

- Podobnie byłoby z tobą, gdybyś nie myślał o żołądku.

- Lecz cóż, u diabła, z nim zrobimy?

- Znajdziemy mu przyzwoity dom.

- Whitney. - Tuż przy drzwiach gospody chwycił ją za ramię. - To jest kawał boczku, a nie pies.

- Ciii! - Tuląc prosiaczka opiekuńczo do piersi, weszła do środka.

Wewnątrz panował cudowny chłód. Na suficie leniwie obracały się wentylatory, które przypominały jej lokal „U Ricka” z Casablanki. Ściany pomalowane były na biało, podłoga wyłożona ciemnymi deskami, nierównymi, lecz czystymi. Na ścianach wisiały białe, ręcznie tkane maty stanowiące jedyną dekorację. Przy stolikach siedziało kilka osób, popijając ciemnozłoty płyn z grubych szklanek. Whitney poczuła zapach czegoś trudnego do określenia, lecz wspańskiego, dochodzący z zaplecza.

- Zupa rybna- mruknął Doug, czując, jak mu burczy w brzuchu. - Coś zbliżonego do *bouillabaisse* z odrobiną rozmarynu - powiedział, zamykając oczy. - I czosnku.

Ślina napłynęła jej do ust.

- To brzmi dla mnie jak lunch.

W drzwiach ukazała się kobieta, wycierająca ręce o wielki biały fartuch, upstrzony jak flaga na paradę pozostałościami kucharzenia. Choć twarz miała pokrytą zmarszczkami, a ręce

spracowane, włosy splatała w warkoczyki jak młoda dziewczyna. Przyjrzała się uważnie Dougowi i Whitney, zatrzymała chwilę przy prosiaku i zagadała szybko po angielsku z ciężkim akcentem, ku niezadowoleniu Douga.

- Życzą sobie państwo pokój?

- Tak. - Starając się nie patrzeć na drzwi, skąd docho-
dziły zapachy, Whitney uśmiechnęła się do kobiety.

- Moja żona i ja chcielibyśmy pokój na jedną noc z łazienką i coś do jedzenia.

- Dla dwojga? - zapytała kobieta, a potem popatrzyła na prosiaka. - Czy dla trojga?

- Znalazłam tę małą świnkę na drodze - improwizowała Whitney. - Nie chciałam jej zostawić. Może pani zna kogoś, kto mógłby się nią zaopiekować?

Kobieta popatrzyła na prosię tak, że Whitney mocniej przytuliła je do siebie. Potem uśmiechnęła się.

- Mój wnuk się nim zaopiekuje. Ma sześć lat, ale jest bardzo rozgarniętym chłopcem.

Po tych słowach wyciągnęła ramiona i Whitney z ociąganiem przekazała jej swojego ulubieńca. Trzymając prosiaka pod pachą, kobieta drugą ręką sięgnęła do kieszeni po klucze.

- Pokój jest gotowy, schodami na górę i drugie drzwi na prawo.

Whitney patrzyła, jak kobieta znika w kuchni z prosiakiem pod pachą.

- No, złotko, każda matka musi kiedyś pozwolić odejść swoim dzieciom.

Pociągnęła nosem i ruszyła w stronę schodów.

- Lepiej, żeby nie znalazł się w karcie dziś wieczór.

Pokój okazał się mniejszy od jaskini, w której spali. Lecz na ścianach wisiało kilka wesołych obrazków z nadmorskim krajobrazem i stało łóżko przykryte kwiecistą narzutą, pracowicie zszytą z mnóstwa kawałków. Łazienka była niczym więcej jak wnęką, oddzieloną od pokoju bambusowym parawanem.

- Niebiańsko - oceniła Whitney od pierwszego spojrzenia i upadła twarzą w dół na łóżko. Pachniało lekko rybą.

- Nie wiem, czy jest niebiański - powiedział, sprawdzając zamek przy drzwiach i stwierdzając, że jest mocny - ale może być.

- Mam zamiar wleźć do wanny i pławić się w niej przez kilka godzin.

- Dobra, idź pierwsza. - Bez ceremonii postawił kosze na podłodze. - Ja rozejrzę się po okolicy za jakimś transportem na dalszą drogę.

- Wolałabym ładnego, stabilnego mercedesa. - Wzdychając, podłożyła ręce pod głowę. - Ale zadowolilibym się nawet wozem i kucem o trzech nogach.

- Może znajdę coś pomiędzy. - Nie chcąc ryzykować, wyciągnął kopertę z plecaka i schował ją pod koszulę. - Nie zużyj całej gorącej wody, złotko, wkrótce wracam.

- Nie zapomnij sprawdzić, co robi służba, dobrze? Nie nawidzę, jak spóźniają się z posiłkiem.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi i przeciągnęła się leniwie. Doszła do wniosku, że bardziej od snu potrzebuje kąpieli. Wstała i rzuciła z siebie długą bawełnianą szatę.

- Pozdrowienia dla poprzedniego właściciela - mruknęła, a potem rzuciła słomkowym kapeluszem przez pokój. Uwolnione włosy rozsypały się po plecach jak kaskada słonecznego światła. Wesoło odkręciła kurek z gorącą wodą i poszła wyjąć z plecaka płyn do kąpieli. Po dziesięciu minutach zanurzała się w pachnącej i pianistej wodzie. - Niebiańsko - szepnęła i zamknęła oczy.

Tymczasem Doug szedł szybko przez miasto. Mijał sklepy z ręcznymi wyrobami wystawionymi w witrynach. Na hakach wbitych w belki ganków wisały kolorowe hamaki, a z werandy zwiślał rząd zębów rekina. Mieszkańcy byli tu przyzwyczajeni do turystów i ich dziwnego zamiłowania do bezużytecznych przedmiotów. Zapach ryb nasilił się, kiedy zbliżył się do nabrzeża. Tam dostrzegł rzędy łodzi, zwoje lin i suszące się sieci.

Gdyby mógł wymyślić sposób, jak przetrzymać ryby w łodzi, to żebrałby o nie na klęczkach. Można było dokonywać cudów z rybą pieczoną nad ogniskiem, kiedy umiało się ją

przyrządzić. Lecz najważniejsza była sprawa mil, które pozostały jeszcze do pokonania.

Doszedł do wniosku, że drogą wodną będzie najszybciej i najpraktyczniej. Z mapy w przewodniku wynikało, że kanałem des Pangalanes dopłynęliby do Maroantsetry. Stamtąd musieliby pójść przez wilgotny las. Poczuliby się tam bezpieczniejszy, z upałem, wilgocią i pełną osłoną. Trasa przez kanał jest najlepsza. Trzeba tylko znaleźć łódź i kogoś, kto potrafi nią kierować.

Dostrzegł mały sklep i postanowił do niego zajrzeć. Od kilku dni nie miał w rękę gazety, zdecydował więc, że ją kupi, nawet gdyby musiał prosić Whitney o przetłumaczenie. Kiedy stanął przed drzwiami sklepu, poczuł się zdezorientowany. Z wnętrza dochodziły dźwięki mocnego rocka w wykonaniu Pat Benatar.

- *Ugodź mnie swoją celną strzałą!* - wołała, kiedy wszedł do środka.

Za kontuarem stał wysoki, chudy mężczyzna, którego ciemna skóra błyszczała od potu, kiedy podrygiwał w takt muzyki dochodzącej z małego kosztownego magnetofonu kasetowego. Szurając nogami, pucował szyby w oknach sklepu i wtórował piosenkarce.

- *Zaczynaj!* - krzyknął i natychmiast odwrócił się, kiedy drzwi stuknęły za Dougiem. - Dzień dobry. - Akcent był zdecydowanie francuski. Na spłowiełej koszulce, którą miał na sobie, widniał napis: City College of New York. Uśmiechnął się młodzieńczo i, przyjacielsko. Na półkach z tyłu za nim leżały jakieś błyskotki, tekstylia, puszki i butelki. Zwykły sklep w Nebrasce nie miałby lepszego wyposażenia. - Czy mogę zaproponować panu parę drobiazgów?

- CCNY? - zapytał Doug, podchodząc do kontuaru.

- Amerykanin! - W głosie mężczyzny zabrzmiał szacunek. Uciszył Benatar i wyciągnął rękę. - Ze Stanów?

- Tak, z Nowego Jorku.

Mały człowiek rozjaśnił się jak ogień bengalski.

- Nowy Jork! Mój brat - pokazał na koszulkę - uczęszcza

tam do college'u. Ma zamiar zostać prawnikiem. Tak, proszę pana, twarde z niego facet.

Niemożliwością było się nie uśmiechnąć. Doug potrząsnął lekko ręką, która nadal trzymała go w mocnym uścisku.

- Jestem Doug Lord.

- Jacques Tsiranana. Och, Ameryka. - Z żalem puścił rękę Douga. - Wybieram się tam w przyszłym roku. Zna pan Soho?

- Tak. - W tym momencie zdał sobie sprawę, jak bardzo mu go brakuje. - Tak, znam Soho.

- Mam gdzieś tu zdjęcie.

Kucając za kontuarem, wyciągnął pogięte zdjęcie migawkowe. Widniał na nim wysoki, muskularny mężczyzna w dżinsach, stojący przed sklepem z płytami.

- To mój brat, kupuje płyty i przegrywa je dla mnie na kasety. Amerykańska muzyka - dodał - rock and roll. Jak się panu podoba Benatar?

- Świetny głos - potwierdził Doug, zwracając zdjęcie.

- Więc co pan tu robi, zamiast być w Soho?

Doug pokręcił głową. Wiele razy zadawał sobie to samo pytanie.

- Moja... znajoma i ja podróżujemy wzdłuż wybrzeża.

- Wakacje? - Jego oczy prześlizgnęły się po ubraniu Douga. Ubrany był jak najbiedniejszy malgaski wieśniak, lecz oczy zdradzały silny charakter.

- Tak, coś w rodzaju wakacji. - Jeśli nie liczyć strzelaniny i ucieczki. - Pomyślałem, że mogłaby jej sprawić przyjemność podróż przez kanał.

- Piękna okolica - potwierdził Jacques. - Jak daleko chcecie popłynąć?

- Do tego miejsca. - Doug rozłożył mapę i pokazał palcem trasę. - Aż do Maroantsetry.

- Niezła wyprawa - mruknął. - Dwa dni, dwa długie dni. Miejscami kanał jest trudny do przepłynięcia. - Odsłonił zęby w uśmiechu. - Krokodyle.

- Ona jest twarda - stwierdził Doug, myśląc o jej de-

likatnej, miękkiej skórce. - Wie pan, z tych, co to rozbijają obóz i rozpalają ogień. Potrzebny nam jest dobry przewodnik i mocna łódź.

- Płaci pan w dolarach amerykańskich?

Dougowi zwężyły się oczy. Wyglądało, że szczęście naprawdę mu sprzyja.

- Można to załatwić.

Jacques wbił kciuk w napis na koszulce.

- Wobec tego zabiorę was.

- Ma pan łódź?

- Najlepszą w mieście. Sam ją zbudowałem. Za setkę.

Doug popatrzył na jego ręce. Wyglądały na solidne i silne.

- Pięćdziesiąt przed. Będziemy gotowi do drogi rano.

O ósmej.

- Proszę przyprowadzić pańską damę o ósmej. Dostarczymy jej niezłej zabawy.

Nieświadoma czekających ją przyjemności Whitney drzemała w wannie. Kiedy woda robiła się zimna, puszczała nowy gorący strumień. Mogłaby w niej spędzić całą noc. Głowę oparła o brzeg wanny, a włosy opadły poza jej obręb, mokre i połyskujące.

- Przygotowujesz się do bicia rekordu? - usłyszała za sobą głos Douga.

Drgnęła nerwowo, aż woda niebezpiecznie się zakłósała.

- Nawet nie zapukałeś - powiedziała z pretensją w głosie. - Poza tym zamknęłam drzwi.

- Otworzyłem je - odparł lekko. - Trzeba zachować formę. Jak woda? - Nie czekając na odpowiedź, zanurzył w niej palec. - Ładnie pachnie. - Jego wzrok przesunął się po powierzchni. - Wygląda na to, że bąbelki ci się kończą.

- Zostało im jeszcze parę minut. Dlaczego nie pozbędziesz się tego śmiesznego przebrania?

Uśmiechnął się i zaczął rozpinać koszulę.

- Myślałem, że nigdy o to nie zapytasz.

- Z drugiej strony parawanu. - Śmiejąc się, zaczęła przyglądać się dużemu palcowi u nogi tuż nad powierzchnią wody. - Już wychodzę.

- To wstyd marnować tyle gorącej wody. - Opierając rękę o brzeg wanny, nachylił się ku niej.

- Skoro jesteśmy współnikami, powinniśmy się wszystkim dzielić.

- Tak sądzisz? - Jego usta znalazły się tuż przy jej wargach. Czuła się taka odprężona. Wyciągnęła rękę i przesunęła mokrym palcem po jego policzku. - Co masz na myśli?

- Drobnym - delikatnie dotknął ustami jej warg - nie dokończony interes.

- Interes? - Zaśmiała się i powędrowała ręką wzdłuż jego szyi. - Chcesz pertraktować? - Szarpnęła gwałtownie, a on, tracąc równowagę, wpadł do wanny. Woda chlusnęła na podłogę. Chichocząc jak mała dziewczynka, patrzyła, jak strzepuje z twarzy pianę. - Douglas, nigdy lepiej nie wyglądałeś.

Chwyając się jej, walczył zapamiętane, by nie pójść pod wodę.

- Lubisz się bawić, co?

- Wyglądałeś na rozpalonego i spoconego. - Wspaniało-myślnie podała mu mydło i wybuchnęła śmiechem, widząc, jak mydli sobie nim koszulę, która przykleiła się do ciała.

- Właściwie to powinienem zrobić to samo - powiedział i zanim zdążyła się cofnąć, przejechał mydłem wzdłuż jej ciała, od gardła do talii. - O ile sobie przypominam, to jesteś mi winna namydlenie pleców.

Świadoma tego, co robi, i ciągle rozbawiona, wzięła mydło z jego rąk.

- Dlaczego nie...

Oboje znieruchomieli na odgłos pukania do drzwi.

- Nie ruszaj się - szepnął Doug.

- Nie miałam zamiaru.

Z trudem wyszedł z wanny. Wszędzie pełno było wody. Chlupała mu również w butach, kiedy podchodził do plecaka, by wyjąć z niego rewolwer. Nie miał go w ręku od czasu

lotu z Waszyngtonu. Dotknięcie go nie sprawiło mu przyjemności.

Jeśli Dimitri ich znalazł, nie mógł ich lepiej przyprzeć do muru. Spojrzał na okno. W ciągu kilku sekund byłby na zewnątrz. Potem spojrzął na bambusowy parawan. Siedziała tam Whitney, zupełnie naga i bezbronna. Rzucił ostatecznie tęskne spojrzenie na okno i drogę ucieczki.

- Cholera.

- Doug...

- Cicho. - Trzymając pistolet blisko siebie, lufą do góry, podszedł do drzwi. Nadszedł czas, by ponownie wypróbować swoje szczęście. - Tak?

- Kapitan Sambirano z policji, do usług.

- Cholera. - Rozejrzał się szybko po pokoju i wetknął broń z tyłu za pasek od spodni. - Pańska odznaka, kapitanie? - Sprężony do skoku, uchylił drzwi i obejrzał odznakę, a potem człowieka. Potrafił rozpoznać glinę na dziesięć mil. Niechętnie otworzył drzwi. - Czym mogę panu służyć?

Niski, okrągły i bardzo zachodni w swoim mundurze mężczyzna wszedł do pokoju.

- Chyba państwu przeszkodziłem.

- Bierzemy kąpiel. - Zobaczył kałużę, która utworzyła się wokół jego stóp, i sięgnął po ręcznik.

- Przepraszam, panie...

- Wallace, Peter Wallace.

- Panie Wallace, do mojego obowiązku należy powitanie każdego, kto przyjeżdża do naszego miasta. Żyjemy tu sobie spokojnie. - Kapitan delikatnie wygładził brzeg marynarki. Doug zauważył, że jego paznokcie są krótkie i wypolerowane. - Od czasu do czasu gościmy tu turystów, którzy nie zawsze przestrzegają prawa i naszych zwyczajów.

- Zawsze chętnie współpracuję z policją - odpowiedział Doug z szerokim uśmiechem. - Tak się składa, że jutro wyjeżdżam.

- Jaka szkoda, że nie może pan zostać dłużej. Czyżby pan się spieszył?

- Peter... - Whitney wytknęła głowę i gołe ramię zza

parawanu. - Przepraszam. - Robiła wszystko, by się zarumienić, trzepocząc jednocześnie rzęsami.

Kapitan natychmiast zdjął czapkę i ukłonił się.

- Dzień dobry pani.

- Moja żona, Cathy. Cath, to jest kapitan Sambirano.

- Witam pana.

- Bardzo mi miło.

- Przepraszam, że nie mogę wyjść, ale... - Zawiesiła głos i uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Proszę mi wybaczyć to najście, panie Wallace. Gdybym mógł być w czymś pomocny, proszę się nie krępować.

- To miło z pana strony.

Już w drzwiach kapitan odwrócił się.

- Dokąd się państwo wybierają?

- Och, tam gdzie nas nogi poniosą - wyjaśnił Doug. - Cathy i ja właśnie skończyliśmy studia. Biologię. Jesteśmy zafascynowani pańskim krajem.

- Peter, woda robi się zimna.

Doug obejrzał się przez ramię, popatrzył na kapitana i uśmiechnął się.

- To nasz miodowy miesiąc, rozumie pan?

- Naturalnie, mogę pogratulować dobrego gustu? Do widzenia.

- Do widzenia.

Doug zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i zaklął.

- Nie podoba mi się to.

Whitney owinięta w ręcznik wyszła zza parawanu.

- Jak myślisz, co to wszystko miało znaczyć?

- Sam chciałbym wiedzieć. Ale wiem jedno, kiedy gliny zaczynają węszyć w pobliżu, trzeba poszukać sobie innego miejsca.

Whitney rzuciła tęskne spojrzenie na łóżko.

- Ale Doug...

- Przykro mi, złotko, ubieraj się. - Zaczął ściągać z siebie mokre ubranie. - Wsiądziemy do łodzi trochę wcześniej.

- Macie coś nowego? - Dimitri bawił się przez chwilę szklaną figurką gońca, a następnie postawił ją na szachownicy.

- Sądzimy, że poszli w kierunku wybrzeża.

- Sądzimy? - Na znak dany przez Dimitriego mężczyzna w ciemnym garniturze podał mu kryształowy kielich.

- Znaleźliśmy małą osadę w górach. - Remo popatrzył na kieliszek Dimitriego i z trudem przełknął ślinę przez wyschnięte gardło. Ani razu w ciągu tego tygodnia nie przespał spokojnie nocy. - Kiedy tam przyszliśmy, panowało zamieszanie. Ktoś ich okradł, kiedy pracowali w polu.

- Rozumiem. - Wino było wyborne, ale oczywiście pochodziło z jego własnych zapasów. Lubił podróżować, lecz nie lubił niewygód. - A co dokładnie zginęło tym ludziom?

- Dwa kapelusze, jakieś ubrania, koszyki... - Zawahał się.

- I? - podsunął łagodnie Dimitri.

- Świnia.

- Świnia - powtórzył Dimitri i zachichotał.

Remo pozwolił sobie na rozluźnienie mięśni ramion.

- Genialne - ciągnął Dimitri. - Zaczynam żałować, że musimy się pozbyć Lorda. Przydałby mi się taki człowiek. Dalej, Remo.

- Para dzieciaków widziała, jak wędrowny handlarz zabierał do swojej ciężarówki mężczyznę i kobietę, i świnie tego ranka. Pojechali na wschód.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Remo za nic by jej nie przerwał, nawet gdyby w jego plecach tkwił nóż. Dimitri przyglądał się zawartości kieliszka, następnie pociągnął łyk, przedłużając milczenie. Słyszał, jak mięśnie Rema napinają się coraz mocniej. Podniósł na niego wzrok.

- Proponuję, żebyś także udał się na wschód, Remo. Ja tymczasem ruszam dalej. - Dotknął palcami figurki szachowej, podziwiając mistrzostwo wykonania. - Domyślam się już, dokąd zmierzają nasze ptaszki. Kiedy będziesz ich śle-

dził, ja zaczekam. - Ponownie podniósł kieliszek do ust, wdychając aromat wina. - Zaczynają mnie nużyć hotele, choć tutejsza obsługa jest doskonała. Kiedy będę zabawiał naszego gościa, chciałbym, żeby było podobnie, lecz w jeszcze większym odosobnieniu.

Odstawił kieliszek i wziął do ręki białego konia i jego królową.

- Tak, uwielbiam zabawiać. - Jednym szybkim ruchem rozrzucił figury. Zadźwięczały cicho, padając na stół.

10

- Nic nie jedliśmy.

- Zjemy później.

- Zawsze tak mówisz. I jeszcze coś - powiedziała Whitney. - Nadal nie rozumiem, dlaczego musimy opuszczać hotel tą drogą.

Skrzywiła się na widok sterty „pożyczonych” rzeczy na podłodze. Nigdy dotąd nie widziała kogoś, kto by się tak szybko poruszał jak Doug w ciągu ostatnich pięciu minut.

- Słyszałaś kiedykolwiek o środku zapobiegawczym, złotko?

- Wolałabym go zjeść z odrobiną soli. - Spojrzała nachmurzonym wzrokiem na końce palców zaciśnięte na brzegu okna. Zniknęły błyskawicznie. Wstrzymała oddech, patrząc, jak Doug zeskakuje.

Uderzył z cichym stuknięciem o ziemię. Rozejrzał się szybko i zobaczył, że jedynym świadkiem jego skoku jest gruby, pokierszowany kot drzemiący w plamie słońca. Spojrzał w górę i dał znak Whitney.

- Rzuć plecaki.

Zrobiła to z takim zapałem, że nieomal ścięło go z nóg.

- Spokojnie - mruknął przez zęby. Odstawił plecaki na bok i stanął pod oknem. - Dobra, teraz ty.

- Ja?

- Tylko ty zostałaś, kotku. No, skacz, złapię cię.

Była pewna, że złapie. W końcu podjęła środki ostrożności, wyjmując portfel z plecaka - i upewniając się, że on to widzi - zanim wyskoczył przez okno. W ten sam sposób

Doug przełożył kopertę do kieszeni džinsów. Zaufanie wśród złodziei było równie oczywistym mitem jak honor.

Pomyślała, że w jakiś przedziwny sposób odległość wydaje się większa niż wtedy, kiedy on zwiisał z parapetu. Zmarszczyła brwi, patrząc w dół.

- MacAllisterowie zawsze opuszczają hotel frontowymi drzwiami.

- Nie mamy czasu na rodzinne tradycje. Na litość boską, skacz, zanim ściągniemy na siebie widownię!

Zaciskając zęby, przełożyła nogę przez okno. Zwinnie, lecz powoli, obróciła się i opuściła w dół na rękach. Przeszło jej przez myśl, że nie ma zamiaru robić z siebie pośmiewiska, zwisając z okna na Madagaskarze.

- Doug...

- Skacz! - rozkazał.

- Nie jestem pewna, czy potrafię.

- Potrafisz, chyba że chcesz, abym zaczął rzucać w ciebie kamieniami.

Zrobiłyby to. Whitney zamknęła oczy, wstrzymała oddech i skoczyła. Przez moment niewiele dłuższy od uderzenia serca poczuła, że spada, lecz prawie natychmiast jego ręce zacisnęły się wokół jej bioder, a po chwili przesunęły w górę do pach. Pomimo to przez chwilę nie mogła oddychać.

- Widzisz? - powiedział, stawiając ją lekko na ziemi. - Nic trudnego. Masz prawdziwe zadatki na kota włamywacza.

- Niech to diabli! - wybuchnęła, patrząc na ręce. - Złamałam paznokcie. Co mam z tym zrobić?

- Rzeczywiście, to tragedia - powiedział, sięgając po plecak. - Myślę, że powinienem cię zastrzelić i w ten sposób wybawić z nieszczęścia.

Wyrwała mu plecak z rąk.

- Bardzo śmieszne. Uważam, że afiszowanie się z dziewiącioma paznokciami dawno już wyszło z mody.

- To włóż ręce do kieszeni - poradził i ruszył przed siebie.

- Dokąd ty się wybierasz?

- Załatwiłem małą przejażdżkę drogą wodną. - Przełożył

ręce przez szelki plecaka. - Musimy tylko dotrzeć do łodzi. Dyskretnie.

Starął się trzymać z dala od ulicy.

- A wszystko dlatego, że jakiś mały, gruby policjant przyszedł powiedzieć „dzień dobry”.

- Mali, grubi, uprzejmi policjanci wprawiają mnie zawsze w duże zdenerwowanie.

- To bardzo nieuprzejme w stosunku do tej miłej pani, która wzięła naszego prosiaczka.

- O co chodzi, złotko, nigdy nie zwiewałaś przed zapłaceniem rachunku?

- Oczywiście, że nie. - Prychnęła pogardliwie, biegnąc za nim, kiedy przecinali wąską uliczkę. - I nie zamierzam tego robić. Zostawiłam jej dwadzieścia dolarów.

- Dwadzieścia?! - Chwytając ją za ramię, stanął za drzewem tuż przy sklepie Jacques'a. - Za co, u diabła? Przecież nawet nie użyliśmy pościeli.

- Za to korzystaliśmy z wanny - przypomniała. - Oboje.

- Chryste, nawet nie zdążyłem zdjąć z siebie ubrania. - Zrezygnowany obserwował mały, spłowiwały budynek.

Czekając na kolejny ruch Douga, Whitney obejrzała się tęsknie na hotel. Już chciała wnieść kolejne zażalenie, kiedy zobaczyła mężczyznę w białej panamie przechodzącego przez ulicę. Przez chwilę przyglądała mu się bezmyślnie, aż nagle pot zaczął spływać jej po plecach.

- Doug. - Zaschło jej w gardle ze zdenerwowania. - Doug, spójrz, ten mężczyzna. - Chwytiła go za ramię, obracając lekko. - Dam głowę, że to ten sam, którego widziałam na targu, a potem w pociągu.

- Wydaje ci się - mruknął, lecz się obejrzał.

- Nie. - Whitney szarpnęła go za ramię. - Widziałam go, i to dwa razy. Dlaczego znowu się tu pojawił? Dlaczego akurat tutaj?

- Whitney... - zaczął i urwał, obserwując, jak nieznajomy idzie na spotkanie z kapitanem. Przypomniał sobie nagle, że on również go widział zrywającego się z miejsca w pociągu, upuszczającego gazetę na podłogę i patrzącego mu prosto

w oczy. Zbieg okoliczności? Pociągnął Whitney za drzewo. Niemożliwe.

- Czy to jeden z ludzi Dimitriego?

- Nie wiem.

- To kim jeszcze mógłby być?

- Do diabła, nie wiem! - Opanowało go uczucie rozczarowania. Poczuł, że osaczają go ze wszystkich stron. Wiedział o tym, lecz nie potrafił się z tym pogodzić. - Kimkolwiek jest, wydostaniemy się stąd. - Popatrzył na sklep Jacques'a. Lepiej wejźmy tylnymi drzwiami. Może mieć klientów, a im mniej ludzi nas zobaczy, tym lepiej.

Tylne wejście było zamknięte. Przykucnął i wyjął scyzoryk z kieszeni. Po pięciu sekundach drzwi stanęły otworem. Whitney patrzyła na zegarek. Z podziwem obserwowała, jak chowa scyzoryk z powrotem do kieszeni.

- Chciałabym, żebyś mnie tego nauczył.

- Kobieta taka jak ty nie musi otwierać zamków. Ludzie sami otwierają drzwi przed tobą.

Kiedy się zastanawiała nad jego słowami, Doug wsunął się na zaplecze. Służyło częściowo za magazyn, sypialnię i kuchnię. Obok wąskiego, czysto załanego łóżka stała piękna kolekcja kaset magnetofonowych. Rytmiczny przebój Eltona Johna wydawał się przenikać przez cienkie ściany z dykty. Na jednej z nich był przyczepiony kolorowy plakat przedstawiający seksowną Tinę Turner. Tuż obok wisiała reklama Budweisera, króla piw, proporzec nowojorskich Yankees i zdjęcie przedstawiające Empire State Building nocą.

- Mam takie wrażenie, jakbym weszła do pokoju na Second Avenue - powiedziała Whitney i nagle poczuła się dziwnie bezpieczna.

- Jego brat studiuje w CCNY.

- To wszystko wyjaśnia. Czyj brat?

- Ciii!

Stąpając na palcach cicho jak kot, Doug podszedł do drzwi prowadzących do sklepu. Uchylił je nieznacznie i wyjrzał. Jacques przechylał się przez ladę; scena ta z pewnością zaciekałyaby miejscowe plotkarki.

Koścista, ciemnooka dziewczyna najwidoczniej przyszła tu raczej poplirtować niż coś kupić. Grzebała wśród szpilek z kolorowymi nićmi i chichotała.

- Co tam się dzieje? - Whitney podeszła do drzwi i spojrzała przez szparę pod ramieniem Douga. - A, romans - stwierdziła. - Ciekawe, skąd ma tę bluzkę. Spójrz na ten haft.

- Później pobawimy się w pokaz mody.

Dziewczyna kupiła dwie szpulki nici, pochichotała jeszcze przez chwilę i wyszła. Doug otworzył nieco szerzej drzwi i gwizdnął przez zęby. Nie mógł się jednak równać z Eltonem Johnem. Jacques nadal kołysał biodrami, powtarzając słowa piosenki. Spoglądając na okno otwarte na ulicę, Doug jeszcze szerzej otworzył drzwi i zawołał Jacques'a po imieniu. Chłopak drgnął nerwowo, omal nie wywracając szpilek, które przestawiał.

- Człowieku, ale mnie przestraszyłeś.

Nadal ostrożny Doug pokiwał na niego palcem i pocze-kał, aż Jacques podejździe bliżej.

- Co pan tu robi?

- Zmiana planów - wyjaśnił Doug i biorąc chłopaka za rękę, wciągnął do środka. - Chcemy ruszać już teraz.

- Teraz? - Chłopak, mrużąc oczy, popatrzył uważniej na Douga. Mógł mieszkać w małej nadmorskiej wiosce, lecz nie był głupcem. Kiedy ktoś chce uciec, widać to w jego oczach. - Macie kłopoty?

- Cześć, Jacques. - Występując naprzód, Whitney wy-ciągnęła do niego rękę. - Jestem Whitney MacAllister. Mu-sisz wybaczyć Douglasowi, że nie przedstawił nas sobie. Często bywa nieuprzejmy.

Jacques ujął szczupłą białą rękę i natychmiast się zako-chał. Nigdy nie widział kogoś tak pięknego. Na ile mógł to wyrazić słowami, Whitney MacAllister zaćmiewała blaskiem Turner i Benatar, i arcykapłankę Ronstadt razem wzięte. Język po prostu zawiązał mu się na supeł.

Znała to spojrzenie. U eleganckiego zawodowca w trzy-częściowym garniturze z Fifth Avenue nudziło ją. W klubie

w Zachodniej Dzielnicy - bawiło. W wykonaniu Jacques'a było uroczne.

- Wybacz, że tak bezceremonialnie wtargnęliśmy do twojego domu.

- To... - Nie mógł sobie przypomnieć stosownego określenia, które jak zwykle tkwiło na końcu języka. - Nic nie szkodzi - wydusił z siebie wreszcie.

Doug niecierpliwie położył rękę na ramieniu Jacques'a.

- No to ruszajmy. - Jego poczucie fair play nie pozwalało wciągać chłopaka na ślepo w ich kłopoty. Lecz instynkt przetrwania powstrzymywał go od powiedzenia wszystkiego. - Mieliliśmy małą wizytę miejscowej policji.

Jacques zmusił się do przeniesienia wzroku z Whitney na Douga.

- Sambirano?

- Zgadza się.

- A to dupek - obwieścił Jacques, raczej dumny z tego, że takie słowo spłynęło mu z języka. - Nie przejmujcie się nim. On jest po prostu wścibski jak stara baba.

- Możliwe, lecz są pewni ludzie, którzy chcieliby nas znaleźć. A my nie chcemy, żeby nas znaleźli.

Jacques przeniósł wzrok z jednego na drugie. Zazdrosny mąż, pomyślał. To wystarczyło, by uruchomić jego romantyczną wyobraźnię.

- My, Malgasze, nie przejmujemy się czasem. Słońce wschodzi i zachodzi. Chcesz ruszać teraz, proszę bardzo.

- Wspaniale. Musimy tylko uzupełnić zapasy.

- Nie ma problemu. Zaczekajcie chwilę.

- Jak ci się udało go znaleźć? - zapytała Whitney, kiedy Jacques zniknął za drzwiami. - Jest wspaniały.

- Jasne, dlatego że robił do ciebie wyłupiaste oczy?

- Wyłupiaste oczy? - Uśmiechnęła się i usiadła na brzegu łóżka. - Doprawdy, Douglas, skąd ty bierzesz te swoje oryginalne wyrażenia?

- Dosłownie wyłaziły mu z orbit.

- Tak. - Przejechała ręką po włosach. - Wyłaziły, może nie?

- Duma cię rozpiera, co? - Chodził zirytowany po ciasnym pomieszczeniu i marzył, by móc się czymś zająć. Czymkolwiek. Wyczuwał kłopoty i wcale nie były na tyle daleko, na ile by sobie tego życzył. - Po prostu uwielbiasz, kiedy mężczyźni robią z siebie błaznów.

- Nie czułeś się dotknięty, kiedy mała Marie o mało nie ucałowała ci stóp. O ile sobie przypominam, to chodziłeś dumny jak paw z dwoma ogonami.

- Ocaliła nam życie. Była to prosta wdzięczność.

- Z odrobiną pożądania.

- Pożądania? - Stanął na wprost niej. - Przecież ona miała najwyżej szesnaście lat.

- Co czyni całą sprawę jeszcze bardziej ohydną.

- Tak, a staruszek Jacques przekroczył zapewne dwudziestkę.

- Coś takiego! - Whitney wyciągnęła pilnik i zaczęła wyrównywać swój nadszarpnięty paznokieć. - To mi wygląda na zazdrość.

- Cholera! - Chodził niecierpliwie od jednych drzwi do drugich. - Przynajmniej jeden mężczyzna nie będzie robił z siebie idioty, księżniczko. Mam co innego do roboty.

Uśmiechnęła się lekko i dalej piłowała paznokieć, nucąc razem z Eltonem Johnem.

Nagle muzyka ucichła. Po chwili wszedł Jacques, niosąc sporych rozmiarów torbę w jednej ręce i magnetofon w drugiej. Z uśmiechem spakował resztę swoich kaset.

- No to możemy ruszać.

- Czy nikt się nie będzie dziwił, że wcześniej zamykasz? - Doug otworzył tylne drzwi i wyjrzał przez nie.

- Później czy wcześniej, nikogo to nie obchodzi.

Doug kiwnął głową i otworzył przed nim drzwi.

- Wobec tego idziemy.

Łódź była przycumowana zaledwie ćwierć mili od sklepu. Whitney nigdy jeszcze takiej nie widziała. Była bardzo długa, miała chyba z piętnaście stóp i jakieś trzy stopy szerokości. Przypomniała sobie canoe, którym kiedyś płynęła podczas

letniego obozu na północy stanu Nowy Jork. Ta miała podobny kształt, tylko wyglądała, jakby ktoś ją rozciągnął. Jacques wskoczył lekko do środka i zaczął układać pakunki.

Łódź była malgaska, on miał na głowie czapkę drużyny New York Yankees i bose stopy. Whitney doszła do wniosku, że to przedziwna i sympatyczna kombinacja dwóch światów.

- Niezła łódź - mruknął Doug, marząc, żeby dostrzec gdzieś silnik.

- Sam ją zbudowałem. - Gestem, który uznała za gładki i wytworny, wyciągnął rękę do Whitney. - Możesz usiąść tutaj - powiedział, wskazując miejsce w samym środku. - Będzie ci tu wygodnie.

- Dziękuję, Jacques.

Kiedy upewnił się, że usiadła na wprost niego, podał Dougowi długi drag.

- Tam, gdzie woda jest płytka, będziemy odpychać się dragami.

Wziął do ręki drugi i odepchnął łódź. Zakołysała się jak łabędź na jeziorze. Whitney doszła do wniosku, że podróż łodzią ma swoje dobre strony: zapach morza, miękkie liście tańczące na wietrze, łagodny ruch wody. Nagle, dwie stopy dalej, zobaczyła wstrętny, pomarszczony łeb przecinający powierzchnię wody.

- Ach... - Tyle tylko zdołała wykrztusić.

- A tak. - Jacques zachichotał, nie przerywając pracy. - Te dranie są wszędzie. Trzeba na nie uważać. - Wydał z siebie coś pomiędzy gwizdem i rykiem. Okrągłe, senne oczy nie podpiły bliżej.

Doug bez słowa sięgnął do plecaka, wyciągnął pistolet i zatknął go za pasek. Tym razem Whitney nie zaprotestowała.

Kiedy woda stała się na tyle głęboka, by móc wiosłować, Jacques włączył magnetofon. Zagrzmiała muzyka Beatlesów. Rozpoczęli podróż.

Jacques wiosłował niestrudzenie ze stałą energią i zapałem, które Whitney obserwowała z podziwem. Przez półtorej

godziny czystym tenorem wtórował Beatlesom, uśmiechając się, kiedy Whitney włączała się do śpiewu.

Korzystając z zapasów, które Jacques zabrał ze sobą, zjedli zaimprovizowany lunch składający się z orzecha kokosowego, jagód i zimnej ryby. Kiedy podał Whitney manierkę, pociągnęła spory łyk, sądząc, że to czysta woda. Odejmując naczynie od ust, zawahała się. Napój nie był niesmaczny, ale też nie była to czysta woda.

- To *rano vola* - wyjaśnił Jacques. - Doskonała w podróży. - Wiosło Douga przecinało gładką powierzchnię wody. - Robi się ją, dolewając wodę do ryżu, który przywarł do dna garnka podczas gotowania.

- Rozumiem. - Whitney przełknęła płyn, starając się zrobić to z wdziękiem, a potem podała menażkę Dougowi.

- Czy ty też jesteś z Nowego Jorku? - spytał Jacques.

- Tak. - Whitney włożyła jagodę do ust. - Doug mówił, że twój brat chodzi tam do college'u.

- Do szkoły prawniczej. - Napis na jego koszulce niemal zdrztał z dumy. - Ma zamiar zostać ważną figurą. Chodzi do Bloomingdale'a.

- Whitney praktycznie tam mieszka - powiedział szepem Doug.

Ignorując jego uwagę, zwróciła się do Jacques'a:

- Czy masz zamiar przyjechać do Ameryki?

- W przyszłym roku - odpowiedział, kładąc wiosło na kolanach. - Przyjadę odwiedzić brata. Będziemy zwiedzać miasto. Times Square, Macy's, McDonalda.

- Chciałabym, żebyś do mnie zadzwonił. - I jakby była w obitej pluszem restauracji we Wschodniej Dzielnicy, Whitney wyciągnęła z portfela wizytówkę i podała mu ją. Tak jak jej właścicielka, była gładka, elegancka i delikatna. - Zrobimy przyjęcie.

- Przyjęcie? - Oczy mu rozbłysły. - Nowojorskie przyjęcie? - Stały mu przed oczami błyszczące parkiety, dzikie kolory, a w uszach rozbrzmiała jeszcze dziksza muzyka.

- Najprawdziwsze.

- Z taką ilością lodów, jaką będziesz w stanie zjeść - wtrącił się Doug.

- Nie wydziwiał, Douglas. Też możesz przyjść.

Jacques przez chwilę siedział cicho, podczas gdy wyobraźnia malowała mu przed oczyma fascynujące wizje przyjęcia w Nowym Jorku. Brat pisał mu o kobietach, których sukienki kończą się wysoko nad kolanem, i samochodach tak długich jak jego łódź. Były tam też i domy wysokie jak góry na zachodzie. Pewnego razu brat jadł w tej samej restauracji co Billy Joel.

Nowy Jork, pomyślał Jacques pełen nabożnego lęku. Może jego nowi przyjaciele znają Billy'ego Joela i zaproszą go na przyjęcie? Pieścił przez chwilę w palcach wizytówkę Whitney, po czym włożył ją do kieszeni.

- Wy dwoje jesteście... - Nie bardzo wiedział, jak to określić. Nie przychodziło mu do głowy nic uprzejmego.

- Wspólnikami w interesie - wybawiła go Whitney z kłopotu.

- Tak, prowadzimy jeden wielki interes. - Z nachmurzoną miną Doug rozgarniał wodę wiosłem.

Jacques był młody, lecz nie urodził się wczoraj.

- Prowadzicie interes? Jakiego rodzaju?

- W tej chwili zajmujemy się podróżowaniem i drażnieniem.

Whitney uniosła brew ze zdziwienia.

- W Nowym Jorku pracuję jako dekoratorka wnętrz, a Doug jest...

- Wolnym strzelcem - dokończył. - Pracuję dla siebie.

- Najlepszy sposób - zgodził się z nim Jacques, wybijając rytm stopą. - Jako chłopiec pracowałem na plantacji kawy. Zrób to, zrób tamto. - Pokręcił głową i uśmiechnął się. - Teraz mam własny sklep. I ja mówię: zrób to, zrób tamto. Nie muszę nikogo słuchać.

Whitney zachichotała, prostując plecy. Te słowa przypomniały jej o domu.

Nieco później zachód słońca przypomniał jej Karaiby. Las rosnący po obu stronach kanału stał się bardziej gęsty,

rozleglejszy, podobny do dżungli. Wzdłuż brzegów rosły trzciny, wiotkie i brązowe, które głębiej zamieniały się w gęsty i zwarty gąszcz. Oczarował ją widok pierwszego flaminga o różowym upierzeniu i cienkich, delikatnych nogach. Nagle mignął jej przed oczami intensywnie niebieski ogon i usłyszała szybki, powtarzający się dźwięk. Jacques wyjaśnił, że jest to kukułka. Raz lub dwa razy wydało jej się, że widzi szybkiego, zwinnego lemura. Woda, która od czasu do czasu stawała się płytką i trzeba było używać dragów, przybrała kolor czerwony od siadających na jej powierzchni owadów. Niebo na zachodzie zamieniło się w jarzący płomień. Doszła do wniosku, że podróż canoe jest o wiele ciekawsza od wiosłowania po Tamizie, choć równie odprężająca, jeśli nie brać pod uwagę pojawiających się od czasu do czasu krokodyli. W ciszy zmierzającego dnia i spokoju dżungli magnetofon Jacques'a wygrywał melodie, które każdy szanujący się disc jockey nazwałby hitami - darmowa reklama. Mogłaby tak płynąć godzinami.

- Lepiej rozbijmy obóz - rzekł Doug.

Odwracając oczy od zachodu słońca, uśmiechnęła się do niego. Już dawno zrzucił z siebie koszulę. Jego pierś błyszczała od potu w bladym świetle kończącego się dnia.

- Już?

W pierwszej chwili chciał ostro zaprotestować, bo niełatwo było się przyznać, że ramiona ma jak z gumy, a dłonie palą ogniem, podczas gdy młody Jacques z tym swoim magnetofonem wyglądał tak, jakby mógł wiosłować do północy.

- Wkrótce się ściemni - powiedział w końcu.

- Okay. - Szczupłe, sprężyste mięśnie Jacques'a zdrząły pod naporem wiosła. - Znajdziemy pierwszorzędne miejsce na obóz. - Uśmiechnął się do Whitney nieśmiało. - Powinnaś odpocząć - powiedział. - To był długi dzień.

Mrucząc coś pod nosem, Doug skierował łódź do brzegu. Jacques nie pozwolił Whitney na niesienie plecaka. Chwycił go i swój bagaż, powierzając jej w zamian magnetofon. Jedno za drugim poszli w głąb lasu rozświetlonego na różowo

z odcieniem fioletu. Ukryte w gałęziach ptaki śpiewały po-
żegnalną pieśń ciemniejącemu niebu. Liście połyskiwały
zielenią i wszechobecną wilgocią. Od czasu do czasu Jacques
zatrzymywał się i ciął małym sierpem zwisające liany i bam-
bus. Unoszący się w powietrzu zapach był bogaty w od-
cienie: roślinność, woda i kwiaty pnące się po lianach i roz-
sadzające busz.

Nigdy dotąd nie widziała takiej gamy kolorów jedno-
cześnie, nie przypuszczała nawet, że może istnieć. Wszędzie
słysząc było monotonne bzyczenie owadów. Nagle zaszeleś-
ciły gwałtownie liście i z zarośli wyskoczyła czapla, pędząc
w stronę kanału. Las był gorący, wilgotny i zaciszny i roz-
taczał przed nimi wszystkie odcienie egzotyki.

Rozłożyli obóz przy dźwiękach *Born in the USA* Spring-
steena. Zanim rozpalili ogień i zagotowali wodę na kawę,
Doug znalazł coś, co wprawiło go w dobry humor. Z torby
Jacques'a wyjął kilka pojemniczków z przyprawami, dwie
cytryny i resztkę pieczołowicie owiniętej ryby. Znalazł rów-
nież dwie paczki marlboro. W tym momencie nie mogły się
równać z żadną inną zdobyczą.

- Nareszcie. - Podniósł do nosa pojemniczek, który pach-
niał jak słodka bazylia. - Jedzenie z prawdziwego zdarze-
nia. - Nie przeszkadzało mu, że siedzi na ziemi, otoczony
przez grube liany i owady, które właśnie zaczynały ciąć.
Lubił podejmować wyzwania. Jadał już z najlepszymi, w kuch-
niach i w świetle żyrandoli. Tej nocy będzie podobnie. Stu-
kając przyborami do gotowania, szykował się do wspaniałej
uczty.

- Doug jest wielkim smakoszem - zwróciła się Whitney
do Jacques'a. - Niestety, do tej pory musieliśmy się zado-
walać byle czym. Ciężko mu było to znosić. - Wciągnęła
zapach nosem. Ślina napłynęła jej do ust. Obróciła się
i przyglądała, jak piecze rybę nad ogniem. - Douglas. -
Jego imię wyszło wraz z gorącym oddechem. - Myślę, że
się zakochałam.

- Taaa. - Ze skupieniem w oczach i pewną ręką stuknęła
w rybę. - Wszystkie tak mówią, złotko.

Tej nocy cała trójka spała głębokim snem, uraczona pożywną kolacją, winem śliwkowym i rock and rollem.

Kiedy godzinę po wschodzie słońca czarny sedan wjechał do małego nadmorskiego miasteczka, zgromadził wokół siebie spory tłumek. Wsiadł z niego Remo. Z ważną miną i zniecierpliwieniem na twarzy roztrącił gromadkę dzieci. Z młodzieńczym instynktem wyczulonym na ciosy rozstępowali się przed nim. Ruchem głowy dał znak dwóm innym mężczyznom, by poszli za nim. Nie starali się rozmyślnie rzucić w oczy. Nawet gdyby zjawili się w miasteczku na mułach, ubrani w miejscowe stroje, i tak wyglądaliby jak zbiry. Sposób, w jaki żyli i w jaki chcieli żyć, odbił się na ich zewnętrznym wyglądzie.

Miejscowa ludność, choć z gruntu nieufnie odnosząca się do cudzoziemców, odznaczała się gościnnością. Jednak nikt nie podszedł do trzech mężczyzn. Coś nietykalnego określano tutaj słowem *jady*. Remo i jego towarzysze, choć wyglądali elegancko w świeżych letnich garniturach i błyszczących włoskich butach, byli zdecydowanie *fady*.

Remo dostrzegł gospodę i dając znak ludziom, by obstawili boki, wszedł frontowymi drzwiami. Właścicielka gospody miała na sobie świeży fartuch.

Z zaplecza dochodziły zapachy przygotowywanego śniadania, mimo że zajęte były tylko dwa stoliki. Zmierzyła Rema wzrokiem i pomyślała, że nie ma wolnych miejsc.

- Szukam pewnych ludzi - zwrócił się do niej po angielsku, choć nie spodziewał się, że ktoś na tej nędznej wyspie odpowie mu w tym języku. Po prostu wyciągnął fotografie Douga i Whitney i podsunął jej pod nos. Nawet mrugnięciem nie zdradziła się, że ich rozpoznaje. Może i opuścili gospodę nagle, ale zostawili dwadzieścia amerykańskich dolarów na serwantce. Ich uśmiechy nie były podszyte fałszem. Pokręciła przecząco głową.

Remo wyjął z grubego pliku dziesięciodolarowy bank-

not. W odpowiedzi kobieta wzruszyła ramionami i oddała fotografię. Jej wnuczek spędził poprzedniego wieczoru godzinę na zabawie z prosiaczką. Wolała jego zapach od zapachu wody kolońskiej Rema.

- Słuchaj, babciu, my wiemy, że oni tu byli. Dlaczego wszystko komplikujesz? - Wyciągnął dla zachęty kolejny banknot dziesięciodolarowy.

Właścicielka spojrzała na niego obojętnie i wzruszyła ramionami.

- Ich tu nie ma - powiedziała, zaskakując go poprawną angielszczyzną.

- Sam się o tym przekonam. - Z tymi słowami ruszył w stronę schodów.

- Dzień dobry.

Podobnie jak Doug, Remo nie miał kłopotów z rozpoznaniem gliny czy to w nędznej mieścinie na Madagaskarze, czy w zaułku na Czterdziestej.

- Jestem kapitan Sambirano. - Z należytą służbistością policjant wyciągnął rękę na powitanie.

Podobał mu się garnitur Rema, dostrzegł ciągle spuchniętą bliznę na policzku i twardy wyraz oczu.

- Może mógłbym w czymś pomóc.

Remo nie lubił mieć do czynienia z glinami. Uważał ich z zasady za niepewnych. W ciągu tego roku zaledwie jakieś trzy razy dało się namówić do współpracy zwykłego porucznika policji. Ale jeszcze bardziej nie chciał wracać z pustymi rękami do Dimitriego.

- Szukam mojej siostry. - Według słów Douga, Remo miał głowę nie od parady. Uruchomił teraz swoje szare komórki. - Uciekła z takim jednym facetem, podrzędnym złodziejaszkiem. Zawrócił dziewczynie w głowie, no wie pan.

Kapitan skinął uprzejmie głową.

- Rozumiem.

- Tatuś szaleje z niepokoju - improwizował Remo. Wyjął cienkie kubańskie cygareto z płaskiej złotej papierosnicy. Dostrzegł zachwyty kapitana i już wiedział, jaką ma obrać taktykę. - Zdołałem wyśledzić ich aż do tego miejsca, ale... -

Zawiesił głos, udając zatroskanego. - Zrobimy wszystko, żeby ją odnaleźć, kapitanie, wszystko.

Pozwalając, by informacja okrzepła, wyciągnął fotografie. To te same fotografie, odnotował kapitan w myślach, które pokazywał poprzedniego dnia inny mężczyzna. On również opowiadał o ojcu szukającym córki i również oferował pieniądze.

- Mój ojciec wyznaczył nagrodę dla każdego, kto zechce nam pomóc. To jego jedyna córka. I najmłodsza - dodał Remo dla większego wrażenia. Pamiętał, jak bardzo rozpieszczona była jego własna siostra. - Ma zamiar hojnie wynagrodzić.

Sambirano przyjrzał się fotografiom Whitney i Douga. Nowożeńcy, którzy dość nieoczekiwanie opuścili miasto. Popatrzył na właścicielkę gospody, której oczy wyrażały dezaprobatę. Goście spożywający śniadanie zrozumieli to spojrzenie i powrócili do przerwanej posiłku.

Opowieść Rema nie zrobiła na kapitanie najmniejszego wrażenia, podobnie jak wczorajsza opowieść Douga. Za to Whitney go urzekła.

- Uroczą kobietą.

- Może pan sobie wyobrazić, kapitanie, jak się czuje mój ojciec, wiedząc, z kim ona jest. Z taką szumowiną.

Tyle pasji było w tym słowie, że kapitan zrozumiał, iż ta niechęć nie jest udawana. Jeśli jeden znajdzie drugiego, któryś z nich umrze. Niewiele go to obchodziło, dopóki ta śmierć nie zdarzy się na jego terenie. Nie widział żadnego powodu, by poinformować, co wie na ten temat, mężczyznę w białej panamie z podobnym kompletem zdjęć.

- Brat jest odpowiedzialny za szczęście siostry - powiedział wolno, rozkoszując się zapachem cygara.

- Tak bardzo się o nią niepokoję. Bóg jeden wie, co on zrobi, kiedy skończą się jej pieniądze albo kiedy się nią znudzi. Jeśli mógłby pan pomóc... Obiecuję się odwdziaczyć, kapitanie.

Kapitan wybrał pracę stróża porządku w tym cichym, małym miasteczku, ponieważ nie miał większych ambicji.

Nie interesowała go praca na polu albo zdzieranie sobie rąk na łodzi rybackiej. Ale lubił czysty interes. Oddał Remowi fotografie.

- Współczuję pańskiej rodzinie. Sam mam córkę. Jeśli wstąpiłby pan do mego biura, moglibyśmy przedyskutować tę sprawę. Sądzę, że będę mógł panu pomóc.

Jedna para czarnych oczu spotkała drugą. Swoją rozpoznał swego. Obaj doszli do wniosku, że interes jest interesem.

- Potrafię to docenić, przekona się pan. - Przechodząc przez drzwi, Remo dotknął blizny na policzku. Już czuł zapach krwi Douga. Dimitri będzie bardzo zadowolony, pomysłał w przypływie ulgi, bardzo zadowolony.

11

Po porannej kawie Whitney dopisała do listy wydatków pięćdziesiąt dolarów zaliczki dla Jacques'a i podliczyła dług Douga. Poszukiwanie skarbu to kosztowna impreza, pomyślała.

Kiedy obaj panowie spali, Doug obok niej w namiocie, a Jacques pod gwiazdami, Whitney leżała przez jakiś czas, rozpamiętując minione dni. W sumie był to zabawny, ekscytujący, przedziwnie nieuporządkowany urlop, z dodatkiem niespodzianek i paru egzotycznych posiłków. Gdyby nie znaleźli skarbu, właśnie tak potraktowałyby tę przygodę - z jednym wyjątkiem: młodego kelnera, który poniósł śmierć, bo znalazł się w nieodpowiednim miejscu.

Niektórzy ludzie rodzą się z pewną wygodną dozą naiwności, która nigdy ich nie opuszcza, głównie dlatego, że wiedzą wygodne życie. Pieniądze uczą cynizmu lub mogą go stłumić. Być może to dostatek uchronił ją przed naiwnością, w każdym razie Whitney nigdy się nią nie odznaczała. Liczyła resztę nie dlatego, że troszczyła się o swoje grosze, lecz dlatego, że skoro płaciła, oczekiwała tego samego od innych. Przyjmowała komplementy z wdziękiem i szczyptą goryczy. I wiedziała, że dla niektórych życie jest tanie.

Śmierć jest środkiem na kłopoty, czymś, czego dokonuje się dla zemsty, dla rozrywki, dla pieniędzy. Wysokość sumy kształtuje się różnie - życie męża stanu kosztuje więcej niż życie drobnego handlarza narkotyków. Jeden wart jest najwyższej strzykawkę heroiny, a inny setki tysięcy najprawdziwszych franków szwajcarskich.

Gdy w grę wchodzi interes, ludzie diametralnie się zmieniają, by osiągnąć cel swoich marzeń. Obserwowała to nieraz i uważała za jedno z wielu społecznych nieszczęść, które jednak dotyczą innych. A teraz sama w tym uczestniczyła. Zginął niewinny człowiek, a ona z równą łatwością mogła sama zabić. Trudno powiedzieć, ilu ludzi straciło życie; ilu zostało kupionych lub sprzedanych w pogoni za tym jednym workiem złota.

Dolary i centy, myślała, patrząc na schludną kolumnę cyfr w notesie. Ale to stało się już czymś więcej. Może, jak wielu beztroskich bogaczy, często prześlizgiwała się po powierzchni życia, nie zwracając uwagi na wiry i prądy, z którymi muszą się zmagać biedniejsi. Może takie sprawy, jak jedzenie i dach nad głową, przyjmowała za rzecz naturalną aż do ostatnich kilku dni. Może jej ocena, co jest właściwe, a co nie, zależała od okoliczności i osobistych kaprysów. Za to miała wyrobiony silny zmysł dobra i zła.

Doug Lord mógł sobie być złodziejem i mógł w swoim życiu popełnić mnóstwo czynów, które były niewłaściwe z punktu widzenia społecznych kryteriów. Nigdy nie przyjmowała się społecznymi kryteriami. Doszła do wniosku, że w głębi duszy jest dobry, w przeciwieństwie do Dimitriego, który według niej był z gruntu zły. Wierzyła w to, nie naiwnie, ale całą swoją, zdrową inteligencją i instynktem, z którym się urodziła.

Zrobiła jeszcze coś, kiedy jej towarzysze spali. Nie mogąc zasnąć, postanowiła przejrzeć książki, które Doug zabrał z biblioteki w Waszyngtonie. Dla zabicia czasu, jak sobie wytłumaczyła, zapalając latarkę. Po kilku stronicach opowieści o klejnotach i kamieniach, zaginionych w ciągu wieków, zapomniała o całym świecie. Ilustracje nie zrobiły na niej większego wrażenia. Brylanty i rubiny zyskiwały na wartości dopiero w trzech wymiarach. Za to dały jej wiele do myślenia. Zgłębiając historię naszyjnika czy brylantu, zrozumiała, że podczas gdy jedni pragną je zdobyć, inni za nie giną. Chciwość, żądza, namiętność. To mogła zrozumieć, lecz nie

pojmowała determinacji, która kazała ludziom umierać za klejnoty.

A co z lojalnością? Cofnęła się myślami do listu Magdaliny. Pisała w nim o smutku męża z powodu śmierci królowej i o podjętym wobec niej zobowiązaniu. Ile ten Gerald musiał przez to wycierpieć i co przechowywał w drewnianym pudełku? Klejnoty. Czy przechowywał tam swoje dziedzictwo i opłakiwał czasy, które nigdy nie wróca? Czy chodziło tu o pieniądze czy o sztukę, czy też o historię? Zamykając książkę, Whitney nie była do końca przekonana. Szanowała lady Smythe-Wright, choć nigdy do końca nie zrozumiała jej zapału. Teraz nie żyje dlatego, że wierzyła, iż historia, czy to spisana w zakurzonych tomach, czy też połyskująca i błyszcząca, należy do każdego.

Maria Antonina straciła życie wraz z setkami innych z powodu okrutnej sprawiedliwości. Ludzi wyrzucano z domów, ścigano i zarzynano. Inni umierali z głodu, na ulicach. Dla idei? Nie wierzyła w to, że ludzie mogą ginąć dla idei ani też, że szczerze za nią walczą. Umierają, bo zostali wciągnięci w coś, co się nad nimi przewaliło i uniosło ze sobą, czy tego chcieli czy nie. Cóż znaczyła garść klejnotów dla kobiety, która wchodziła po stopniach na szafot? To sprawiało, że pogoń za skarbem wydawała się głupotą. Chyba że był w tym jakiś moralny sens. Może właśnie wtedy Whitney odkryła ten sens. Właśnie dla niego i dla młodego kelnera Juana postanowiła znaleźć skarb i sypnąć Dimitriemu piaskiem w twarz, kiedy tego dokona.

Wyglądała ranka z ufnością. Nie, nie była naiwna. Nadal trzymała się zasady, że dobro w końcu zwycięży zło - zwłaszcza kiedy dobro było bardzo sprytne.

- Cóż, u diabła, masz zamiar zrobić, kiedy wysiądą baterie?

Uśmiechnęła się do Douga, chowając mały kalkulator i notes z powrotem do torebki. Co on by pomyślał, gdyby wiedział, że spędziła kilka godzin, rozmyślając o nim i o tym, co zrobili.

- Duracell - powiedziała słodko. - Napijesz się kawy?

- Tak. - Usiadł, przyglądając się jej podejrzliwie, kiedy z rozpromienioną twarzą nalała mu i podała kubek.

Wyglądała wspaniale. Sądził, że kilkudniowy marsz odbije się na jej urodzie. W zamyśleniu przejechał dłonią po zaroście na policzku. Jak ona to robi? Jej anielsko jasne blond włosy połyskiwały, opadając falami na plecy. Słońce nadało jej skórze różowawy odcień, który jeszcze podkreślał nieskazitelną elegancję rysów. Wszystko można było powiedzieć o jej wyglądzie, tylko nie to, że jest mi-zerna.

Wziął od niej kawę i wypił do dna.

- To urocze miejsce - powiedziała Whitney, podciągając kolana pod brodę i otaczając je ramionami.

Rozejrzał się. Rosa cicho skapywała z liści. Ziemia była wilgotna i miękka. Zabił moskita, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie działał środek przeciw ukąszeniom. Mgła unosiła się nad ziemią wąskimi smugami jak para w łaźni tureckiej.

- Jeśli lubisz saunę.

Uniosła brew.

- Czyżbyśmy wstali lewą nogą?

Chrząknął jedynie w odpowiedzi. Obudził się z uczuciem nie zaspokojonego pragnienia, jakie odczuwa zdrowy mężczyzna po nocy spędzonej obok zdrowej kobiety, nie dostępując luksusu doprowadzenia spraw do naturalnego końca.

- Spójrz na to w ten sposób, Douglas. Gdyby choć akr tego tutaj znalazł się na Manhattanie, ludzie wydzieraliby go sobie z rąk, pchając się jeden przez drugiego. - Uniosła rękę w geście zachwytu. Jakaś ptasia pieśń rozbrzmiała nagle ekstazą dźwięków. Kameleon wpełzł na matowy, szary głąz i powoli przybrał jego barwę. Kwiaty wybuchały z ziemi, a zieleń liści i paproci zroszonych poranną wilgocią dawała wrażenie obfitości. - A my mamy to wszystko tylko dla siebie.

Nalał sobie drugi kubek kawy.

- Sądziłem, że taka kobieta jak ty wolałaby tłumy.

- Wszystko ma swój czas i miejsce, Douglas - mruknęła. - Czas i miejsce. - A po chwili uśmiechnęła się, tak prosto, tak uroczo, że aż stracił na chwilę oddech. - Cieszę się, że jestem tu z tobą.

Kawa sparzyła mu język, lecz nawet tego nie zauważył, bo wpatrywał się w Whitney. Nigdy nie miał kłopotów z kobietami, czarował je swym szorstkim męskim urokiem, którego nauczył się w młodości, a który wszystkie uważały za pociągający. Teraz, kiedy mógł używać w nadmiarze czegoś, co przychodziło mu tak łatwo, nie był w stanie niczego z siebie wykrzesać.

- Naprawdę? - wydusił wreszcie.

Ubawiona, że tak łatwo dał się podpuścić, skinęła głową.

- Tak, właśnie przyszło mi to do głowy. - Pochyliła się i pocałowała go delikatnie. - A co ty o tym myślisz?

Mógł popełnić błąd, ale wieloletnie doświadczenie nauczyło go, jak należy omijać przeszkody. Wyciągnął rękę i chwycił ją za włosy.

- No cóż - dotknął wargami jej ust - może powinniśmy to przedyskutować.

Podobał jej się sposób, w jaki całował ją, nie całując, i obejmował, nie obejmując. Pamiętała, jak to było, kiedy i jedno, i drugie zrobił naprawdę.

- Może powinniśmy.

Ich wargi drażniły się jedynie. Mając oczy otwarte, sprawdzali się nawzajem, próbowali, kusili. Każde było przyzwyczajone do przewodzenia, do kontrolowania własnych uczuć. Stracić grunt pod nogami - to podstawowy błąd w sprawach miłości i pieniędzy. Dopóki trzymali w rękach wodze, nawet luźne, każde z nich wiedziało, że nie pójdzie tam, dokąd samo nie poprowadzi.

Wargi stawały się coraz gorętsze, myśli zaczynały pulsować, zasady traciły swą moc.

Zacisnął rękę na jej włosach, ona zaś chwyciła go za koszulę na piersi. W tej szczególnej chwili, która rozciągała się w nieskończoność, znaleźli się blisko siebie. Potrzeba

stała się przewodnikiem, a pożądanie mapą. Poddali się im bez wahania i żalu.

Nagle zza kurtyny grubych, wilgotnych liści zabrzmiał donośny, pełen życia głos Cyndi Lauper. Odskoczyli od siebie jak para dzieciaków przyłapaną na podkradaniu słodyczy. Czysty tenor Jacques'a jak echo naśladował radosny głos Cyndi. Oboje odchrząknęli.

- Nadchodzi towarzystwo - skomentował Doug i sięgnął po papierosa.

- Tak. - Whitney wstała, otrzepując cienkie, luźne spodnie. Były trochę wilgotne od rosy, ale upał wkrótce je wysuszy. Obserwowała, jak promienie słońca ścinają wierzchołki cyprysa. - Jak już mówiłam, takie miejsce wydaje się przyciągać ludzi. Myślę, że... - Urwała zaskoczona, kiedy chwycił ją za kostkę.

- Whitney. - Jego oczy wpatrywały się w nią z intensywnością, której nikt by się nie spodziewał. Palce trzymały mocno. - Pewnego dnia to dokończymy.

Nie była przyzwyczajona, by jej mówiono, co ma robić, i nie widziała żadnego powodu, by zmieniać teraz przyzwyczajenia. Posłała mu długie obojętne spojrzenie.

- Może.

- Na pewno.

W obojętnym wzroku pojawił się cień uśmiechu.

- Douglas, przekonasz się, że potrafię być bardzo przekorna.

- Przekonasz się, że zawsze dostaję to, co zechcę - powiedział cicho i cień uśmiechu znikł z jej twarzy. - To mój zawód.

- Hej, hej, mam orzechy kokosowe! - Przedzierając się przez busz, Jacques uniósł siatkę.

Whitney roześmiała się, kiedy wyciągnął jednego i rzucił w jej kierunku.

- Czy ktoś ma korkociąg?

- Nie trzeba. - Trzasnął orzechem o kamień. Kameleon zniknął bezszelestnie. Z uśmiechem rozłupał owoc na dwie części i podał Whitney.

- Ale sprytnie.
- Trochę rumu i masz *piña colada*.

Podawała połówkę Dougowi.

- Nie złość się, kochanie. Jestem pewna, że ty też potrafilibyś się wdrapać na drzewo palmowe.

Jacques z uśmiechem wyciął z wnętrza orzecha kawałek miąższu.

- Nie powinno się jeść w srody niczego białego. To jest *fady* - powiedział z prostotą, która sprawiła, że Whitney przyjrzała mu się uważniej. Wsunął kawałek orzecha do ust z pewnego rodzaju poczuciem winy. - Ale jeszcze gorzej jest nic nie jeść.

Popatrzyła na czapeczkę drużyny sportowej, na podkoszulek i na magnetofon. Trudno było uwierzyć, że jest Malgaszem, członkiem starego plemienia. Z Louistem z plemienia Merina było łatwiej. On wyglądał jak jego współplemieńcy. Jacques wyglądał jak ktoś, kto chodził po Broadwayu i Czterdziestej Drugiej.

- Czy jesteś zabobonny, Jacques?

Wzruszył ramionami.

- Staram się żyć w zgodzie z bóstwami i duchami. Nie chcę, by się gniewały. - Sięgnął do przedniej kieszeni i wyciągnął z niej małą muszelkę na łańcuszku.

- To jest *ody* - wyjaśnił Doug, na poły z rozbawieniem. Nie wierzył w talizmany, lecz we własne szczęście lub w wykorzystywanie kogoś. - Rodzaj amuletu.

Whitney obejrzała go, zaintrygowana kontrastem między zamerykanizowanym strojem Jacques'a i językiem a głęboko zakorzenioną wiarą w tabu i duchy.

- Czy to na szczęście? - zapytała.

- Dla ochrony. Duchy miewają złe humory. - Potarł muszelkę palcami i podał ją Whitney. - Dzisiaj ty ją ponoś.

- Dobrze. - Zawiesiła łańcuszek na szyi. Właściwie to nie było nic nadzwyczajnego. Jej ojciec nosił łapkę króliczą ufarbowaną na niebiesko. Muszelka służyła podobnemu celowi, może nawet była bliższa wizerunkowi świętego Krzysztofa. Będzie chronić przed niebezpieczeństwem.

- Może skończycie tę kulturalną wymianę poglądów. Czas ruszać w drogę - zaproponował Doug.

Wstał i rzucił owoc Jacques'owi. Whitney mrugnęła do chłopaka.

- Mówiłam już, że często bywa nieuprzejmy

- Nie szkodzi - powiedział Jacques. Sięgnął do tylnej kieszeni, skąd ostrożnie wyjął kwiat i wręczył Whitney. - To orchidea.

Była nieskazitelnie biała i tak delikatna, jakby miała się zaraz rozpaść w jej dłoni.

- Jacques, jest prześliczna. - Przytknęła ją do policzka i wsunęła łydźkę we włosy nad uchem. - Dziękuję. - Całując chłopca, usłyszała, jak głośno przełyka ślinę.

- Ładnie wygląda. - Zaczął prędko zbierać naczynia. - Na Madagaskarze jest mnóstwo kwiatów. Możesz tu znaleźć każdy kwiat, jakiego zapragniesz - powiedział i zaczął znosić rzeczy do łodzi.

- Jeśli chciałaś kwiatek - mruknął Doug - wystarczyło schylić się i zerwać.

Whitney dotknęła płatków nad uchem.

- Niektórzy mężczyźni wiedzą, co to jest słodycz, a inni nie - rzuciła. Chwyciła plecak i poszła za Jacques'iem.

- Słodycz - burczał Doug, zbierając resztę rzeczy. - Ja mam na karku sforę wilków, a ona chce słodyczy. - Nadal mrużąc do siebie, zasypał ognisko. Też bym potrafił zerwać dla niej ten cholerny kwiat. Nawet tuzin. Obejrzał się na dźwięk śmiechu Whitney. - Och, Jacques, jest prześliczna - mruknął, przedrzeźniając Whitney. Prychnął z obrzydzenia, sprawdził rewolwer i zatknął go za pasek. - Ja też potrafię otworzyć orzech kokosowy.

Zasypał resztki ognia, zebrał pozostałe rzeczy i szedł do łodzi.

Remo rozkopał czubkiem drogiego buta popiół ogniska. Był zimny. Słońce stało wysoko nad głową i prażyło nie-
miłosiernie. Ciężko nie dawał żadnej ulgi. Zdjął marynarkę

i krawat- czego nigdy nie ośmieliłby się zrobić w obecności Dimitriego. Niegdyś świeża koszula była mokra od potu. Ściganie Lorda stawało się coraz bardziej kłopotliwe.

- Wygląda na to, że spędzili tu noc.

Weis, wysoki mężczyzna o wyglądzie bankiera ze złamanym nosem, otarł pot z czoła. Szyję miał upstrzoną śladami ukąszeń owadów, które nieustannie go nękały.

- Myślę, że jesteśmy jakieś cztery godziny za nimi.

- A ty co, w Apacza się bawisz? - Remo kopnął z wściekłości ognisko i odwrócił się. Jego wzrok spoczął na Barnsie, którego okrągła twarz krzywiła się ze śmiechu. - No i czego się tak szczerzysz, ty mała gnido?

Lecz Barns nadal się uśmiechał, dopóki Remo nie poradził mu, żeby zajął się lepiej malgaskim kapitanem. Wiedział, że Barns już się zajął, lecz człowiek z doświadczeniem Rema nie miał ochoty wysłuchiwać szczegółów. Wiedział, że Dimitri ma słabość do Barnsa jak ktoś, kto ma słabość do głupiego psa, który znosi ci do stóp poszarpane kurczaki i okaleczone gryzonie. Wiedział również, że Dimitri zleca Barnsowi zajęcie się tymi, którzy nie są mu już potrzebni. Dimitri nie uznawał zasiłku dla bezrobotnych.

- Chodźmy - rzucił Remo. - Dostaniemy ich przed zachodem słońca.

Whitney usadowiła się wygodnie między plecakami. Wydłużające się cienie cyprysów i eukaliptusów kładły się na wydmach wzdłuż kanału. Cienkie brązowe trzciny falowały z prądem. Od czasu do czasu spłoszona czapla biała przysiadła na długich nogach i z wielkim łopotem skrzydeł uciekała w zarośla. Wszędzie rosła wielka obfitość kwiatów, czerwonych, pomarańczowych i żółtych. Od czasu do czasu pojawiały się orchidee jak maki na łące. Motyle, czasami pojedynczo, czasami grupami, fruwały nad kwiatami lub siadały na płatkach. Skrzyły się jak płomień nad mętnym

brązem kanału. Tu i tam nad brzegiem, zażywając słonecznej kąpieli, drzemały krokodyle. Prawie niezauważalnie odwracały głowy w kierunku przepływającej łodzi. Zapach unoszący się w powietrzu rozleniwiał swym bogactwem.

W czapce z daszkiem Jacques'a, osłaniającej oczy, leżała, na wpół drżąc, w poprzek łodzi, opierając stopę o jej brzeg. Długa wędka zrobiona przez chłopaka kiwała się w jej rękach.

Postanowiła dowiedzieć się, co Huck Finn widział pociągającego w podróżowaniu po Missisipi. Większa część z tego była wylegiwaniem się, a reszta wielką przygodą. Doszła do wniosku, że to wspaniała kombinacja.

- A co zrobisz, kiedy ryba zacznie brać i złapie się na ten bezpieczny koniec patyka? - spytał Doug.

Zyskując na czasie, wyprostowała ramiona.

- Rzucę ją prosto na twoje kolana, Douglas. Jestem pewna, że doskonale wiesz, co należy z tym zrobić.

- Całkiem nieźle je przyrządzasz. - Jacques wiosłował długimi, silnymi ruchami, które przyprawiłyby wychowanka Yale o silne bicie serca. Tina Turner pomagała mu utrzymać rytm. - Moje umiejętności kulinarne są żadne. Kiedy będę się żenił, najpierw upewnię się, czy moja przyszła żona umie gotować. Tak jak moja mama.

Whitney parsknęła spod daszka czapki. Mucha siadła jej na kolanie, lecz zbyt dużo wysiłku kosztowałoby spędzenie jej.

- Jeszcze jeden mężczyzna, który ma serce w żołądku.

- Chłopak ma rację. Jedzenie to ważna sprawa.

- Dla ciebie to więcej niż religia. Rób to zgodnie z tradycją albo wcale. - Uniosła daszek tak, by mogła patrzeć na Jacques'a. Młody, łagodnego usposobienia, z ładną twarzą i umięśnionym ciałem. Na pewno nie będzie miał kłopotów z dziewczętami. - Więc żołądek stawiasz na tym samym poziomie co serce? A co będzie, jeśli zakochasz się w dziewczynie, która nie umie gotować?

Jacques myślał przez chwilę. Miał dwadzieścia lat i od-

powiedzi były równie proste i łatwe jak jego życie. Uśmiech, którym ją obdarzył, był młody, niewinny i tak pewny siebie, że aż zachichotała.

- Zaprowadzę ją do mojej matki, żeby się nauczyła.

- Bardzo rozsądne - poparł go Doug. Przerwał wiosłowanie, by włożyć kawałek orzecha kokosowego do ust. - A ty oczywiście nigdy nie myślałaś o tym, by nauczyć się gotować? - Whitney obserwowała, jak Jacques przetrawia ten przytyk, podczas gdy jego nachylone silne ramiona poruszały wiosłami. Uśmiechnęła się do niego i dotknęła muszelki zawieszanej tuż nad jej biustem.

- U nas żona przygotowuje posiłki.

- A oprócz tego dba o dom, dzieci i uprawia pole - dodała Whitney.

Jacques kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Dbą również o pieniądze.

Whitney dotknęła portfela w tylnej kieszeni.

- To bardzo rozsądne - powiedziała, uśmiechając się do Douga.

- Pewnie by ci się to spodobało.

- To znowu jest proste dla tych, którym to pasuje. - Zaczęła się wygodnie sadowić, kiedy poczuła, że coś dzieje się z wędką. Usiadła, otwierając szeroko oczy. - O Boże, myślę, że coś złapałam.

- Co złapałaś?

- Rybę! - Chwyając w panice patyk, obserwowała, jak linka zaczyna podskakiwać. - Rybę - powtórzyła - wielką, cholerną rybę.

Uśmiech rozjaśnił twarz Douga, kiedy zobaczył, że zaimprowizowana wędką naprężyła się.

- Sukinsyn. Teraz spokojnie - powiedział, kiedy rzuciła się na kolana i zakołysała łodzią. - Nie zgub jej, to będzie główne danie dziś wieczorem.

- Nie mam zamiaru jej zgubić. - Zaciśnęła zęby. Nie miała również pojęcia, co teraz z tym zrobić. Zmagając się z wędką, zwróciła się do Jacques'a: - Co teraz?

- Ciągnij spokojnie w górę. To wielki skurczybyk. -

Wciągnął wiosło do łodzi i przesunął się wolno w jej stronę, uważając, by nie zakołysać łodzią. - Tak, moi państwo, będziemy dziś ucztować. Ma zamiar trochę powalczyć. - Oparł rękę na ramieniu Whitney, wychylając się nieco. - Ona myśli o patelni.

- Dalej, złotko, dasz sobie radę. - Doug zostawił wiosła z tyłu, by móc podpełznąć do środka łodzi. - Ciagnij ją w górę. - Wyfiletuje ją, usmaży i poda z ryżem na sypko.

Nieprzytomna, podniecona i zdeterminowana Whitney zacisnęła język między zębami. Gdyby któryś z nich zaproponował, że weźmie od niej kij, zaczęłyby warczeć. Napinając mięśnie ramion, co robiła jedynie podczas sporadycznych wizyt na korcie tenisowym, wyciągnęła rybę z wody.

Rozbłysła w promieniach popołudniowego słońca, trzepocząc się na końcu wędki. Był to zwykły pstrąg, lecz przez chwilę miał w sobie jakiś majestat, zajaśniał jak gwiazda na tle ciemniejszego błękitu nieba. Whitney wydała okrzyk wojenny i opadła na siedzenie.

- Tylko nie wypuść jej teraz!

- Nie wypuści. - Jacques pochwycił sznurek, ściągając go w dół. Ryba kiwała się w przód i w tył jak flaga na wietrze. - Własnoręcznie złapała wielką tłustą rybę. - Szybkim ruchem wyciągnął haczyk i podniósł zdobycz. - I co wy na to? Poszczęściło się nam. - Uśmiechnął się, trzymając rybę wysoko, a z tyłu Tina Turner wydawała z siebie chrapliwe dźwięki.

To się stało nagle. Do końca życia Whitney będzie pamiętać ten moment jak film klatka po klatce. Moment, kiedy Jacques stoi, jaśniejąc potem i triumfem. Jej śmiech ciągle dźwięczy w powietrzu. Kolejny moment - Jacques wpada do wody. Huku jej umysł nie zarejestrował.

- Jacques? - Oszołomiona usiadła na piętach.

- Na dół. - Doug przygniół ją sobą tak, że z trudem chwytiała powietrze. Tymczasem łódź chwiała się na boki, a on modlił się, żeby się nie wywróciła.

- Doug?
- Leż spokojnie.

Nie patrzył na nią. Choć jego głowa była tylko o cal od jej twarzy, badał wzrokiem brzeg po drugiej stronie kanału. Zarośla były wystarczająco gęste, by ukryć całą armię. Gdzież oni, u diabła, są? Starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, sięgnął po rewolwer. Widząc to, Whitney uniosła głowę, rozglądając się za Jacques'iem.

- Czy on wpadł do wody? Wydawało mi się, że słyszałam... - Zobaczyła odpowiedź w oczach Douga. - Nie! - Zaczęła się szamotać, nieomal wytrącając mu broń z ręki. - Jacques! O Boże!

- Nie ruszaj się! - warknął przez zęby, unieruchamiając ją nogami. - Nic teraz nie możesz dla niego zrobić. - Kiedy nadal się szarpała, zacisnął palce na tyle mocno, by ją posiniaczyć. - On nie żyje, do cholery! Już nie żył, kiedy wpadał do wody!

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi, wilgotnymi oczami, a potem bez słowa je zamknęła i już się nie poruszyła. Jeśli nawet czuł się winny, jeśli nawet czuł żal, będzie na to czas później. Teraz trzeba się zająć sprawą najważniejszą - ocaleniem życia.

Nie słyszał nic, oprócz delikatnego plusku wody o łódź dryfującą z prądem. Mogli być po drugiej stronie, to wiedział na pewno. Nie wiedział natomiast, dlaczego po prostu nie podziurawili łodzi kulami. Cienka, drewniana powłoka nie stanowiłaby żadnego zabezpieczenia. Dostali pewnie rozkaz, żeby wziąć ich żywcem. Spojrzał na Whitney. Nadal leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Lub też wziąć żywcem jedno z nich, pomyślał.

Dimitri jest zapewne ciekaw takiej kobiety jak Whitney MacAllister. Do tego czasu zdążył się już o niej wszystkiego dowiedzieć. Nie, na pewno nie chce jej zabić. Będzie chciał się nią zabawić, wykorzystać, a potem zażądać okupu. Nie będą strzelać do łodzi, poczekają na nich spokojnie. Najpierw musi się dowiedzieć, gdzie są. Czuł, jak pot spływa mu po plecach.

- To ty, Remo?! - krzyknął. - Nadal się zlewasz tą fantazyjną wodą kolońską? Czuję ją aż tutaj. - Zaczekał chwilę, starając się uchwycić jakiś dźwięk. - Czy Dimitri wie, że ciągle biegasz w kółko?

- To ty ciągle biegasz, Lord!

Z lewej. Nie wiedział jeszcze, jak to zrobi, ale wiedział, że musi dostać się na drugi brzeg.

- Tak, teraz może zwolnię. - Sprawdzając ich położenie, nie przestawał mówić. Ptaki, które na odgłos strzału zerwały się w górę z wrzaskiem, uspokoiły się. Niektóre podjęły swój leniwy szczebiot. Spostrzegł, że Whitney otworzyła oczy, lecz nadal leży spokojnie. - Może nadszedł czas, byśmy się dogadali! Ty i ja. Z tym, co mam, mógłbyś zapełnić basen francuską wodą kolońską. Nigdy nie myślałeś, by się usamodzielnić? Umiesz kombinować. Nie masz już dość słuchania rozkazów i wykonywania za kogoś brudnej roboty?

- Jeśli chcesz pogadać, to podpłyn tutaj, Lord! Zrobimy sobie miłe spotkanie w interesach.

- Podpłynę, a ty umieścisz mi kulkę w głowie. Daj spokój, Remo, nie obrażajmy nawzajem swojej inteligencji.

Może mógłby w jakiś sposób zanurzyć jedno z wiosła w wodzie i pokierować łodzią. Gdyby zczekał do zmierzchu, mieliby jakąś szansę.

- To ty chcesz gadać, Lord! Co ci chodzi po głowie?

- Mam papiery, Remo. - Delikatnie otworzył plecak. W środku miał pudełko z nabojami. - Mam też klasa babkę. Razem są warci tak cholerną kupę pieniędzy, jakiej nigdy nie widziałeś. - Spojrzał na Whitney. Patrzyła na niego błada, nie uroniwszy ani jednej łzy. - Dimitri nie mówił ci, że mam dziedziczkę? MacAllister, no wiesz, ten MacAllister od lodów. Najlepsze lody w Stanach. Czy wiesz, ile milionów tego oni robią? Czy wiesz, ile by jej staruszek zapłacił za to, by odzyskać ją w jednym kawałku?

Wsunął pudełko z nabojami do kieszeni. Whitney cały czas go obserwowała.

- Rób, co ci powiem, złotko - szepnął, sprawdzając, czy rewolwer jest nabity. - Oboje spróbujemy się stąd wydostać. Mam zamiar przedstawić mu listę twoich zalet. Kiedy to zrobię, chcę, abyś zaczęła mnie przeklinać, rozhuśtując łódź i robiąc wielkie przedstawienie. Jednocześnie chwycić za wiosło, okay?

Skinęła głową bez słowa.

- Nie ma na niej zbyt wiele ciała, lecz potrafi rozgrzać w łóżku, Remo! Poza tym nie przejmuje się zbyt tym, kogo w nim rozgrzewa. Rozumiesz, co mam na myśli? Chętnie się z tobą podzielę.

- Ty zdegenerowany sukinsynu! - Z wrzaskiem, który wprawiłby w dumę handlarzkę ryb, Whitney poderwała się w górę. Nie chciał, aby znalazła się na linii strzału, i złapał ją za rękę. Zachwiała się i wyrwała mu dłoń. - Nie masz za grosz taktu! - krzyknęła, prostując się. - Jesteś zupełnie bez klasy! Prędzej przespałabym się ze ślimakiem, niż wpuściła cię do mojego łóżka!

Na tle zapadającego zmierzchu jej postać rysowała się wspaniale. Była pełna pasji, włosy rozsypały się jej po plecach, oczy pociemniały. Nie miał żadnej wątpliwości, że cała uwaga Rema skupiła się na niej.

- Chwytaj za wiosło i nie traktuj tego tak osobiście - mruknął.

- Myślisz, że możesz mówić do mnie w ten sposób, ty gnido? - Złapała wiosło i wzniosła je nad głowę.

- Dobra, dobra, a teraz... - Urwał, widząc wyraz jej twarzy. Miał już okazję widzieć zemstę w oczach kobiety. Automatycznie podniósł rękę. - Ej, chwileczkę! - zaczął, kiedy wiosło runęło w dół. Przesunął się na bok i zauważył, jak Weis podpływa do ich łodzi na małej tratwie. Wyróciliby się dnem do góry, gdyby Whitney nie straciła równowagi i nie upadła na dno. - Na dół! - krzyknął, lecz ostrzeżenie zginęło w zamieszaniu wywołanym jego walką z Weisem.

Wiosło spadło na ramię olbrzyma, wytrącając mu broń z ręki i bardziej rozwścieczając go niż raniąc. Pamiętał, co

czuł, kiedy roztrzaskano mu nos. Whitney ponownie uniosła wiosło nad głowę i spuściłaby je w dół, lecz w tym momencie Doug znalazł się na wierzchu. Łódź zakołysała się, nabierając wody. Zobaczyła ciało Jacques'a pływające po powierzchni. Z trudem zebrała siły do dalszej walki.

- Na litość boską, odsuń się, Doug! - krzyknęła i upadła na plecy, kiedy łódź zakołysała się gwałtownie.

Na brzegu Remo odepchnął Barnsa na bok.

- Lord jest mój, ty mały draniu, pamiętaj. - Wyjął broń, wycelował i czekał.

Wygląda, jakby się bawili, pomyślała Whitney, wstrząsając głową, by oprzytomnieć. Dwóch przerośniętych chłopców bije się w łodzi. Za chwilę jeden z nich zawoła na pomoc wujka, a wówczas pozbierają się, otrzepią i zajmą się czymś innym.

Próbowała znowu stanąć, ale omal nie przewróciła się na bok. Dostrzegła, że Doug nadal trzyma broń w ręku, lecz ten drugi mężczyzna góruje nad nim wagą. Starając się utrzymać na klęczkach, ponownie złapała za wiosło.

- Do cholery, Doug, jak mogę go walnąć, skoro ty ciągle na nim leżysz! Rusz się!

- Już się robi. - Ciężko dysząc, Doug usiłował oderwać rękę Weisa od swojego gardła. - Daj mi minutę. - Po tych słowach głowa odskoczyła mu w tył, bo Weis zadał mu cios w szczękę. Doug poczuł w ustach smak krwi.

- Złamałeś mój pieprzony nos! - ryknął Weis, ciągnąc Douga w górę.

- To byłś ty?

Stali spleceni nogami, a Weis zaczął powoli obracać rękę Douga trzymającą broń lufą w stronę jego twarzy.

- Taaa. A teraz odstrzelę ci twój.

- Nie bierz tego tak do siebie.

Łapiąc równowagę, Doug poczuł, że trzasnęło mu coś w lewym ramieniu. Pomyśli o tym później, kiedy lufa rewolweru zmieni kierunek. Oblał się potem, usiłując nie dopuścić, aby palec Wisa dotknął cyngla. Dostrzegł uśmiech na

jego twarzy i pomyślał, że to zapewne ostatnia rzecz, którą widzi. Nagle oczy Weisa się rozszerzyły i wypuścił ze świstem powietrze, bo Whitney wpakowała mu sprytnie wiosło w brzuch. Chwytny się Douga, by utrzymać równowagę, przesunął się nieznacznie. W następnej sekundzie dreszcz szarpnął jego ciałem. Stając na miejscu Douga, wystawił się na cel strzału Rema. Z zaskoczonym wyrazem twarzy zwałił się jak kłoda do wody.

Whitney poczuła, że płuca ma pełne wody. Po chwili paniki wynurzyła się na powierzchnię, krztusząc się i machając rękami.

- Trzymaj plecaki! - krzyknął Doug, ciskając je w jej stronę i przesuwając się wzdłuż wywróconej do góry dnem łodzi. Dwie kule przeleciały o cal od jego głowy i wpadły do wody.

- O, jasna cholera!

Zobaczył, jak paszcza krokodyla otwiera się i zamyka na tułowi Weisa. Posłyszał przyprawiający o mdłości dźwięk rozrywanego ciała i trzask kości. Chwytny w panice szelki jednego z plecaków. Drugi znajdował się już poza zasięgiem ręki.

- Płyn! - krzyknął. - Płyn do brzegu!

Ona również spostrzegła, co zostało z Weisa, i zaczęła płynąć w panice do brzegu. Mętna czerwona smuga pojawiła się na powierzchni wody. Drugiego krokodyla spostrzegła dopiero, gdy znalazł się tuż przy nich.

- Doug!

Odwrócił się i zetknął oko w oko z otwartą paszczą. Zamknęła się dopiero po pięciu strzałach i utonęła w morzu czerwieni.

Pojawiły się następne. Nerwowo szukał pudełka z nabojami, wiedząc, że nigdy ich nie wydobędzie. Desperacko rzucił się między Whitney i nadpływającego krokodyla, unosząc w górę kolbę pistoletu. Czekał na uderzenie, na ból. Spiał się w sobie, zaciskając wargi, by nie warczeć. Głowa krokodyla eksplodowała w odległości mniejszej niż długość ramienia od nich. Zanim Doug zdążył zareagować, dalsze

trzy krokodyły znalazły się pod wodą, trzepiąc ogonami. Krew zawirowała wokół niego.

To nie Remo strzelał. Mimo że zwrócił głowę w stronę przeciwnego brzegu, i tak wiedział, że to nie on. Strzelano z południa. Albo czuwała nad nimi dobra wróżka, albo ktoś jeszcze szedł ich śladem. Mignęła mu biała panama. Nie przestając o tym myśleć, rozejrzał się za Whitney i zobaczył ją tuż za sobą.

- Płyń, do cholery! - Złapał ją za ramię i pociągnął w stronę brzegu. Whitney nie oglądała się już za siebie, wszystkie siły koncentrując na dopłynięciu do brzegu.

Doug prawie zawłókł ją przez trzciny w stronę lasu. Ciężko dysząc, oparł się o pień drzewa.

- Nadal mam te papiery, ty sukinsynu! - krzyknął w stronę przeciwnego brzegu. - Dlaczego nie zrobisz sobie małej przejażdżki i nie spróbujesz mi ich zabrać?! - Zamknął na chwilę oczy i próbował przywrócić płucom normalny oddech. Słyszał, jak Whitney krztusi się wodą. - Powiedz Dimitriemu, że nadal je mam, i powiedz mu jeszcze, że jestem mu coś winien. - Wytarł krew z warg i wypluł. - Słyszałeś, Remo? Powiedz mu, że jestem mu coś winien i, na Boga, jeszcze nie skończyłem!

Krzywiąc się z bólu, rozmasował ramię, które ucierpiało podczas walki z Weisem. Ubranie przykleiło mu się do ciała. Było mokre, zakrwawione i cuchnęło błotem. Kilka jardów dalej, w kanale, uctowały krokodyły. W rękę trzymał nadal rewolwer - pusty. Niespiesznie wyjął z kieszeni pudełko z nabojami i załadował broń.

- No dobra, Whitney, i...

Kłęcząca obok niego zwinięta w kłębek, z głową przyciśniętą do kolan. Mimo że nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, wiedział, że płacze. Zakłopotany przejechał ręką po mokrych włosach.

- Hej, Whitney, przestań.

Nie poruszyła się ani nie odezwała. Doug spojrzął na rękę trzymającą rewolwer. Gwałtownym ruchem zatknął go sobie za pas.

- No chodź, kochanie, musimy ruszać. - Chciał ją objąć, lecz w tym momencie uniosła głowę.

Mimo że łzy spływały jej po twarzy, to oczy płonęły.

- Nie dotykaj mnie! To ty musisz ruszać, Lord! Do tego jesteś stworzony: pędzić, uciekać. Dlaczego po prostu nie zabierzesz tej strasznie ważnej koperty i nie znikniesz? Masz! - Sięgnęła do kieszeni i szarpiąc się z mokrymi spodniami, wyciągnęła portfel. Rzuciła go w jego stronę. - Zabierz i to! Tylko to cię obchodzi, tylko o tym myślisz, o forsie! - Nie przejmowała się, że łzy spływają jej po policzkach. - Nie ma tam zbyt wiele gotówki, tylko kilka setek, lecz jest mnóstwo kart kredytowych. Możesz je sobie zabrać.

Czyż nie tego właśnie pragnął? Pieniądzy, skarbu i żadnych współników. Był bliżej celu niż kiedykolwiek, w pojedynkę poszłoby szybciej i cały skarb zatrzymałby dla siebie. Przecież właśnie tego przez cały czas pragnął. Rzucił jej portfel na kolana i wziął ją za rękę.

- Chodźmy.

- Nigdzie z tobą nie idę. Pójdiesz sam po swój worek złota, Douglas. - Chwyciły ją mdłości. - Przekonasz się, czy możesz z tym żyć.

- Nie zostawię cię tu samej.

- Dlaczego nie? - warknęła. - Przecież Jacques'a zostawiłeś. - Obejrzała się w stronę rzeki i zaczęła dygotać. - Zostawiłeś go, więc zostaw i mnie. Co za różnica?

Chwycił ją z taką siłą za ramiona, że aż się skrzywiła.

- On już nie żył. Nic nie mogliśmy zrobić.

- Zabiliśmy go.

Ta myśl już wcześniej załęgła mu się w głowie. Może właśnie z tego powodu ścisnął mocniej jej ramiona.

- Nieprawda. Mam zbyt dużo problemów, by jeszcze to roztrząsać. To Dimitri go zabił, tak jak zabija się muchę na ścianie. Nie miało to dla niego większego znaczenia. Zabił go, nie znając nawet jego imienia, bo zabijanie to dla niego jak splunięcie. Bo nie martwi się tym, że i na niego może przyjść kolej.

- A ty się martwisz?

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Z mokrych włosów spływała mu woda.

- Tak, do diabła, martwię się.

Złapała go za koszulę.

- Był taki młody - mówiła urywając. - Wszystko, czego pragnął, to pojechać do Nowego Jorku. Nigdy tam nie pojedzie. - Z oczu popłynął kolejny potok łez. Nie zważając na nie, mówiła dalej: - Nigdy już nigdzie nie pojedzie. A wszystko przez jedną kopertę. Ilu ludzi straciło życie z jej powodu? - Dotknęła muszelki, talizmanu Jacques'a, który miał przynosić szczęście i bronić przed niebezpieczeństwem. Płakała aż do bólu, lecz ten ból nie ukoił jej. - Zginął przez te papiery, a nawet nie wiedział, że istnieją

- Poprowadzimy tę sprawę dalej - powiedział Doug, przyciągając ją do siebie. - I wygramy.

- Dlaczego, do diabła, to jest takie ważne?

- Chcesz wiedzieć, dlaczego? - Ich twarze były teraz oddalone od siebie zaledwie o cal. Wzrok miał twardy i szybko oddychał. - Jest mnóstwo przyczyn. Bo zginęli ludzie, bo Dimitri tego chce. Wygramy, Whitney, bo nie pozwolimy, by Dimitri nas pokonał. Bo ten chłopak zginął, a jego śmierć nie może pójść na marne. To już nie jest tylko kwestia pieniędzy. Czy nie rozumiesz, do cholery, że nigdy nie chodzi o pieniądze? Tu chodzi o pokonanie przeciwnika, zawsze tak jest, i jeszcze o to, by Dimitri oblał się potem, gdy dowie się, że wygraliśmy.

Pozwoliła, by Doug przytulił ją do siebie i przez chwilę kołysał w objęciach.

- Kiedy przestajesz myśleć o wygranej, już jesteś martwa. To mogła zrozumieć.

- Nie będzie żadnego *fadamihana* dla Jacques'a - szepnęła. - Żadnej uroczystości.

- Urządzimy przyjęcie na jego cześć. - Pogłaskał ją po włosach, przypominając sobie spojrzenie Jacques'a w ostatnim momencie. - Prawdziwe nowojorskie party.

Kiwnęła głową, obracając twarz w stronę jego szyi.

- Nie ujdzie to Dimitriemu na sucho, Doug. Nie tym razem. Pokonamy go.

- Tak, pokonamy go.

Odsunął ją od siebie i wstał. Stracili w kanale jego plecak. To oznaczało, że nie mają już namiotów i sprzętu do gotowania. Chwytał jej plecak i umocował na ramionach. Byli mokrzy, zmęczeni i załamani po przeżyciach.

- Rusz swój tyłek, złotko.

Wstała ze znużeniem i wcisnęła portfel z powrotem do kieszeni. Pociągnęła nosem nieelegancko.

- Ty też rusz swój, Lord.

Powędrowali na północ w gasnącym świetle wieczoru.

12

Wymknęli się Remowi, ale wiedzieli, że nadal depcze im po piętach, więc nie zatrzymywali się. Szli aż do zachodu słońca, kiedy las przybrał barwy, które tylko malarze i poeci potrafią rozpoznać. Nadal szli, mimo że powietrze zrobiło się perłowszare od mgły i zaczęła opadać rosa. Niebo pociemniało, a potem zapadła noc. Wypłynął księżyc jak majestatyczna biała kula. Gwiazdy połyskiwały jak starożytny klejnoty. Światło księżycy zmieniło las w bajkową krainę. Cienie kładły się nisko i przesuwwały. Kwiaty stuliły płatki i zasnęły jak zwierzęta, które rozumieją, że nadeszła noc. Zatrzepotały skrzydła, zaszumiały liście i coś krzyknęło w buszu. Ciągłe szli.

Kiedy Whitney zapragnęła poddać się fali bezmyślnego wyczerpania, jej myśli wróciły do Jacques'a. Zacisnęła zęby i szła dalej.

- Opowiedz mi o Dimitrim.

Doug zatrzymał się jedynie po to, by wyciągnąć kompas i sprawdzić kierunek. Dostrzegł, że Whitney dotyka od czasu do czasu muszelki, lecz nie przychodziły mu do głowy żadne słowa pociechy

- Już ci opowiadałem.

- Niewiele. Opowiedz coś więcej.

Rozpoznał ten ton w jej głosie. Chciała się zemścić: A zemsta była złym doradcą. Mogła przyćmić wszystko - nawet pragnienie zostania bogatym.

- Wcale nie chodzi ci o to, by go lepiej poznać.

- Właśnie że o to. - Jej głos był cichy i twardy. Starła pot z czoła wierzchem dłoni. - Opowiedz o tym panu Dimitrim.

Nie potrafił ocenić, ile mil mają już za sobą, też stracił poczucie czasu. Ale był pewny dwóch rzeczy: zwiększyli odległość od Rema i potrzebny był im odpoczynek.

- Rozbijemy tu obóz. Chyba już wystarczająco głęboko zapuściliśmy się w ten stóg siana.

- Stóg siana?

Padła z wdzięcznością na miękką, sprężystą ziemię. Gdyby to było możliwe, jej nogi rozpląkałyby się z ulgi.

- My jesteśmy igłą, a to jest stóg siana. Czy masz w plecaku coś do jedzenia?

Wyciągnęła kosmetyczkę, koronkową bieliznę, ubrania podarte, brudne lub zniszczone i to, co zostało z torby z owocami, które kupiła w Antananarywie.

- Kilka mango i zgniły banan.

- Wyobraź sobie, że jest to sałatka Waldorfa - poradził Doug, biorąc jeden z owoców mango.

- Dobrze - zgodziła się Whitney i wyciągnęła nogi. - A teraz opowiedz mi o Dimitrim.

Miał nadzieję, że skieruje jej uwagę na inny temat. Powinien wcześniej o tym pomyśleć.

- To Jabba we włoskim garniturze - powiedział, zatapiając zęby w owocu. - Neron przy nim to aniołek. Lubi poezję i filmy porno.

- Eklektyczny gust.

- Tak. Zbiera antyki... jego specjalnością są narzędzia tortur. Takie, co to zaciskają kciuki ofiary.

Whitney poczuła lekkie pulsowanie w prawym kciuku.

- Fascynujące.

- Jasne, Dimitri jest rzeczywiście fascynujący. Ma słabość do miękkich, pięknych rzeczy. Obie jego żony były pięknosciami. - Obrzucił ją długim taksującym spojrzeniem. - Podobają mu się kobiety w twoim stylu.

Próbowała powstrzymać drżenie.

- Jest więc żonaty.

- Podwójnie - uściślił. - I tragicznie owdowiały podwójnie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Rozumiała. W zamyśleniu ugryzła mango.

- Co sprawia, że ma... tyle szczęścia? - dokończyła po chwili wahania.

- Inteligencja i szczypta nikczemności. Słyszałem, że potrafi cytować Chaucera, wbijając ci szpilki w palce u nóg. Straciła ochotę na mango.

- Czy to jest właśnie jego styl? Poezja i tortury?

- On nie zabija tak po prostu, on wykonuje egzekucje, i to z całym ceremoniałem. Ma pierwszorzędne studio, w którym filmuje swoje ofiary przed, w trakcie i po ceremonii.

- O Boże! - Popatrzyła na Douga, starając się wmówić sobie, że to, co on mówi, to zwykła bajka. - Naprawdę tego nie zmyśliłeś?

- Nie miałbym tyle wyobraźni. Słyszałem, że jego matka była nauczycielką, która miała coś nie w porządku z głową. - Sok popłynął mu po brodzie. Wytarł go bezwiednie. - Mówią, że kiedy nie potrafił wyrecytować jakiegoś wiersza, Byrona czy kogoś innego, odrąbała mu mały palec.

- Ona... - Owoc ugrzązł jej w gardle. - Matka odcięła mu palec, bo nie potrafił recytować?

- Tak mówią. Chyba była bardzo religijna, poezja i teologia trochę się jej mieszały. Kiedy więc chłopak nie potrafił wyrecytować Byrona, popełniał według niej świętokradztwo.

Na chwilę zapomniała o potwornościach i śmierci, za które Dimitri był odpowiedzialny. Stał się przed oczami mały chłopak.

- To okropne. Powinni ją zamknąć.

Chciał odciągnąć jej myśli od zemsty, lecz wcale nie chodziło mu o to, by zastąpiła ją litość. Była równie niebezpieczna jak zemsta.

- Dimitri też tak uważał. Kiedy opuszczał dom, by rozpocząć swój własny... interes, pozostawił za sobą płomień. Podpalił cały ten cholerny dom, w którym żyła jego matka.

- Zabił własną matkę?

- Ją i dwadzieścia czy trzydzieści innych osób. Nie miał

nic przeciwko nim, po prostu znaleźli się akurat.w tym miejscu.

- Zemsta, rozrywka lub korzyść - mruknęła, przypominając sobie, co dotychczas myślała o zabijaniu.

- Podsumowując: jeśli jest coś takiego jak dusza, to Dimitriego jest czarna i kipiąca.

- Jeśli jest coś takiego jak dusza - powtórzyła - to trzeba będzie jej pomóc dostać się do piekła.

Nie było mu wcale do śmiechu. Zbyt spokojnie to powiedziała. Patrzył na jej twarz, bladą i zmęczoną w świetle księżyca. Naprawdę tak myślała. Był odpowiedzialny za śmierć dwóch niewinnych osób. Teraz stał się odpowiedzialny za Whitney. Dla Douga Lorda to coś nowego.

- Słuchaj, złotko. - Przynął się do niej. - Pierwsza rzecz, którą musimy zrobić, to utrzymać się przy życiu. Druga to dotrzeć do skarbu. W ten sposób odpłacimy się Dimitriemu.

- To za mało.

- Jesteś nowa w tej branży. Uderzasz, kiedy możesz, potem się wycofujesz. To sposób na przetrwanie. - Lecz ona nie słuchała. Niechętnie podjął decyzję. - Może nadszedł czas, byś rzuciła okiem na papiery. - Nie musiał na nią patrzeć, by wiedzieć, że ją to zdziwiło. Wyczuł to, kiedy oparła się o niego ramieniem.

- No, no - powiedziała cicho. - Otwieraj szampana.

- Nie pyskuj, bo zmienię zdanie. - Usłyszał, że się śmieje, więc sięgnął do kieszeni. Z czcią popatrzył na kopertę. - To jest klucz do zagadki. Ten cholerny klucz. Dzięki niemu otworzę zamek, którego nigdy bym nie otworzył. - Wyciągnął dokumenty jeden po drugim i wyglądał. - Większość jest po francusku, jak ten list mruknął. - Lecz ktoś już sporo z tego przetłumaczył. - Zawahał się, a po chwili podał jej kartkę obłożoną w plastikową folię. - Spójrz na podpis.

Whitney przebiegła wzrokiem tekst.

- Mój Boże!

- Właśnie. Wygląda na to, że wysłała ten list na kilka dni przed uwięzieniem. Tu jest tłumaczenie.

Lecz Whitney już czytała oryginał pisany ręką królowej.

- *Leopold mnie zawiódł* - zaczęła.

- Leopold II, cesarz rzymski i brat Marii Antoniny.

Podniosła wzrok na Douga.

- Dobrze odrobiłeś swoją lekcję.

- Lubię wiedzieć wszystko na temat każdej roboty.

Jestem obkuty z rewolucji francuskiej. Maria bawiła się w politykę i walczyła o utrzymanie swojej pozycji. Nie udało jej się. Kiedy pisała ten list, wiedziała, że jest skończona.

Whitney kiwnęła głową i wróciła do listu.

- *On jest bardziej władcą niż bratem. Bez jego pomocy nie bardzo mam się do kogo zwrócić. Nie jestem w stanie opisać Ci, mój Drogi Sługo, jaki poniżający był nasz przymusowy powrót z Varennes. Król, mój mąż, przebrany za zwykłego służącego i ja - to zbyt zawstydzające. Aresztowano nas i wróciliśmy do Paryża jak kryminaliści, w asyście uzbrojonych żołnierzy. Towarzysząca nam cisza była jak śmierć. Chociaż żyliśmy, nasz orszak przypominał kondukt pogrzebowy. Zgromadzenie ogłosiło, że króla porwano, i dokonało zmiany konstytucji. To początek końca.*

Król miał nadzieję, że Leopold i król Prus będą interweniować. Przekazał swemu agentowi, Le Tonnelierowi, że byłoby to najlepsze wyjście. Wojna, Geraldzie, ugasiłaby płomień społecznych zamieszek. Zyrondyści dowiedli swej nieudolności i boją się zwolenników tego diabła Robespierre'a. Choć Austria wypowiedziała wojnę, nasze nadzieje się rozwiały. Klęski wojenne ostatniej wiosny dowiodły, że zyrondyści nie potrafią prowadzić wojny.

Mówi się o uwięzieniu Twego króla. Drżę o jego życie. Boję się, mój wierny Geraldzie, o życie nas wszystkich.

A teraz muszę błagać Cię o pomoc, licząc na Twą wierność i przyjaźń. Nie mogę uciec, więc muszę czekać i ufać. Błagam Cię, Geraldzie, odbierz to, co Ci przekaże mój posłaniec. Strzeż tego. Teraz, kiedy wszystko rozpada się w gruzy, muszę polegać na Twoim oddaniu i miłości. Zdradzano mnie wielokrotnie, ale czasami ze zdrady można wyciągnąć korzyści.

Powierzam Tobie małą cząstkę tego, co należy do mnie jako

królowej. Może będzie trzeba zapłacić tym za życie moich dzieci. Nawet gdyby bourgeois zwyciężyli, oni także upadną. Weź, co należy do mnie, Geraldzie Lebrun, i strzeż tego dla moich dzieci i ich dzieci. Przyjdzie czas, że ponownie zajmiemy nasze prawowite miejsce. Musisz czekać na tę chwilę.

Whitney czytała zdania pisane przez zawiedzioną kobietę, która intrygami i podstępem ściągnęła śmierć na swoją głowę. Jednak była kobietą, matką, królową.

- Pozostało jej zaledwie parę miesięcy życia - mruknęła. - Ciekawe, czy zdawała sobie z tego sprawę.

Nagle przyszło jej do głowy, że ten list powinien leżeć za szkłem w jednym z muzeów Smithsonian. O tym właśnie myślała lady Smythe-Wright. Oto dlaczego była tak nierozsądna i dała go wraz z resztą dokumentów Whitakerowi. A teraz oboje nie żyją.

- Doug, czy wiesz, jaką to ma wartość?

- Tego właśnie spróbujemy się dowiedzieć, złotko - mruknała.

- Myślisz tylko o pieniądzach. Mam na myśli wartość kulturalną, historyczną.

- Mam zamiar kupić całą łódź kultury.

- Wbrew powszechnemu mniemaniu nie można kupić kultury. Doug, to należy do muzeum.

- Kiedy dostanę skarb, przekażę każdą karteczkę. Przyda mi się odpis od podatku.

Whitney pokręciła głową i wzruszyła ramionami. Potem do tego wróć, postanowiła.

- Co jeszcze jest w tej kopercie?

- Fragmenty pamiętnika. Wygląda na to, że pisała go córka tego Geralda.

Czytał go w tłumaczeniu; tchnął wielkim smutkiem. Podał go Whitney bez słowa. Widniała na nim data 17 października 1793. Z dziewczęcych słów i liter wyzierał wielki strach i zamęt. Autorka widziała egzekucję swojej królowej.

Wyglądała blado, brzydko i staro. Wieźli ją na wozie jak jakąś kobietę lekkich obyczajów. Nie okazała strachu, wstępując na schody. Maman powiedziała, że zachowała się do końca jak królowa. Wokół zgromadziły się tłumy ludzi, a handlarze sprzedawali różne towary jak na jakimś targu. Panował okropny zaduch i wszędzie latały roje much. Widziałam innych ludzi wieszonych na wozach przez ulice jak owce na rzeź. Wśród nich była mademoiselle Fonrainbleu. Zeszłej zimy jadła ciastka z maman w salonie.

Kiedy ostrze spadło na szyję królowej, ludzie zaczęli wiwatować. Papa płakał. Nigdy nie widziałam, żeby płakał, i mogłam tylko stać i trzymać go za rękę. Patrzyłam, jak płacze, i zaczęłam się bać, bardziej nawet niż wtedy, kiedy zobaczyłam wozy i królową. Skoro papa płacze, to co się z nami stanie? Tej samej nocy wyjechaliśmy z Paryża. Myślę, że już nigdy go nie zobaczę ani mojego ślicznego pokoju, który wychodził na ogród. Piękny naszyjnik maman ze złota i szafirów został sprzedany. Papa powiedział nam, że wyruszamy w długą podróż i że musimy być dzielni.

Whitney odwróciła następną stronę, datowaną trzy miesiące później.

Byłam strasznie chora. Statek kołysze i trzęsie się, i cuchnie od nieczystości biedaków pod pokładem. Papa też chorował. Baliśmy się, że umrze i zostaniemy same. Maman modli się, a czasami kiedy on gorączkuje, siedzę przy nim i trzymam go za rękę. Wydaje się, że to było tak dawno, kiedy byliśmy szczęśliwi. Maman chudnie, a piękne włosy papy z każdym dniem siwieją coraz bardziej.

Kiedy papa leżał w łóżku, kazał mi przynieść małą drewnianą skrzynkę. Wyglądała zwyczajnie, jak jedna z tych, do których wiejskie dziewczęta chowają swoje świecidełka. Powiedział nam, że dała mu ją królowa, by się nią opiekował. Pewnego dnia wrócimy do Francji i przekazemy jej zawartość nowemu królowi w imieniu królowej. Byłam zmęczona i chora i chciałam się położyć, ale papa kazał mnie i mamie przysiąc, że dochowamy tajemnicy. Kiedy przysięgłyśmy, otworzył pudełko.

Widziałam królową w tych przedmiotach, kiedy miała włosy wysoko upięte, a twarz błyszczała jej radością. W tym zwykłym

pudełku szmaragdowy naszyjnik, który raz widziałam na jej szyi, wyglądał, jakby łapał światło świec i rzucał na inne klejnoty. Był tam rubinowy pierścion z brylantami i szmaragdowa bransoletka do kompletu z naszyjnikiem. Były jeszcze pojedyncze kamienie do oprawienia.

Te wspaniałości oślepły mi oczy. Zobaczyłam naszyjnik z brylantami, piękniejszy od całej reszty. Kamienie były ułożone rzędami i wydawały się żyć własnym życiem. Nigdy nie widziałam tak wielkich brylantów. Przypomniałam sobie, że mamam mówiła coś o skandalu związanym z kardynałem de Rohan i naszyjnikiem z brylantami. Papa powiedział mi, że kardynał został oszukany, że wmieszano w to królową i że naszyjnik zniknął. Zastanawiałam się, patrząc na pudełko, jak królowa zdołała go odnaleźć.

Whitney uniosła głowę, ręce jej drżały.

- Ten naszyjnik mógł zostać podzielony na części i sprzedany.

- Mógł - zgodził się Doug. - Ale kardynała wygnano, a hrabinę de La Motte pochwycono, osądzono i skazano. Uciekła do Anglii, ale nigdzie nie pojawiła się wzmianka o tym, że miała przy sobie naszyjnik.

- Rzeczywiście, nie. - Whitney przebiegła wzrokiem stronę. Już sam pamiętnik mógł wywołać u każdego kustosza muzeum wypieki na twarzy. Lecz powróćmy do skarbu. - Ten naszyjnik był jednym z katalizatorów rewolucji.

- Wówczas był wart niezlą sumkę. - Doug wręczył jej następną stronę. - Wiesz, ile może być wart dzisiaj?

Jest bezcenny, pomyślała Whitney, ale wiedziała, że on by tego nie zrozumiał. Następny dokument zawierał dokładny spis zawartości pudełka, przekazanego przez królową Geraldowi.

Klejnoty opisano i wyceniono. Tak jak obrazki w książce, Whitney uznała ten dokument za nieciekawych. Jedna z pozycji zwróciła jej uwagę: naszyjnik z brylantami wyceniony na ponad milion liwów. To Doug zrozumie, pomyślała, odłożyła papier na bok i wróciła do pamiętnika.

Minęło wiele miesięcy i Gerald z rodziną osiedlił się na

północno-wschodnim wybrzeżu Madagaskaru. Młoda dziewczyna opisywała długie, ponure dni.

Tęsknię za Francją, za Paryżem, za moim pokojem i ogrodami. Maman mówi, że nie wolno nam narzekać, i czasami chodzi ze mną na spacery wzdłuż wybrzeża. To są najprzyjemniejsze chwile: przyglądamy się ptakom i zbieramy muszelki. Maman wygląda wtedy na szczęśliwą, ale czasami patrzy na morze i wiem, że też tęskni za Paryżem.

Kiedy wiatry wieją od morza, przypływają statki. Wiadomości z domu są pełne śmierci. Panuje terror. Kupcy opowiadają o tysiącach aresztowanych i zgilotynowanych, powieszonych, a nawet spalonych. Opowiadają też o Komitecie Ocalenia Publicznego. Papa mówi, że to przez nich Paryż nie jest bezpieczny. Jeśli ktoś wymieni nazwisko Robespierre'a, milknie na zawsze. Tęsknię za Francją, lecz zaczynam rozumieć, że dom, który znałam, odszedł na zawsze.

Papa ciężko pracuje. Otworzył sklep i handluje z innymi osadnikami. Maman i ja zajmujemy się ogrodem, ale uprawiamy tylko warzywa. Dokuczają nam muchy. Nie mamy służby i musimy sami troszczyć się o siebie. Traktuję to jak przygodę, ale maman szybko się teraz męczy, bo będzie miała dziecko. Cieszę się na jego przyjście i zastanawiam się, czy kiedyś będę miała własne. Nocą sypjemy, na szczęście mamy trochę pieniędzy na dodatkowe świece. Papa robi kołyskę. Nie rozmawiamy o tym małym pudełku ukrytym pod podłogą w kuchni.

Whitney odłożyła na bok kartkę z pamiętnika.

- Ciekawe, ile ona miała lat.

- Piętnaście. - Wziął do ręki kolejny dokument owinięty w plastik. - To jej świadectwo urodzenia i metryka ślubu rodziców. I akty zgonu. Zmarła, kiedy miała szesnaście lat. - Podał ostatni dokument. - To tłumaczy wszystko.

- *Dla mojego Syna* - zaczęła i popatrzyła na Douga. - *Śpisz w kołysce, którą dla Ciebie zrobiłem, w małej, niebieskiej koszulce, uszytej przez Twoją matkę i siostrę. Obie odeszły, matka dając ci życie, a siostra na gorączkę, która rozwinęła się tak szybko,*

że nie było czasu na lekarza. Znalazłem pamiętnik Twojej siostry i przeczytałem go ze łzami w oczach. Pewnego dnia, kiedy już będziesz starszy, będzie należał do Ciebie. Zrobiłem, co uznałem za słuszne dla mojego kraju, królowej, mojej rodziny. Ocaliłem ich przed terrorem, aby stracić w tym dziwnym, obcym miejscu.

Nie mam już ochoty żyć dalej. Siostry zaopiekują się Tobą lepiej ode mnie. Mogę Ci jedynie dać te kawałki Twojej rodziny, słowa pisane przez Twoją siostrę, miłość Twojej matki. Przekazuję Ci również zobowiązanie, które wzięłem na siebie. List i instrukcje, aby przekazać Ci paczkę, kiedy dorośniesz, zostawiam siostronom. Dziedziczysz moje zobowiązanie i przysięgę złożoną królowej. Choć zostaną pochowane w grobie razem ze mną, podejmiesz je na nowo i będziesz walczył za sprawę. Kiedy nadejdzie czas, przyjdź na miejsce, gdzie spoczywam, i znajdź Marię. Proszę Cię, nie zawieź, tak jak ja zawiodłem.

- On się zabił. - Whitney opuściła list z westchnieniem. - Stracił dom, rodzinę i serce. - Miała ich przed oczami, francuskich arystokratów, wygnanych przez polityków i społeczne zamieszki, którzy ugrzęźli w dziwnym kraju zmuszeni stawić czoło nowym warunkom. I Gerald, który żył i umarł z przyrzeczeniem danym królowej. - Co się dalej stało?

- O ile mogę się zorientować, dziecko oddano pod opiekę klasztoru. - Pogrzebał w papierach. - Jako adoptowany syn wyemigrował z nową rodziną do Anglii. Wygląda na to, że papiery przeleżały w zapomnieniu aż do momentu, kiedy lady Smythe-Wright je wygrzebała.

- A co ze skrzynką?

- Pochowana - powiedział, patrząc w dal. - Na cmentarzu w Diego-Suarez. Musimy jedynie ją odnaleźć.

- A potem?

- Potem będziemy żyć w dostatku.

Whitney przeniosła wzrok na papiery leżące na jej kolanach. Ileż mieściło się w nich tragicznych losów, marzeń, nadziei i oddania.

- I to wszystko?

- Czy to nie dość?

- Ten człowiek złożył obietnicę królowej.
- A ona nie żyje - zauważył Doug. - Francja jest republiką. Nie sądzę, by ktokolwiek udzielił nam poparcia, gdybyśmy postanowili wykorzystać skarb, by przywrócić monarchię.

Chciała coś powiedzieć, lecz poczuła, że jest zbyt zmęczona, by kontynuować dyskusję. Potrzebowała czasu, by to wszystko przemyśleć i oszacować według własnych kryteriów. Najpierw jednak muszą znaleźć skarb. Doug powiedział, że to jest współzawodnictwo. Kiedy zwyciężą, porozmawia z nim o moralnych aspektach sprawy.

- Więc myślisz, że potrafisz znaleźć cmentarz, przesukać go i wykopać skarb królowej?

- Otóż to. - Obdarzył ją pewnym siebie uśmiechem.

- Ktoś mógł go już odnaleźć.

- Eee. - Pokręcił głową - Jednym z klejnotów, opisanych przez dziewczynę, jest pierścień z rubinem. W tej książce z biblioteki jest cały rozdział na ten temat. Pierścień był przekazywany na mocy królewskiej sukcesji przez sto lat, dopóki nie zaginął w czasie rewolucji francuskiej. Gdyby pojawił się na czarnym rynku lub gdzie indziej, wiedziałbym o tym. On nadal tam jest, Whitney, i czeka na nas.

- To ma pozory prawdopodobieństwa.

- Do diabła z prawdopodobieństwem, mam przecież papiery.

- My mamy papiery - poprawiła, opierając się o drzewo. - Teraz pozostaje nam tylko znaleźć cmentarz, który rozrósł się przez dwa stulecia. - Zamknęła oczy i natychmiast zapadła w sen.

Obudził ją głód, dotkliwy, wilczy głód, jakiego nigdy nie doświadczyła. Z jękiem przewróciła się na drugi bok i wyładowała nosem przy nosie Douga.

- Dzień dobry.

Przesunęła językiem po zębach.

- Oddałabym wszystko za rogalika.

- A ja za omlet po meksykańsku. - Zamknął oczy, przywołując w myślach jego obraz. - Usmażony na złoty kolor, przyprawiony pieprzem i cebulą.

Whitney rozkoszowała się nim w wyobraźni, lecz nie uspokoiło to jej żołądka.

- Mamy jednego zgniłego banana.

- Wokół nas jest pełno jedzenia. - Przetarł twarz ręką i usiadł. Słońce już wzeszło i przedarło się przez mgłę. Spojrzał w górę na wierzchołki drzew, gdzie świergotały ukryte wśród liści ptaki. - Tu jest cała masa owoców. Nie wiem, jak smakuje mięso lemura, ale...

- Nie.

Uśmiechnął się i wstał.

- Tak tylko pomyślałem. Co powiesz na lekki posiłek? Sałatka ze świeżych owoców?

- Brzmi wspaniale. - Kiedy się przeciągała, z ramion zsunęła jej się lamba. Dotknęła jej i pomyślała, że Doug musiał przykryć ją w nocy, kiedy spała. Po tym wszystkim, co przeżyli i co widzieli, nadal potrafił ją zadziwić.

Jak gdyby to był najdelikatniejszy jedwab, złożyła lambę i schowała do plecaka.

- Ty zrywaj owoce, a ja zajmę się orzechami kokosowymi. Whitney sięgnęła do gałęzi.

- Te wyglądają jak skarłowacięte banany.

- To są papaje.

Zerwała trzy i skrzywiła się na ich widok.

- Cóż bym dała za jedno małe jabłuszko dla odmiany.

- Zabierz ją na śniadanie, a już zaczyna narzekać.

- Przynajmniej mógłbyś mi kupić bloody mary - zaczęła i odwróciła się, patrząc, jak wdrapuje się na drzewo palmowe. - Douglas - powiedziała, podchodząc ostrożnie bliżej - czy wiesz, co robisz?

- Wchodzę na to cholerne drzewo - burknął, unosząc nogę.

- Mam nadzieję, że nie planujesz żadnego upadku i skręcenia karku. Nie cierpię podróżować samotnie.

- Za nic na świecie - szepnął do siebie. - To tak jak wspinąć się po gzymsie na drugie piętro.

- Budynek z cegieł nie zafunduje ci drzazgi w czułych miejscach.

Wyciągnął rękę i zerwał kokos.

- Odsuń się, złotko, bo jeszcze mógłbym w ciebie trafić.

Uśmiechnęła się i odeszła na bok. Jeden, potem drugi i trzeci orzech wylądował u jej stóp. Wzięła go do ręki i trzasnęła nim o pień drzewa.

- Wspaniale - zwróciła się do Douga, kiedy zeskoczył na ziemię. - Chciałabym mieć okazję obserwowania cię przy pracy.

Wziął orzech, usiadł na ziemi i wyjął scyzoryk, by wyciąć miąższ. To przypomniało jej Jacques'a. Dotknęła muszelki, którą nadal nosiła na szyi, i odpędziła przykre myśli.

- Wiesz, większość ludzi na twoim miejscu nie byłaby taka... tolerancyjna w stosunku do kogoś mojej profesji - rzekł Doug.

- Jestem wielką zwolenniczką twórczej inicjatywy. - Usiadła obok niego. - To również kwestia wzajemnej kontroli i równowagi.

- Kontroli i równowagi?

- Powiedzmy, że ukradniesz mi kolczyki ze szmaragdami.

- Wezmę to pod uwagę.

- Potraktujmy to hipotetycznie. - Potrząsnęła głową, odgarniając włosy z twarzy, i pomyślała, że powinna wyjąć szczotkę. Lecz najpierw jedzenie. - A więc towarzystwo ubezpieczeniowe napycha sobie kieszenie gotówką, bo płacę im olbrzymie sumy i nigdy nie noszę tych szmaragdów, bo są zbyt wyzywające. Ty sprzedajesz je paserowi. Ktoś, komu się podobają, kupuje je, a ja dostaję forszę i kupuję sobie coś bardziej praktycznego. W ogólnym rozrachunku wszyscy są zadowoleni. Można by z tego zrobić publiczną usługę.

Włożył do ust kawałek kokosa.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

- Oczywiście towarzystwo ubezpieczeniowe nie będzie tym zachwycone - dodała. - I niektórym mogłoby się nie spodobać, że stracili wyjątkowy klejnot czy rodzinne srebro, nawet gdyby nikt ich nie używał. Nie zawsze spełniasz dobry uczynek, włamując się do czyjegoś domu.

- Myślę, że nie.

- A poza tym czuję większy szacunek dla prostej, uczciwej kradzieży niż do komputerowych zbrodni i oszustw w białych rękawiczkach. Tak jak ci szachrajscy maklerzy giełdowi - ciągnęła. - Ogłupiają jakąś starą damę z kontem bankowym i dotąd ciągną korzyści, dopóki nie oskubią jej ze wszystkiego. To nie to samo, co sięgnąć do czyjejs kieszeni czy ściągnąć brylant Sydneya.

- Nie mam ochoty o nim rozmawiać - mruknął. - Z jednej strony można się z tego utrzymać, lecz z drugiej... - Przerwała, by ugryźć owoc. - Nie sądzę, żeby kradzież miała wielkie możliwości. Jako ciekawe hobby tak, lecz jako kariera ma pewne ograniczenia.

- Tak, myślałem o wycofaniu się... kiedy będę mógł to zrobić w wielkim stylu.

- Kiedy wrócisz do Stanów, co zrobisz najpierw?

- Kupię sobie jedwabną koszulę i każę wyszyć moje inicjały na mankietach. Potem kupię włoski garnitur, by zadawać szyku, i gładkie małe lamborghini jako uzupełnienie całości. - Przekroił mango na pół, wytarł scyzoryk o spodnie i podał jej kawałek. - A ty co zrobisz?

- Najem się do syta - powiedziała Whitney z pełnymi ustami. - Mam zamiar pobić rekord w jedzeniu. Zacznę od hamburgera z serem i cebulą, następnie przyjdzie kolej na homary, lekko obgotowane i zalane stopionym masłem.

- Jak na kogoś z takim apetytem jesteś strasznie chuda. Przełknęła owoc.

- Ten apetyt wynika z braku zajęcia - odpowiedziała. - A poza tym jestem szczupła, nie chuda. Mick Jagger jest chudy.

Uśmiechnął się i włożył do ust następny kawałek owocu.

- Zapominasz, złotko, że dostałem przywileju oglądania cię nago. Twoja figura nie przypomina klepsydry.

Uniosła brew i zlizwała sok z palców.

- Mam delikatną budowę - powiedziała, a kiedy nadal się uśmiechał, zlustrowała go wzrokiem od góry do dołu. - Ty również powinieneś pamiętać, że ja też miałam przyjem-

ność oglądania cię rozebranego. Przydałoby ci się trochę mięśni, Douglas.

- Zwykle mięśnie przeszkadzają. Wolę być szczupły.
- Z pewnością jesteś.

Zerknął na nią, odrzucając na bok pustą skorupę orzecha.

- Podobają ci się bicepsy i mięśnie trójgłowe wylewające się z podkoszulka bez rękawów?

- Umięśnione ciało jest bardzo pociągające - powiedziała lekko. - Taki mężczyzna nie musi strzelać oczami w stronę atrakcyjnej kobiety, która postanowiła nosić obcisłe sweterki, by ukryć swój mały rozumek.

- Domyślam się, że nie lubisz, aby strzelano do ciebie oczami.

- Oczywiście, że nie. Wolę delikatność od szarpaniny.
- Niezła rzecz.
- Nie ma powodu, byś mnie obrażał.

- Ja tylko się z tobą zgadzam. - Zbyt dobrze pamiętał, jak płakała w jego ramionach i jaki czuł się wtedy bezradny. Teraz zapragnął dotknąć jej znowu, patrzeć na jej uśmiech, czuć tę łagodność. - W każdym razie - powiedział, usiłując otrząsnąć się z tego marzenia - może jesteś chuda, ale podoba mi się twoja twarz.

Uśmiechnęła się tym swoim chłodnym, pełnym rezerwy uśmiechem, który uważał za szalenie pociągający.

- Naprawdę, a co konkretnie?

- Twoja skóra. - Wiedziony impulsem wyciągnął rękę i przesunął palcami wzdłuż jej policzka. - Raz natknąłem się na taką alabastrową kameę. Nie była duża - przypomniał sobie, sunąc palcem po jej twarzy. - I warta najwyżej kilka setek, ale była to najbardziej elegancka rzecz, jaką kiedykolwiek ukradłem. - Uśmiechnął się i zanurzył palce w jej włosach. - Aż do chwili, kiedy spotkałem ciebie.

Nie poruszyła się, lecz cały czas patrzyła mu w oczy, kiedy jego oddech musnął jej twarz.

- Czy to znaczy, że mnie też ukradłeś, Douglas?
- Chyba mogłabyś spojrzeć na to w ten sposób, prawda? -

Wiedział, że popełnia błąd. Nawet wtedy, kiedy dotknął jej ust, wiedział, że popełnia wielki błąd, lecz nie po raz pierwszy w życiu. - Odkąd to zrobiłem - mruknął - nie bardzo wiedziałem, co z tobą począć.

- Nie jestem alabastrową kameą - mruknęła, otaczając ramionami jego szyję. - Czy brylantem Sydneya albo workiem złota.

- A ja nie jestem członkiem klubu i nie mam willi na Martynice.

- Wygląda na to... - przesunęła językiem wzdłuż linii jego ust - że niewiele nas łączy.

- Nic nas nie łączy - poprawił, sunąc rękami wzdłuż jej pleców. - Ludzie tacy jak ty i ja mogą ofiarować sobie jedynie kłopoty

- Taaa. - Uśmiechnęła się, a jej oczy okolone długimi zmysłowymi rzęsami pociemniały. - Kiedy więc zaczynamy?

- Już zaczęliśmy.

Gdy ich wargi się spotkały, nie było już dąbny i złodzieja. Pożądanie likwiduje wszelkie różnice. Osunęli się na miękkie leśne poszycie.

Nie planowała tego, mimo to wcale nie żałowała. Pociąg, jaki do niego czuła od chwili, kiedy zdjął słoneczne okulary i spojrzał na nią jasnymi przenikliwymi oczami, zmierzał w kierunku czegoś głębszego, śmielszego, trudnego do zamknięcia w jakichkolwiek ramach. Poruszył w niej jakąś strunę, a teraz namiętnością wyzwolił coś więcej.

Ich usta były równie gorące i spragnione. Już tego doświadczała. Puls stał się szybszy - to również nie było nic nowego. Jej ciało prężyło się i wyginało w łuk pod dotykiem męskich rąk. Wszystko to już odczuwała. Lecz tym razem, po raz pierwszy i jedyny, pozwoliła, aby umysł przyjmował i doświadczał miłości w pełnym tego słowa znaczeniu: jako wszechogarniającej, wyzwalającej przyjemności.

Choć jej największy obrońca - umysł - poddał się, nie była bierna. Pragnęła go równie mocno jak on jej, z prymitywną, obezwładniającą, żywiołową siłą. Kiedy jak szaleńcy pozbywali się ubrań, ich dłonie prześcigały się nawzajem.

Ciało przy ciele, rozpalone, gładkie. Usta przy ustach, otwarte, gorące, nienasycone. Przewracali się po miękkim podłożu wyzbyci wszelkich hamulców, z namiętnością o wielkiej sile i natężeniu.

Nie mogła się nim nasycić, bez końca pragnęła go czuć, dotykać, jak nigdy dotąd żadnego mężczyzny. W tym momencie inni przestali istnieć. Wypełnił sobą jej serce i myśli, grożąc, że zostanie i nie będzie już miejsca dla nikogo innego. Zrozumiała to, zadrżała i zaakceptowała.

Pragnął kobiet już nieraz, desperacko. W każdym razie tak sądził. Lecz aż do tej chwili nie rozumiał w pełni, co znaczy desperacja. Aż do tej chwili nie wiedział, co znaczy pragnąć. Wniknęła do jego wnętrza każdym porę. Kobiety były od tego, by sprawiać przyjemność, i po to, by im tę przyjemność dawać, lecz nie wolno im było okazywać uczucia. Uczucie oznaczało komplikacje, na które jako człowiek ciągle uciekający nie mógł sobie pozwolić. Lecz jej to nie powstrzymało.

Mimo że palce Douga wędrowały po jej ciele, zrećnie i pewnie, to ona nimi kierowała. Wiedział, że mężczyzna staje się bezbronny w ramionach kobiety - matki, żony czy kochanki - lecz w tym momencie najważniejsza była namiętność. Whitney zagarniała go w siebie, niebezpiecznie ciepła, niebezpiecznie miękka, a on godził się na to, przeklinając konsekwencje.

Naga, zwinna, rozkoszna, poruszała się pod nim, owijała wokół niego. Zanurzając twarz w jej włosach, Doug słyszał, jak drzewo się za nim zamykają i cicho opada rygiel. Gwizdał na to.

Niespiesznie okrywał pocałunkami jej czoło, nos, usta, brodę. Czuł, jak odpowiada uśmiechem na jego uśmiech. Eleganckie, wypielegnowane palce przesuwają się wzdłuż jego bioder. Oboje mieli otwarte oczy, kiedy w nią wszedł.

Zagłębił się w jej wnętrzu i jęknął, tak rozkoszny żar i miękkość go ogarnęły. Smugi światła i cienia przesuwają się po jej twarzy, oczy miała półprzymknięte, kiedy poruszała się z nim w jednym rytmie.

Napięcie rosło, potęgując rozkosz. Jego myśli zaczęły oszalały galop i nagle eksplodowały. W ostatnim przebłysku świadomości przemknęło mu przez głowę, że chyba odnalazł swoją tęczę.

Długo leżeli bez słowa. Oboje mieli już pewne doświadczenia za sobą. Teraz zdali sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie kochali. Oboje zastanawiali się, co z tym zrobić.

Delikatnie przesunęła ręką wzdłuż jego pleców, a on wchłaniał w nozdrza zapach jej włosów.

- Myślę, że wiedzieliśmy, że to się zdarzy - powiedziała po długiej chwili.

- Chyba tak.

Popatrzyła na wierzchołki drzew i prześwitujący przez nie czysty błękit.

- Co teraz?

Niezbyt praktycznie było wykraczać poza terażniejszość. Jeśli jej pytanie dotyczyło przyszłości, Doug uznał, że najlepiej będzie je obejść. Pocałował ją w ramię.

- Dotrzemy do najbliższego miasta, wyżebrzemy, pożyczymy lub ukradniemy jakiś środek transportu i ruszymy do Diego-Suarez.

Whitney zamknęła oczy i po chwili je otworzyła. W końcu zdawała sobie sprawę z tego, co robi, trzeba więc brnąć dalej.

- No tak, skarb.

- Zdobędziemy go, Whitney Teraz to już tylko kwestia dni.

- A potem?

Znowu ta przyszłość. Oparł się na łokciach i popatrzył na nią

- Wszystko, co zechcesz - powiedział, bo nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o tym, jaka jest piękna. - Martynika, Zanzibar. Kupimy sobie farmę w Irlandii i będziemy hodować owce.

Roześmiała się, bo wydało się to takie proste.

- Z równym sukcesem mogliśmy uprawiać pszenicę w Nebrasce.

- Masz rację. Powinniśmy raczej otworzyć amerykańską restaurację na Madagaskarze. Ja będę gotować, a ty zajmiesz się rachunkami.

Nagle usiadł, pociągając ją za sobą. Aż do tego momentu nie zdawał sobie sprawy, że właściwie przestał być sam. Od tej chwili koniec z samotnością, która zawsze wydawała mu się najlepszym wyjściem. Teraz pragnął się z kimś dzielić, do kogoś należeć, mieć kogoś przy sobie. Nie było to mądre, ale było.

- Zdobędziemy ten skarb, Whitney. Kiedy tego dokonamy, nikt już nas nie zatrzyma. Wszystko będzie nasze, czegokolwiek zapagniemy. Będę mógł obsypać ci włosy brylantami.

Zanurzył w nich rękę, zapominając na moment, że gdyby zechciała, mogłaby mieć całą górę tych kamyków.

Poczuła, że ogarnia ją żal i coś na kształt smutku. Nie był w stanie wyjść poza ten cholerny worek złota. Ani teraz, ani kiedykolwiek. Uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku. Przecież wiedziała o tym od samego początku.

- Znajdziemy go.

- Znajdziemy - powtórzył, przytulając ją do siebie. - A potem będzie należał do nas.

Szli cały dzień aż do zmierzchu. Żołądek Whitney zaczął dopominać się o swoje prawa, a stopy paliły. Biorąc przykład z Douga, skoncentrowała myśli na Diego-Suarez. To zmusiło jej stopy do marszu i powstrzymało umysł od zadawania pytań. Przecież zaszli już tak daleko. Bez względu na to, co się zdarzyło lub zdarzy, znajdą ten skarb. Później będzie czas na myślenie, pytania, analizowanie. Pokręciła głową, kiedy Doug zaproponował jej kolejny owoc mango.

- Mój organizm się zbuntuje, jeśli zaaplikuję mu jeszcze jeden owoc. - Uspokajającym gestem położyła sobie rękę na brzuchu. - Myślałam, że McDonald ma wszędzie swoje filie.

Czy zdajesz sobie sprawę, że ani razu nie widzieliśmy jego znaku?

- Zapomnij o szybkich daniach. Kiedy załatwimy naszą sprawę, przyrządzę ci taki obiad, że poczujesz się jak w niebie.

- Zadowolilibym się hot dogiem z dodatkami.

- Jak na kogoś, kto zachowuje się jak księżniczka, masz żołądek wieśniaka.

- Nawet służący jedzą od czasu do czasu udziec barani.

- Słuchaj, będziemy... - zaczął i nagle złapał ją za rękę i pociągnął w krzaki.

- O co chodzi?

- Światło przed nami, widzisz? Tam.

Ostrożnie spojrzała w kierunku wyciągniętego ramienia. Zobaczyła coś nikłego i białego, połyskującego w zapadającym mroku wśród gęstego listowia. Automatycznie zniżyła głos do szeptu.

- Remo?

- Nie wiem, możliwe. - Umilkł, rozpatrując w myślach pół tuzina pomysłów. - Podejźmy tam ostrożnie.

Dotarcie do źródła światła zajęło im piętnaście minut.

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Zobaczyli chatę, która wyglądała na mały sklep lub bar. Ómy wielkie jak dłoń uderzały o szybę. Nieopodal stał jeep.

- Proś, a zostanie ci dane - odezwał się szeptem Doug. - Rzucimy na to okiem. - Podkraść się do okna i zajrzyj. Po chwili uśmiech wypłynął mu na twarz.

W środku, przy stole, nad szklanką piwa, siedział Remo w poplamionej koszuli. Naprzeciw niego Barns, łysy jak kret, szczyrzył zęby w bezmyślnym uśmiechu.

- Proszę, proszę. - Odetchnął z ulgą. - To nasz szczęśliwy dzień.

- Co oni tu robią?

- Biegają, w kółko. Remo wygląda, jakby marzył o goleniu i krzepkiej norweskiej masażystce. - Doug dostrzegł jeszcze trzech innych, lecz wyraźnie trzymali się od Amerykanów z daleka. Zobaczył również dwa talerze gorącej zupy,

kanapkę i coś, co wyglądało jak torebka prażynek. Ślina napłynęła mu do ust. - Fatalnie, że nie możemy zamówić czegoś na drogę.

Whitney również dostrzegła jedzenie. Ledwo powstrzymała się, by nie przycisnąć nosa do szyby.

- Czy nie moglibyśmy poczekać, dopóki nie odjadą, a potem wejść i coś zjeść?

- Kiedy oni odjadą, odjedzie i jeep. No dobra, złotko, staniesz znowu na czatach. Tym razem spraw się lepiej.

- Mówiłam ci, że nie mogłam wtedy gwizdnąć, bo byłam zajęta ratowaniem życia.

- Oboje postaramy się uratować życie i zaopatrzyć w dwie pary kół. Do roboty.

Szybko okrążył chatę. Dając sygnały rękami i szeptem, ustawił Whitney przy frontowym oknie, a sam wpełzł do wnętrza jeepa i zabrał się do roboty.

W tym momencie Whitney dostrzegła z przerażeniem, że Remo wstaje i rusza do wyjścia. Z szeroko otwartymi oczami obejrzała się w stronę jeepa. Rozpłaszczony na podłodze Doug był niewidoczny. Zacisnęła zęby i przywarła plecami do ściany, bo Remo przeszedł przed oknem.

- Pospiesz się - rzuciła szeptem. - On się niecierpliwi.

- Nie popędzaj mnie - mruknął, uwalniając druty. - Te rzeczy wymagają skupienia.

Zajrzała do środka w chwili, gdy Remo poderwał Barnsa na nogi.

- Lepiej pogoń te swoje delikatne paluszki, Douglas. Oni zbierają się do wyjścia.

Klnąc, wytarł pot z palców. Kolejna minuta. Potrzebna mu była jeszcze jedna.

- Wskakuj, złotko, prawie gotowe. - Kiedy nie odpowiedziała, popatrzył w stronę chaty i zobaczył, że dziewczyna zniknęła. - Cholera. - Walcząc z przewodami, jednocześnie szukał jej wzrokiem. - Whitney! Niech to diabli, nie ma czasu na spacer!

Przeklinając, lecz nie przerywając pracy, ponownie omiół wzrokiem okolicę. Nic.

Podskoczył na dźwięk kwików, warknięć i wściekłych pomruków, kiedy silnik obudził się do życia. Już wyskakiwał z jeepa z bronią w rękę, kiedy zza węgła chaty wybiegła Whitney i wskoczyła do środka.

- Naciskaj gaz, złotko - rzuciła. - Albo będziemy mieli towarzystwo.

Jeep ruszył z rykiem wąską, piaszczystą ścieżką. Zwisająca nisko gałąź uderzyła w przednią szybę z ogłuszającym trzaskiem. Obejrzał się i zobaczył, że Remo wybiega zza węgła chaty. Przycisnął Whitney do siedzenia i dodał gazu w chwili, gdy zabrzmiał pierwszy z trzech strzałów.

- Gdzieś ty była? - zapytał, kiedy znajdowali się już poza obrębem światła padającego z chaty. - Cholernie dobrze obserwujesz, kiedy ja prawie wyłażę ze skóry, usiłując cię znaleźć.

- To się nazywa wdzięczność. - Odrzuciła w tył włosy, prostując się na siedzeniu. - Gdybym nie odwróciła ich uwagi, nigdy byś na czas nie uruchomił jeepa.

Zwolnił na tyle, by panować nad kierownicą samochodu i nie roztrzaskać go o drzewo.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy zobaczyłam, że Remo wychodzi, pomyślałam, że muszę odwrócić ich uwagę, tak jak na filmach.

- Wspaniale. - Wziął zakręt, uderzył o kamień i jechał dalej.

- Zaszłam więc od tyłu i zapędziłam ich do chlewa. - Odrzuciła włosy z twarzy i uśmiechnęła się zadowolona z siebie. - Było to nawet zabawne, lecz niestety, nie mogłam się temu przyjrzeć dokładniej. Chyba wyszło wspaniale.

- Miałaś szczęście, że nie odstrzelili ci głowy - mruknął.

- Bez przerwy ratuję twoją z opałów, a ty jeszcze masz pretensje - odparowała. - Typowy mężczyzna. Nie wiem, dlaczego... - Urwała i pociągnęła nosem. - Co to za zapach?

- Jaki zapach?

- No ten... - To nie był zapach trawy, wilgoci czy zwierząt, do których już się przyzwyczaili. Znowu pociągnęła nosem, potem odwróciła się i ukłękła na siedzeniu. - Pach-

nie jak... - Przechyliła się przez oparcie, a kiedy Doug spoj-
rzył w jej stronę, zobaczył tylko szczupły, zgrabny tyłeczek. -
Kurczak! - Wyprostowała się z triumfem, trzymając w rękę
udko kurczęcia. - To pieczony kurczak - powtórzyła i od-
gryzła ogromny kęs. - Tam jest cały kurczak na zimno i stos
różnych konserw. Oliwki - zameldowała po chwili. - Wiel-
kie, grube oliwki greckie. Gdzie jest otwieracz do konserw?

Kiedy grzebała w bagażniku, Doug wyrwał jej udko z ręki.

- Dimitri lubi dobre jedzenie - powiedział, odgryzając
potężny kęs. Mógłby przysiąc, że czuje, jak spływa mu do
żołądka. - Remo był na tyle sprytny, by zabrać ze sobą całą
spiżarnię.

- Chyba tak. - Z błyskiem w oczach klapnęła z powrotem
na siedzenie. - Kawior. - Podniosła małą puszkę. - Jest też
butelka pouilly-fuisse rocznik siedemdziesiąty dziewiąty.

- Sól też?

- Oczywiście.

Uśmiechnął się i oddał jej do połowy zjedzone udko.

- Wygląda, złotko, że podróż do Diego-Suarez odbędzie-
my w wielkim stylu.

Whitney odkorkowała butelkę wina.

- Ja nigdy nie podróżuję inaczej - powiedziała, cedząc
słowa.

Kochali się w jeepie jak para lekkomyślnych nastolatków, zmęczonych i upojonych winem. Księżyc świecił jasno, wokół nich trwała spokojna noc. Brzmiała muzyka w wykonaniu połączonych chórów nocnych ptaków, owadów i żab. Ukryli samochód głęboko w zaroślach i upajali się kawio-rem i sobą, a otaczający ich las śpiewał. Whitney chichotała, kiedy zmagali się ze sobą, chcąc mieć więcej siebie nawzajem, na małym, niewygodnym przednim siedzeniu jeepa.

Na wpół rozebrana, z lekkim umysłem i zaspokojonym głodem, położyła się na Dougu i uśmiechnęła.

- Ostatni raz byłam na takiej randce, kiedy miałam szesnaście lat.

- Taaa? - Przesunął ręką wzdłuż jej uda aż do biodra. Oczy jej pociemniały i zamknęły się z mieszaniną znużenia, upojenia winem i pożądania. Postanowił, że musi te oczy jeszcze raz zobaczyć w jakimś przytulnym hotelu w innej części świata. - Więc facet mógł cię mieć na tylnym siedzeniu samochodu za butelkę wina i kawior?

- Ściśle mówiąc, były to krakersy i piwo. - Oblizła resztki kawioru z palca. - I skończyło się na tym, że go wyrznęłam w brzuch.

- Niezły z ciebie gagatek, Whitney.

Wypiła ostatnie krople wina z butelki. Las wokół nich rozbrzmiewał brzęczeniem owadów.

- Jestem i zawsze byłam wybredna.

- Wybredna, co? - Przesunął się tak, że znalazła się

obok niego, i oparł plecami o drzwi jeepa. - Wobec tego co tu robisz ze mną?

To samo pytanie sama sobie zadawała, a prostota odpowiedzi zaniepokoiła ją. Bo chciała być. Przez chwilę milczała z głową opartą na jego ramieniu. Było jej tak dobrze, i choć to głupota - bezpiecznie.

- Myślę, że uległam twemu urokowi.

- Wszystkie to robią.

Uśmiechnęła się i ugryzła go niezbyt delikatnie w dolną wargę.

- Hej!

Kiedy wybuchnęła śmiechem, unieruchomił jej ręce w żelaznym uścisku.

- Więc to tak, gramy ostro?

- Nie przestraszysz mnie, Lord.

- Nie? - Jedną ręką unieruchomił jej ręce w nadgarstkach, a drugą wykręcił szyję. Nawet nie mrugnęła. - Może byłem w stosunku do ciebie zbyt delikatny?

- No, dalej - prowokowała go. - Pokaż tę swoją najgorszą stronę.

Spojrzała na niego z chłodnym uśmiechem na ustach. Oczy jej pociemniały i stały się senne. Doug zrobił to, czego unikał przez całe życie, przed czym uciekał szybciej niż przed małomiasteczkowymi szeryfami i glinami z wielkich miast. Zakochał się.

- Chryste, jakaś ty piękna.

Usłyszała w jego głosie nową nutę. Zanim była w stanie się nad tym zastanowić, jak i nad wyrazem jego oczu, poczuła jego usta na wargach. Ogarnęła ich fala pożądania.

Było tak jak za pierwszym razem. Wcale się tego nie spodziewał. Doznania i pragnienia przepływały przez jego ciało z równą intensywnością i siłą. Czuł się zupełnie bezradny.

Pod jego rękami skóra Whitney zdawała się płonąć. Pod dotykiem jego warg usta nabierały mocy i wyrazistości. Niemoc przyprawiająca o zawrót głowy zamieniała się w przyprawiającą o zawrót głowy potężną siłę. Z nią był w stanie wszystkiego dokonać i wszystko zdobyć.

Noc była parna, powietrze wilgotne i ciężkie od zapachu przesiąkniętych upałem kwiatów. Nocne owady pocierały swe skrzydełka i grały. Pragnął oświetlić ją światłem świec i ułożyć na miękkim, chłodnym puchowym łożu z jedwabnymi poduszkami. Po raz pierwszy chciał dawać, co było czymś nowym dla kogoś, kto mimo rozrzutności zawsze najpierw brał.

Miała cudownie delikatne ciało. Urzekało go jak żadne dotąd.

Wszystkie jej zagłębienia i wypukłości były niezwykle subtelne i eleganckie. Skóra była tak miękka, jakby codziennie ją pieszczono. Pomyślał, że nadejdzie jeszcze taki czas, kiedy dostąpi luksusu poznania każdej cząsteczki jej ciała, wolno, dokładnie i bez reszty.

Coś się w nim zmieniło. Nie był mniej namiętny, ale czuła, że jest coś jeszcze...

Jej zmysły płątały się, przenikały nawzajem, co sprawiało, że doznawała cudownych wprost wrażeń. Wszystko, co odczuwała, działo się za jego pośrednictwem. Dotyk palców, pieszczoty warg. Smakowała, lecz to jego smak ją wypełniał, gorący, męski, ekscytujący. Słyszała szeptane przez niego słowa i swoje ciche odpowiedzi. Wchłaniała jego zapach, intensywniejszy od piżma, bardziej odurzający niż ciepłarnia, która ich otaczała. Do tej chwili nawet sobie nie wyobrażała, że coś takiego istnieje.

Otworzyła się, by go przyjąć, a on wypełnił ją całą. Stopili się w jedno. Ruchy ich ciał zgrały się w jedno, serca biły jednym rytmem. Przekroczyli tę niewidzialną granicę, której poszukują wszyscy kochankowie.

Potem zapadli w lekki, krótki sen. Poddali się mu z całą zachłannością wtuleni w siebie na siedzeniu jeeпа. Księżyc świecił teraz niżej. Doug obserwował go przez chwilę, a potem obudził Whitney.

- Musimy ruszać.

Remo mógł nadal zmagać się z transportem, lecz równie dobrze mógł być tuż za nimi. Tak czy siak nie będzie zadowolony.

Whitney westchnęła i przeciągnęła się.

- Jak daleko jeszcze?
- Nie wiem, sto, może sto dwadzieścia mil.
- Dobra. - Ziewając, zaczęła się ubierać. - Ja poprowadzę.
Prychnął, wciągając džinsy.
- Jeszcze by tego brakowało. Już raz prowadziłaś, pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. - Po krótkich oględzinach Whitney stwierdziła, że całe ubranie ma wymięte. Zastanawiała się, czy będzie okazja, by je oddać do pralni. - O ile mnie pamięć nie myli, to ocaliłam ci wtedy życie.

- Ocaliłaś? - Odwrócił się i zobaczył, jak wyciąga szczotkę. - Omal nas obojga nie zabiłaś.

Przejechała szczotką po włosach.

- O, bardzo przepraszam. Dzięki moim wspaniałym umiejętnościom i manewrom nie tylko ocaliłam twój tyłek, ale powstrzymałam Rema i jego wesołą bandę.

Włączył zapłon.

- Myślę, że to zależy od punktu widzenia. Tak czy siak ja poprowadzę. Zbyt dużo wypijaś.

Whitney obrzuciła go długim, morderczym spojrzeniem.

- MacAllisterowie nigdy nie tracą głowy.

Przytrzymała się rączki u drzwi, kiedy przedzierali się przez zarośla w stronę drogi.

- Wszystko przez te lody- stwierdził Doug, ustalając stałą prędkość. - Neutralizują alkohol.

- Bardzo śmieszne. - Puściła rączkę i oparła stopy na desce rozdzielczej. - Wygląda na to, że sporo wiesz o historii i pochodzeniu mojej rodziny. A co z twoją?

- Którą opowieść chcesz usłyszeć? - zapytał lekko. - Masz ich cały wybór, zależnie od okazji.

- Każdą, poczynając od sieroty bez środków do życia po arystokratę bez swoich włości. - Whitney patrzyła na jego profil. Kim on właściwie jest? Zastanawiała się. I czemu tak ją to obchodzi? Nie znalazła odpowiedzi na pierwsze pytanie, ale musiało minąć trochę czasu, zanim zdołała wmówić sobie, że nie zna i na drugie. - A co byś powiedział na tę prawdziwą, tak dla odmiany?

Mógł skłamać. Mógł opowiedzieć jej historię o bezdomnym małym chłopcu, nocującym na ulicach, który uciekł od podłego ojczyma. I mógłby sprawić, by w nią uwierzyła. Usadowił się wygodniej i zrobił to, co czynił rzadko. Powiedział jej naga prawdę.

- Wychowałem się w Brooklynie, w miłej, cichej okolicy, w rodzinie robotniczej o prostym, ustalonym trybie życia. Moja matka prowadziła dom, a ojciec instalował przewody kanalizacyjne. Dwie siostry wiodły rej w domu. Mielśmy psa imieniem Checkers.

- Brzmi to zupełnie zwyczajnie.

- I tak było. - Czasami, bardzo rzadko, wracał do tych czasów myślami i znajdował w tym przyjemność. - Mój ojciec należał do Moose, towarzystwa dobroczynnego, a mama robiła najlepszy na świecie placek z borówkami. Tak jest do dziś.

- A co z młodym Douglasem Lordem?

- Ponieważ miałem zręczne palce, ojciec sądził, że będzie ze mnie niezły hydraulik. Ten pomysł nie bardzo przypadł mi do gustu.

- Praca na godziny w związku hydraulików wydaje się frapująca.

- Zapewne, ale ja nigdy nie pracowałem na godziny.

- Zamiast tego postanowiłeś... jak to określiłeś?... być wolnym strzelcem.

- Powołanie jest powołaniem. Miałem takiego wujka, którego otaczała pewnego rodzaju zmowa milczenia.

- Czarna owca? - zapytała zaciekawiona.

- Myślę, że nie nazwałabyś go białą lilią. Chyba spędził jakiś czas w więzieniu. W każdym razie, aby skrócić całą opowieść, mieszkał z nami przez jakiś czas i pracował dla mojego taty. - Posłał jej szybki i uwodzicielski uśmiech. - On również miał zręczne palce.

- Rozumiem. Tak więc doszedłeś do swoich talentów, że tak powiem, uczciwą drogą.

- Jack był dobry, naprawdę dobry, tylko miał słabość do butelki. Kiedy zaglądał do kieliszka, robił się niedbały. Kiedy

robisz się niedbała, wpadasz. Jedną z pierwszych rzeczy, których mnie nauczył, to nigdy nie pić w czasie pracy.

- Chyba nie dotyczy to odtykania rur kanalizacyjnych?

- Nie. Jack był drugorzędnym hydraulikiem, ale za to pierwszej klasy złodziejem. Kiedy miałem czternaście lat, nauczył mnie otwierać zamek wytrychem. Właściwie to nie bardzo wiem, dlaczego mnie polubił. Może dlatego, że lubiłem czytać, a on słuchać opowieści. Nie należał do tych, którzy by siedzieli nad książką, ale potrafił słuchać godzinami, kiedy opowiadało się mu *Żelazną maskę* i *Don Kichota*.

Już wcześniej zauważyła, że ma bystry umysł i urozmaicony gust.

- Więc młody Douglas lubił czytać.

- Tak. - Wzruszył ramionami i wziął zakręt. - Pierwszą rzeczą, jaką ukradłem, była książka. Nie byliśmy biedni, lecz nie stać nas było na zgromadzenie takiego księgozbioru, jaki chciałem mieć. - Potrzebowałem, poprawił w myśli. Potrzebowałem książek jako ucieczki od codzienności, tak samo jak potrzebowałem jedzenia. Nikt tego nie rozumiał. - W każdym razie Jack lubił słuchać opowieści, a ja pamiętam wszystko, co przeczytam.

- To marzenie wszystkich pisarzy.

- Nie o to chodzi, ja zapamiętuję linijka po linijce. Dzięki temu skończyłem szkołę.

Przypomniała sobie, z jaką łatwością rzucał faktami i osobami z przewodnika.

- To znaczy, że masz pamięć fotograficzną?

- Nie widzę tego w postaci obrazów, po prostu nie zapominam, to wszystko. - Uśmiechnął się i dodał: - Dzięki temu dostałem stypendium Princeton.

Whitney wyprostowała się.

- Dostałeś się do Princeton?

Uśmiechnął się szerzej. Nigdy nie sądził, że prawda może być bardziej interesująca od fikcji.

- Nie, doszedłem do wniosku, że bardziej od college'u potrzebny mi jest dobry trening.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że odrzuciłeś stypendium Princeton?

- Tak. Prawo wydało mi się strasznie ograniczone i jałowe.

- Brawo - mruknęła i musiała się roześmiać. - Mogłeś więc zostać prawnikiem. Członkiem Ivy League.

- Nie cierpiałem tego równie mocno, jak tych wyjąłowych facetów. Miałem wujka Jacka. Zawsze powtarzał, że chciałby komuś przekazać swój zawód.

- Aha, tradycjonalista.

- Tak, na swój sposób. Chwyciłem w lot okazję. Znajdowałem o wiele więcej przyjemności w otwieraniu zamków niż w odmienianiu czasowników. Ale Jack uparł się z tym wykształceniem. Nie wzięłyby mnie na prawdziwą robotę, gdybym nie zrobił matury. Matematyka i wiedza przydają się, kiedy ma się do czynienia z systemami alarmowymi.

Z jego zdolnościami, pomyślała, Doug mógłby być jednym z najlepszych inżynierów. Pominęła to jednak milczeniem.

- Bardzo rozsądnie.

- Ruszyliśmy w drogę. Przez jakieś pięć lat wiodło nam się całkiem nieźle. Małe, czyste roboty. Przeważnie hotele. Pewnej nocy zgarnęliśmy dziesięć tysięcy u Waldorfa. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Pojechaliśmy do Vegas i większość przepuściliśmy. Cóż to była za zabawa!

- Łatwo przyszło, łatwo poszło?

- Jeśli nie znajdujesz w czymś przyjemności, nie ma sensu do tego się brać.

Uśmiechnęła się. Jej ojciec lubił powtarzać, że jeśli nie znajdujesz w czymś przyjemności, nie ma sensu tego robić. Pomyślała, że spodobałaby się mu ta lekka modyfikacja.

- Jack wpadł na pomysł, by obrobić sklep jubilerski. To by nas ustawiło na lata. Musieliśmy tylko opracować kilka szczegółów.

- Co się stało?

- Jack spadł z ciężarówki. Chciał wykonać robotę sam, co możesz nazwać sprawą własnego ego. Mnie się udało, a on się poślizgnął. Myślę, że nie dał sobie z tym rady. Tak czy owak popełnił błąd. Nie byłoby tak źle, gdyby nie złamał zasad i nie wziął ze sobą broni. - Machnął ręką i pokręcił głową. - Ta mała ozdóbka kosztowała go dziesięć lat.

- Więc wuj Jack popłynął w górę rzeki, a ty?

- W górę rzeki - mruknął ubawiony. - A ja trafiłem na ulicę. Miałem dwadzieścia trzy lata i byłem o wiele bardziej zielony, niż sądziłem. Ale szybko się nauczyłem.

Oddał stypendium Princeton, by wdrapywać się na okna. Wykształcenie mogło mu zapewnić luksus, którego tak pragnął. A jednak... A jednak Whitney nie potrafiła wyobrazić go sobie zmierzającego do celu prostą drogą.

- A co na to rodzice?

- Opowiadają sąsiadom, że pracuję dla General Motors. Matka ciągle ma nadzieję, że się ożenię i ustatkuję. Może zostanę ślusarzem. A propos, kto to jest Tad Carlyse IV? - zapytał pod wpływem nagłej myśli.

- Tad? - Whitney dostrzegła, że niebo na wschodzie zaczyna się rozjaśniać. Mogłaby zamknąć oczy i zasnąć, taki piasek czuła pod powiekami. - Byliśmy tak jakby zaręczeni.

Poczuł, że nienawidzi Tada Carlyse'a IV.

- Tak jakby zaręczeni?

- Powiedzmy, że Tad i mój ojciec uważali nas za zaręczonych. Ja uważałam to za sprawę dyskusyjną. Byli raczej zmartwieni, kiedy powiedziałam: nie.

- Tad. - Doug wyobraził sobie blondyna z anemiczną szczęką, w niebieskim blezerze, białych miękkich butach na gołych nogach. - Co on robi?

- Robi? - Whitney zatrzepotała rzęsami. - Przypuszczam, że ty określiłyś to jako reprezentowanie. On jest spadkobiercą Carlyse'a i Fitz'a, oni produkują wszystko, od aspiryny po paliwo rakietowe.

- Tak, słyszałem o nich. - Kolejne miliony, pomyślał,

i pokonał następne trzy doły raczej dość gwałtownie. To ten typ ludzi, którzy depczą po zwykłym człowieku, nawet tego nie dostrzegając. - Dlaczego więc nie zostałeś panią Tadową Carlyse'ową Czwartą?

- Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego ty nie zostałeś hydraulikiem. Wydawało mi się to mało zabawne. - Skrzyżowała stopy. - Chyba powinieneś się cofnąć, Douglas. Ominąłeś tamtą dziurę.

Był już ranek, kiedy zatrzymali się na szczycie góry, z której roztaczał się widok na Diego-Suarez. Z tej odległości woda w zatoce była intensywnie błękitna. Lecz piraci, którzy kiedyś tu dotarli, nie poznaliby jej teraz. Statki kołyszące się na wodzie były szare i potężne. Nie falowały na wietrze połyskujące w słońcu żagle, nie kołysały się żadne drewniane jednostki.

Zatoka, niegdyś marzenie piratów i nadzieja osadników, była teraz główną francuską bazą morską. Osada, niegdyś duma korsarzy, była teraz schludnym, nowoczesnym pięćdziesięcioletnim miastem zamieszkanym przez Malgaszów, Francuzów, Hindusów, Arabów, Anglików i Amerykanów. Tam, gdzie kiedyś stały kryte strzechą chaty, wznosiły się budowle z cementu i stali.

- No to jesteśmy. - Whitney wsunęła mu rękę pod ramię. - Co powiesz na to, byśmy zjechali na dół, zameldowali się w hotelu i wzięli gorącą kąpiel?

- Jesteśmy - mruknął. Niemal czuł, jak papiery w jego kieszeni zaczynają go parzyć. - Najpierw musimy znaleźć skarb.

- Doug. - Whitney stanęła na wprost niego, kładąc mu ręce na ramionach. - Rozumiem, że to jest dla ciebie ważne. Ja też chcę to znaleźć. Ale spójrz na nas. Jesteśmy brudni i wykończeni. Nawet jeżeli nie ma to dla nas znaczenia, ludzie to zauważą.

- Nie będziemy się z nimi bratać. - Spojrzył ponad jej głowę na rozłożone w dole miasto. Na swoją tęczę. - Zaczniemy od kościołów.

Ruszył z powrotem do jeepa. Zrezygnowana poszła za nim.

W odległości pięćdziesięciu mil za nimi trząsał się północną drogą renault rocznik 68. Siedzieli w nim Remo i Barns. Ponieważ Remo musiał pomyśleć, pozwolił Barnsowi prowadzić. Podobny do kreta mężczyzna trzymał kierownicę w obu rękach i uśmiechał się do szyby. Lubił prowadzić prawie tak samo, jak lubił przejeżdżać każdą futrzaną rzecz przebiegającą przez drogę.

- Kiedy ich złapiemy, biorę kobietę, dobra?

Remo popatrzył na niego z lekkim obrzydzeniem. Uważał się za człowieka wybrednego, a Barns był gnidą.

- Lepiej pamiętaj, że Dimitri chce ją dostać. Jeśli ją uszkodzisz, to tak, jakbyś go obsikał.

- Nie uszkodzę jej. - Oczy błysnęły mu na wspomnienie fotografii. Dziewczyna była piękna, a on lubił piękne rzeczy. Delikatne, piękne rzeczy. Potem pomyślał o Dimitrim.

W przeciwieństwie do innych nie bał się Dimitriego. Uwielbiał go tak, jak zły pies uwielbia swego pana, nawet po kilku mocnych kopniakach. Ta szczypta rozumu, która mu się jeszcze tliła w głowie, w miarę upływu lat została dokładnie zniszczona. Skoro Dimitri chciał tę kobietę, sprowadzi mu ją. Uśmiechnął się przyjaźnie do Rema; na swój sposób go lubił.

- Dimitri chce dostać uszy Lorda - powiedział, chichocząc. - Chcesz, żebym je dla ciebie obciął, Remo?

- Nie gadaj tyle, tylko prowadź.

Dimitri chciał dostać uszy Lorda, ale Remo doskonale zdawał sobie sprawę, że mógłby zdobyć jakieś inne w zastępstwie. Gdyby miał jakąś nadzieję, że uda mu się zwiać, skierowałby samochód w przeciwną stronę. Dimitri na pewno by go odnalazł, bo uważał, że pracownik pozostaje pracownikiem aż do śmierci. Przedwczesnej lub jakiejś innej. Remo mógł się tylko modlić o utrzymanie swoich uszu na miejscu po tym, jak zda Dimitriemu raport.

Pięć kościołów w ciągu dwóch godzin i nic, pomyślała. Albo natychmiast im się poszczęści, albo to koniec.

- Co teraz? - zapytała, kiedy zatrzymali się przed kolejnym kościołem. Ten był mniejszy i bardziej zniszczony.

- Złożymy swoje uszanowanie.

Miasto zbudowano na nadmorskim cyplu. Mimo że było jeszcze wcześniej, panował upał. Lekki wiaterek tylko nieznacznie poruszał liśćmi palm. Doug wyobraził sobie, jak to miasto mogło wyglądać kiedyś, hałaśliwe, zwyczajne, chronione z jednej strony przez góry, a z drugiej przez mur obronny. Wysiadł z jeepa i poszedł w kierunku kościoła. Whitney pobiegła za nim.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile tu jest kościołów i cmentarzy? I ile z nich zostało przebudowanych?

- Cmentarzy się nie przebudowuje. To wprawia ludzi w zdenerwowanie.

Podobało mu się tutaj. Drzwi frontowe były skrzywione; sprawiały wrażenie, jakby rzadko przechodzili przez nie ludzie. Z boku, trochę zarośnięte, pod baldachimem z palm, widniały nagrobki. Musiał przykucnąć, by odczytać napis.

- Doug, czy nie czujesz się trochę jak wampir? - Ciałem jej wstrząsnął dreszcz, oplotła ramiona rękami i obejrzała się za siebie.

- Nie - padła prosta odpowiedź. Przyglądał się uważnie każdemu nagrobkowi. - Śmierć to śmierć.

- Czy nie myślisz o tym, co cię czeka po niej?

- Cokolwiek myślę, to, co zostało pochowane sześć stóp pod ziemią, niczego już nie czuje. No chodź, daj rękę.

Duma nie pozwoliła jej zaprotestować, zmusiła ją do kucnięcia razem z nim i wrywania pnączy zarastających nagrobki.

- Daty się zgadzają. Zobacz... tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty, dziewięćdziesiąty trzeci.

- I nazwiska są francuskie. - Swędzenie w okolicach karku mówiło mu, że jest blisko. - Gdybyśmy tylko...

- *Bonjour.*

Whitney wyprostowała się gwałtownie, gotowa do ucieczki, kiedy zobaczyła starego księdza zmierzającego w ich kierunku. Z całych sił starała się zapanować nad twarzą, uśmiechając się i odpowiadając po francusku.

- Dzień dobry, księdu.

Czarna sutanna ostro kontrastowała z białymi włosami, wyblakłymi oczami i bladą cerą. Ręka, którą uniósł, zdradzała wiek.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziliśmy.

- Każdy jest mile widziany w domu Boga. - Zmierzył ich wzrokiem. - Turyści?

- Tak, proszę księdza. - Doug stał obok niej bez słowa. Whitney wiedziała, że musi wymyślić jakąś historyjkę, ale poczuła, że nie jest w stanie tak po prostu skłamać człowiekowi z białą koloratką. - Przebyliśmy długą drogę w poszukiwaniu grobów rodziny, która wyemigrowała tutaj w czasie rewolucji francuskiej.

- Wiele ich było. Czy to są wasi przodkowie?

Spojrzała w spokojne, wyblakłe oczy księdza. Przyszło jej na myśl plemię Merina, które czcilo śmierć.

- Nie, ale zależy nam na odnalezieniu ich.

- Odnaleźć to, co odeszło? - Stare mięśnie drżały przy najprostszym ruchu. - Wielu szuka, niewielu znajduje. Przebyliście długą drogę?

Jego umysł, pomyślała, walcząc z niecierpliwością, jest równie stary jak ciało.

- Tak, ojcze, bardzo długą drogę. Sądzymy, że rodzina, której szukamy, może być tutaj pochowana.

Pomyślał chwilę i powiedział:

- Może będę mógł pomóc. Jak brzmi nazwisko?

- Lebrun, Gerald Lebrun.

- Lebrun. - Wysuszona twarz księdza skurczyła się pod wpływem wysiłku myślowego. - Nie ma żadnych Lebrunów w mojej parafii.

- O czym on mówi? - szepnął jej Doug do ucha, lecz ona tylko pokręciła głową.

- Wyemigrowali z Francji dwieście lat temu. Zmarli tutaj.
- Wszyscy musimy umrzeć, by osiągnąć życie wieczne. Zaciśnęła zęby i spróbowała ponownie:
- Tak, ojcze, ale Lebrunowie interesują nas od strony historycznej - powiedziała, myśląc, że właściwie to nie skłamała.
- Odbyliście długą drogę. Potrzebny jest wam odpoczynek. Pani Dubrock przygotowuje herbatę. - Położył rękę na ramieniu Whitney, jakby chciał ją poprowadzić ścieżką w dół. Już chciała odmówić, kiedy poczuła, że jego ramię drży.
- Będzie nam bardzo miło. - Naprężyła mięśnie, kiedy mocniej się na niej oparł.
- O co chodzi?
- Zostaliśmy zaproszeni na herbatę - wytłumaczyła i uśmiechnęła się do księdza. - Spróbuj pamiętać, gdzie jesteśmy.

- Chryste.

- Właśnie.

Pomogła starszuszce pokonać wąską ścieżkę, prowadzącą na małą plebanię. Zanim zdążyła sięgnąć do klamki, drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta w prostej domowej sukience, o poranej zmarszczkami twarzy. Zapach starości był jak stary papier, wiotki i zakurzony.

- Ojcze. - Pani Dubrock podtrzymała go za rękę i pomogła wejść do środka. - Czy spacer się udał?

- Przyprowadziłem podróżnych. Muszą się napić herbaty.

- Dobrze, dobrze.

Stara kobieta powiodła księdza przez mroczny mały hall do ciasnego saloniku. Na czarno oprawiona Biblia z pożółkłymi kartkami leżała otwarta na *Księdze Psalmów*. Mocno nadpalone świece stały na każdym stole i na pianinie, które wyglądało, jakby je parę razy przewrócono. Przy oknie stała figurka Matki Boskiej, wyszczerbiona i spłowiała, lecz na swój sposób urocza. Pani Dubrock mruczała i krzątała się przy księdzu, sadzając go na krześle.

Doug popatrzył na krucyfiks wiszący na ścianie, nadzarpnięty przez czas, splamiony krwią Wybawiciela. Przesu-

nał ręką po włosach. Zawsze czuł się trochę nieswojo w kościele, a to było jeszcze gorsze.

- Whitney, nie mamy czasu.

- Szszsz! Pani Dubrock... - zaczęła.

- Proszę siadać, zaraz przyniosę herbatę - powiedziała gospodyni.

Litość walczyła z niecierpliwością, kiedy Whitney zwróciła się do księdza:

- Ojcze...

- Jesteście młodzi. - Westchnął i wziął do ręki różaniec. - Odprawiałem msze w domu Naszego Pana dłużej, niż wy żyjecie. Lecz tak niewiele przychodziło.

Ponownie wyblakłe oczy i cichy głos przyciągnęły uwagę Whitney.

- Liczba nie ma znaczenia, prawda, ojcze? - Usiadła na krześle obok niego. - Wystarczy jeden.

Uśmiechnął się, zamknął oczy i usnął.

- Biedny, stary człowiek - mruknęła.

- Chciałbym żyć tak długo - wtrącił Doug. - Złotko, kiedy my tu czekamy na herbatę, Remo wjeżdża sobie wesoło do miasta. Prawdopodobnie jest trochę rozgniewany, że ukradliśmy mu jeepa.

- To co niby mam robić? Powiedzieć księdzu, żeby dał nam spokój, bo mamy na karku wynajętych zbirów?

Dostrzegł w oczach dziewczyny błysk, który mówił, że jej serce jest po stronie tego człowieka.

- Dobra, dobra. - Obudziła się w nim litość, wszczynając walkę z obojętnością. - Zrobiliśmy dobry uczynek i teraz on śpi. Chodźmy robić to, cośmy zaczęli.

Skrzyżowała ręce na piersiach i poczuła się jak wampir.

- Słuchaj, może istnieją jakieś archiwa, rejestry, które moglibyśmy przejrzeć, zamiast... - Urwała i spojrzała w stronę cmentarza. - No wiesz.

Potaął ręką policzek.

- To może ty tu zostaniesz, a ja się rozejrzę.

Przemożna chęć, by przyjąć jego propozycję, sprawiła, że poczuła się jak tchórz.

- Nie, robimy to wspólnie. Jeśli Magdaline albo Gerald Lebrun tam leżą, poszukamy ich razem.

- Była taka Magdaline Lebrun. Zmarła przy urodzeniu dziecka i jej córka Danielle, która zmarła na febrę. - Pani Dubrock weszła do pokoju z tacą zastawioną filiżankami z herbatą i herbatnikami.

- Tak? - Whitney odwróciła się do Douga i wzięła go za rękę. - Tak?

Stara kobieta uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że Doug patrzy na nią podejrzliwie.

- Wieczorami mam mnóstwo wolnego czasu. Lubię studiować kościelne rejestry. Ten kościół ma trzysta lat. Oparł się wojnie i nawałnicy.

- Pamięta pani, że czytała pani o Lebrunach?

- Jestem już stara. - Westchnęła z ulgą, kiedy Doug wziął od niej tacę. - Ale pamięć mam dobrą. - Rzuciła spojrzenie na drzemającego księdza. - Ona także się skończy. - Powiedziała to z czymś w rodzaju dumy. A może z czymś w rodzaju wiary, pomyślała Whitney. - Wielu tu się schroniło przed rewolucją, wielu umarło. Pamiętam tych Lebrunów.

- Dziękuję pani. - Whitney wyjęła portfel i wyciągnęła połowę banknotów, które jej zostały. - To na kościół. - Popatrzyła na śpiącego księdza i dołożyła następne. - Na jego kościół w imieniu rodziny Lebrun.

Pani Dubrock przyjęła pieniądze ze spokojnym dostojenstwem.

- Jeśli Bóg pozwoli, znajdziecie to, czego szukacie. Kiedy będziecie chcieli się odświeżyć, wróćcie na plebanię. Będziecie mile widziani.

- Dziękuję pani. - Pod wpływem impulsu Whitney zrobiła krok w jej stronę. - Pewni ludzie nas szukają.

Kobieta popatrzyła Whitney prosto w oczy.

- Tak, moje dziecko?

- Oni są niebezpieczni.

Ksiądz poruszył się na krześle i popatrzył na Douga.

Więc ten mężczyzna jest niebezpieczny, pomyślał, lecz zachowuje się spokojnie. Kiwnął głową w stronę Whitney.

- Pan Bóg ochroni. - Zamknął oczy i ponownie zapadł w drzemkę.

- Nie zadawali żadnych pytań - mruknęła Whitney, kiedy wychodzili.

- Niektórzy nie potrzebują odpowiedzi, bo je znają. - On do takich nie należał. - Poszukajmy tego, po co tu przyszliśmy.

Z powodu gęstych zarośli, pnączy i wielu kamieni po godzinie mieli za sobą dopiero połowę cmentarza. Słońce stało wysoko, rzucając krótkie cienie na ziemię. Nawet z tej odległości wyczuwała zapach morza. Zmęczona i zniechęcona usiadła na ziemi, przyglądając się, jak Doug pracuje.

- Powinniśmy odpocząć i wrócić tu jutro. Z ledwością odróżniam litery na nagrobkach.

- Dzisiaj - mruknął właściwie do siebie, pochylając się nad kolejnym kamieniem. - To się zdarzy dzisiaj, czuję to.

- A ja czuję jedynie ból w krzyżu.

- Jesteśmy blisko. Wiem o tym. Dłonie zaczynają mi się pocić. A w żołądku czuję coś takiego, co mi mówi, że za chwilę znajdę to miejsce. To tak, jakbyś otwierała sejf. Nie musisz nawet słyszeć ostatniego stuknięcia, by o tym wiedzieć. Po prostu wiesz. Ten sukinsyn jest tutaj. - Wcisnął ręce do kieszeni i rozprostował plecy. - Znajdę go, nawet gdyby miało mi to zająć dziesięć lat.

Popatrzyła na niego i z westchnieniem pochyliła się lekko w przód, żeby wstać. Oparła się ręką o nagrobek dla równowagi i zaplatała nogę w pnącza. Klnąc, pochyliła się, by ją uwolnić. Poczuła, jak serce zaczyna jej bić. Schyliła się, by jeszcze raz przeczytać napis na kamieniu. Właśnie usłyszała ostatnie stuknięcie.

- Chyba nie zajmie ci to aż tyle czasu.

- Co?

- Nie potrwa to aż tak długo. - Uśmiechnęła się, a on pod wpływem tego uśmiechu wyprostował się. - Znalazłam

Danielle. - Powstrzymała łyzy i oczyściła kamień. - Danielle Lebrun - przeczytała. - Tysiąc siedemset siedemdziesiąty dziewiąty - tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty piąty. Biedne dziecko, tak daleko od domu.

- Jej matka leży tutaj. - Głos Douga był cichy, nie zdradzał podniecenia. Wziął Whitney za rękę. - Młodo zmarła.

- Nosiła pudrowaną perukę z piórami, a jej suknie miały głęboko wycięte dekolty. - Oparła mu głowę na ramieniu. - A potem nauczyła się uprawiać ogród i dotrzymywać sekretu męża.

- Ale gdzie on jest? - Doug przykucnął na ziemi. - Dlaczego nie został pochowany obok niej?

- Powinien... - Nagle uderzyła ją pewna myśl. - Przecież on się zabił. Nie mogli go tu pochować, bo to jest poświęcona ziemia. Doug, on nie leży na cmentarzu.

- Co takiego? - wytrzeszczył na nią oczy.

- On popełnił samobójstwo. - Przeciągnęła ręką po włosach. - Umarł w grzechu, więc nie mógł być pochowany na cmentarzu. - Rozejrzała się bezradnie. - Nawet nie wiem, gdzie go szukać.

- Musieli go gdzieś pochować. - Zaczął chodzić pomiędzy nagrobkami. - Co oni zwykle robili z tymi, których nie wolno było tu grzebać?

Zmarszczyła brwi, próbując się skupić.

- To zależy. Jeśli ksiądz był litościwy, mogli go pochować gdzieś w pobliżu.

Doug popatrzył na ziemię.

- On tutaj jest - mruknął. - Bo moje dłonie nadal się pocą. - Wziął Whitney za rękę i poprowadził w stronę niskiego muru, otaczającego cmentarz. - Zaczniemy tutaj.

Minęła następna godzina, w czasie której systematycznie przeszukiwali zarośla. Na widok pierwszego węża o mały nie wróciła do jeepa, ale Doug wcisnął jej kij do ręki, nie okazując nawet cienia współczucia. Prostując się, wbiła kij w ziemię. Kiedy Doug potknął się w pewnym momencie i zaklął, nie zwróciła na niego uwagi.

- A niech to jasna cholera!

Whitney uniosła kij, gotowa uderzyć.

- Waż?

- Daj spokój z węzami. - Chwycił ją za rękę i pociągnął w dół do ziemi. - Znalazłem.

Napis był mały i prawie niewidoczny. Głosił po prostu: *Gerald Lebrun*. Whitney położyła rękę na kamieniu, zastanawiając się, czy znalazł się ktoś, kto uronił nad nim choć łzę.

- No to mamy. - Z nagrobka obok zaczął wyrwać pnąca, grube jak jego kciuk i obsypane kwiatami w kształcie dzwoneczków. Napis na kamieniu składał się tylko z jednego wyrazu: *Marie*.

- Marie - szepnęła. - To mogło być kolejne samobójstwo.

- Nie. - Chwycił Whitney za ramiona i popatrzył jej w oczy. - On strzegł skarbu tak, jak obiecał. Umarł, nadal go strzegąc. Musiał to tu zakopać, zanim napisał ten ostatni list. Mógł poprosić, by pochowano go w tym miejscu. Nie mogli pochować go razem z rodziną, lecz nie było powodu, by nie spełnić tego życzenia.

- To brzmi sensownie - powiedziała, lecz usta miała wyschnięte. - Co teraz?

- Teraz mam zamiar ukraść łopatę.

- Doug...

- Nie ma teraz czasu na obiekcje.

Przełknęła ślinę.

- Dobrze, tylko zrób to szybko.

- Zajmie mi to minutę. - Delikatnie musnął jej wargi i zniknął.

Usiadła między dwoma nagrobkami i przyciągnęła kolana do brody. Poczowała, jak serce jej wali. Czyżby naprawdę byli tak blisko, tak blisko upragnionego celu? Popatrzyła na płaski zaniedbany kawałek ziemi. Czyżby Gerald, zaufany królowej, trzymał ten skarb przy sobie przez dwa stulecia?

A kiedy go znajdą? Zaczęła szarpać trawę palcami. W tym

momencie myślała tylko o jednym: jeśli oni znajdą skarb, to Dimitriemu się to nie uda. I na razie zadowolili się tym.

Doug pojawił się tak nagle, że usłyszała go dopiero, gdy wyszeptał jej imię. Zakłęła i upadła na kolana.

- Czy musisz to robić?

- Wolałbym nie rozgłaszać, że tu jesteśmy. - Trzymał wyszczerbioną łopatę z krótką rączką. - To najlepsze, co mogłem znaleźć w tak krótkim czasie.

Przez chwilę patrzył bez słowa na ziemię pod stopami. Pomyślał, że oto stoi przed perspektywą życia w dostatku.

Whitney dostrzegła tę myśl w jego oczach. Ponownie ogarnęło ją uczucie radości i rozczarowania jednocześnie. Potem przykryła dłonią rękę trzymającą szpadel i pocałowała go długo i mocno.

- Powodzenia.

Zaczął kopać. Upływały minuta za minutą. Ciszę przerywał tylko jednostajny zgrzyt metalu wbijanego w ziemię. Nawet najłżejszy wietrzyk nie chłodził rozgrzanego powietrza, więc pot strumieniami spływał Dougowi po twarzy. Upał i cisza dawały się we znaki obojgu. W miarę jak otwór się powiększał, przepływały im przed oczami kolejne etapy podróży, która przywiodła ich aż tutaj.

Szaleńczy pościg ulicami Manhattanu. Oszałały bieg ulicami Waszyngtonu. Skok z jadącego pociągu i nie kończąca się wędrówka po jałowych, falistych wzgórzach. Wioska plemienia Merina, Cyndi Lauper w czasie podróży przez kanał des Pangalanes. Namiętność i kawior w skradzionym jeepie. Śmierć i miłość - obie niespodziewane.

Doug poczuł, że koniec łopaty uderza o coś twardego. Stłumiony dźwięk zabrzmiał jak wystrzał. Popatrzyli sobie w oczy, opadli na kolana i zaczęli rękami rozgarniać ziemię. Wstrzymując oddech, wyciągnęli to coś.

- O Boże - szepnęła. - To naprawdę istnieje.

Pudełko miało długość nie większą niż stopa i mniej więcej taką samą szerokość. Pokryte było pleśnią i wyglądało tak, jak je opisała Danielle - prosto i zwyczajnie. Mimo to

Whitney wiedziała, że ta niepozorna skrzyneczka będzie warta fortunę dla kolekcjonera czy muzeum. Wieki uczyniły ją bezcenną.

- Nie wyłamuj zamka - zaprotestowała, kiedy Doug chciał go wyważyć.

Choć płonął z niecierpliwości, poświęcił dodatkową minutę i otworzył skrzynkę tak gładko, jakby posługiwał się kluczem. Kiedy uchylił wieko, oboje zamarli z wrażenia i wpatrzyli się w zawartość bez słowa.

Nie potrafiła powiedzieć, czego się spodziewała. Całą tę imprezę traktowała po części jak przygodę. Nawet zachęcona entuzjazmem Douga, nigdy nie przypuszczała, że znajdą coś tak wspaniałego.

Widziała blask brylantów, połysk złota. Bez tchu zanurzyła w nich ręce. Naszyjnik, który wzięła do ręki, był tak jasny i zimny, i cudowny jak światło księżycy zimą. Czyżby to był właśnie ten? Czy to w ogóle możliwe, że naszyjnik, który trzymała w ręku, posłużył w spisku przeciwko Marii Antoninie w ostatnich dniach przed rewolucją? Czy ona go kiedykolwiek włożyła, na przekór wszystkim, by móc zobaczyć, jak kamienie połyskują na jej szyi raz zimno, a raz płomiennie? Czy to chciwość i władza objęły w swe posiadane kobietę wielbiącą piękne rzeczy, czy też po prostu nie zdawała sobie sprawy z cierpienia i bólu, których tyle było za murami pałacu?

To są pytania dla historyków, pomyślała Whitney, choć jedno trzeba stwierdzić z pewnością: Maria Antonina potrafiła zmusić do wierności. Gerald z oddaniem strzegł tych klejnotów dla swojej królowej i ojczyzny.

Doug trzymał w rękach szmaragdy, pięć rzędów zebranych w naszyjnik tak ciężki, że mógłby naciągnąć mięśnie szyi. Widział go w książce. Nosił damskie imię: Maria albo Louise, nie był pewien. Lecz jak Whitney zauważyła, klejnoty nabierają wartości dopiero w trzech wymiarach. To, co połyskiwało w jego rękę, nie oglądało światła przez dwa wieki.

Było tego mnóstwo. Dość, by zaspokoić chciwość, namiętność i żądzę. Niewielka skrzynka aż pękała od klejnotów i historii. Delikatnie wyjęła małą miniaturkę.

Wiele razy oglądała portrety królowej małżonki. Lecz nigdy nie trzymała w rękach takiego arcydzieła. Maria Antonina, zalotna, beztroska i lekkomyślna, uśmiechała się do niej z portretu, jakby nadal zasiadała na tronie. Miniatura miała nie więcej niż sześć cali, owalny kształt i złotą ramę. Whitney nie mogła znaleźć nazwiska artysty. Portret zresztą był w złym stanie, lecz zdawała sobie sprawę, jaką ma wartość.

- Doug...

- Święty Jezu! - Bez względu na to, jak wysoko sięgał w swych marzeniach, nigdy nie sądził, że coś tak cudownego spotka go na końcu. Miał przed sobą fortunę. W rękę trzymał nie oprawiony brylant w kształcie łyzy, a w drugiej bransoletkę połyskującą rubinami. Wygrał ten wyścig. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wsunął brylant do kieszeni. - Spójrz, Whitney, mamy tu przed sobą cały świat, cały cholerny świat. Niech Bóg błogosławi królową.

Śmiejąc się, włożył jej na głowę sznur z brylantów i szmaragdów.

- Doug, popatrz na to.

- Na co? - Bardziej go interesowały błyskotki niż ten mały, zmatowiały obrazek. - Rama jest warta kilka kawałków - powiedział od niechcienia i wyjął ciężki, misternie zdobiony naszyjnik, udekorowany szafirami wielkości ćwierćdolarówek.

- To portret Marii.

- Ma swoją wartość.

- Jest bezcenny.

- Tak? - Popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- Doug, ta miniatura ma dwieście lat. Nikt żywy jej nie widział. Nikt nawet nie wie, że istnieje.

- Dostaniemy więc za nią dobrą cenę.

- Nie rozumiesz? - Zniecierpliwiona wyjęła mu ją z rąk. - Jej miejsce jest w muzeum. To nie jest coś, co się znosi do pasera. To dzieło sztuki. Doug... - Wzięła do ręki naszyjnik z brylantami. - Spójrz na to. To nie jest tylko garść pięknych kamieni, mających wysoką wartość rynkową. Zwróć uwagę na mistrzostwo wykonania, na styl. To jest sztuka, to jest historia. Jeśli to jest naszyjnik z tej brylantowej afery, może rzucić nowe światło na dotychczasowe teorie.

- To ja rozdaję karty - powiedział i włożył naszyjnik do skrzynki.

- Doug, te klejnoty należały do kobiety, która żyła dwa wieki temu. Dwieście lat. Nie możesz tak po prostu zanieść tego naszyjnika i bransolety do lombardu i kazać ich pociąć na kawałki. To niemoralne.

- Później pogadamy o moralności.

- Doug...

Zirytowany zamknął wieko skrzynki i wstał.

- Chcesz oddać ten obraz do muzeum i może parę błyskotek, w porządku. Porozmawiamy o tym. Rzykowałem własne życie i, do diabła, twoje dla tego pudełka. Nie zrezygnuję z szansy wydzwignięcia się i zostania kimś dlatego tylko, by ludzie mogli się gapić na te kamienie w jakimś muzeum.

Rzuciła mu spojrzenie, którego nie zrozumiał, i stanęła naprzeciw niego.

- Ty jesteś kimś - powiedziała cicho.

Poruszyła w nim jakąś strunę, mimo to pokręcił głową.

- Niewystarczająco, złotko. Ludzie tacy jak ja potrzebują czegoś, czego zabrakło im przy urodzeniu. Jestem już zmęczony tą zabawą w wyścig. A to pozwoli przekroczyć mi linię mety.

- Doug...

- Słuchaj, cokolwiek się z tym stanie, najpierw musimy się stąd wydostać.

Chciała coś powiedzieć, lecz po chwili zrezygnowała.

- Dobrze, ale jeszcze o tym porozmawiamy.
- Wszystko, co zechcesz. - Obdarzył ją tym swoim czującym uśmiechem, któremu nauczyła się nie ufać. - Co powiesz na to, byśmy zabrali dziecko do domu?

Pokręciła głową i odwzajemniła się uśmiechem.

- Doszliśmy aż tu. Może i tym razem nam się uda.

Kiedy Doug ruszył przez zarośla, Whitney zatrzymała się na chwilę, zerwała kilka kwiatów i złożyła je na grobie Geralda.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. - Odwróciła się i podażyła za Dougiem do jeepa.

Rozglądając się uważnie na boki, umieścił skrzynkę na tylnym siedzeniu i przykrył ją kocem.

- Dobra, a teraz poszukamy hotelu.

- To najlepsza wiadomość, jaką dotąd usłyszałam.

Zatrzymał jeepa przed stylowym i wystarczająco drogim jak na jego gust hotelem.

- Pójdiesz i zamówisz dla nas pokój, a ja się dowiem o najbliższy samolot, który wywiezie nas z tego kraju.

- A co z bagażem zostawionym w Antananarywie?

- Poślemy po niego. Dokąd chcesz polecieć?

- Do Paryża - odpowiedziała bez namysłu. - Mam przecucie, że tym razem nie będę się nudzić.

- Załatwione. A co powiesz o niewielkiej gotówce, że-
bym mógł to wszystko urządzić?

- Oczywiście. - Jak gdyby nigdy nie załowała mu ani centa, wyciągnęła portfel z kieszeni. - Lepiej dam ci kartę kredytową - zdecydowała po chwili i dodała: - Weź pierwszą klasę, dobrze?

- Wyłącznie. Zamów najlepszy pokój, złotko. Dziś wieczorem zaczynamy światowe życie.

Uśmiechnęła się, odchyliła w tył i sięgnęła po skrzynkę.

- Wezmę to ze sobą.

- Nie ufasz mi?

- Nie powiedziałabym. Właściwie...

Wyskoczyła z jeepa i posłała mu pocałunek. W podartych

i poplamionych spodniach, zniszczonej bluzce pomaszerowała w stronę drzwi wejściowych niczym udzielna księżniczka.

Doug patrzył, jak trzech mężczyzn rzuca się, by otworzyć jej drzwi. Ma klasę, pomyślał kolejny raz. Widać ją z daleka. Przypomniawszy sobie, że kiedyś prosiła go, by kupić niebieską jedwabną sukienkę. Ruszył z uśmiechem. Przywiezie jej parę niespodzianek.

Pokój był ładny, więc dała boyowi hojny napiwek. Kiedy została sama, odwinęła skrzynkę i otworzyła ją ponownie.

Nigdy nie uważała się za konserwatystkę, konesera czy świętoszkę. Patrząc na te świecidełka, klejnoty i stare monety, wiedziała, że nigdy nie pozwoli zamienić ich na coś tak przyziemnego jak gotówka. Iluż ludzi zginęło przez te błyskotki. Jedni przez chciwość i dla idei, a jeszcze inni przez zwykły zbieg okoliczności. Gdyby chodziło tylko o klejnoty, ich śmierć poszłaby na marne. Pomyślała o Juanie i Jacques'u. Nie, to nie były tylko i wyłącznie klejnoty, one były czymś więcej.

To, co miała przed sobą, nie należało ani do niej, ani do Douga. Problem w tym, jak go o tym przekonać.

Zamknęła wieko, poszła do łazienki i odkręciła wodę. Przypomniała jej się mała gospoda na wybrzeżu i Jacques.

Nie żył, ale może, kiedy miniatura i skarb znajdą się we właściwym miejscu, będzie to pewnym zadośćuczynieniem. Mała tabliczka z jego nazwiskiem w którymś z muzeów w Nowym Jorku. Tak. Uśmiechnęła się do tej myśli. To by się bardzo Jacques'owi spodobało.

Kiedy woda wypełniała wannę, Whitney podeszła do okna. Roztaczał się z niego piękny widok na zatokę i małe ruchliwe miasto. Chętnie przespacerowałyby się nadmorskim bulwarem i obejrzała port. Statki, marynarze. Musiały tam też być sklepy pełne towarów, których poszukiwały kobiety takie jak ona. Szkoda, że nie będzie mogła wrócić do Nowego Jorku z paroma pudełkami wyrobów małągaskich.

Nagle jej wzrok przykuła postać idąca chodnikiem. Biała panama. Ależ to śmieszne, pomyślała. Setki mężczyzn noszą panamy w tropiku. To nie mógł być... Kiedy jednak uważniej się przyjrzała, była prawie pewna, że to on. Czekwała bez tchu, żeby się obrócił. Kiedy kapelusz zniknął w drzwiach wejściowych hotelu, prychnęła z niezadowoleniem. Jest przewrażliwiona. Czy ktokolwiek byłby w stanie podążać tak zygakowatym szlakiem do Diego-Suarez? Lepiej niech Doug szybko wraca, pomyślała. Chciała wziąć kąpiel, przebrać się, zjeść i wsiąść do samolotu.

Paryż, pomyślała i zamknęła oczy. Tydzień lenistwa i relaksu. Miłości i szampana. Po tym, co przeszli, należał im się odpoczynek. A potem... Westchnęła i wróciła do łazienki. To był osobny problem.

Zakreśliła wodę, przeciągnęła się i sięgnęła do bluzki. W tym momencie jej wzrok napotkał Rema w lustrze nad umywalką.

- Panna MacAllister. - Uśmiechnął się, dotykając szramy na policzku. - Jakże mi miło.

Pierwszą jej myślą było zacząć krzyczeć. Strach ścisnął jej gardło, pałący i gorzki. Wokół żołądka poczuła twardą i zimną obręcz. Ale wzrok Rema, spokojny i wyczekujący, ostrzegł ją, że byłby szczęśliwy, gdyby musiał ją uciszyć. Nie krzyknęła.

W następnej chwili pomyślała o ucieczce, o szaleńczym, rozpaczliwym skoku w stronę drzwi. Zawsze istniała jakaś szansa, że jej się uda. Lecz również istniała ta druga, że jej nie wyjdzie.

Cofnęła się z ręką przy górnym guziku bluzki. Jej szybki, urywany oddech odbił się echem w małej łazience i wywołał uśmiech na twarzy Rema. Widząc to, spróbowała zapanować nad nerwami. Zaszła tak daleko, tak ciężko się napracowała, a teraz przyparto ją do muru. Zacisnęła palce na obramowaniu umywalki. Nie będzie skamleć, obiecała sobie. I nie będzie błagać.

Coś się poruszyło za plecami Rema i po chwili spojrzwały na nią głupkowato uśmiechnięte oczy Barnsa. Wiedziała już, co to prymitywny i paniczny strach podobny do tego, jaki czuje mysz, kiedy kot zaczyna dla zabawy uderzać ją łapą. Instykt podpowiedział jej, że powinna się go bardziej obawiać niż tego wysokiego, ciemnego mężczyzny, który celował do niej z pistoletu. Był czas na bohaterstwo, czas na strach i czas na rzucanie kości. Rozluźniła palce i pomodliła się.

- Jestem pełna podziwu, Remo, szybko działasz.

Równie szybko zaczął pracować jej umysł; zastanawiała

się nad możliwością ucieczki. Douga nie było dopiero dwadzieścia minut, musiała więc liczyć tylko na siebie.

Miał nadzieję, że zacznie krzyczeć albo spróbuje uciekać, dając mu tym samym powód do zrobienia jej kilku siniaków. Jego duma nadal cierpiała z powodu blizny na policzku. Jednak za bardzo bał się Dimitriego, by pierwszy uczynić jakikolwiek ruch. Wiedział, że Dimitri lubi, by przyprowadzić mu objekty nietknięte, bez względu na to, w jakim stanie znajdują się potem. Zastraszenie natomiast to co innego. Przystawił jej lufę pistoletu do gardła, wciskając w miękkie i delikatne miejsce tuż przy brodzie. Kiedy zadrzała, uśmiechnął się szeroko.

- Gdzie Lord? - rzucił.

Wzruszyła ramionami, bo nigdy w życiu nie była tak przerażona. Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał spokojnie i zimno. Usta miała przeraźliwie suche.

- Zabiłam go.

Kłamstwo przeszło jej przez gardło z taką łatwością, że aż ją sama zdziwiło. Skoro zostało wypowiedziane, postanowiła pójść za ciosem. Wyciągnęła palec i odsunęła na bok lufę pistoletu.

Remo gapił się na nią bez słowa. Nie grzeszył spostrzegawczością, toteż zobaczył w jej oczach jedynie zuchwalstwo, nie dostrzegając kryjącego się za nim strachu. Chwyił ją za ramię, pociągnął do sypialni i pchnął na krzesło.

- Gdzie jest Lord?

Whitney wyprostowała się na krześle i wygładziła postrzępiony rękaw bluzki. Nie dopuści, by zauważył, jak drżą jej palce. Wykorzysta każdą okazję, by przeprowadzić swój plan.

- Doprawdy, Remo, spodziewałam się po tobie większej ogłady.

Ruchem głowy dał znak Barnsowi. Szczercząc zęby w uśmiechu, podszedł do niej z małym wstrętym rewolwerem.

- Piękna - powiedział i prawie zaczął się ślinić. - Delikatna i piękna.

- On lubi strzelać w takie miejsca jak rzepka kolanowa - odezwał się Remo. - No więc, gdzie jest Lord?

Whitney zmusiła się, by nie patrzeć na rewolwer wycelowany w jej lewe kolano. Gdyby spojrzała, gdyby pomyślała o tym, załamałaby się i zaczęła błagać.

- Zabiłam go - powtórzyła. - Masz papierosa? Od wielu dni nie miałam w ustach ani jednego.

Jej głos brzmiał tak majestatycznie, że Remo sięgnął po papierosy, zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi. Wściekły przystawił jej pistolet do czoła. Whitney poczuła lekki, zimny dotyk metalu.

- Pytam jeszcze raz: gdzie jest Lord?

Westchnęła ze znużeniem.

- Już mówiłam, nie żyje.

Widziała, że Barns nadal się w nią wpatruje, mruczając coś pod nosem.

Żołądek podszedł jej do gardła. Popatrzyła więc krytycznie na swoje paznokcie i powiedziała:

- Nie sądzę, byś wiedział, gdzie w tej dziurze mogę sobie zrobić manikiur.

- Jak go zabiłaś?

Poczuła przypływ nadziei. Jeśli pyta, to zaczyna jej wierzyć.

- Zastrzeliłam go. - Uśmiechnęła się niewyraźnie i założyła nogę na nogę. Zobaczyła, jak Remo kiwa głową na Barnsa, by ten puścił rewolwer. Nie pozwoliła sobie na westchnienie ulgi. - Był to chyba najbezpieczniejszy sposób.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Zatrzepotała rękami. - Dlaczego co?

- Dlaczego go zabiłaś?

- Nie był mi już potrzebny - odpowiedziała gładko. Barns zrobił krok w przód i przejechał jej grubą łapą po włosach. Wydał dźwięk, który mógł oznaczać aprobatę. Zrobiła błąd, odwracając głowę i spoglądając mu w oczy. To, co

w nich zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Starając się nie poruszyć i nie okazać strachu, zwróciła się do Rema:

- Czy to twoja maskotka? - zapytała łagodnie. - Mam nadzieję, że wiesz, jak się z nią obchodzić.

- Odsuń się, Barns.

Przejechał ręką po jej włosach, aż do samych ramion.

- Chciałem tylko dotknąć.

- Odsuń się!

Zobaczyła wyraz oczu Barnsa, kiedy spojrzął na Rema. Uśmiech zniknął. Zastąpiła go zwierzęca, prymitywna wściekłość. Przełknęła ślinę, zastanawiając się, czy Barns usłucha, czy też zastrzeli Rema na miejscu. Gdyby musiała stawić czoło któremuś z nich, wolałaby, żeby to nie był Barns.

- Panowie - powiedziała uspokajającym tonem, który zmusił ich do spojrzenia w jej stronę. - Jeśli to dłużej potrwa, byłabym wdzięczna za papierosa. Miałam bardzo męczący ranek.

Remo sięgnął do kieszeni i podsunął jej paczkę. Whitney wzięła papierosa i trzymając w palcach, spojrzała na mężczyznę wyczekująco. Mógłby ją zastrzelić bez wahania. Jednak wzięły nad nim górę dobre maniery. Wyjął zapalniczkę i podał jej ogień.

Ze wrokiem utkwionym w jego twarz Whitney uśmiechnęła się i wypuściła strumień dymu.

- Dziękuję.

- Jak niby mam uwierzyć, że załatwiłaś Lorda? On nie jest głupcem.

Whitney wyprostowała się i ponownie zaciągnęła dymem.

- Wobec tego różnie go oceniamy. Lord był głupcem pierwszej klasy. To żałośnie proste wykorzystać człowieka, którego rozum zwisa poniżej pępka.

Strużka potu spłynęła jej wzdłuż kręgosłupa. Całym wysiłkiem woli zmusiła się, by nie drzeć.

Remo patrzył na nią z uwagą. Nie dostrzegł zdenerwowania, ręce się nie trzęsły. Czy była bardziej cwana, niż

myślał, czy też mówiła prawdę? W innej sytuacji byłby zadowolony, że ktoś zrobił za niego porządek, lecz tym razem chciał zrobić to osobiście.

- Słuchaj, mała, przecież sprzyjałaś Lordowi, pomagałaś mu przez cały czas.

- Naturalnie. Bo miał coś, co chciałam zdobyć. - Delikatnie wydmuchnęła dym, zadowolona, że się nie udusiła. - Pomogłam mu wydostać się z kraju, nawet wspierałam go finansowo. - Strzepnęła spokojnie popiół do popielniczki stojącej obok. Zwodzenie ich nie wchodzi w rachubę, pomyślała. Gdyby Doug wrócił, a oni nadal tu tkwili, byłoby po wszystkim. Dla obojga. - Muszę przyznać, że miało to swoje plusy, mimo że Douglasowi brakowało klasy. Należy do tego typu mężczyzn, którzy prędko się nudzą, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Uśmiechnęła się przez chmurę dymu, obrzucając Rema taksującym spojrzeniem. - W każdym razie nie widziałam żadnego powodu, dla którego powinnam się go trzymać czy też dzielić się z nim skarbem.

- Więc go zabiłaś?

Zauważyła, że nie powiedział tego z odrazą czy z niechęcią. Zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu.

- Oczywiście. Stał się beznadziejnie pewny siebie, kiedy skradliśmy ci jeepa. Bez problemu namówiłam go, by się zatrzymał i zjechał trochę z drogi. - Bawiła się bezwiednie guzikiem przy bluzce i obserwowała, jak wzrok Rema podąża za jej ręką. - Miałam papiery i jeepa, więc nie był mi już potrzebny. Zastrzeliłam go, wrzuciłam w krzaki i pojechałam do miasta.

- To bardzo nieostrożne z jego strony, że pozwolił ci wyciągnąć pistolet.

- On był... - przesunęła palec niżej - zajęty. - Nie dał się na to nabrać, pomyślała i wzruszyła ramionami. - Jeśli chcesz, możesz sobie go szukać, ale tracisz czas. Poza tym chyba sprawdziłeś, że zameldowałam się tu sama. A jeśli choć trochę znasz Douglasa, powinieneś wziąć pod uwagę

fakt, że ja mam skarb. Czy naprawdę sądzisz, że aż tak by mi zaufał?

Wskazała eleganckim palcem na skrzynkę. Remo podszedł i podniósł wieko. To, co zobaczył, wywołało u niego ślinotok.

- Robi wrażenie, co? - Delikatnie strząsnęła popiół z papierosa. - Zbyt imponujące, by dzielić się z kimś takim jak Lord. Jednak... - Urwała i czekała, aż Remo ponownie na nią spojrzy. - Mężczyzna z klasą i manierami to co innego.

Kusząca propozycja. Jej oczy pociemniały i obiecywały. Prawie czuł pod palcami ciepło wydobywające się ze skrzynki. Ale przypomniał sobie Dimitriego.

- Będziesz musiała zmienić miejsce zakwaterowania.
- W porządku.

I jak gdyby wcale się tym nie przejęła, wstała. Musi ich stąd wyprowadzić, i to szybko. Pójście z nimi było lepszym wyjściem niż postrzał w rzepekę czy w inne miejsce.

Remo zabrał ze sobą skrzynkę ze skarbem. Dimitri będzie zadowolony, pomyślał. Bardzo zadowolony. Obdarzył Whitney bladym uśmiechem.

- Barns odprowadzi cię do samochodu. Nie próbowałbym żadnych sztuczek, jeśli chcesz mieć wszystkie kości całe.

Wzdrygnęła się, patrząc na uśmiechniętą gębę Barnsa.

- Nie ma potrzeby, żebyś był taki niemiły, Remo.

Kupienie biletów na samolot nie zajęło mu dużo czasu, za to trochę więcej zakupy. Wiele przyjemności sprawiło mu kupowanie dla Whitney przejrzystej, cienkiej bielizny, nawet jeśli robił to, korzystając z jej karty kredytowej. Spędził prawie godzinę w sklepie, ku zachwycie sprzedawczyni, wybierając jedwabną sukienkę w kolorze królewskiego błękitu, ze zmarszczoną górą i gładką wąską spódnicą.

Usatysfakcjonowany, zafundował sobie lekki elegancki garnitur. Właśnie tak zamierzał żyć, przynajmniej przez jakiś czas. Lekko i elegancko.

Wrócił do hotelu obładowany paczkami, beztriosko pogwizdując. Nareszcie byli u celu. Następny wieczór spędzą u Maxima, popijając szampana i kochając się w pokoju z widokiem na Sekwanę. Koniec z tandetnymi pokojami i przydrożnymi motelami. Pierwsza klasa, powiedziała Whitney. Potrafi nauczyć się z tym żyć.

Zdziwiło go, że drzwi są nie domknięte. Przecież Whitney wiedziała, że nie potrzebuje klucza do czegoś tak prostego jak zamek w drzwiach pokoju hotelowego.

- Hej, kochanie, jesteś gotowa do uroczystości? - Rzucił paczki na łóżko i wyjął butelkę szampana za siedemdziesiąt pięć dolarów. Idąc w stronę łazienki, zaczął ją odkorkowywać. - Woda nie wystygła?

Stał przez chwilę, wpatrując się w gładką powierzchnię zimnej już wody. Korek od szampana odskoczył z wiwatującym hukiem. Nie zwrócił uwagi na spływający mu po palcach płyn. Z sercem w gardle rzucił się z powrotem do sypialni.

Jej plecak leżał tam, gdzie go zostawiła: na podłodze. Lecz zniknęła mała drewniana skrzynka. Szybko i dokładnie przeszukał pokój. Pudełko i jego zawartość rozpląnęły się, Whitney również. Jego pierwszą reakcją była wściekłość. Dać się wyprowadzić w pole kobiecie o oczach koloru whisky i chłodnym uśmiechu było czymś sto razy gorszym niż zostać oszukany przez krzywonożego karła. Ten karzeł był przynajmniej z branży. Klnąc, postawił z łoskotem butelkę na stole.

Kobiety! Były jego piętą achillesową, odkąd stał się mężczyzną. Kiedyż się wreszcie nauczy? Uśmiechają się, piszcza, trzepią rzęsami i obrobią do ostatniego dolara.

Jak mógł być takim frajerem? Wierzył w jej uczucie. W to, jak na niego patrzyła, kiedy się kochali, w to, jak twardo przy nim stała, jak wspólnie walczyła. Zakochał się w niej i wpadł jak kamień do zimnego, głębokiego jeziora. Robił nawet jakieś nie przemyślane plany na przyszłość, a ona przy pierwszej okazji po prostu go zostawiła.

Patrzył na jej plecak leżący na podłodze. Dźwigała go

przez tyle mil, śmiała się, prowokowała i drażniła. A potem... Bez namysłu chwycił go i podniósł. Wewnątrz nadal znajdowały się jej rzeczy: koronkowe majteczki, puderniczka, szczotka. Wyczuwał jej zapach. Nie. To niemożliwe. Odzucił plecak z powrotem pod ścianę. Nie uciekłyby od niego. Nawet jeśli się mylił co do jej uczuć, miała zbyt wielką klasę, by wycofać się z interesu.

Skoro więc nie uciekła, to została porwana.

Stał i trzymał w rękę jej szczotkę, a strach powoli opamnowywał jego umysł. Porwana. Zdał sobie sprawę, że wołałby, żeby go oszukała i żeby znajdowała się teraz w samolocie lecącym na Tahiti.

Dimitri. Szczotka pękła mu w ręce na dwie części. Dimitri porwał jego kobietę. Doug cisnął oba kawałki o ścianę. Nie będzie jej miał zbyt długo.

Opuścił pokój w pośpiechu. Tym razem nie gwizdał.

Dom był wspaniały. Właściwie to można się było czegoś takiego spodziewać po człowieku pokroju Dimitriego. Dom tchnął elegancją w stylu kobiecym, pomalowany na biało, z balkonami z kutego żelaza, z których rozciągał się cudowny widok na zatokę. Otaczał go rozległy teren, dobrze utrzymany, obsadzony ozdobnymi tropikalnymi kwiatami i ocieniony palmami. Przyglądała się temu ze wzrastającym przerażeniem.

Remo zatrzymał samochód przy końcu wysypanego białym żwirem podjazdu. Odwaga zaczynała ją opuszczać, lecz starała się ponownie ją odnaleźć. Człowiek, który potrafił zdobyć takie miejsce, musiał mieć głowę na karku. Lecz z tym da sobie radę. Bardziej niepokoił ją Barns ze swoimi czarnymi, głodnymi oczami.

- No cóż, muszę powiedzieć, że to lepsze niż hotel.

Wysiadła z samochodu z miną kogoś, kto wybiera się na proszony obiad. Zerwała gałązkę hibiskusa i podeszła do frontowych drzwi, kręcąc nią w palcach.

Remo zastukał i po chwili drzwi otworzył ubrany w czarny garnitur mężczyzna. Dimitri wymagał od swoich pracowników schludnego urzędniczego wyglądu. Każdemu z tych ludzi można było zawiesić krawat na nosie złamanym pod kątem prostym. Mężczyzna ukazał w uśmiechu wyszczerzony przedni ząb. Whitney nie wiedziała, że stracił go, uderzając w witrynę sklepu Godiva Chocolatiers.

- Więc ją dostałeś. - W przeciwieństwie do Rema on ułamany ząb traktował jako ryzyko zawodowe. Czuł szacunek dla kobiety, która potrafiła prowadzić samochód z takim zimnym szaleństwem. Lecz w stosunku do Douga jego tolerancja się kończyła. - A gdzie Lord?

Remo nawet na niego nie spojrział. Odpowiadał tylko jednemu człowiekowi.

- Pilnuj jej - rozkazał i poszedł złożyć raport Dimitriemu. Ponieważ niósł skarb, szedł z miną ważnej figury. Ostatni raz, kiedy stał przed Dimitrim, prawie się czołgał.

- Co to za historia, Barns? - Mężczyzna w czarnym garniturze obrzucił Whitney taksującym spojrzeniem. Niezła babka. Domyślił się, że Dimitri ma w stosunku do niej jakieś plany. - Zapomnieliście o uszach Lorda dla szefa?

Chichot Barnsa przyprawił Whitney o dreszcz.

- Ona go zabiła - powiedział wesoło.

- Ach tak?

Napotkała jego zaciekawione spojrzenie i odrzuciła w tył włosy.

- Zgadza się. Czy można się tu gdzieś napić? - Nie czekając na odpowiedź, powędrowała szerokim białym korytarzem do najbliższego pokoju.

Był to dostojny, sztywny salon. Ten, kto go urządzał, lubił przeładowanie ozdobami. Whitney wybrałaby coś lżejszego.

Okna, dwa razy wyższe od niej, przybrano szkarłatnym brokatem. Idąc przez pokój, zastanawiała się, czy mogłaby je otworzyć i uciec. Doug musiał już wrócić do hotelu, myślała, wodząc palcem po misternie rzeźbionym blacie stołu. Lecz

nie mogła liczyć, że przyjdzie i opanuje sytuację jak siódmy oddział kawalerii. Cokolwiek trzeba zrobić, będzie musiała zrobić to sama.

Zdając sobie sprawę z tego, że obaj mężczyźni śledzą każdy jej krok, wzięła kryształową karafkę i nalała sobie drinka. Palce miała sztywne i wilgotne. Mały zastrzyk dla kurażu nie zaszkodzi, pomyślała, zwłaszcza kiedy się jeszcze nie wie, z czym się będzie walczyć. Usiadła spokojnie w stylowym fotelu z wysokim oparciem i zaczęła saczyć jakiś bardzo łagodny wermut.

Jej ojciec często powtarzał, że zawsze dojdiesz do porozumienia z kimś, kto ma dobrze zaopatrzone barki. Pociągnęła kolejny łyk, mając nadzieję, że się nie mylił.

Mijały minuty. Siedziała w fotelu i piła, próbując stłumić paniczny strach, który w niej narastał. W końcu, gdyby zamierzał ją zabić, zrobiliby to teraz. A może nie? Może zatrzyma ją dla okupu?

Wprawdzie nie będzie to zbyt ładnie wyglądało, kiedy zostanie wymieniona za kilkaset tysięcy dolarów, ale to lepsze niż otrzymać kulkę w łeb.

Doug mówił, że tortury to hobby Dimitriego. Wymyślne narzędzia i Chaucer. Przełknęła większy łyk wermutu, zdając sobie sprawę z tego, że nigdy nie utrzyma nerwów na wodzy, jeśli będzie zbyt intensywnie myślała o człowieku, który trzyma jej życie w swoich rękach.

Doug był bezpieczny. Przynajmniej w tej chwili. Skoncentrowała się na tym.

Kiedy wrócił Remo, z wystudiowaną uwagą uniosła kieliszek do ust.

- To wyjątkowo nieuprzejmie kazać gościowi czekać więcej niż dziesięć minut - powiedziała obojętnie. Dotknął blizny na policzku.

- Pan Dimitri pragnie, abys zjadła z nim lunch. Sądzi, że najpierw chciałabyś się wykąpać i przebrać.

Co za ulga!

- Bardzo rozsądne. - Odstawiła kieliszek i wstała. -

Wyciągnąłeś mnie z hotelu bez bagażu. Teraz nie mam w co się przebrać.

- Pan Dimitri to przewidział.

Wzięła ją za ramię, ściskając trochę mocniej, niż powinien, i poprowadził przez hall, szerokimi schodami, na pierwsze piętro. Nie tylko ten hall pachnie jak komnata pogrzebowa, pomyślała, ale cały dom. Otworzył drzwi do pokoju.

- Masz godzinę. Bądź gotowa, bo on nie lubi czekać.

Whitney weszła do środka i usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Przycisnęła ręce do twarzy, bo nie była w stanie opanować ich drżenia. Tylko minuta, powiedziała sobie, próbując głęboko oddychać. Potrzebowała tylko minuty. Żyła i na tym powinna się skoncentrować. Powoli opuściła ręce i rozejrzała się po pokoju.

Dimitri nie należy do skąpców, pomyślała. Apartament dorównywał elegancją zewnętrznemu wyglądowi domu. Salonik był obszerny. Wszędzie stały porcelanowe wazy ze świeżymi kwiatami. Róże i perłowe szarości na jedwabnej tapecie harmonizowały ze wschodnim dywanem na podłodze. Tapczan w ciemniejszym kolorze udekorowany był zręcznie wyszywanymi poduszkami. Ogólnie biorąc, gustowna, stylowa robota, oceniła okiem profesjonalisty. Potem podeszła do okna i otworzyła je na oścież.

Jedno spojrzenie w dół powiedziało jej, że to beznadziejne. Znajdowała się na wysokości prawie stu stóp. Nie mogło być mowy o wyskoczeniu jak z okna gospody na wybrzeżu. Zamknęła okno i zaczęła się rozglądać po apartamencie w poszukiwaniu innych możliwości.

Sypialnia była absolutnie cudowna, z wielkim łóżem chipendale i delikatnymi chińskimi lampami. Szafa z drzewa różanego była otwarta i zawierała taki wybór ubrań, że żadna kobieta by mu się nie oparła. Dotknęła rękawa z cienkiego jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Wyglądało na to, że Dimitri miał zamiar zatrzymać ją na jakiś czas w tej rezydencji. Powinna to potraktować jako dobry znak czy też ma się tym martwić?

Uniosła głowę i dostrzegła siebie w dużym lustrze. Podeszła bliżej. Twarz miała bladą, a ubranie podarte i pokryte smugami brudu. W oczach ponownie dostrzegła strach. Z obrzydzeniem zaczęła ściągać bluzkę.

Dimitri nie zobaczy obdartej, trzęsącej się ze strachu kobiety, postanowiła. Skoro niczego w tym momencie nie może zrobić, zajmie się swoim wyglądem. Whitney MacAllister wie, jak się ubrać na każdą okazję.

Sprawdziła wszystkie drzwi w apartamencie i przekonała się, że są zamknięte od zewnątrz. Każde okno, przez które wyjrzała, nieuchronnie nasunęło wniosek, że znalazła się w prawdziwym potrzasku. Na razie.

Kolejnym logicznym krokiem była kąpiel w głębokiej marmurowej wannie, pachnącej olejkami. Na toaletce stały przybory do makijażu, od podkładu po tusz do rzęs, wszystko w gatunku i odcieniach, które lubiła.

Cóż za precyzja, pomyślała, robiąc użytek z tych wspinałości. Jaka niebywała gościnność. Kryształowy flakon w kolorze ametystu zawierał perfumy, których używała. Rozczesała świeżo umyte włosy i spięła je po bokach dwoma grzebieniami z masy perłowej. Kolejny prezent od gospodarza.

Podeszła do szafy i z taką sumiennością zajęła się wyborem stroju jak wojownik swoją zbroją. W tej sytuacji uznała to za niezwykle ważne. Wybrała letnią sukienkę w kolorze mięty, z obszernym dołem i bez pleców. Dodała jej nieco blasku, owijając talię jedwabną szarfą.

Tym razem, kiedy spojrzała w wielkie lustro, kiwnęła głową usatysfakcjonowana. Była gotowa na wszystko.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, odpowiedziała na nie śmiało. Spojrzała na Rema chłodnym wzrokiem lodowej księżniczki, który Doug tak podziwiał.

- Pan Dimitri czeka.

Bez słowa przeszła obok niego. Dłonie miała wilgotne, lecz powstrzymała się od zaciśnięcia ich w pięści. Pozwoliła sobie jedynie na lekkie przesuwanie palcami po

poręczy, kiedy schodziła ze schodów. Skoro idę na swoją egzekucję, pomyślała, przynajmniej zrobię to w wielkim stylu. Zaciskając na moment usta, podążyła za Remem w stronę szerokiego, otoczonego kwiatami tarasu.

- Panna MacAllister, nareszcie.

Nie była pewna, czego właściwie oczekiwała. Po tych wszystkich przerażających historiach, które przeżyła i których się nasłuchiwała, spodziewała się zobaczyć kogoś srogiego, okrutnego i olbrzymiego. Mężczyzna, który wstał na jej widok od wiklinowego stołu, był blady, niski i nieciekawym. Miał okrągłą, łagodną twarz i przeredzoną czuprynę ciemnych włosów odsłaniających łysą ciałę. Skórę miał tak bladą, że wyglądała, jakby nigdy nie widziała słońca. Przemknęło jej przez głowę, że gdyby dotknęła palcem tego policzka, zapadłby się jak miękkie gorące ciasto. Oczy były prawie bezbarwne, wodnistoniebieskie pod ciemnymi, niewinnymi brwiami. Trudno było jej ocenić, czy ma czterdzieści czy sześćdziesiąt lat, czy też coś pomiędzy.

Usta miał wąskie, nos mały, a okrągłe policzki, jeśli się nie myliła, lekko zabarwione różem.

Biały, elegancki garnitur niedokładnie maskował wydatny brzuch. Jego wygląd aż kusił, by potraktować go jak głupiego małego człowiczka, lecz sprzeciwiało się temu dziewięć starannie wypolerowanych paznokci i kikut małego palca.

Przy puciołowatym, słodkim wyglądzie ta deformacja raziła i szokowała. Trzymał rękę dłonią na zewnątrz w geście powitania, odsłaniając miejsce, w którym skóra była gruba i twarda. Dłoń za to miał gładką jak u młodej dziewczyny.

Bez względu na powierzchowność nie należało zapominać, że Dimitri był równie niebezpieczny i przebiegły jak coś, co wychynęło nagle z bagna. Może na pierwszy rzut oka nie dostrzegało się władzy, jaką miał nad ludźmi; ale pochylonego Rema odprawił jedynie spojrzeniem.

- Tak się cieszę, moja droga, że dotrzymasz mi towarzysstwa. Nie ma nic bardziej przykrego niż jeść samotnie lunch.

Mam wspaniałe campari. - Uniósł kryształowy kieliszek. - Czy mogę ci służyć?

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i zabrakło jej głosu. Błysł satysfakcji w jego oczach popchnął ją w przód.

- Chętnie. - Podchodząc powoli do stołu, czuła, jak ogarnia ją coraz większy strach. To bezsensowne, pomyślała. Wyglądał jak pompatyczny mały wujaszek. Lecz strach rósł nadal. Jego oczy wydawały się nigdy nie mrugać. Po prostu wpatrywał się w nią bez końca. Musiała się skoncentrować, by ręka jej nie zdrząła, kiedy sięgała po kieliszek. - Pański dom, panie Dimitri, to prawdziwy okaz.

- Odbieram to jako wielki komplement od kogoś, kto jest takim znawcą jak pani. Miałem szczęście znaleźć go niedawno. - Pociągnął łyk z kieliszka i przyłożył delikatnie serwetkę do ust. - Właściciele byli... na tyle łaskawi, że oddali mi go do dyspozycji na kilka tygodni. Są tu piękne ogrody. Przyjemne wytchnienie w tym wilgotnym upale. - Wytwornym gestem przysunął jej krzesło. Whitney poczuła, jak ogarnia ją panika. - Z pewnością musi pani być głodna po podróży.

Spojrzała na niego i zmusiła się do uśmiechu.

- Prawdę mówiąc, to ostatni dobry posiłek jadłam wczoraj wieczorem, znów dzięki pańskiej zapobiegliwości.

Łagodnie zaciekawienie odmalowało się na jego twarzy.

- Naprawdę?

- W jeepie, który Douglas i ja przejęliśmy od pańskich... pracowników? - Kiedy skinął głową, ciągnęła: - Była tam butelka doskonałego wina i bardzo dobre jedzenie. Uwielbiam kawior. - Dostrzegła na stole czarny kawior, obłożony lodem, i nałożyła sobie na talerz.

- Rozumiem.

Nie była pewna, czy zdenerwowała go, czy rozbawiła. Odgryzła kawałek bułki i uśmiechnęła się.

- Jeszcze raz muszę przyznać, że pańska spiżarnia jest świetnie zaopatrzona.

- Mam nadzieję, że moja gościnność nadal będzie zado-

walać pani gust. Musi pani spróbować tej zupy z homarów, moja droga. Pozwoli pani, że ją obsłużę. - Z wdziękiem i oszczędnością ruchów, której nigdy by się po nim nie spodziewała, zanurzył srebrną łyżkę w wazie. - Remo poinformował mnie, że pozbyła się pani pana Lorda.

- Dziękuję, pachnie cudownie. - Nie spiesząc się, jadła zupę. - Douglas zaczął się robić trochę kłopotliwy. - To gra, myślała. I właśnie ją rozpoczęła. Mała muszelka na szyi zatańczyła na łańcuszku, kiedy sięgnęła po kieliszek. Grała po to, by wygrać. - Sądzę, że pan rozumie, co mam na myśli.

- Doskonale. - Dimitri jadł powoli i delikatnie. - Pan Lord i dla mnie stał się kłopotliwy.

- Kradnąc panu papiery sprzed nosa? - Zobaczyła, że białe wymanikiowane palce zaciskają się na łyżce. Nerwy, pomyślała. Nie lubi, kiedy robi się z niego głupca. Powstrzymała się od chęci cofnięcia tych słów i uśmiechnęła się. - Douglas na swój sposób był sprytny - powiedziała lekko. - Szkoda, że taki niedojrzały.

- Do pewnego stopnia można się z tym zgodzić - powiedział - jak również z nieudolnością mojego personelu.

- Zapewne i jedno, i drugie.

Nieznacznie skinął głową.

- A wracając do sprawy, miał ciebie po swojej stronie, Whitney. Mogę ci mówić: Whitney?

- Oczywiście. Muszę przyznać, że rzeczywiście mu pomagałam. Lubię trzymać rękę na pulsie.

- Bardzo mądrze.

- Wiele razy zdarzało się, że... - Przerwała, powracając do jedzenia zupy. - Nie lubię źle mówić o umarłych, panie Dimitri, ale Douglas postępował nieroztropnie i nielogicznie, lecz łatwo dawał sobą kierować.

Przyglądał się, jak je, podziwiał smukłe ręce, delikatną skórę na tle zielonej sukienki. Szkoda byłoby to zniszczyć. Może mógłby ją w jakiś sposób wykorzystać. Pomyślał o umieszczeniu jej w swoim domu w Connecticut, dumnej i eleganckiej w czasie posiłków, uległej i posłusznej w łóżku.

- A w dodatku był młody i bardzo atrakcyjny, prawda?

- O tak. - Zdobyła się na kolejny uśmiech. - Był intrygującą odmianą przez te kilka tygodni. Jednak na dłuższą metę wołę u mężczyzny elegancję od zalet fizycznych. Trochę kawioru, panie Dimitri?

- Tak, proszę.

Biorąc od niej talerz, dotknął palcami jej ręki i poczuł, jak sztywnieje. Ten mały dowód słabości podniecił go. Przypomniał sobie, ile przyjemności dostarczyło mu obserwowanie, jak modliszka chwyta ćmę: sposób, w jaki chudy, inteligentny owad przyciąga oszalałą ofiarę coraz bliżej, czekając cierpliwie, aż osłabnie, by na koniec pożreć jasne, delikatne skrzydełka. Prędzej czy później młody, słaby i delikatny zawsze się podda. Jak modliszka, Dimitri miał w sobie cierpliwość, urok i okrucieństwo.

- Muszę przyznać, że trudno mi uwierzyć, iż kobieta z twoją wrażliwością potrafiła zastrzelić człowieka. Warzywa w tej sałatce są wyjątkowo świeże. Na pewno będą ci smakować. - Mówiąc to, zaczął mieszać sałatę w dużej misce.

- Doskonała na parne popołudnie - przyznała. - Wrażliwość - ciągnęła, przyglądając się płynowi w kieliszku - staje się czymś drugorzędnym w wypadku konieczności, nie sądzi pan, panie Dimitri? W końcu jestem kobietą interesu. I jak już powiedziałam, Douglas stał się kłopotliwy. Lubię korzystać z okazji. - Uniosła kieliszek z uśmiechem. - Dostrzegłam okazję, by pozbyć się kłopotu i zdobyć te papiery. Po prostu je wzięłam. W końcu był tylko złodziejem.

- Otóż to. - Zaczynał ją podziwiać. Chociaż nie do końca go przekonała, jej opanowanie było faktem, który świadczył o doskonałym wychowaniu. Jako nieślubny syn religijnej fanatyczki i wędrownego muzyka, Dimitri czuł głęboko zakorzeniony szacunek i podziw dla dobrego wychowania. On musiał się zadowalać jedynie czymś zbliżonym do niego - siłą. - Wzięłaś więc papiery i sama znalazłaś skarb?

- To było dość proste. Papiery wszystko wyjaśniły. Widział je pan?

- Nie. - Ponownie zobaczyła, jak bieleją mu palce. - Tylko niewielką próbkę.

- No cóż, w każdym razie zrobiły swoje. - Zajęła się sałatą.

- I nadal ich nie mam - powiedział łagodnie, patrząc jej w oczy.

Pomyślała, że są w jeepie razem z Dougiem.

- Obawiam się, że ich pan nie zobaczy - rzekła zadowolona, że może powiedzieć prawdę, dając wytchnienie nerwom. - Zniszczyłam je, kiedy przestały mi być potrzebne. Nie zawracam sobie głowy niepotrzebnymi ogonami.

- Bardzo mądrze. A co planujesz zrobić ze skarbem?

- Zrobić? - Podniosła głowę zdziwiona. - Cieszyć się nim, oczywiście. Możemy się nim cieszyć razem.

Czekała na uderzenie, patrząc mu prosto w oczy. Sałata prawie stanęła jej w przełyku. Kiedy się gra, trzeba liczyć się z przegraną, bez względu na to, jak jest przykra.

- Dobrze powiedziane.

- Teraz jestem zależna od pańskiej gościnności.

- Widzisz sprawy bardzo jasno, Whitney. To mnie cieszy. I cieszy mnie również, że mam taką piękność na wyciągnięcie ręki.

Jedzenie zakotłowało się jej w żołądku. Podała mu kieliszek, czekając, aż go napełni prawie po brzegi.

- Chyba nie posądzi mnie pan o grubiaństwo, kiedy spytam, na jak długo planuje pan swoją gościnność?

Napełnił swój kieliszek i uniósł w toaście.

- Skądże. Na tyle, na ile będzie mi się podobało.

Czując, że jeśli coś jeszcze weźmie do ust, może się zdarzyć katastrofa, zaczęła przesuwac palcem po brzegu kieliszka.

- Przyszło mi do głowy, że mógłby pan rozważyć możliwość zażądania okupu od mojego ojca.

- Proszę, moja droga. - Uśmiechnął się lekko z odcieniem dezaprobaty. - Nie rozważam takich spraw podczas lunchu.

- Tak tylko pomyślałam.

- Muszę prosić cię, abyś się nie martwiła takimi sprawami. Bardzo bym chciał, abyś myślała tylko o odpoczynku i cieszyła się pobytem tutaj. Ufam, że pokoje są odpowiednie.

- Cudowne. - Poczwała, że ma ochotę krzyczeć, bardziej nawet niż wtedy, kiedy odwróciła się i spojrzała Barnsowi w twarz. Białe oczy Dimitriego były nieruchome jak u ryby. Albo u zmarłego. Na chwilę spuściła powieki. - Nie podziękowałam panu za garderobę. Tak się złożyło, że bardzo jej potrzebowałam.

- Nie ma o czym mówić. Może miałybyś ochotę na spacer po ogrodzie? - Wstał i okrążył stół, by odsunąć jej krzesło. - Potem, sądzę, przydałby ci się odpoczynek. Upał po południu jest przygniatający.

- Jest pan bardzo domyślny. - Oparła mu rękę na ramieniu, starając się opanować drżenie palców.

- Jesteś moim gościem, moja droga, szczególnym gościem.

- Gościem? - Jej uśmiech znowu był chłodny. A w głosie, co ją zdumiało, dzwięczała ironia. - Czy ma pan w zwyczaju zamykać gości w pokojach, panie Dimitri?

- Tak. Mam w zwyczaju - powiedział, unosząc jej palce do ust - zamykać skarby. Przejdziemy się?

Kiwnęła głową. Znajdzie jakieś wyjście. Uśmiechając się do niego, obiecała sobie, że musi znaleźć jakieś wyjście. Jeśli nie - nadal czuła zimny dotyk jego ust na skórze - będzie po niej.

Jak dotąd wszystko układało się dobrze. Pierwszy dzień w roli gościa Dimitriego minął bezproblemowo. I, niestety, bez żadnych olśniewających pomysłów, jak się stąd wydostać w jednym kawałku.

Dimitri był łaskawy i uprzejmy, a każda jej zachcianka natychmiast spełniana. Sprawdziła to, wspominając nieśmiało o suflecie czekoladowym. Został jej podany na koniec długiego wspaniałego posiłku z siedmioma daniami.

Chociaż wytężyła mózg w czasie trzech godzin po południu, tkwiąc zamknięta w pokoju, niczego nie wymyśliła. Nie mogła wyjść przez drzwi, nie mogła wyskoczyć oknem, a telefon w saloniku służył jedynie do użytku wewnętrznego.

Myślała, że może zaświta jakaś nadzieja w czasie przechadzki po ogrodzie. Lecz w pewnym momencie Dimitri, zrywając dla niej różany pączek, zwierzył się z całą otwartością, że musiał rozstawić uzbrojonych strażników wzdłuż całej posiadłości. Bezpieczeństwo, zaznaczył, jest istotą sukcesu.

Kiedy doszli do końca ogrodu, niedbale wskazał jej jednego ze strażników. Barczysty mężczyzna w ciemnym garniturze, z eleganckimi wąsikami, trzymał małe śmiercionośne uzi.

Whitney doszła do wniosku, że woli subtelniejsze środki ucieczki niż szaleńczy bieg po otwartym terenie. Próbowwała coś wymyślić w czasie swej przymusowej bezczynności. Prędzej

czy później jej przedłużająca się nieobecność zaniepokoi ojca. Lecz może minąć miesiąc, zanim to się stanie.

W jakimś momencie Dimitri będzie chciał opuścić wyspę. Prawdopodobnie już wkrótce, skoro miał skarb w rękach. Czy ona pojedzie z nim, czy nie i czy uda jej się uciec, zależało wyłącznie od jego kaprysu. A ona nie miała ochoty, by jej los zależał od zachcianki człowieka, który używa różu i płaci innym za zabijanie.

Przemierzała więc apartament przez całe popołudnie, wymyślając i odrzucając takie plany, jak związanie razem kilku prześcieradeł i spuszczenie się po nich z okna, czy bardziej skomplikowane, jak wyłobienie sobie przejścia w ścianie za pomocą noża.

Na koniec ubrała się w sukienkę z cienkiego jedwabiu w kolorze kości słoniowej, z naszytymi perełkami.

Przez ponad dwie godziny siedziała naprzeciwko Dimitriego przy długim, eleganckim mahoniowym stole, który połyskiwał delikatnie pod wpływem światła rzucanego przez dwa tuziny świec. Od ślimaków aż po suflet i dom perignon posiłek był dopracowany w każdym szczególe. Gdzieś z daleka dochodziła muzyka Chopina, kiedy rozmawiali o literaturze i sztuce.

Dimitri był bezsprzecznie koneserem w tych sprawach i miałyby wstęp do najbardziej ekskluzywnego klubu. Zanim posiłek się skończył, poddali głębokiej analizie sztukę Tennessee Williamsa, omówili zawiłości francuskich ekspresjonistów i roztrząsali subtelności Mikada.

Kiedy suflet roztapiał się w jej ustach, Whitney zatęskniła nagle za kleistym ryżem i owocami, które spożywali wspólnie z Dougiem w jaskini.

W trakcie gładkiej konwersacji z Dimitrim przypominały jej się wszystkie rozmowy i sprzeczki z Dougiem. Zimny jedwab chłodził jej ciało. Przełandałaby natychmiast tę pięćsetdolarową sukienkę za sztywny bawełniany worek, w który musiała się ubrać w czasie ich wędrówki na wybrzeże.

W obecnej sytuacji, kiedy jej życie wisiało na włosku, trudno było powiedzieć, że czuje się znudzona. Po prostu była nieszczęśliwa.

- Wygląda, jakbyś błądziła myślami daleko stąd, moja droga.

- Tak? - Whitney oprzytomniała. - To wspaniałe przyjęcie, panie Dimitri.

- Może nieco zbyt monotonne. Młoda, pełna życia kobieta pragnie czegoś bardziej podniecającego. - Z życzliwym uśmiechem wcisnęła guzik znajdujący się z boku stołu. Prawie natychmiast pojawił się na biało ubrany wschodni służący. - Panna MacAllister i ja wypijemy kawę w bibliotece. Jest bardzo bogata - dodał, kiedy służący wyszedł z pokoju. - Ciesz się, że dzielisz moje zamiłowanie do słowa pisanego.

Mogła odmówić, lecz okazja zobaczenia większej części domu mogła przyczynić się do znalezienia drogi ucieczki. Nie zaszkodzi zdobyć pewną przewagę, zdecydowała. Uśmiechnęła się i wsunęła niepostrzeżenie nóż do wieczorowej torebki, którą położyła przy talerzu.

- To przyjemność spędzić wieczór z mężczyzną, który potrafi docenić bardziej subtelne rzeczy.

Wstała, zamykając torebkę. Przyjęła podane ramię, postanawiając, że bez skrupułów wbije mu nóż w serce przy pierwszej sposobności.

- Kiedy człowiek podróżuje tak jak ja, konieczne jest zabieranie pewnych towarów importowych. Dobrego wina, dobrej muzyki, kilku tomów literatury.

Szedł niespiesznie korytarzem, rozsiewając subtelny zapach wody kolońskiej. Elegancka biała marynarka leżała na nim nienagannie.

Czuł się życzliwie i tolerancyjnie usposobiony do świata. Tyle tygodni upłynęło, od kiedy ostatni raz jadł obiad z młodą, piękną kobietą. Otworzył wysokie podwójne drzwi biblioteki i wprowadził ją do środka.

- Rozejrzyj się, jeśli masz ochotę, moja droga - powiedział, wskazując na rzędy półek.

Pokój miał drzwi wychodzące na taras. Zarejestrowała to natychmiast w pamięci. Jeśli istniał jakiś sposób, by się stąd wydostać w nocy, to mógł to być jeden z nich. Pozostanie jej ominiecie strażników. I broni.

Nie wszystko naraz, pomyślała, przesuwając palcem po oprawnych w skórę tomach.

- Mój ojciec ma taką bibliotekę - powiedziała. - Zawsze uważałam, że to przyjemne miejsce na spędzanie wieczoru.

- Jeszcze przyjemniejsze z kawą i brandy. - Dimitri właśnie nalewał brandy, kiedy wszedł służący ze srebrną zastawą. - Proszę, oddaj nóż Chanowi, moja droga. On jest bardzo wymagający, jeśli chodzi o porządek.

Whitney odwróciła się i zobaczyła, że Dimitri patrzy na nią z nikłym uśmiechem i wzrokiem przypominającym gada - płaskiego, zimnego i niebezpiecznie cierpliwego.

Bez słowa wyjęła nóż i podała służącemu. Wszystkie przekleństwa, które miała na końcu języka, z trudem powstrzymana wściekłość na nic by się w tym wypadku nie zdały.

- Brandy? - zapytał Dimitri, kiedy Chan zostawił ich samych.

- Tak, proszę. - Równie opanowana jak on, Whitney przeszła przez pokój i wyciągnęła rękę po kieliszek.

- Czyżbyś chciała mnie zabić stołowym nożem, moja droga?

Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk brandy.

Alkohol zawirował w żołądku.

- Przyszło mi to do głowy.

Wybuchnął długim, dudniącym śmiechem, który zabrzmiał potwornie. Ponownie stanęła mu przed oczami modliszka i zmagania émy.

- Podziwiam cię, Whitney, naprawdę. - Stuknął kieliszkiem o jej kieliszek, zamieszał trunek i wypił. - Sądzę, że pewnie chciałybyś obejrzeć skarb. W końcu nie miałaś na to zbyt wiele czasu, prawda?

- Nie, Remo bardzo się spieszył.

- To moja wina. - Dotknął lekko jej ramienia. - Płonałem z niecierpliwości, by cię poznać. Aby się poprawić, daję ci teraz tyle czasu, ile będziesz chciała.

Podszedł do półek na wschodniej ścianie i wepchnął w głąb partię książek. Whitney bez zdziwienia rozpoznała sejf. Była to dość prosta skrytka. Zastanowiło ją tylko, jak się dowiedział, że ona tam się znajduje. Podniosła kieliszek do ust. Z pewnością nie było takiego miejsca w tym domu, o którym by gospodarze nie powiedzieli, zanim... mu go oddali.

Nie starał się ukryć przed nią kombinacji cyfr. Cholernie pewny siebie, stwierdziła, zapamiętując kolejność. Ktoś taki zasługuje na potężnego kopa w tyłek.

- Ach- westchnął na widok skrzynki, jakby zobaczył wspaniałe jedzenie. Zdażył ją już wyczyścić, bo drewno błyszczało. - To wspaniały okaz dla kolekcjonera.

- Tak. - Whitney zamieszała brandy. Nie piła jeszcze tak delikatnego gatunku. Jak by to było wspaniale chlusnąć mu nią w twarz. - To samo sobie pomyślałam.

Trzymał pudełko ostrożnie, z wahaniem, jak ojciec nowo narodzone dziecko.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś z tak delikatnymi rękami jak twoje mógł kopać w ziemi.

Whitney uśmiechnęła się, przypominając sobie, przez co przeszły jej delikatne ręce w ciągu ostatniego tygodnia.

- Nie mam zdolności manualnych, lecz ta była konieczna. - Popatrzyła krytycznie na swoje paznokcie. Muszę przyznać, że miałam w planie manikiur, kiedy Remo pojawił się z... pańskim zaproszeniem. To małe przedsięwzięcie niezbyt dobrze wpłynęło na moje ręce.

- Postaramy się coś na to zaradzić. Tymczasem - postawił • skrzynkę na szerokim bibliotecznym stole - korzystaj z okazji.

Podeszła do pudełka i uniosła wieko. Klejnoty robiły równie imponujące wrażenie jak wtedy, gdy ujrzała je po raz pierwszy. Sięgnęła głębiej i wyjęła naszyjnik z brylantami i szafirami, który tak podziwiał Doug. Nie, pożerał

go oczami, przypomniała sobie z półuśmiechem. Od tego momentu zaczęła się ich sprzeczka.

- Bajeczne. - Westchnęła. - Absolutnie bajeczne. Przy tym błędną nawet perły.

- Trzymasz w ręku około ćwierci miliona dolarów.

- Brzmi wspaniale. - Uśmiechnęła się.

Serce zaczęło mu szybciej bić, kiedy patrzył na nią, jak bawi się naszyjnikiem. Podobnie mogła robić królowa na krótko przed jej upokorzeniem i śmiercią.

- Takie klejnoty potrzebują kobiecej oprawy.

- Tak. - Zaśmiała się i przyłożyła je sobie do szyi. Szafiry błysnęły jak czarne, pełne blasku oczy. Brylanty zadrżały ekscytująco. - Są cudowne i bez wątpienia kosztowne, lecz ten... - Odłożyła szafirowy naszyjnik i wyjęła inny, składający się z kilku sznurów brylantów. - Ten dopiero robi wrażenie. Jak pan myśli, czy Marii udało się go odebrać hrabinie?

- Sądzisz więc, że to jest ten niesławny naszyjnik z afery brylantowej? - Poczował się mile zaskoczony.

- Chciałabym, żeby tak było. - Uniosła naszyjnik, by zabłysnął w świetle. Miała wrażenie, jakby dotykała ognia i lodu jednocześnie. Coś podobnego mówił Doug o brylancie Sydneya. - Myślę, że była na tyle sprytna, by odwrócić role tych, którzy chcieli się nią posłużyć. - W zamyśleniu zaczęła przymierzać bransoletę z rubinami. - Gerald Lebrun żył jak żebrak z królewskim okupem pod podłogą. Dziwne, nie sądzi pan?

- Wierność jest dziwna, dopóki nie potęguje jej strach. - Wziął z jej rąk naszyjnik i zaczął go oglądać. Po raz pierwszy zobaczyła chciwość bez osłony. Oczy błyszczały mu jak Barnsowi, kiedy przytknął jej rewolwer do kolana. Wysunął język i zwilżył nim wargi. Kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie dźwięczała żarliwość głosiciela ewangelii. - Rewolucja to fascynujący okres wrzenia, śmierci i zemsty. Czy nie czujesz tego, trzymając w rękach te skarby? Krew, rozpacz, żądza, przemoc. Wieśniacy i politycy obalają wielowiekową monarchię. Jak? - Uśmiechnął się do niej z brylantami połys-

kującymi mu w rękach i gorączką płonąca w oczach. - Za pomocą strachu. Jakież może być odpowiednie określenie od rządów terroru? Cóż może być lepszą zdobyczą od unicestwienia królewskiej próżności?

Czerpał rozkosz z tych słów. Dostrzegła to w jego oczach. To nie klejnotów pragnął, lecz krwi, którą były splamione. Poczwała, że jej strach znika. Doug miał rację. Liczył się tylko wyścig. A ona nadal w nim uczestniczyła.

- Taki człowiek jak Lord odsprzedałby wszystko paserowi za cząstkę zaledwie wartości. Prostack. - Uniosła kieliszek do ust. - Taki człowiek jak pan postąpiłby inaczej.

- Spostrzegawcza i piękna. - Ze swoją drugą żoną ożenił się dlatego, że jej skóra była biała jak świeża śmietanka. Pozbył się jej, bo miała mózg o podobnej konsystencji. Whitney intrygowała go coraz bardziej. Już spokojniej przesunął bransoletę między palcami. - Mam zamiar nacieszyć się skarbem. Pieniądze mało dla mnie znaczą. Jestem bardzo bogaty. - Powiedział to z pewną dumą. Bogactwo jest równie ważne jak męskość, jak intelekt. Nawet ważniejsze, tuszuje bowiem brak pozostałych. - Kolekcjonowanie... - przesunął palcem po bransolecie na ręku Whitney - przedmiotów stało się moim hobby. Obsesyjnym hobby w miarę upływu lat.

Może to sobie nazywać hobby, pomyślała. Iluż ludzi zginęło z powodu tego pudełka i jego zawartości, a znaczyło ono dla niego tyle co garść błyszczących kamyków dla chłopca. Starła się ze wszystkich sił nie pokazać po sobie kotłującej się w jej duszy burzy uczuć i powstrzymać oskarżycielski ton głosu.

- Czy uznałby pan to za lichy żart, gdybym powiedziała, że chciałabym, aby to wyjątkowe hobby nie udawało się panu tak dobrze? - Westchnęła i przesunęła ręką po mieniących się klejnotach. - Miałam na nie wielką ochotę.

- Przeciwnie, podziwiam twoją szczerość. - Zostawił ją przy skrzynce i poszedł nalać kawę do filiżanek. - I wnioskuje, że ciężko się napracowałaś, by je zdobyć.

- Tak, ja... - przerwała. - Ciekawi mnie, jak się pan dowiedział o skarbie?

- Interesy. Śmietanki, moja droga?

- Nie, dziękuję, bez. - Starając się stłumić niecierpliwość, Whitney podeszła do stolika z kawą.

- Czy Lord mówił ci o Whitakerze? - zapytał Dimitri.

Wzięła filiżankę i zmusiła się, by usiąść.

- Tylko że zdobył te papiery i chce je sprzedać.

- Whitaker był głupcem, lecz momentami dość sprytnym. Był kiedyś współnikiem Harolda R. Bennetta. Wiesz, kto to?

- Oczywiście. - Powiedziała to lekko, usiłując go sobie przypomnieć w popłochu. Czy Doug mówił coś o generale? Tak, był taki generał, który pertraktował z lady Smythe-Wright w sprawie papierów. - Bennett jest emerytowanym generałem i niezłym biznesmenem. Miał jakieś sprawy z moim ojcem, na gruncie zawodowym i na polu golfowym, co się do jednego sprowadza.

- Zawsze wolałem szachy od golfa - stwierdził Dimitri. Przy jedwabnej sukni koloru kości słoniowej bransoleta jaśniała tak mocno, że mogłaby zastąpić szklaną królową schowaną teraz w kasetce. Pamiętał, jak dobrze przylegała mu do ręki. - Więc wiesz, czym się zajmuje generał Bennett?

- Jest znanym mecenasem sztuki i kolekcjonerem tego, co stare i unikatowe. Kilka lat temu poprowadził ekspedycję na Karaiby i odnalazł zatopiony hiszpański galeon. Odzyskał pięć i pół miliona w przedmiotach, monetach i klejnotach. To, co Whitaker zamierzał zrobić, Bennett wprowadzał w czyn. I z wielkim sukcesem.

- Jesteś dobrze poinformowana. Podoba mi się to. - Dołał śmietanki i wsypał dwie czubate łyżeczki cukru. - Bennett lubi polowania, że się tak wyrażę. Egipt, Nowa Zelandia, Kongo, we wszystkich tych miejscach okazał się nieoceniony. Według Whitakera brał udział w pierwszej fazie negocjacji z lady Smythe-Wright w sprawie papierów.

Whitaker miał znajomości i pewien urok działający na kobiety. Sprzątnął Bennettowi interes sprzed nosa. Lecz, niestety, był amatorem.

- Więc od niego dowiedział się pan, gdzie są papiery, i wynajął Douglasa, by je ukradł? - zapytała Whitney ze ściśniętym sercem.

- Nabył - skorygował delikatnie. - Whitaker odmówił. Nawet pod przymusem nie chciał udzielić mi informacji na temat treści tych dokumentów. Powiedział jedynie, że zainteresowanie Bennetta wynika przede wszystkim z historycznej wartości skarbu. Naturalnie trudno było mi się oprzeć, kiedy w grę wchodził skarb należący do Marii Antoniny, którą podziwiam głównie ze jej bogactwo i ambicje.

- Oczywiście. Jeśli nie ma pan zamiaru sprzedać zawartości tego pudełka, to co pan chce z nią zrobić?

' - Po prostu mieć, Whitney. - Uśmiechnął się do niej. - Bawić się tym skarbem, patrzeć na niego, posiadać go.

Choć postawa Douga rozczarowała ją, była w stanie ją zrozumieć. On traktował skarb jako środek do celu. Dimitri natomiast chciał go widzieć jako osobistą własność. Tysiące argumentów cisnęło jej się na usta, lecz powstrzymała je.

- Jestem pewna, że Maria Antonina by to pochwaliła.

Uśmiechnął się i spojrzał na sufit. Monarchia była kolejną jego fascynacją.

- Zapewne tak. Chciwość zalicza się do jednego z siedmiu grzechów głównych, lecz tylko niewielu rozumie, jaką można czerpać z niej przyjemność. - Dotknął ust Inianą chusteczką i wstał. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi, moja droga, ale mam zwyczaj wcześniej chodzić spać. - Wcisnął mały przycisk umieszczony przemyślnie w gzymsie kominka. - Może chciałabyś wybrać sobie jakąś książkę, zanim pójdziesz na górę?

- Proszę się mną nie przejmować, panie Dimitri. Chętnie zostanę tu chwilę sama, popatrzę sobie na te książki.

Z uśmiechem dotknął jej ręki.

- Może innym razem, Whitney. Jestem pewny, że potrzebujesz wypoczynku po przeżyciach ostatnich dni. - Rozległo się ciche pukanie do drzwi. - Remo odprowadzi cię do pokoju. Przyjemnych snów.

- Dziękuję.

Odstawiła filiżankę na tacę i wstała, lecz zanim zrobiła więcej niż dwa kroki, ręka Dimitriego zacisnęła się wokół jej nadgarstka. Popatrzyła na wypolerowane paznokcie i kikut małego palca.

- Bransoleta, moja droga. - Palce zaciskały się tak mocno, że mogły zedrzeć skórę z ręki.

Nawet się nie skrzywiła.

- Przepraszam - powiedziała lekko, wyciągając rękę.

Dimitri odpiął złote, wysadzone rubinami cudo.

- Mam nadzieję, że będziesz mi towarzyszyć przy śniadaniu.

- Oczywiście. - Zatrzymała się przy drzwiach, czekając, aż Dimitri je otworzy. Przez chwilę stała uwięziona pomiędzy nim a Remem. - Dobranoc.

- Dobranoc, Whitney.

Zachowała chłodne milczenie, dopóki drzwi saloniku nie zamknęły się za nią.

- Sukinsyn. - Płonąc oburzeniem, zdjęła delikatne włoskie pantofelki i cisnęła je o ścianę.

Uwięziona, pomyślała. Zamknięta tak dokładnie, jak skrzynka ze skarbem, który posłuży jako obiekt do patrzenia, pieszczenia i posiadania.

- Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie - powiedziała głośno. Chciało jej się płakać, wyć i walić pięściami w drzwi. Nie pozostało jej jednak nic innego jak ściągnąć jedwabną suknię, zostawić ją na podłodze i pójść do sypialni.

Znajdzie jakiś sposób, przyrzekła sobie, znajdzie sposób, by się stąd wydostać, a wówczas Dimitri zapłaci za każdą minutę uwięzienia.

Na moment oparła głowę o szafę, chęć rozplakania się bowiem była tak przemożna, że z trudem zdołała się powstrzymać.

Po chwili uspokoiła się i sięgnęła do szafy po wyszywane niebieskie kimono. Musi pomyśleć, musi wszystko dokładnie przemyśleć. Zapach kwiatów przeniknął do pokoju. Trzeba zaczerpnąć powietrza, pomyślała, i podeszła do oszklonych drzwi, wychodzących na mały balkon. Zaciskając zęby, szarpnęła za klamkę. Zbiera się na deszcz, pomyślała. To dobrze, deszcz i wiatr mogą rozjaśnić jej w głowie. Oparła ręce na balustradzie i zapatrzyła się na zatokę.

W jaki sposób się w to wszystko wplątała? Odpowiedź była jedna i składała się z dwóch wyrazów. Doug Lord.

Żyła sobie spokojnie, kiedy on wkroczył w jej życie i wplątał ją w tę całą awanturę ze skarbem, mordercami i złodziejami. Siedziałyby sobie teraz w jakimś miłym, zadmionym klubie, obserwując rewię mody i fryzur, zamiast tkwić tu uwięziona jak królowna w wieży.

Tymczasem była zamknięta w willi na Madagaskarze z uśmiechającym się mordercą w średnim wieku i jego obstawą. W Nowym Jorku to ona miałaby obstawę i nikt nie ośmieliłby się zamknąć jej na klucz.

- Doug Lord - mruknęła półgłosem i nagle zdrętwiała, kiedy jakaś ręka zacisnęła się na jej dłoni opartej o balustradę. Wciągnęła powietrze w płuca, by wrzasnąć, kiedy ukazała się głowa.

- Tak, to ja - powiedział Doug przez zęby. - A teraz pomóż mi wejść, do diabła.

Zapomniała natychmiast, co jeszcze przed chwilą o nim myślała, i zaczęła obsypywać jego twarz pocałunkami. Kto powiedział, że nie ma żadnego siódmego oddziału kawalerii?

- Doceniam twoje powitanie, złotko, lecz za chwilę spadnę. Podaj mi rękę.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytała, kiedy już wdrapał się

na balustradę. - Straciłam nadzieję, że się zjawisz. Wszędzie są strażę z tymi swoimi odrażającymi urządzeniami. Moje drzwi są zamknięte od zewnątrz i...

- Jezu, gdybym wiedział, że masz takie gadane, nie marwiłbym się. - Zeskoczył lekko na balkon.

- Douglas... - Znowu jej się zbierało na płacz, ale powstrzymała łzy. - To bardzo miło, że wpadłeś.

- Tak? - Przez oszklone drzwi wszedł do eleganckiej sypialni. - No cóż, nie byłem pewny, czy masz ochotę na towarzystwo, zwłaszcza po tym miłym, kameralnym obiedzie z Dimitrim.

- Widziałeś nas?

- Byłem w pobliżu. - Odwrócił się i dotknął jedwabnego brzegu szlafroka. - On ci to dał?

Otworzyła szeroko usta, a oczy jej się zwięziły.

- Co ty sugerujesz?

- Wygląda na miły układ. - Podszedł do serwantki i zdjął korek z kryształowego słoiczka z perfumami. - Wszystkie udogodnienia, co?

- Nie cierpię mówić rzeczy oczywistych, ale jesteś świnia.

- A ty kim jesteś? - Z rozmachem włożył korek na miejsce. - Paradujesz sobie w fantastycznych jedwabnych sukienkach, które dla ciebie kupił, popijasz z nim szampana, pozwalasz mu się dotykać!

- Dotykać? - Powiedziała to wolno, przeciągając zgłoski.

Doug obrzucił ją taksującym spojrzeniem, poczynając od gołych nóg, a kończąc na mlecznobiałej szyi.

- Doskonale wiesz, jak czarować, co, złotko? Jaką masz klientelę?

Odmierzając każdy krok, podeszła do niego, zamachnęła się i wymierzyła mu siarczysty policzek. Nastąpiła teraz długa chwila, w której słychać było jedynie ich przyspieszone oddechy i wściekłe uderzenia wiatru o szyby.

- Raz ci się udało - powiedział cicho Doug, pocierając policzek wierzchem dłoni. - Lecz więcej nie próbuj. Nie jestem takim dżentelmenem jak twój Dimitri.

- Wyjdź stąd! - szepnęła. - Wynoś się do diabła! Nie jesteś mi potrzebny.

Coś się w nim załamało, coś, co daleko przewyższało ból policzka.

- Przecież wszystko widziałem!

- Niczego nie widziałeś.

- Powiem ci, co widziałem, złotko. Zobaczyłem pusty apartament hotelowy. Zobaczyłem, że ty i pudełko zniknęliście. A potem ujrzałem cię tutaj, tulącą się do tego drania nad baraniną z rusztu.

- Wolałbyś mnie zobaczyć przywiązaną do nogi od łóżka z bambusowymi pędami pod paznokciami? - Odwróciła się od niego. - Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- To dlaczego mi nie powiesz, co się tu, u diabła, dzieje?

- Dlaczego nie powiem? - Z wściekłością otarła łzę wierzchem dłoni. Cholera, nie chciała się rozpłakać. Najgorsze, że nie chciała płakać z powodu tego mężczyzny. - Przecież już wszystkiego się dowiedziałeś tym swoim ograniczonym umysłem!

Doug przeciągnął ręką po włosach i pomyślał, że napiłby się czegoś.

- Byłem jak szalony przez te kilka godzin. Całe popołudnie szukałem tego domu, a potem musiałem jeszcze wyprowadzić w pole strażników. - Nie dodał, że jeden z nich leży w krzakach z poderżniętym gardłem. - Kiedy tu dotarłem, ujrzałem ciebie ubraną jak księżniczkę, uśmiechającą się przez stół do Dimitriego, jakbyście byli najlepszymi przyjaciółmi.

- A cóż, u diabła, miałam robić? Biegać w kółko naga i napluć mu w oko? Do cholery, przecież moje życie wisiało na włosku. Musiałam grać tę komedię, dopóki nie znajdę sposobu na wydostanie się stąd. Możesz mnie nazywać tchórzem, jeśli chcesz, ale nie dziwką. - Odwróciła się do niego, oczy miała mokre i pałające gniewem. - Nie dziwką, rozumiesz?

Poczuł się tak, jakby właśnie uderzył coś małego, miękkiego i bezbronnego. Nie miał pewności, czy znajdzie ją żywą, a kiedy wreszcie ją odnalazł, wydała mu się taka

spokojna, taka piękna. A co gorsza, taka królewska. Lecz czy nie powinien był jej poznać do tego czasu?

- Nie miałem tego na myśli. Przepraszam. - Zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Wyjął różę z wazonu i złamał łodygę. - Na rany Chrystusa, nie wiedziałem, co mówię. Oszalałem, kiedy wróciłem do hotelu i zobaczyłem, że cię nie ma. Wyobraziłem sobie różne rzeczy, również i to, że zjawię się za późno, żeby ich powstrzymać.

Popatrzył obojętnie na małą kropelkę krwi na palcu w miejscu, gdzie przebił go kolec. Wzjął głęboki oddech i powiedział cicho:

- Do diabła, Whitney, niepokoiłem się o ciebie, naprawdę. Nie wiedziałem, co tutaj zastanę.

Wytarła kolejną łzę i pociągnęła nosem.

- Martwiłeś się o mnie?

- Tak. - Wzruszył ramionami, a potem cisnął okaleczoną różę na podłogę. Nie było sensu opisywać jej panicznego strachu, wyrzutów sumienia, smutku, z jakimi żył w ciągu tych nie kończących się godzin. - Nie chciałem tak na ciebie napaść.

- Czy to są przeprosiny?

- Tak, do diabła! - Odwrócił się wściekły i zawiedziony. - Czy chcesz, żebym się czołgał?

- Może. - Uśmiechnęła się i podeszła do niego. - Może później.

- Chryste! - Ręce mu się trochę trzęsły, kiedy ujął jej twarz, lecz pocałunek był mocny i nieco desperacki. - Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę.

- Wiem. - Przytuliła się do niego, czując szaloną ulgę. - Potrzymaj mnie przez chwilę.

- Kiedy się stąd wydostaniemy, będę cię trzymał tak długo, jak zechcesz. - Odsunął ją od siebie. - Musisz mi powiedzieć, co się stało i jak wygląda sytuacja.

Kiwnęła głową i usiadła na brzegu łóżka. Dlaczego trzęsą się jej kolana teraz, kiedy istnieje jakaś nadzieja?

- Remo i ten potwór Barns się zjawili.

Dostrzegł, jak szybko i nerwowo przełknęła ślinę, i sklął siebie w duchu ponownie.

- Zranili cię?

- Nie. Nie minęło wiele czasu. Właśnie miałam wziąć kąpiel.

- Dlaczego nie zatrzymali cię tam do mojego powrotu?

Whitney uniosła stopę i przyjrzała się swoim palcom.

- Bo powiedziałam, że cię zabiłam.

Na jego twarzy malowało się przez krótką chwilę ogromne zaskoczenie.

- Co takiego?

- No cóż. Nietrudno było ich przekonać, że jestem o wiele sprytniejsza od ciebie i że władowałam ci kulkę w głowę po to, by cały skarb zagarnąć dla siebie. W końcu każdy z nich przy pierwszej okazji zrobiłby to samo, a poza tym umiałam ich przekonać.

- Sprytniejsza ode mnie?

- Nie bądź taki drażliwy, kochanie.

- I oni to kupili? - Niezbyt tym zachwycony, wsunął ręce w kieszenie. - Uwierzyli, że taka chuda dziewczyna była szybsza ode mnie? Jestem zawodowcem.

- Nie chciałam zaszargać ci reputacji, ale uznałam, że to w tym momencie najlepszy pomysł.

- Dimitri też to kupił?

- Częściowo. Postanowiłam zgrywać materialistkę, kobietę bez skrupułów, która tylko czeka na okazję. Chyba go oczarowałam.

- Założę się, że tak.

- Chciałam mu pluć w twarz - powiedziała z takim żarem, że Doug aż uniół brew. - I nadal czekam na okazję. On nie jest ludzką istotą, on po prostu ześlizguje się z miejsca na miejsce, pozostawiając za sobą śluzowaty, obleśny ślad, wypluwając z siebie zamiłowanie do pięknych rzeczy. Chce gromadzić skarby, jak mały chłopiec zbiera nalepki. Chce otwierać tę skrzynkę, patrzeć, pieścić ją oczami i myśląc o krzykach ludzi, kiedy spada gilotyna. Chce na nowo

przeżywać strach, widzieć krew. To jest dla niego najważniejsze. Życie tych wszystkich nieszczęśników, których zgładził, by zdobyć skarb, nic dla niego nie znaczy. - Zaciśnięła palce na muszelce Jacques'a. - Oni nic dla niego nie znaczyli.

Doug ukląkł przed nią.

- Oboje spluniemy mu w twarz. - Po raz pierwszy zaciśnięła palce na muszelce. - Obiecuję. Wiesz, gdzie on to ukrył?

- Skarb? - Zimny uśmiech przebiegł jej przez twarz. - O tak, z jaką przyjemnością mi go pokazywał. Był tak cholernie pewny siebie, tak pewny, że już mnie przygwoździł.

Doug pociągnął ją za rękę.

- Więc chodźmy go odzyskać, złotko.

Otwarcie zamka zajęło mu mniej niż dwie minuty. Wystawił ostrożnie głowę, by sprawdzić, czy w hallu nie ma strażników.

- W porządku, a teraz ruszamy szybko i cicho.

Whitney wsunęła rękę w jego dłoń i wyszła na korytarz. Wszędzie panowała cisza. Widocznie, kiedy Dimitri odpoczywał, wszyscy odpoczywali. Po ciemku zeszli po schodach na parter. Poczuli duszny zapach kwiatów i politory w salonie. Whitney gestem ręki wskazała, którądy mają iść. Trzymając się ściany, szli powoli w kierunku biblioteki.

Dimitri nie zatroszczył się, by zamknąć drzwi. Doug był nieco rozczarowany i trochę nieufny, że poszło tak łatwo. Wślizgnęli się do środka. Deszcz zaczął dzwonić o szyby. Whitney poszła prosto do półek na wschodniej ścianie i przesunęła partię książek.

- To tutaj - szepnęła. - Kombinacja jest taka: pięćdziesiąt dwa w prawo, trzydzieści sześć w lewo...

- Skąd znasz kombinację?

- Widziałam, jak otwierał.

Zaniepokojony sięgnął do gałki.

- Dłaczego, u diabła, nie zatarł śladów? - mruknął i zaczął obracać pokrętłem. - Dobra, co dalej?

- Pięć w lewo, potem dwanaście w prawo. - Wstrzymała

oddech, kiedy Doug przesunął w dół rączkę. Drzwi sejfu otworzyły się cicho.

- Chodź do tatusia - mruknął Doug, wyciągając pudełko. Zważył w ręku ciężar i uśmiechnął się do Whitney. Miał ochotę otworzyć je i jeszcze raz rzucić okiem, porozkoszować się zawartością. Będzie jeszcze na to czas.

- Zmywajmy się stąd.

- Doskonały pomysł. - Wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyła w stronę drzwi na taras. - Skorzystamy z tej drogi, by nie przeszkadzać gospodarzowi?

- To chyba najrozsądniejsze wyjście.

Kiedy sięgał do klamki, drzwi otworzyły się na oścież. Przed nimi stało trzech mężczyzn z pistoletami połyskującymi w deszczu. Stojący w środku Remo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Pan Dimitri chciałby wam przed odejściem postawić drinka.

- Zgadza się. - Drzwi do biblioteki otworzyły się i wkroczył Dimitri w swojej białej marynarce. - Nie mogę pozwolić, by moi goście wychodzili na deszcz. Proszę, wróćcie i usiądźcie. - Jak uprzejmy gospodarz, podszedł do baru i nalał brandy. - Moja droga, w tym kolorze jest ci wspaniale.

Doug poczuł, jak lufa pistoletu Rema wbija mu się w kręgosłup.

- Nie chciałbym się narzucać - powiedział.

- Nonsens. - Dimitri zamieszał brandy i odwrócił się. Za naciśnięciem guzika pokój zalał potok światła. Whitney przysięgłaby, że w tym momencie jego oczy nie miały żadnego koloru. - Siadajcie. - Cichy rozkaz zabrzmiał jak syk węża.

Naciskany przez lufę pistoletu Doug ruszył do przodu, w jednej ręce trzymając skrzynkę, a w drugiej dłoń Whitney.

- Nie ma nic lepszego niż brandy w deszczową noc - powiedział.

- Właśnie. - Dimitri podał im łaskawie dwa kieliszki. -

Whitney... - Jej imię wyszło razem z westchnieniem, kiedy wskazał jej krzesło. - Rozczarowałaś mnie.

- Nie zostawiłem jej wielkiego wyboru. - Doug obrzucił Dimitriego wyzywającym spojrzeniem. - Taka kobieta jak Whitney troszczy się o swoją skórę.

- Podziwiam rycerskość, zwłaszcza kiedy pochodzi z tak nieprawdopodobnego źródła. - Stuknął się kieliszkiem z Dougiem i wypił. - Niestety, przez cały czas zdawałem sobie sprawę z niefortunnego przywiązania Whitney do ciebie. Moja droga, czy naprawdę sądziłaś, że uwierzę, iż zastrzeliłaś pana Lorda?

Wzruszyła ramionami i choć jej ręce ślizgały się po kieliszku, wypiała.

- Sądzę, że będę jeszcze musiała nad tym popracować.

- W rzeczy samej, masz bardzo wymowne oczy. „W odbiciu twoich oczu dostrzegam smutek serca” - zacytował fragment z *Ryszarda II* swoim miękkim, poetyckim głosem. - Mimo to przyjemnie spędziłem ten wieczór.

Whitney wygładziła ręką krótkie kimono.

- Ja natomiast trochę się nudziłam.

Wargi Dimitriego zacisnęły się. Wszyscy w tym pokoju wiedzieli, że wystarczy jedno jego słowo, a ta kobieta zginie. On jednak zachichotał.

- Kobiety to takie niestałe stworzenia, zgodzi się pan ze mną, panie Lord?

- Niektóre wykazują wyjątkowo dobry smak.

- Dziwi mnie, że ktoś z taką klasą jak panna MacAllister mógł się zakochać w kimś takim jak pan. Ale... - wzruszył ramionami - romans zawsze stanowił dla mnie zagadkę. Remo, uwolnij, proszę, pana Lorda od tego pudełka. I broni. Połóż je na razie na stole. - W czasie kiedy wykonywano jego polecenie, Dimitri sęczył brandy i wydawał się dumać o wzniosłych sprawach. - Przypuszczałem, że będzie pan chciał odzyskać i pannę MacAllister, i skarb. Po tym gorączkowym okresie, po tej niezwykle intrygującej rozgrywce szachowej, którą prowadziliśmy, muszę przy-

znać, że jestem rozczarowany, iż dał się pan tak łatwo pokonać. Miałem nadzieję na coś bardziej ekscytującego na koniec.

- Jeśli odesłałbyś swoich chłopców, może moglibyśmy to nadrobić.

Wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał jak uderzenie lodu o lód.

- Obawiam się, że dni pojedynków na pięści skończyły się dla mnie bezpowrotnie, panie Lord. Wolę bardziej subtelne formy prowadzenia dyskusji.

- Jak nóż w plecy?

Dimitri lekko uniósł brew w odpowiedzi na pytanie Whitney.

- Jestem zmuszony przyznać, że w walce wręcz daleko bym panie prześcignął, panie Lord. W końcu jest pan młody i sprawniejszy fizycznie. Obawiam się, że będę zmuszony zażądać pomocy od mojego personelu. Teraz... - dotknął palcem warg - cóż my zrobimy z taką sytuacją?

On się tym bawi, pomyślała Whitney ponuro. Jest jak pająk, radośnie snujący swą sieć, by złapać w nią muchy i wysysać z nich krew. Chciał zobaczyć, jak się będą pocić.

Ponieważ sytuacja przedstawiała się tragicznie, wsunęła rękę w dłoń Douga i ścisnęła mocno. Nie będą się czołgać i, na Boga, nie będą się pocić.

- Widzę to tak, panie Lord, pański los jest już przesądzony. Krótko mówiąc, dla mnie jest pan martwy. Pozostaje tylko sprawa sposobu.

Doug wypił łyk brandy i uśmiechnął się.

- Nie będę cię popędzał.

- Nie, nie. Wiele o tym myślałem. Bardzo wiele. Niestety, nie mam tu możliwości na zorganizowanie tego tak, jak lubię. Lecz myślę, że Remo ma wielką ochotę się tym zająć. Choć nie popisał się w całej sprawie, to myślę, że dzięki końcowemu sukcesowi zasługuje na nagrodę. - Wyciągnął jeden ze swych drogich czarnych papierosów. - Daję

ci, Remo, pana Lorda. - Zapalił papierosa i wydmuchnął gęstą chmurę dymu. - Zabij go powoli.

Doug poczuł zimną lufę pistoletu przy uchu.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli dokończę brandy?

- Proszę bardzo. - Łaskawie kiwnął głową i zwrócił się do Whitney. - Jeśli o ciebie chodzi, moja droga, myślałem, że spędzimy razem jeszcze kilka dni. Sądziłem, że moglibyśmy z tego czerpać obopólne korzyści. Jednak... - strzepnął popiół do kryształowej popielniczki - w tych okolicznościach mogłyby wynikać pewne komplikacje. Jeden z moich ludzi zachwyił się tobą, od kiedy pokazałem mu twoje zdjęcie. To miłość od pierwszego wejrzenia. - Przesunął ręką po swych rzednących włosach. - Barns, bierz ją z moim błogosławieństwem. Ale zrób to tym razem porządnie.

- Nie! - Doug zerwał się z krzesła. Natychmiast jego ręce zostały wykręcone do tyłu, a lufa wymierzona w gardło. Mimo to próbował walczyć, słysząc chichot Barnsa. - Ona jest więcej warta - rzucił desperacko. - Jej ojciec zapłacił wam milion, by ją dostać z powrotem. Nie bądź głupcem, Dimitri. Oddając ją tej nędznej kreaturze, stracisz wspaniałą okazję.

- Nie wszyscy myślą tylko o pieniądzach, panie Lord - powiedział spokojnie Dimitri. - To sprawa zasady. Wierzę równie mocno w nagrodę jak i w dyscyplinę. Jego wzrok przesunął się po okaleczonej ręce. - Tak, równie mocno. Zabierz go, Remo, robi straszne zamieszanie.

- Zabierz swoje łapska ode mnie! - Whitney zerwała się z krzesła i chlusnęła Barnsowi w twarz zawartością kieliszka. Z wściekłością, która dodała jej siły, ścisnęła rękę w pięść i wyrznęła go prosto w nos. Jego kwik i strumień krwi były najlepszą zapłatą.

Doug wziął z niej przykład, szarpnął się w tył i kopnął w brodę mężczyznę stojącego przed nim. W jednej chwili mogło być po nich, gdyby Dimitri nie powstrzymał swoich ludzi. Bawiło go obserwowanie walki z góry skazanej na

niepowodzenie. Spokojnie wyjął z wewnętrznej kieszeni derringera i wypalił w sufit.

- Wystarczy - powiedział, jak gdyby mówił do wrzaskliwych wyrostków. Patrzył pobłaźliwie, jak Doug przyciąga Whitney do siebie. Uwielbiał tę szekspirowską tragedię, która opowiada o nieszczęśliwych kochankach, nie tylko ze względu na bogactwo języka, ale ze względu na ich beznadziejną sytuację. - Jestem rozsądnym człowiekiem i w głębi serca romantykiem. By dać wam trochę więcej czasu, panna MacAllister może towarzyszyć Remowi w czasie egzekucji.

- Egzekucji! - Whitney plunęła na niego jadem zdesperowanej kobiety. - Morderstwo brzmi zbyt prostacko i zimno, co Dimitri? Oszukujesz siebie, uważając, że jesteś taki kulturalny i elegancki. Czy myślisz, że jedwabna marynarka skryje to, kim naprawdę jesteś i kim nigdy nie będziesz? Nie jesteś nikim więcej jak sępem żywiącym się padliną. Nawet sam nie zabijasz.

- Zasadniczo nie. - Jego głos stał się lodowaty. Ci z ludzi, którzy już go słyszeli, zamarli. - Jednak w tym wypadku może zrobię wyjątek. - Opuścił nieco derringera.

Drzwi na taras rozwarły się z trzaskiem; posypało się szkło.

- Ręce do góry! - Rozkaz wypowiedziano tonem autorytatywnym, po angielsku, z klasycznym, francuskim akcentem.

Doug, nie czekając na wynik, ukrył Whitney za krzesłem. Zobaczył, że Barns chwytą za pistolet. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Dom jest otoczony. - Dziesięciu umundurowanych policjantów wpadło do biblioteki z karabinami gotowymi do strzału. - Franco Dimitri, jesteś aresztowany pod zarzutem popełnienia morderstwa, planowania morderstwa, porwania...

- Jasna cholera! - mruknęła Whitney, kiedy lista się wydłużała. - To naprawdę jest kawaleria.

- Tak. - Doug odetchnął z ulgą, obejmując ją. Jest też policja, pomyślał. Jeśli o niego chodzi, to nie wyjdzie na tym najlepiej.

Zobaczył, doznając uczucia jakiejś nieuchronności i niechęci, że w drzwiach staje mężczyzna w białej panamie.

- Powiniennem wyczuć glinę - mruknął.

Do pokoju wkroczył energicznie mężczyzna ze strzechą białych włosów.

- No dobrze, a gdzie dziewczyna? - zapytał.

Doug spostrzegł, że oczy Whitney robią się okrągłe i tak wielkie, że niemal zajmują całą twarz. Nagle, z wybuchającym gdzieś z głębi chichotem, wyskoczyła zza krzesła.

- Tata!

Niewiele czasu zajęło policji małgaskiej oczyszczenie pokoju. Whitney patrzyła, jak kajdanki zatraskują się wokół nadgarstków Dimitriego, tuż przy grubych szmaragdowych spinakach do mankietów.

- Whitney, panie Lord. - Jego głos pozostał miękki, kulturalny, spokojny. Człowiek z jego pozycją rozumiał czasowe niepowodzenia. Lecz jego oczy, kiedy na nich spojrzął, były bez wyrazu jak u kozła. - Jestem pewny, że się jeszcze spotkamy.

- Zobaczymy cię w wiadomościach o jedenastej - powiedział Doug.

- Jestem pańskim dłużnikiem. - Dimitri skinął głową. - A ja zawsze płacę swoje długi.

Whitney napotkała jego wzrok i uśmiechnęła się. Jeszcze raz jej palce powędrowały do muszelki na szyi.

- Za Jacques'a - powiedziała cicho. - Mam nadzieję, że znajdą dla pana wystarczająco ciemną dziurę. - Następnie ukryła twarz w pachnącej czystości marynarce ojca. - Tak się cieszę, że cię widzę.

MacAllister trzymał ją przez chwilę w mocnym uścisku, a po chwili odezwał się:

- Może mi coś wyjaśnisz, Whitney.

Odsunęła się od niego z roześmianymi oczami.

- Co mam wyjaśnić?

- Ciągłe to samo - fuknął ze złością.

- Jak się czuje mama? Mam nadzieję, że nic jej nie powiedziałaś?

- Nie. Ona myśli, że jestem w Rzymie. Gdybym powiedział jej, że ścigam naszą jedyną córkę po całym Madagaskarze, nie byłaby w stanie grać w brydża.

- Jesteś nadzwyczajny. - Cmoknęła go w policzek. - Skąd wiedziałeś, że masz mnie ścigać po całym Madagaskarze?

- Myślę, że znasz generała Bennetta?

Whitney odwróciła się w stronę wysokiego, smukłego mężczyzny o surowych, poważnych oczach.

- Oczywiście. - Podała mu rękę, jak gdyby znajdowali się na eleganckim przyjęciu. - Spotkaliśmy się u Stevensonów dwa lata temu. Witam pana, generale. Nie sądzę, aby pan znał Douglasa. Doug... - Whitney dała mu znak ręką w momencie, kiedy usiłował wydusić z siebie jakieś wyjaśnienie jednemu z malgaskich policjantów. Wdzięczny za wybawienie podszedł do niej. - Tato, generale, to jest Douglas Lord. Doug jest jednym z tych, którzy ukradli papiery, generale.

Błady uśmiech pojawił się na twarzy Lorda.

- Miło mi poznać pana.

- Wiele pan zawdzięcza Douglasowi - zwróciła się do generała i wsunęła rękę do kieszeni marynarki ojca w poszukiwaniu papierosa.

- Zawdzięcza?! - wybuchnął generał. - Ten złodziej...

- Ocalił papiery, trzymając je z dala od Dimitriego. Z narażeniem własnego życia - dodała, trzymając papierosa w oczekiwaniu na zapalniczkę. Doug podał jej ogień, postanawiając, że zostawi jej wyjaśnienie wszystkiego. Mrugnęła do niego, wydmuchując dym. - Widzi pan, wszystko zaczęło się, kiedy Dimitri wynajął Douga, by ukraść papiery. Oczywiście Doug się domyślił, że są one bezcenne i że trzeba je trzymać z dala od niepowołanych rąk. - Zaciągnęła się dymem i machnęła z ekspresją papierosem. - Faktycznie to poświęcił życie, by je ocalić. Trudno nawet powiedzieć, ile razy powtarzał mi, jaką by to korzyść przyniosło społeczeństwu, gdybyśmy znaleźli skarb. Prawda, Doug?

- No cóż, ja...

- Jesteś bardzo skromny. Przecież to tobie należy przypisać całą zasługę, kochanie. W końcu ocalenie skarbu dla fundacji generała Bennetta kosztowało cię niemal życie.

- To nie było nic takiego - mruknął Doug. Widział, jak jego tęcza zaczyna błędnąć.

- Nic takiego? - Whitney pokręciła głową. - Generale, jako człowiek czynu z pewnością doceni pan to, przez co przeszedł Doug, żeby powstrzymać Dimitriego od zagarnięcia skarbu. Zagarnięcia - powtórzyła. - On chciał zatrzymać go dla siebie, by się w nim pławić - dodała, patrząc z ukosa na Douga. - Chyba wszyscy się z tym zgodzimy, że skarb ten należy do ludzkości.

- Tak, ale...

- Zanim pan podziękuje, generale - przerwała mu - chciałabym, żeby wyjaśnił pan, jak się tu znalazł. Zawdzięczamy panu życie.

Mile połechtany i skonfundowany, generał zaczął wyjaśniać.

Siostrzeniec Whitakera, przerażony tym, co spotkało jego wuja, przyszedł do generała i opowiedział mu wszystko, co wiedział na ten temat. Było tego wystarczająco dużo. Skoro już generał został zaalarmowany, nie wahał się dłużej. Władze były na tropie Dimitriego, jeszcze zanim Whitney i Doug wsiedli do samolotu lecącego do Antananarywy.

Ślad Dimitriego prowadził do Douga, a Douga, z powodu jego wyczynów w Nowym Jorku i Waszyngtonie, do Whitney. Powinna być wdzięczna gorliwym fotoreporterom za te kilka fotografii w gazetach, które przekazała im sekretarka jej ojca.

Po krótkiej naradzie z wujem Maxem w Waszyngtonie generał i MacAllister wynajęli prywatnego detektywa. Człowiek w panamie ruszył za nimi tak jak Dimitri. Kiedy oni wyskakiwali z pociągu zmierzającego do Tamatave, generał i MacAllister znajdowali się w drodze na Madagaskar. Tutejsze władze z radością przystały na współpracę przy złapaniu międzynarodowego przestępcy.

- Fascynujące - powiedziała Whitney, kiedy zorientowała się, że monolog generała może potrwać i do świtu. - Po prostu fascynujące. Teraz rozumiem, dlaczego zdobył pan te pięć gwiazdek. - Wsunęła mu rękę pod ramię i uśmiechnęła się. - Ocalił mi pan życie, generale. Mam nadzieję, że zrobi mi pan tę przyjemność i pozwoli pokazać sobie skarb.

Z pewnym siebie uśmiechem rzuconym przez ramię odciągnęła go na bok.

MacAllister wyjął papierosnicę, otworzył i podsunął Dougowi.

- Nikt nie przegada Whitney - powiedział po prostu. - Nie sądzę, aby znał pan Brickmana. - Skinął ręką na mężczyznę w panamie. - Pracował już kiedyś dla mnie, jest najlepszy. Mówił to samo o panu.

Doug zmierzył wzrokiem mężczyznę w panamie. Każdy z nich wiedział doskonale, kto jest kim.

- To pan był wtedy nad kanałem?

Brickman przypomniał sobie krokodyle i uśmiechnął się.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- A teraz... - MacAllister przeniósł wzrok z jednego na drugiego. Nie odnosiłby sukcesów w interesach, gdyby nie wiedział, co się dzieje w umysłach ludzkich. - Może byśmy się napili, a pan opowiedziałby, co się naprawdę zdarzyło?

Doug zapalił papierosa i przyjrzał się twarzy MacAllistera. Była opalona i gładka - widoczna oznaka dobrego zdrowia. W jego głosie dźwięczał autorytet. Oczy, które na niego patrzyły, były ciemne jak whisky i równie wesołe jak oczy Whitney. Doug rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Dimitri to świnia, ale zgromadził tu niezłe trunki. Szkocka?

Wstawał już świt, kiedy Doug popatrzył na Whitney. Leżała zwinięta i naga pod cienkim prześcieradłem. Lekki uśmiech błędził po jej ustach, jak gdyby śniła o pełnych

zmysłowego uniesienia chwilach, jakie przeżyli po powrocie do hotelu. Oddychała powoli jak ktoś bardzo zmęczony.

Chciał jej dotknąć, lecz nie zrobił tego. Pomyślał o pozostawieniu wiadomości, lecz i tego nie zrobił. Był tym, kim był i czym był. Złodziejem, włóczęgą, samotnikiem.

Po raz drugi w swym życiu miał w rękach świat i po raz drugi wymknął mu się z rąk. Może po jakimś czasie zdoła przekonać siebie, że kiedyś jeszcze przeżyje ten cud i zobaczy swoją tęczę. Może po jeszcze dłuższym czasie przekona siebie, że on i Whitney po prostu przyjemnie spędzili czas. To była tylko zabawa, nic więcej. Musi w to uwierzyć, bo te cholerne więzy coraz mocniej zaciskały się wokół niego. Albo je teraz rozerwie, albo się podda.

Nadal miał bilet do Paryża i czek na pięć tysięcy dolarów, który generał wręczył mu po pełnych zachwyty peanach Whitney na jego temat.

Lecz oczy policjantów i prywatnego detektywa powiedziały mu, że nie dali się na to nabrać. Uzyskał odroczenie, lecz następny ciemny zaułek był tuż za rogiem.

Doug popatrzył na plecak i pomyślał o notesie Whitney. Wiedział, że jego dług znacznie przewyższył sumę pięciu tysięcy, którą miał do swojej dyspozycji. Podszedł do plecaka, pogrzebał w nim i wyciągnął notes i ołówek.

Pod końcowym podsumowaniem, na widok którego uniósł brwi, nagryzmolił krótką wiadomość:

Jestem twoim dłużnikiem, złotko.

Wrzucił wszystko z powrotem do plecaka, jeszcze raz spojrzął na śpiącą Whitney i wymknął się z pokoju cicho i szybko jak złodziej, którym przecież był.

Już w chwili przebudzenia wiedziała, że odszedł. Nie dlatego, że miejsce obok niej było puste. Inna kobieta mogłaby pomyśleć, że wyszedł na kawę lub na spacer, i zawołałaby go schrypniętym, zaspanym głosem.

Lecz ona wiedziała, że odszedł.

Taką już miała naturę: nazywała rzeczy po imieniu, kiedy nie miała innego wyboru. Wstała, rozsunęła zasłony i zaczęła

się pakować. Ponieważ panująca wokół cisza była nie do zniesienia, włączyła radio, nie usiłując nawet złapać jakiejś stacji.

Spostrzegła leżące na podłodze pudełko. Zdecydowana zając się czymkolwiek, postanowiła je otworzyć. Przesunęła palcami po cienkiej bieliźnie, którą Doug dla niej kupił. Uśmiechnęła się przelotnie na widok kwitu z wydrukowanym numerem jej karty kredytowej. Uznając, że cynizm będzie najlepszą formą obrony, włożyła bladoniebieski komplecik. W końcu to za jej pieniądze.

Odrzuciła puste pudełko i uniosła wieko następnego. Sukienka była wspaniała, w kolorze niebieskim, który przywiódł jej na myśl rój motyli, tak przez nią podziwiany. Cały cynizm i wszystkie inne formy obrony rozsypały się w proch. Połykając łzy, wrzuciła suknię z powrotem do pudełka. Pogniotłaby się w podróży, powiedziała sobie i wyszarpnęła z plecaka parę pogniecionych spodni.

Za kilka godzin będzie z powrotem w Nowym Jorku, w swoim mieszkaniu, otoczona przyjaciółmi. Doug Lord stanie się jedynie mglistą i kosztowną pamiątką. Ubrana, spakowana i spokojna, zeszła na dół uregulować rachunek i spotkać się z ojcem.

Czekał w hallu, spacerując niecierpliwie. Goniły sprawy do załatwienia. Lodowy interes był ciągłą walką na noże.

- Gdzie twój chłopiec? - zapytał.

- Tato, doprawdy. - Podpisała rachunek zamasyście, absolutnie pewną ręką. - Kobieta nie ma chłopców, tylko kochanków. - Uśmiechnęła się do boya i poszła za nim do samochodu, przy którym już czekał ojciec.

Obruszył się na terminologię i zapytał:

- Więc gdzie on jest?

- Doug? - Popatrzyła na niego obojętnie, sadowiac się na tylnym siedzeniu limuzyny. - Nie mam pojęcia. Pewnie w Paryżu, miał przecież bilet.

Popatrzył na nią spode łba.

- Co tu się, u diabła, dzieje?

- Chyba spędzę parę tygodni na Long Island. Cała ta eskapada bardzo mnie wyczerpała.

- Whitney. - Ścisnął jej rękę i tonem, którego używał, kiedy miała dwa lata, zapytał: - Dlaczego on wyjechał?

Sięgnęła do kieszeni jego marynarki, wyjęła papierośnicę i wzięła papierosa. Patrząc przed siebie, stuknęła nim o złote wieczko.

- Bo taki ma styl. Wymykać się w środku nocy cicho jak mysz, bez słowa. Przecież jest złodziejem.

- Powiedział mi o tym zeszłej nocy, kiedy czarowałaś Bennetta. Niech to diabli, Whitney, od jego opowiadania włos jeżył mi się na głowie. To było gorsze od sprawozdania tego detektywa. Otarliście się o śmierć chyba z pół tuzina razy.

- Nas również to wtedy niepokoiło - mruknęła.

- Bardzo byś pomogła moim wrzodom, gdybyś poślubiła tego pustogłowego słabeusza Carlyse'a.

- Ale sama bym się ich nabawiła.

Patrzył na papierosa, którego do tej pory nie zapaliła.

' - Mam wrażenie, że darzysz... sentymentem tego młodego złodzieja.

- Sentymentem? - Papieros pękł jej w palcach. - Nie, łączył nas jedynie interes. - Łzy zaszkliły się w jej oczach i spłynęły po policzkach. Ciągnęła jednak spokojnie dalej: - Nudziłam się, a on dostarczył mi rozrywki.

- Rozrywki?

- Niezwykle kosztownej rozrywki - dodała. - Ten drań ulotnił się, będąc mi winny dwanaście tysięcy trzysta pięćdziesiąt osiem dolarów i czterdzieści siedem centów.

MacAllister wyjął chusteczkę i wytarł jej policzki.

- Cóż znaczy strata kilku tysięcy przy wielkich inwestycjach - mruknął. - Często mi się to zdarza.

- Nawet nie powiedział do widzenia - szepnęła. Przytuliła się do ojca i rozpłakała na dobre, bo tylko to mogła w tej chwili zrobić.

* * *

Nowy Jork w sierpniu potrafi dać się we znaki. Miasto buchało upałem, który unosił się nad jezdniami, połykający i wszechpotężny. Kiedy jeszcze i śmieciarze zastrajkowali, wytrzymałość ludzka sięgnęła zenitu. Nawet najzamożniejsi, którzy mogli sobie pozwolić na klimatyzowaną limuzynę, po dwóch tygodniach trzydziestostopniowych upałów zamieniali się w zgryźliwców. Każdy, kto mógł, uciekał więc na wyspy, na wieś, do Europy.

Whitney miała dość podróżowania.

Została na Manhattanie, podczas gdy większość jej przyjaciół i znajomych wyjechała. Odrzuciła zaproszenie na rejs po Morzu Egejskim, tydzień na Riwierze Włoskiej, spędzenie romantycznego miesiąca za miastem, w miejscu, które sama wybierze.

Rzuciła się w wir pracy, bo był to jedyny sposób na to, by nie myśleć o upale. Bawiła się, bo było to lepsze od narzekania. Myślała o odbyciu podróży na Wschód wyłącznie przez przekorę we wrześniu, kiedy wszyscy wracają do Nowego Jorku.

Po powrocie z Madagaskaru ogarnęło ją zakupowe szaleństwo. Połowa z tego, co kupiła, wisiała jeszcze nie rozpakowana w jej już i tak wypchanej szafie. Co wieczór przez ponad dwa tygodnie bawiła się w klubach, przenosząc się z jednego do drugiego i kładąc się spać o świcie.

Kiedy przeszła jej na to ochota, pracowała z takim zapałem, że aż przyjaciele zdziwieni zaczęli szeptać między sobą.

Co innego było dla niej szaleć do upadłego na przyjęciach, a co innego wykańczać się poprzez pracę. To, co robiła, robiła zawsze na najwyższych obrotach. Czas dla niej nie istniał.

- Tad, nie rób z siebie głupca. Nie trawię tego. - Jej głos był niedbały, lecz z odcieniem sympatii. Przez ostatnie kilka tygodni prawie ją przekonał, że zależy mu na niej równie mocno jak na kolekcji jedwabnych krawatów.

- Whitney... - Z blond włosami, w garniturze na miarę, lekko wstawiony, stał w drzwiach apartamentu, usiłując

wymyślić najlepszy sposób, by dostać się do środka. Blokowała mu dostęp bez większego trudu. - Byłaby z nas niezła para. Nie ma znaczenia, że moja matka uważa, że jesteś pomyłona.

Pomyłona. Whitney wzniosła oczy do nieba, słysząc to określenie.

- Słuchaj swojej matki, Tad. Byłabym okropną żoną. A teraz zjedź na dół, by twój kierowca mógł cię zawieźć do domu. Wiesz, że po dwóch martini tracisz panowanie nad sytuacją.

- Whitney. - Porwał ją w objęcia i zaczął całować namiętnie. - Pozwól mi odesłać Charlesa do domu i zostać na noc.

- Wtedy twoja matka wysłałaby Gwardię Narodową - odparła, wysuwając się z jego objęć. - Idź do domu i odeśpij to trzecie martini. Jutro poczujesz się bardziej sobą.

- Nie traktujesz mnie poważnie.

- To siebie nie traktuję poważnie - poprawiła go i poklepała po policzku. - A teraz zmykaj i słuchaj matki. - Zamknęła mu drzwi przed nosem... - Stary babsztyl.

Odetchnęła głęboko i podeszła do baru. Po wieczorze spędzonym z Tadem należał się jej łyk czegoś mocniejszego. Gdyby nie czuła się taka rozstrojona, taka... nieważne, nigdy nie dałaby się namówić na operę i wspaniałe towarzystwo. Opera nie należała do jej ulubionych rozrywek, a Tad nigdy nie był wspaniałym towarzyszem.

Nalała potężną porcję koniaku do kieliszka.

- Może byś nalała i do drugiego, złotko?

Jej palce zacisnęły się na kieliszku, a serce podskoczyło do gardła. Nie poruszyła się jednak i nie odwróciła. Wzięła drugi kieliszek i napełniła koniakiem.

- Nadal wślizgujesz się przez dziurki od klucza, Douglas?

Miała na sobie sukienkę, którą kupił jej w Diego-Suarez. Wyobrażał ją sobie w niej tysiące razy. Nie wiedział, że dziś włożyła ją po raz pierwszy i że zrobiła to na przekór sobie. Nie wiedział również, że myślała o nim cały wieczór.

- Późno wracasz..

Powiedziała sobie, że ma wystarczająco dużo siły, aby z nim skończyć. Odwróciła się, unosząc brew.

Ubrany był na czarno, co bardzo do niego pasowało. Czarny podkoszulek i obcisłe czarne dżinsy. Zawodowe przebranie, pomyślała, podając mu kieliszek. Przyszło jej na myśl, że ma szczuplejszą twarz i żywsze spojrzenie.

- Jak było w Paryżu?

- Dobrze. - Wziął z jej ręki kieliszek, powstrzymując się przed chęcią dotknięcia jej ręki. - A ty jak się miewasz?

- A jak wyglądam? - Było to wyzwanie. Spójrz na mnie, żądała, przypatrz mi się uważnie.

Zrobił to.

Jej włosy opadały lśniąca kaskadą na jedno ramię, spięte z boku brylantową spinką w kształcie półksiężyca. Twarz miała taką, jaką zapamiętał: bladą, chłodną, elegancką. Oczy, które patrzyły na niego znad kieliszka, były ciemne i wzywające.

- Wyglądasz wspaniale - mruknął.

- Dziękuję. Więc czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę?

Sto tysięcy razy od ponad tygodnia powtarzał sobie, co powie i jak powie. Tyle czasu był już w Nowym Jorku, a ciągle się wahał, przyjść do niej czy nie.

- Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co u ciebie - wymruczał do kieliszka.

- Jak to miło.

- Słuchaj, wiem, że myślisz, że uciekłem od ciebie...

- Z długim opiewającym na ni mniej, ni więcej tylko dwanaście tysięcy trzysta pięćdziesiąt osiem dolarów i czterdzieści siedem centów.

Wydał z siebie coś na kształt śmiechu.

- Nic się nie zmieniłaś.

- Przyszedłeś po to, by wywiązać się z obietnicy, którą mi zostawiłeś?

- Przyszedłem, bo musiałem, do diabła.

- Aha. - Dokończyła drinka, powstrzymując się od ciś-

nięcia kieliszkiem o ścianę. - Czyżbyś planował następne przedsięwzięcie, które wymaga kapitału?

- Jeśli masz w zanadru następne docinki, proszę bardzo. - Odstawił z rozmachem kieliszek.

Patrzyła na niego przez chwilę bez słowa, potem pokręciła głową. Odwróciła się, postawiła kieliszek i oparła dłonie o blat baru. Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, spuściła głowę i zgarbiła się, a w głosie usłyszał zmęczenie.

- Nie, nie mam w zanadru żadnych docinków, Doug. Czuję się trochę zmęczona. Już mnie zobaczyłeś, więc dlaczego nie wyjdiesz tą samą drogą, którą przyszedłeś?

- Whitney.

- Nie dotykaj mnie - mruknęła, zanim zdążył zrobić krok w jej kierunku. Cichy głos nie był w stanie ukryć kryjącej się głębiej rozpacz.

Uniósł ręce, jakby chciał coś powiedzieć, lecz po chwili je opuścił.

- W porządku.

Spacerował przez chwilę po pokoju, próbując wrócić do wcześniej zaplanowanego ataku.

- Wiesz, że całkiem nieźle poszło mi w Paryżu? Oczyszczyłem pięć pokoi w hotelu de Crillon.

- Gratulacje.

- Miałem szczęście, pewnie mógłbym obrabiać turystów przez następne sześć miesięcy. - Wetknął kciuki w kieszenie od spodni.

- Więc czemu tego nie zrobiłeś?

- Przestało mnie to bawić. Zaczynasz mieć kłopoty, kiedy robota przestaje bawić.

Odwróciła się, uważając, że tchórzostwem będzie nie patrzeć mu w twarz.

- Chyba tak. Wróciłeś do Stanów, by zmienić otoczenie?

- Wróciłem, bo nie mogłem już dłużej wytrzymać bez ciebie.

Nie zmieniła wyrazu twarzy, splótła jedynie palce rąk, co

było pierwszą widoczną oznaką zdenerwowania, którą u niej dostrzegł.

- Och, cóż za osobliwe stwierdzenie. Przecież cię nie wyrzuciłam z pokoju hotelowego w Diego-Suarez.

- Nie. - Jego wzrok wędrował po jej twarzy, jak gdyby czegoś szukając. - Nie wyrzuciłaś mnie.

- Więc dlaczego wyjechałeś?

- Bo gdybym został, zrobiłbym to, co mam zamiar zrobić teraz.

- Ukraść mój portfel? - zapytała, odrzucając w tył głowę.

- Prosić, byś za mnie wyszła.

Po raz pierwszy i zapewne jedyny zobaczył, jak otwiera szeroko usta i zastyga w tej pozie. Wyglądała, jakby ktoś nastąpił jej na palce u nogi. Sądził, że zobaczy bardziej uczuciową reakcję.

- Widzę, że to cię cholernie oczarowało. - Podeszedł do baru, by nalać sobie kolejnego drinka. - Zabawny pomysł, co? Facet taki jak ja proponuje małżeństwo takiej kobiecie jak ty. Nie wiem, może to coś w powietrzu, ale zaczęły mi przychodzić w Paryżu różne zabawne pomysły do głowy, o założeniu rodziny, ustatkowaniu się, dzieciach.

Whitney zmusiła się do zamknięcia ust.

- Naprawdę? - Tak jak Doug pomyślała, że musi się jeszcze napić. - Czy mówisz o takim małżeństwie, co to dopóki śmierć nas nie rozłączy, i wspólnych wydatkach?

- Tak. Jestem tradycjonalistą. Nawet jeśli o to chodzi. - Kiedy coś robił, robił dokładnie. Nie zawsze dawało to rezultaty, ale taki już był. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pierścionek.

Blask brylantu eksplodował tysiącem odbitych świateł. Whitney o mały włos znowu nie otworzyła ust.

- Skąd ty to...

- Nie ukradłem go - rzucił szybko. Czując się głupio, podrzucił pierścionek, złapał i zacisnął w dłoni. - Ściśle mówiąc - uśmiechnął się - to pochodzi on ze skarbu Marii. Schowałem go do kieszeni, ty powiedziałaabyś: odruchowo.

Myślałem o sprzedaniu go paserowi, ale... - Rozwarł dłoń i popatrzył na pierścień. - Dałem do oprawienia.

- Rozumiem.

- Wiem, że chciałaś, aby ten skarb znalazł się w muzeum, i tak się stało. - To nadal bolało. - Było mnóstwo artykułów na ten temat w paryskich gazetach. Fundacja Bennetta odzyskuje skarb tragicznej królowej, naszyjnik z brylantami zmienia dotychczasowe teorie, i tak dalej.

Wzruszył ramionami, próbując nie myśleć o tych wszystkich pięknych, błyszczących kamieniach.

- Postanowiłem się usatkwować dzięki temu kamieniowi. Choć wystarczyłaby para bransoletek, by ustawić mnie na całe życie. - Ponownie wzruszył ramionami. - Jeśli masz wyrzuty sumienia, odeślę ten cholerny kamień Bennettowi.

- Nie bądź taki obraźliwy. - Zwinnym ruchem wyrwała mu go z ręki. - Mój pierścionek zaręczynowy nie pójdzie do żadnego muzeum. Poza tym... - uśmiechnęła się do niego promiennie - również uważam, że pewne fragmenty historii powinny należeć do jednostki. To coś w rodzaju tradycji. - Spojrzała na niego tym swoim chłodnym wzrokiem, unosząc brew. - Czy jesteś aż takim tradycjonalistą, by klęknąć przede mną na jedno kolano?

- Nie, nawet w stosunku do ciebie, złotko. - Ujął jej lewą rękę w nadgarstku i wsunął pierścionek na trzeci palec. Potem patrzył na nią długo i uważnie. - Umowa stoi?

- Stoi - powiedziała i śmiejąc się, wpadła w jego ramiona. - Do licha, Douglas, przez dwa miesiące byłem nieszczęśliwa.

- Naprawdę? - Pomyślał, że sprawiło mu to przyjemność, tak jak pocałowanie jej jeszcze raz. - Widzę, że podoba ci się sukienka, którą ci kupiłem.

- Masz nadzwyczajny gust. - Wyciągnęła rękę za jego plecami tak, by móc patrzeć, jak światło odbija się w pierścionku. - Małżeństwo - powtórzyła, wypróbowując brzmienie tego słowa. - Mówiłeś coś o usatkwowaniu się. Czy to znaczy, że chcesz przejść na emeryturę?

- Chodziły mi po głowie takie myśli. Wiesz... - nachylił się do jej szyi, by poczuć zapach, który go ścigał w Paryżu - właściwie to nigdy nie widziałem twojej sypialni.

- Naprawdę? Wobec tego muszę cię oprowadzić. Jesteś trochę za młody, by iść na emeryturę - dodała, odsuwając się od niego. - Co masz zamiar zrobić z wolnym czasem?

- No cóż, w przerwach między kochaniem się z tobą może rozkręcę interes.

- Lombard?

Uszczypnęła ją w wargę.

- Restaurację - poprawił. - Mądralo.

- Oczywiście. - Kiwnęła głową z aprobatą - Tu, w Nowym Jorku?

- Dobre miejsce na początek. - Puścił ją, by mogła wziąć jego kieliszek. Może tęcza była bliżej, niż sądził. - Można zacząć z jedną tutaj, potem Chicago, San Francisco. Rzecz w tym, że potrzebuję współnika.

Przesunęła językiem po zębach.

- Naturalnie. Masz jakiś pomysł?

Zaprezentował ten swój czarujący, nie budzący zaufania uśmiech.

- Chciałbym zatrzymać wszystko w rodzinie.

- Wujek Jack?

- Daj spokój, Whitney, wiesz, że dałbym sobie z tym radę. Czterdzieści tysięcy, nie, pięćdziesiąt, i założę najzgrabniejszą małą restaurację w Zachodniej Dzielnicy.

- Pięćdziesiąt tysięcy - mruknęła, podchodząc do biurka.

- To dobra inwestycja. Sam bym opracował menu, nadzorował kuchnię... Co ty robisz?

- Da to razem sześćdziesiąt dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt osiem dolarów i czterdzieści siedem centów. - Energetycznie kiwając głową, podkreśliła podwójną kreską końcową sumę. - Przy dwunastoipółprocentowym udziale w zyskach.

Spojrzał nachmurzony na wypisane liczby.

- Udział? Dwanaście i pół procent?

- To bardziej niż umiarkowany procent, wiem, ale mam miękkie serce.

- Słuchaj, pobieramy się, tak?

- Bezwzględnie!

- Żona nie pobiera przecież udziałów od męża, na litość boską!

- Ta jedna tak - mruknęła, notując dalej. - Za chwilę obliczę miesięczną opłatę. Powiedzmy, przez okres piętnastu lat, tak?

Popatrzył na jej eleganckie palce śmigające po papierze. Brylant mrugnął do niego.

- Tak. Co, u diabła...

- A teraz pomówmy o gwarancji.

Zmełł w ustach przekleństwo i powstrzymał wybuch śmiechu.

- Co byś powiedziała na naszego pierworodnego?

- Interesujące. - Stuknęła notesem o dłoń. - Tak, mogę na to przystać, ale... jeszcze nie mamy dzieci.

Podszedł i wyrwał jej notes z ręki. Cisnął go za siebie i porwał ją w ramiona.

- Więc się tym zajmijmy, złotko. Potrzebuję zaliczki.

- Czego się nie robi dla twórczej inicjatywy!